

Marta Osa

RÓŻA,
BRATKI
I WARIATKI



CO JA TU ROBIĘ?

Mroźne powietrze owiewa mi twarz, choć nałożyłam krem ochronny. Lecz przed takim mrozem ochronić się można chyba tylko grubą warstwą smoły.

Pięknie tu. Biegnę wałami nad jeziorem. Czasami słyszę, jak z głuchym pomrukiem pęka rozprężający się lód. Staję i słucham. Lekko skrzypiący pomruk zamienia się w ponury jęk i gna po tafli lodu, pozostawiając rysę. Zupełnie jak bliznę na sercu, kiedy zderzy się ono z dramatem. Przeorane nieszczęściami w końcu się zagoi, ale blizna pozostaje na zawsze. A może to pęka moja dusza? Bo na sercu nie mam już miejsca. Sama nie wiem. Rozglądam się wokół, napawam oczy bielą i jednego już jestem pewna. Będzie to moja stała trasa na samotne przebieżki. Wokół tylko nagie drzewa wyciągają ramiona do nieba, suche kikuty trzcin poruszają się na wietrze, który śpiewa, przepędzając po lodzie śnieżny kurz. Z nikim nie muszę rozmawiać. Nikomu nie muszę odpowiadać na pytania, z jakiego powodu się tu znalazłam. Bywalcy o to nie pytają. Wystarczy, że znają twoje imię. Za to nowi rozpytują, jakby chcieli usprawiedliwić swoją tu obecność. Kiedy psychiatra zaproponował mi to rozwiązanie, zgodziłam się bez najmniejszego wahania. Moja siostra o mało nie padła trupem, kiedy jej powiedziałam.

- Róża, zwariowałaś? - spojrzała na mnie zaniepokojona, a zieleń jej oczu nabrała intensywności tropikalnej dżungli. - To nie miejsce dla ciebie.

- Jak to nie dla mnie? Sama powiedziałaś, że zwariowałam, więc chyba jednak tak - drażniłam się z nią, ale doskonale znałam prawdziwy powód jej przerażenia.

- Mówiłaś już komuś? - spytała wystraszona, zorientowała się bowiem, że nie żartuję.

Tu cię boli. Nie martwi cię, co czuję i jak się czuję, tylko co sama poczujesz, kiedy wyjdzie na jaw, gdzie się podziała twoja długo nieoglądana siostra bliźniaczka. Karetkę słyszeli wszyscy sąsiedzi, a moje zjawienie się w domu rodzinnym bacznie obserwowano. W takim grajdole nic się długo w tajemnicy nie uchowa.

Jako małe dziewczynki nigdy się nie rozstawałyśmy. Niby z tego samego materiału, z wyglądu podobne jak dwie krople wody, charakterem różne jak dwa płatki śniegu. Ona podobna do gwiazdy z wyraźnie zaznaczonymi ramionami. Ja - jak delikatny płatek ginący w lekkim podmuchu ciepłego oddechu.

- Co mam mówić, jak ludzie będą pytać. A będą - martwiła się. - Tego jestem pewna.

- Najlepiej prawdę - wzruszyłam ramionami. Mało mnie to obchodziło. Wiedziałam, że prawdy i tak nikt od niej nie usłyszy. No, chyba że przypadkiem.

- Nie zgrywaj się, wiesz, co mam na myśli - wysyczała.

- Chyba jednak nie wiem - odparłam, ale znałam prawdziwy powód jej przerażenia.

- No co ty!?

- Coś wymyślisz - wzruszyłam ramionami.

- Może jeszcze się zastanów - rozpaczliwie próbowała odwieść mnie od postanowienia. - Nie wystarczy ci wuj Johan?

- Nie tym razem - odpowiedziałam cicho. Pomyślałam, że dla niej byłoby wygodne, żeby znów zniknęła na dwadzieścia lat. Ale to właśnie wuj Johan kazał mi tu zostać. Trochę z powodu mojej fobii, choć z nią żyłam już długo i jakoś sobie radziłam, bardziej jednak z powodu mojej skłonności do ciągłych ustępstw. Nie pozwolił mi tym razem oddać pola Lili i stwierdził, że czas zmierzyć się z przeszłością. Twierdził, że ludzie skłonni do ciągłych ustępstw często są

przez innych wykorzystywani. I tu się z nim niestety musiałam zgodzić.

- Co ludzie powiedzą? - wreszcie to wydusiła.

No proszę, umiem czytać w myślach. - Oj, Lilia, jak ja cię dobrze znam. Doskonale wiem, co cię martwi. Co ludzie powiedzą? Boisz się, że będą cię pytać o siostrę, która zwariowała. Nakłamiesz, jak zwykle.

A w wymyślaniu i kombinowaniu Lilia była mistrzynią świata. Kłamstwa potrafiła wykorzystywać w życiu lepiej niż ktokolwiek inny. Ja brzydziłam się kłamstwem, dla niej była to codzienność. Często zastanawiałam się, czy jeszcze się orientuje, jak wygląda świat rzeczywisty. Czy nie boi się pogubić w plątaninie łgarstw i matactw. Zawsze tak przedstawiała fakty, żeby były dla niej wygodne. Taki miała sposób na rozwiązywanie problemów. Byłam pewna, że i tym razem wymyśli coś gładkiego, coś, co nie rzuci cienia na jej poukładane życie. Moje życie niewiele ją obchodziło.

Nie będę teraz o tym myśleć. Dookoła jest tak biało i czysto. Na tafli jeziora cienka warstwa śniegu wygląda, jakby ktoś nakrył świat świątecznym obrusem. Z pióropuszy suchych traw i smętnie sterczących z lodu tataraków mroźny wiatr zrzucił śnieg i teraz kołyszą się, broniąc dostępu do jeziora. Weszłam jednak na lód i, posuwając się noga za nogą, sprawdzałam, jak daleko mogę pójść bez narażania się na niebezpieczeństwo. Zresztą, co mi tam! Jedno życie mniej i co? Czy ktoś po mnie zapłacze? Czy ktoś przypomni sobie, że byliśmy dubeltowe? Że gdzieś w cieniu Lilii była kiedyś jej siostra Róża? Oj, komuś sprawiłabym ból. Wiem, że komuś na mnie zależy.

Podeszwą butów do biegania starłam z lodu cienką warstewkę śniegu. Po szerokości pęknięcia tafli zorientowałam się, że tak szybko się z życiem nie rozstanę. Przynajmniej nie tutaj. Lód jest tak gruby, że można by na niego wjechać samochodem. Może nawet ciężka-

rowym. Przykucnęłam i moim oczom ukazało się dno jeziora. Zupełnie jakby było tuż pod moimi podszewkami. Ależ czyste musi być to jezioro. Zobaczyłam przy dnie ospałe małe rybki zamknięte ciężkim wiekiem lodu w swoim wodnym świecie. Ale jednak żyją. Jak ja, zamknięta w świecie wokół tego pałacu. Jeszcze żyję.

Spojrzałam w stronę szpitala. Spośród nagich drzew wyłaniały się majestatyczne wieżyczki ponadstuletniego pałacu. Od strony południowo-wschodniej zwieńczone kopulastymi hełmami, krytymi szarymi łupkami. Cały pałac zbudowano na podstawie prostokąta z wieloma ryzalitami i przybudówkami. Kiedyś to się budowało! Piękny widok.

Ciekawe, ile czasu przyjdzie mi tu spędzić. Jako mała dziewczynka marzyłam o pięknym zamku i o tym, że przyjedzie tam po mnie na karym koniu książę z bajki. Pokona moich wrogów i już zawsze będę szczęśliwa. Ale mój książę dawno o mnie zapomniał i nie ma najmniejszego sensu na niego czekać.

Tak więc jest piękny pałac, jest służba (nieważne, że medyczna) i są dworzanie. A że nieco nerwowi? Cóż, widać nie można mieć wszystkiego. Albo marzyć należy bardziej precyzyjnie. Czy doczekam tu wiosny? Czy dopadną mnie tu moi wrogowie, pierwsze wiosenne kwiaty, jak wilki dopadają swoją ofiarę? Na razie wytyczam trasę przebieżki i nie martwię się na zapas. Póki jest biało, jestem bezpieczna. Nie będę wbiegać do parku, lepiej nie kusić losu.

Pokonawszy formalności związane z przyjęciem do szpitala, o dziwo nie takie przykre, poszłam posłusznie za siostrą oddziałową po pościel. Tam zdziwiłam się po raz kolejny. Z pomocą przyszedł mi natychmiast miły pan, który wziął pościel i zakomunikował, że zanieś ją do pokoju.

Widząc mój popłoch, siostra uśmiechnęła się i powiedziała, że tu taki zwyczaj. Bagażami też się zajęto.

Szłam więc pokornie za nimi i przyglądałam się wszystkiemu. Szerokie dębowe schody pokryte dywanem, na półpiętrze ogromny witraż z herbami rodów i przepiękne drzwi szaf wnękowych. Czy to na pewno szpital? Nikt nie leży w łóżku, nikt nie chodzi w piżamie i atmosfera jakaś taka nieszpitalna. Wiedziałam, że to szpital otwarty, ale nie spodziewałam się atmosfery sanatorium. I to w tak pięknych wnętrzach.

- Pani Rózo, to tutaj - siostra wprowadziła mnie do pokoju, który ani trochę nie przypominał sali szpitalnej - a to pani łóżko.

- Dziękuję - bąknęłam. Nie miałam śmiałości przyglądać się lokatorom. A może bałam się, że będą na mnie patrzeć z taką samą dezaprobatą jak moja siostra.

- Życzę miłego pobytu i szybkiego powrotu do zdrowia - siostra zostawiła mnie w pokoju z trzema kobietami. Kątem oka widziałam, jak przyglądały mi się i uśmiechały przyjaźnie. Chyba nie będzie tak źle.

- Dzień dobry, jestem Róża - nabrałam odwagi i też się uśmiechnęłam.

- Cześć. Jestem Magda - przedstawiła się na oko najstarsza, ale mogłam się mylić. - To jest Renata, a to Zosia.

- Tu masz wolną szafę i wieszaki - Renata, średniego wzrostu szczupła brunetka z długimi włosami związanymi w koński ogon i prześlicznymi czarnymi oczami bez zbędnych ceregieli wzięła moją torbę i położyła na łóżku. - A w to - trzymała w ręku bardzo maleńką białą poszewkę - nie wciskaj jaśka. To woreczek na twoje sztuce - zaśmiała się.

- Dzięki za podpowiedź. Już zastanawiałam się, czy czasami nie dostałam poszewki dla lalki - uśmiechnęłam się nieśmiało.

- Każdy nowo przybyły tak myśli - odezwała się ładna blondynka, chyba Zosia. - Nie jesteś pierwsza.

- I nie martw się tak - widząc, że nie wiem, co z sobą zrobić, klepnęła mnie w ramię. - Tu nie jest źle. Jest jak na koloniach letnich - dokończyła wprowadzanie - tylko dla dorosłych.

- Chyba zimowych - poprawiła ją Zosia.

- Na jakich tam chcesz - machnęła ręką. - Wiesz... na początku boisz się, kogo tu spotkasz, a potem nie chcesz wracać do domu - westchnęła ciężko. - Które łóżko wybierasz? Dwa są wolne.

Wybrałam to bliżej okna. Siadłam na nim i dopiero wtedy mi ulżyło. Wydawało się, że jest mi obojętne, co będzie się ze mną działo. Ale skoro ucieszyło mnie przyjazne przyjęcie, to może jednak chce mi się jeszcze żyć? Tylko o tym nie wiem. Bardzo liczyłam, że ktoś mi to uświadomi, że znów odnajdę sens i wyprostuję kręte ścieżki życia.

*

Dzień w szpitalu zaczynał się bez stukania basenów, roznoszenia termometrów, w ogóle jakoś nietypowo. Właściwie normalnie. Jak na wczasach. Która wstaje pierwsza, ta wstawia czajnik z wodą na kawę. Do łazienki nie ma kolejki, wszyscy na korytarzach uśmiechają się do siebie i witają. Zanim zejdziemy na śniadanie, oznajmiane gongiem, już jesteśmy po pierwszej kawie. Po śniadaniu leki. Grzecznie tuptamy do dyżurki pielęgniarek po swój poranny przydział. Potem parominutowe zebranie wszystkich chorych (czytaj: nerwusów) i personelu medycznego. Powitanie nowo przybyłych i żegnanie wyjeżdżających do domu. Nowi muszą wstać, wszystkim się pokazać i przedstawić imieniem. Można coś o sobie powiedzieć, ale nikt tego nie robi. Potem ustalanie planu dnia... będą balety czy nie. Dwa razy

w tygodniu są obowiązkowo, a w soboty na prośbę pensjonariuszy. Zwykle ordynator się zgadza. Jeszcze plany na terapię pracą i po zebraniu.

- I co, strasznie było? - Renata bierze mnie pod rękę i razem wchodzimy na schody. Za nami idą Magda i Zosia.

- Wszystko tu robię pierwszy raz, trochę jestem... oszołomiona - przyznaję zawstydzona.

- No, moja droga, w końcu jesteś w domu wariatów

- słyszę za plecami. Boże mój! - pomyślałam. - To mi się nie śni, ja naprawdę zwariowałam.

- Posiedzę tu chwilę - zerkam na piękną rzeźbioną ławę na półpiętrze.

- Tylko nie rycz - śmieje się Magda - to monopol Zośki. Za pierwszym razem przez dwa tygodnie ryczała tu codziennie. Nie mogła się przyzwyczać.

- Już nie płaczę - zaprzeczyła Zosia - ale chyba znów zacznę. Jak mi przyjdzie stąd wyjeżdżać.

- Dlaczego? - jakoś nie mieściło mi się w głowie, że można polubić szpital dla nerwusów. Choć muszę przyznać, otoczenie zrobiło na mnie wrażenie.

- Tu mogę być Marią Antoniną - chwyciła moje zdziwione spojrzenie - a w domu znowu będę nikim - powiedziała poważnie. Przez chwilę napawały się moją miną i w końcu wszystkie parsknęły śmiechem. - Róża, kobieto, nabierz dystansu.

- To, że tu jesteśmy, nie znaczy zaraz, że mamy nie po kolei w głowie - Renata szturchnęła mnie delikatnie.

- Róża, nie przejmuj się tak. Będzie dobrze... zobaczysz.

- To przecież tylko oddział leczenia nerwic - Zosia podniosła się z ławki, gdzie przez moment dotrzymywała mi towarzystwa.

Poszły. Siadłam na półpiętrze naprzeciwko olbrzymiego witraża, który przedstawiał drzewo. Całe zielone, z jakimiś owocami. Chyba gruszkami, ale kolor jakiś

nie taki. Nieważne. W dole dwa herby, biały orzeł na czerwonym tle i czerwona baszta na białym tle. Później sprawdzę, jakie to rody. Powoli ulegałam nastrojowi tego miejsca. Olbrzymi hol z masywnymi, szerokimi schodami wiodącymi na piętro i ten powalający witraż. Z ławki mogłam obserwować życie „pałacowe” toczące się w holach. Na parterze wejście do palmiarni, czyli do zimowego ogrodu. To jednak omijałam wielkim łukiem... nie daj Boże zakwitły tam jakieś kwiaty. Przy małym stoliku opodal cudownego zielonego pieca dyżurni panowie czekają już na nowo przybyłych, żeby pomóc im z pościelą i bagażami. Miły zwyczaj. Na parterze jest jeszcze dyżurka, sala balowa, gdzie odbywają się zebrania i potańcówki i skąd wchodzi się do pokojów, a raczej komnat ordynatora. Tam przyjmuje. Jeszcze jadalnia i drzwi na korytarz, z którego wchodzi się do pokojów. Trochę boję się tych labiryntów, ale wszyscy chętnie tłumaczą, którądy dokąd dojść.

- Łapiesz zasięg? - siwy pan, chyba Henio, siadł obok na ławce.

- Co proszę? - nie zrozumiałam.

- Tu najlepiej rozmawiać przez komórkę. Jeszcze lepiej, kiedy zbliżysz się maksymalnie do prawej strony okna - pokazał mi najlepsze miejsce.

Nie żartował. Swoją komórkę wyłączyłam, więc dopiero teraz zauważyłam, że co chwila ktoś cwałuje do witraża z telefonem, przykładając głowę do zimnych, kolorowych szybek. Myślałam nawet, że to jakaś gra... w końcu jestem w domu wariatów. Boże mój, co ja tu robię?

RYTUAŁY

Każdy szpital ma swoje rytuały. Jednym z pierwszych, z którym się tu spotkałam, oprócz witania nowych pacjentów, były łapanki skarbnika kasy kuracjuszy czy pacjentów... jak zwał, tak zwał. Zawsze na coś zbierają. A to na rozrywki i lodówkę, a to na rozrywki i coś innego. Teraz na telewizor i rozrywki, rzecz jasna. Od tygodnia skarbnikiem była Magda i każdego wieczora urządzała łapanki nowo przybyłych. Datki były absolutnie dobrowolne i ich wysokości też nikt nie narzucał. No, może mała sugestia ze strony Magdy padała, ale zawsze bardzo grzeczna.

- Ile już masz? - dopytywał wiecznie Mięciu, starosta grupy. - Co tak mało?

- Jak jesteś taki mądry, to sam zbieraj - złościła się Magda.

W pokoju zdradziła nam powody ciągłego dopytywania. Snuł się za nią i ponaglał, bo był jedynym, który przyciśnięty przez poprzedni zarząd, dał pięćdziesiąt złotych. A zwykle wszyscy dają po dwadzieścia. Teraz pluje sobie w brodę i oczekuje, że wszyscy dadzą tyle samo, jednak co chwila obwieszcza wszystkim, że dał najwięcej.

Moim stałym rytuałem były samotne przebieżki. Wałami nad jeziorem aż do bramy olbrzymiego gospodarstwa rolnego, dalej nie, bo boję się krów. Właściwie boję się każdego stworzenia trochę większego od psa... no i kwiatów, te jednak zwykle mnie nie gonią. Na szczęście jest zima i wciąż nic mi nie grozi. Potem wracam tą samą drogą i wałami wbiegam do lasu. Kiedy nie ma liści na drzewach, trudno nazwać to lasem. Nagie gałęzie nie przysłaniają nieba, las jest przestronny i rozświetlony bielą śniegu. Tuż przy wale część drzew stoi w wodzie, a właściwie w lodzie, bo wszystko skuła szklista skorupa. Tutaj nie ma się czego bać.

Krowy po lesie nie chodzą, nawet psy się nie wałęsają. Nikt nie zakłóca mojej samotnej wyprawy, a i ja nie szukam towarzystwa. Lubię samotność, już do niej przywykłam.

Co drugie popołudnie większość pacjentów od obiadu szykuje się na tańce. To dwugodzinna potańcówka w sali balowej, na kominku stawia się sprzęt grający i przyciemnia światło. Magda musi przed tym wydarzeniem zrobić zakupy na małą przekąskę i coś do picia. Oczywiście bezalkoholowego. To zadanie skarbnika.

- Dalej Róża, przebieraj się - Zosia drepce w miejscu, bo nie może dopchać się do jedynej w pokoju lustra. Stoi w pogotowiu, żeby wykorzystać moment nieuwagi i wcisnąć się przed zwierciadło.

- A co się stało? - przyglądam się, jak uwijają się niczym pszczoły w ulu, przepychając się to do szafy, to do lustra. Magda stanęła nad rzędami ustawionych pod oknem butów i z namysłem drapie się po głowie.

- No jak? Zaraz jest potańcówka - Renata poprawiała nienaganny makijaż. Śliczne ma te oczy!

- Ja nie idę, nie lubię - próbowałam się wymigać i miałam nadzieję, że taka wymówka wystarczy. Tańce w przyciemnionej sali balowej to była chyba ostatnia rzecz, na którą miałabym ochotę. Wcześniej też rzadko miewałam ochotę na takie rozrywki. Nawet na studiach ciężko było mnie wyciągnąć do dyskoteki. To nigdy nie były moje klimaty, choć lubię muzykę.

- Co znaczy nie lubię? - Zosia zrobiła wielkie oczy. - Wiesz, można być stukniętą, ale nie aż tak. To przecież terapia, musisz iść.

- Czy to obowiązkowe? - trochę się wystraszyłam, bo naprawdę nie byłam w nastroju.

- Tak - odpowiedziały zgodnym chórem.

Wstałam z łóżka, wygładziłam dres i zgłosiłam gotowość do wyjścia. Zosia i Magda spojrzały zdziwione na mnie, potem po sobie, w końcu Magda nie wytrzymała.

- Tak chcesz iść? - zmierzyła mnie od stóp do głów.

- Nie mam nic innego, mam tylko dresy i trampki. No i piżamy. Tak napisali mi na kartce, kiedy przywiozłam skierowanie - tłumaczyłam się. Ale tak było w rzeczywistości. Na kartce, którą dostałam w biurze, miałam spis niezbędnych przyborów. O sukienkach i butach do tańca nie było tam mowy.

- Zaraz widać, że jesteś tu pierwszy raz - Zosia westchnęła i z politowaniem pokiwała głową. - Ja za pierwszym razem też się tak wybrałam.

- Za pierwszym? - zdziwiłam się. - To który raz tu jesteś?

- Piąty.

- Ja siódmy.

- Ja dziesiąty - Magda dumnie wypięła pierś. Siadłam ciężko na krześle. Nie wierzyłam własnym uszom. Powiedziały to w sposób zupełnie zwyczajny, mogłabym nawet rzec, że z pewną dumą. Miny też miały zadowolone. To ile razy będą tu musiała przyjeżdżać, żeby poczuć się lepiej?

- Boże kochany! To chyba jesteś tu rekordzistką.

- Żartujesz? Rekordzistką, też mi coś - prychnęła. -Miecio jest tu dwudziesty drugi raz. A i on chyba jeszcze nie pobił rekordu - z rezygnacją machnęła ręką. - Dalej, zbieraj się w tym dresie. Następnym razem będziesz wiedziała, że trzeba zabrać kieckę i szpilki.

Następnym razem? To one myślą, że przyjadę tu jeszcze raz? Skoro już tu jestem, to chcę wyzdrowieć raz na zawsze, a nie tylko na jakiś czas. Dwie godziny potańcówki przesiedziałam na ławce płaczu i patrzyłam, jak co rusz ktoś rozbawiony wychodził ochłonać do holu. Zauważyłam jednego młodego człowieka, który raz po raz podchodził do klatki z papugami i coś do nich mówił. Później dowiedziałam się, że to Marek. W ciągu tych dwóch godzin gadał z nimi chyba z dziesięć razy. Widać

miął jakąś ważną sprawę. Ktoś inny wpatrywał się przez szybę palmiarni przylegającej do holu, gdzie wśród palm, fikusów, juk i innych zielonych (na szczęście) roślin stał podświetlany marmurowy posąg. W całym pałacu rzucały się w oczy resztki jego świetności i nastrój ten bardzo mi odpowiadał. Mogłam godzinami przyglądać się pięknym intarsjowanym drewnianym sufitom, masywnym, rzeźbionym poręczom dębowych schodów, oliwionym parkietom i innym wspaniałościom tamtych czasów. Czytając fragmentami treść Desideraty wypisanej na ścianie, wciąż pozostawałam zatopiona w swoich myślach.

Krocz spokojnie wśród zgiełku i pośpiechu -pamiętaj, jaki spokój może być w ciszy. Tak dalece, jak to możliwe, nie wyrzekaj się siebie, bądź w dobrych stosunkach z innymi ludźmi. Prawdę swoją głoś spokojnie i jasno, słuchaj też tego, co mówią inni, nawet głupcy i ignoranci, oni też mają swoją opowieść. Jeśli porównujesz się z innymi, możesz stać się próżny i zgorzkniały, albowiem zawsze będą lepsi i gorsi od ciebie.

*

Zwyczajem dla nowo przybyłych jest wizyta u ordynatora. Musi w końcu wiedzieć, co skłoniło chorego do decyzji nawiedzenia pałacu nerwusów. To była miła rozmowa. I choć nie przyjechałam tu z informacjami od prowadzącego czy kierującego mnie tu lekarza, nie wypytywał o zbyt wiele. Jakby potrafił przejrzeć duszę. Pytał tylko o zwykłe sprawy... gdzie mieszkam, co robię i czy chcę brać udział w terapiach. Po to tu przecież przyjechałam, więc chętnie na to przystałam. Po wizycie u ordynatora wyszłam z przepisaną mi fototerapią i musiałam obiecać, że będę biegać każdego dnia, jak wcześniej sama się deklarowałam. Zachęcał mnie też do nauki treningu autogennego, żeby samej wchodzić

w stan relaksu. Jednak nic nie powiedział mi o rozmowach z psychologiem, więc nieco się zdziwiłam, kiedy dziewczątka znacznie młodsze ode mnie poprosiło mnie na rozmowę.

- Siadaj Rózo - wskazała mi wygodnie wyglądający fotel - tu wszyscy mówimy sobie po imieniu.

Siadłam, fotel nie był wygodny. Miałam wrażenie, że u dentysty czułabym się bardziej komfortowo. Zgodziłabym się nawet na leczenie kanałowe. Kiedy już wypytała mnie o sprawy zwyczajowe, spytała o przyczynę mojej tu bytności. Pewnie dlatego nie wypytywał

0 to ordynator.

- Będiesz się może śmiać - zawiesiłam głos, bo trudno przyznać się do słabości, a do takiej, która cię paraliżuje, tym bardziej - ale trochę boję się kwiatów, no

1 odrobinę zawiodły mnie nerwy - wyrzuciłam z siebie to wyznanie jednym tchem. Po co ma godzinami przesłuchań wydobywać to ze mnie, przecież w końcu i tak bym jej powiedziała. Im szybciej się dowie, tym prędzej będę miała święty spokój. Po to tu przyjechałam.

- Nigdy nie śmieję się z problemów innych ludzi. Sama też je mam, jak każdy - bawiła się metalową zakładką do książki. - I nie chciałabym, żeby ktoś robił sobie z nich żarty - siedziała w fotelu obok, nie zmuszając mnie do patrzenia na siebie. - To antofobia.

- Tak, wiem - przytaknęłam. Wuj Johan wytłumaczył mi to bardzo dokładnie, kiedy z przerażeniem spostrzegłam, że przestałam lubić kwiaty, potem zaczęłam się nimi brzydzić, a potem nawet bać. Oj, nagimnastykował się przy tym.

- Od dawna cię to męczy? - spojrzała na mnie. -Zawsze tak było?

- Nie. Nie wiem dokładnie, kiedy to się zaczęło i nie wiem, dlaczego - bo i rzeczywiście nie uchwyciłam tego

momentu w swoim życiu... przynajmniej nie tak dokładnie. I dotąd nie próbowałam sobie tego uzmysławiać, bo ten okres w moim życiu wydawał mi się zamazany. Długie lata starałam się go wyprzeć z pamięci, wielu forteli wuj Johan użył, żebym wyzwoliła się spod jarzma przykrych wspomnień, więc niechętnie do nich wracałam.

- Mówiłaś, że masz siostrę - próbowała zmienić temat. - Młodszą czy starszą?

- Starszą... o piętnaście minut. To moja bliźniaczka - dokończyłam z głębokim westchnieniem, bo jeśli chciała zmienić temat na pogodniejszy, to trafiła jak kulą w płot.

- Serio? - ożywiła się. - Chyba fajnie mieć siostrę bliźniaczkę? Jesteście do siebie podobne?

- Tylko z wyglądu - znów westchnęłam. - Jak dwie krople wody - o płatkach śniegu nie wspomniałam.

- To chyba miałyście wiele śmiesznych sytuacji? Opowiesz mi coś?

- Nie pamiętam - próbowałam się wykręcić. Czyżby nie zauważyła, że nie jest to mój ulubiony temat. - Wiele lat mieszkałam za granicą i w dorosłym życiu nie miałyśmy już dobrego kontaktu. A właściwie... żadnego.

- A w dzieciństwie? - nie ustępowała, a ja milczałam. Nie zrozumiała najwidoczniej, że nie chcę o niej mówić. - Jak ma na imię twoja siostra?

- Lilia.

- O, też tak kwiatowo - próbowała żartować.

- No właśnie - posmutniałam.

Przez kolejne kilka minut milczałam jak zaklęta, a ona nie wyciągała ze mnie już niczego więcej. Ja spoglądałam w okno, psycholożka bawiła się zakładką. I tak się zakończyła nasza pierwsza rozmowa. Miałam nadzieję, że ostatnia. Myliłam się. Przy każdym przejściu przez korytarz próbowałam unikać drzwi psychologa, nie chciałam

rzucać się jej w oczy i łudziłam się, że to zadziała. W ściganiu po korytarzach była dużo lepsza od Magdy.

*

Fototerapia bardzo mi się podobała. Nic skomplikowanego, siedziałam przed lampami w ciepélku i przez pół godziny bujałam w obłokach. Mogłabym bujać, ale zanim zacznę, pewnie przyjdzie mi tu spędzić wiele seansów. Nikt się mnie nie czepiał i niczego ode mnie nie chciał. Choć właściwie wolałabym siedzieć na słoneczku z książką w rękę i popijać kawkę. Lubiłam to robić w Innsbrucku, gdzie spokojnie żyłam z ciocią Urszulą i jej mężem. Kiedy tato mnie do nich zawiózł, byłam tak zakręcona, że nie wiedziałam, co się wokół dzieje. I właściwie było mi to zupełnie obojętne. Ale chwile spędzane na słonecznym balkonie z tyłu kamienicy czy w wiejskim domu wujostwa, z kawką i ciocią Ulą u boku, zawsze dobrze mi się kojarzyły. Mieszkałam w małym mansardowym mieszkanku na starówce Innsbrucka, tuż nad mieszkaniem wujostwa. Na dole miałam małą galerię biżuterii własnego autorstwa. To zajęcie wymyślił mi wuj Johan, psychiatra i przyjaciel mojego ojca. Musiałam się czymś zająć i zacząć zupełnie nowe życie, żeby w ogóle móc żyć. Wpadł na to, kiedy już doszłam nieco do siebie i zaczęłam naprawiać starą ciociną biżuterię, a miała jej mnóstwo.

- Róża, może zajęłabyś się tym bardziej poważnie - zaproponował pewnego ranka przy śniadaniu, które zawsze jedliśmy we troje.

- To znaczy?

Zwalnia się ten mały lokal od ulicy, świetne miejsce na galerię i na razie nie mamy żadnych ofert na wynajem.

Wuj nie musiał nikomu wynajmować lokali, bo żyli bardzo dostatnio z jego pensji w szpitalu i prywatnej

praktyki. Ciocia Ula miała zawsze wszystko co najlepsze, pewnie w ten sposób chciał jej zadośćuczynić brak dziecka. Teraz ja byłam ich dzieckiem, dorosłym, ale wymagającym troskliwej opieki. Ulica, przy której z nimi mieszkałam, pełna była małych galerii sztuki i sklepików z pamiątkami. W końcu to najładniejsza część miasta. Często wałęsałam się po urokliwych uliczkach, zaglądałam do galerii i siadywałam w kawiarenkach. Sama. Weekendy często spędzaliśmy w domu wujostwa w Telfes, gdzie zwykle jechałam tylko z ciocią, bo wujek był zapracowanym i wziętym psychiatrą. Wuj zadowolony był z tego rozwiązania, a ja szczęśliwa, że mogę z nią pobyc z dala od ludzi przewijających się przez przepiękną starówkę naszego miasta. Uliczka pełna była restauracji i kawiarni, stoisk z alpejskimi pamiątkami - zawsze spacerowały tu tabuny turystów. Ucieczka na wieś cieszyła mnie za każdym razem. Dobrze mi było z wujostwem.

- Myślisz, wujku?

- Oj dziecko, to świetny pomysł - ciocia natychmiast go podchwyciła.

- Będę ci pomagać.

- Właściwie, możemy spróbować - uśmiechnęłam się do tej myśli. W końcu skończyłam ekonomię, więc z księgowością małej firmy z pewnością sobie poradzę, zresztą prowadziłam już rozliczenia wujka Johana, a sztukę mam we krwi. Byłam jednak pewna, że bardziej chodziło wujkowi o działanie terapeutyczne tego przedsięwzięcia niż o pustostan. A jak się potem okazało, terapia podziałała nie tylko na mnie. Ciocia Ula znalazła swoją pasję, a możliwość częstszego przebywania pomiędzy ludźmi sprawiła, że zniknęły jej melancholijne nastroje. I tak zaczęłyśmy z ciocią Urszulą własny interes. I nawet nieźle nam szło. Miała być to zabawa, jednak pomysł okazał się intratnym zajęciem. Każdego popołudnia, kiedy już posprzątałyśmy po obiedzie, schodziłyśmy do gale-

rii i świetnie się tam bawiłyśmy aż do wieczora. To był tylko nasz interes i nie musiałyśmy przestrzegać żadnych sztywnych ram czasowych. Jednak z upływem czasu dołączyła do nas młoda dziewczyna, Gertruda, która w ten sposób dorabiała do studiów artystycznych. To było życie, o jakim wcześniej nie marzyłam, bo nie wiedziałam, że los może mnie wyrzucić poza krąg rodziny i mojego kraju. Ale okazało się, że czasem trzeba rewidować własne marzenia i zmieniać je podług losu. Ta zmiana okazała się dla mnie wysoce terapeutyczna.

Siedzę teraz na fototerapii i myślę, jak radzi sobie Gerta w naszej galerii. Czy złożyła zamówienie na kamienie, które wcześniej razem wybierałyśmy? Czy wystarczy jej dodatków ze srebra? Czy wreszcie zacznie swój nowy projekt metaloplastyki? Jak idzie jej malowanie, nowa pasja? Czy ciocia Ula radzi sobie sama z domem i galerią? Choć za bardzo się tym nie przejmuję. Aż tak bardzo teraz mnie to nie interesuje, a one poradzą sobie beze mnie. Nawet ciocia Ula. Teraz muszę zająć się sobą, bo świat ponownie zawalił mi się na głowę.

Na porannym zebraniu pacjentów i personelu medycznego wyznaczony pracuś, czyli pacjent organizujący „pracoterapię”, układał grafik odpowiedzialnych za opiekę nad papużkami. Kilka par oczu zwróciło się na mnie, nie miałam dotąd przydzielonego żadnego zadania. I nie do końca wiedziałam, co mogłabym robić.

- Może nowo przybyła Róża zajmie się naszymi papużkami? - spytał Zbyszek pracuś.

- Koniecznie? Mam alergię na kurz - broniłam się. Nie była to do końca prawda, ale nie widziałam siebie w roli opiekuna ptaszarni.

- Ja się nimi zajmę - to młody chłopak, Marek, który tak często zagadywał do jednej z nich. Zbyszek

spojrzał nerwowo na ordynatora, a ten uśmiechnął się przychylnie.

- Dobrze, Marku - zgodził się więc pracuś - to prace mamy już podzielone. Panów proszę jeszcze o pomoc w odgarnięciu śniegu, który zupełnie zasypał nam ścieżki do bramy.

- A palmiarnia? - rozległo się z drugiego rzędu. -Dziś wyjeżdża Halinka.

- Przepraszam, jeszcze palmiarnia. To może jednak ty Rózo? - zwrócił się do mnie i teraz dopiero wpadłam w panikę. Mam wejść do paszczy lwa? To już może lepiej było zgodzić się na opiekę nad inwentarzem? Też mogłabym z nimi czasami pogadać. Ale palmiarnia? Jednak przypomniałam sobie, że nie widziałam tam żadnych kwitnących roślin.

- Tak, oczywiście - zgodziłam się, nie mówiąc, że na kwiaty to dopiero mam alergię. Ale nie chciałam publicznie przyznawać się do swojej fobii. Jeszcze nie teraz. Do szklarni firmy rodziców nie wchodzę po przykrym ataku paniki po powrocie z Innsbrucka, choć kiedyś spędzałam tam długie godziny. I tak zostałam opiekunem palmiarni, miejsca, które chciałam oglądać jak najrzadziej. Przypomniał mi się zaraz fragment tekstu ze ściany:

Ciesz się zarówno swoimi osiągnięciami, jak i planami. Wykonuj z sercem swoją pracę, jakkolwiek byłaby skromna. Jest ona trwałą wartością w zmiennych kolejach losu. Zachowaj ostrożność w swoich przedsięwzięciach - świat bowiem pełen jest oszustwa. Niech ci to nie przysłania prawdziwej cnoty, wielu ludzi dąży do wzniosłych ideałów i wszędzie życie pełne jest heroizmu.

Moje zadanie nie było trudne. Choć biorąc pod uwagę męczącą mnie fobię, można by spokojnie mówić o heroizmie. Jest zima, więc z podlewaniem nie będę przesadzać. A tylko to kazano mi robić. Poradzę sobie.

W końcu juka mnie nie poźre... zresztą jej się nie boję, Teraz nie kwitnie.

Dni odliczałam codzienną przebieżką. Kiedy przebiegłam swoje kilometry, mogłam już odhaczyć zaliczony dzień. Do ogrodu zimowego nie musiałam chodzić za często, więc stres mnie nie osłabiał. Ale znów dopadła mnie psycholog.

- Róžo, wejdiesz do mnie? - znalazła mnie na korytarzu koło jadalni.

- A muszę? - mało zdecydowanie, ale jednak próbowałam się bronić.

- Pogadałabym. Wpadnij na trochę - uśmiechała się miło i nie miałam siły się wymigiwać. Poszłam. Nie lubię tego jej fotela, ale w końcu jest tu po to, żeby mi pomóc. Ona, nie fotel. A bardzo potrzebowałam pomocy. Szkoda, że nie mogłam wrócić do Innsbrucka, wujek polecił mi lekarza i radził zastanowić się przez pewien czas nad testamentem rodziców. Sama chciałam natychmiast skapitulować, wujek jednakże prosił, żebym choć raz postawiła na swoim i spróbowała stawić czoła losowi. Choć jestem przekonana, że nie tyle myślał o losie, co o mojej siostrze. Trochę odczekam, może sytuacja sama się rozwiąże.

- Słyszałam, że podjęłaś się opieki nad naszym ogrodem zimowym? - zagadnęła. - Skaczesz na głęboką wodę.

- Raczej mnie wepchnięto... i obawiam się, że nie miałam wyjścia. I przez alergię na kurz wpadłam w jeszcze większe bagno - westchnęłam - ale poradzę sobie. Już tam zaglądałam, nie ma żadnych kwitnących roślin.

- Tylko tych nie lubisz? - próbowała mnie podejść.

- Chyba tak.

- Jest jakiś kwiat, który cię szczególnie przeraża?

Zaczęłam się zastanawiać. Czy jest jakiś szczególny kwiat? Lilia. Nie cierpię lilii i ich intensywnego zapachu. .. choć kiedyś za nim przepadałam. Ale tego jeszcze jej nie zdradzę. Nic więcej nie musiałabym jej mówić.

- Pachnących. Choć właściwie nie tylko - zamyśliłam się nieco. - Generalnie nie lubię roślin kwitnących. Rodzice mieli wielkie ogrodnictwo i uprawiali głównie kwiaty cięte. Potem wprowadzono nieco zmian i jak wróciłam do kraju, zastałam ogrodnictwo nieco zmienione - próbowałam podwinąć nogę pod siebie, bo fotel nie należał do wygodnych, a może po prostu chciałam tym odwrócić uwagę od tego, co mówię. - Ale tak musiało być, rynek tego wymagał.

- Znasz się na tym?

- Jestem w końcu córką ogrodników i ekonomistą. Niektóre zmiany rynek wymusza - rozłożyłam ręce. -W Austrii zachwyciły mnie wylewające się ze skrzyń kwiaty - zupełnie nie wiem, jak zaczęłam jej opowiadać o mojej fascynacji pięknem alpejskich balkonów i okien. - Pięknie dobrane kolorystycznie i gatunkowo. Różowe pelargonie z białymi bakopami, żółte złotokapy z fioletowymi surfiniami. Tego jeszcze w Polsce nie widziałam. Napawałam się tymi widokami, szczególnie wtedy, gdy jechałam z ciocią do domu w górach - przymknęłam oczy i przypomniało mi się pierwsze wrażenie, kiedy wysiedliśmy z auta przy przydrożnej restauracji i urzekły mnie kaskady kwiatów zwisających niemal z każdego okna i balkonu. - Te piękne fasady domów z malowanymi ozdobnymi wzorami wokół okien i kwiaty, mnóstwo kwiatów. Jednak wołałam na nie patrzeć, nie ciągnęło mnie do ich uprawy. Może wtedy to się zaczęło?

- Co robiłaś w Innsbrucku?

Siedziałam w tym jej fotelu zwierzeń i dziwiłam się, że coraz łatwiej mówiłam o sobie. A nie lubiłam tego

robić. Zanim powiedziałam wujowi Johanowi to, co i tak wiedział od taty, zeszło nam kilka miesięcy. Wuj nie pytał, przecież doskonale znał mój dramat, jak zresztą cała rodzina. Czekał. Wreszcie przyszedł moment, że wszystko mu powiedziałam. Nie krył żalu nad moim życiem, choć chyba było to mało profesjonalne.

- Ostatni semestr studiów kończyłam w Wiedniu, na wymianie studenckiej. Dobrze znałam język i austriacką codzienność - mówiłam z coraz mniejszym entuzjazmem i widziałam, że zaczęła to wyczuwać.

- I zdecydowałaś się nie wracać do kraju - dokończyła za mnie, mając nadzieję, że sprowokuje mnie do sprostowania.

- No właśnie - wykręciłam się.

Nie dałam się podejść, a nie miałam siły mówić niczego więcej. Dość już wie. Wołałam w ten sposób zakończyć dzisiejszą sesję, bo fotel coraz bardziej uciskał mnie w kręgosłup. A może to mojej duszy nie było wygodnie siedzieć w rozłożystym krzasiastym fotelu. Nie powiedziałam jej nic więcej, znów się zawiesiłam.

Biegłam moją ulubioną trasą wzdłuż wałów jeziora i potem ośnieżoną leśną ścieżką. Nagie drzewa odbijały się od białego tła surową czernią i grafitem. Żadnej zieleni i zbędnych kolorów. Biel mnie uspokajała. Czułam się bezpiecznie otulona przed życiem z zewnątrz śnieżną okrywą, jak młode rośliny przed przymrozkami otulane są włókniną. Wiedziałam, że tutaj nic zaskakującego mnie nie spotka. Nie do końca miałam rację. Kiedy podbiegłam pod pałac, kończąc mój codzienny rytuał na śniegu, na podjeździe stało auto mojej siostry. Przeraziłam się okropnie. Jeszcze i tu przyjechała mnie dręczyć? Czego chce ode mnie? Może liczy na to, że zrezygnuję z części

należnego mi spadku? Wuj Johan kategorycznie mi tego zabronił. Już dawno uczynił mnie spadkobiercą ich całego majątku, ale nie pozwolił mi poddawać się szantażom Lili. Ja za to zdeklarowałam się opiekować wujostwem, kiedy będą potrzebować opieki. Nie musieliśmy tego nigdzie zapisywać, bo kochałam ich prawie jak rodziców, a tych niedawno straciłam po raz drugi. Bałam się spotkania z siostrą, bo nie wierzyłam w jej dobre intencje. Może dlatego nie odwozila mnie od pomysłu ze szpitalem neuropsychiatrycznym. .. może miała w tym jakiś cel? W jej przypadku wszystko jest możliwe.

W holu jednak nie zastałam Lili tylko Maurycego, jej i Jacka syna. Nie znałam mojego siostrzeńca i miałam powody czuć do niego niechęć, ale nie potrafiłam. Ze sposobu zachowania był podobny do mojego ojca, zrównoważony, nad wiek poważny i dziwnie dla mnie miły. Przecież on też mnie nie znał. Więc dlaczego? Patrzył teraz na mnie szarymi oczami mojego taty i poprawiał p nienagannie przystrzyżone ciemne włosy. Wysoki, przystojny, z wyglądu podobny do swojego ojca. Ile jeszcze będę musiała znieść?

- Cześć ciociu! - przywitał mnie z uśmiechem. - Nie gniewasz się, że przyjechałam?

- Nie, dlaczego? - byłam bardziej zdziwiona niż rozgniewana. - Co się stało?

- Nie - wzruszył ramionami. - Chciałem cię odwiedzić - podszedł do mnie i bardzo niezdecydowanie objął. Stałam jak skała, a on wyczuł to i szybko mnie puścił. - Nie miałem pojęcia, że jest tu tak pięknie - zmieszany moim chłodnym przyjęciem zaczął rozglądać się po holu, wciskając ręce w kieszenie kurtki. - Pięknie zachowane wnętrza.

- Tak - przytaknęłam i natychmiast pożałowałam, że tak zareagowałam. - Najbardziej lubię miejsce przed witrażem. Chodź, pokażę ci - chciałam się zrehabilitować.

Weszliśmy szerokimi schodami na półpiętro i pociągnęłam go za rękaw, żeby siadł ze mną na ławce płaczu. Siadł posłusznie. Czułam, że sam nie wiedział, po co do mnie przyjechał. A może się myliłam?

- Rzeczywiście, piękny. Z zewnątrz nie wygląda tak imponująco - patrzył z takim samym zachwytem jak ja. - To kasztanowiec.

- Tak? - spojrzałam zdziwiona na niego, potem na witraż i zaczęłam zwracać uwagę na szczegóły. Jak mogłam je przegapić? Dopiero teraz dostrzegłam palczaste liście i wzniesione, różowo kwitnące kiście kwiatów kasztanowca. Te same, które w pierwszej chwili wzięłam za gruszki w dziwnym kolorze.

- Masz rację. A ja myślałam, że to grusza - przyznałam się do pomyłki i oboje się zaśmialiśmy. Chyba pierwszy raz od długiego czasu. Posiedziałam z nim na ławce, potem oprowadziłam po pałacu. Nie ukrywał zachwyty starymi meblami, pięknymi sufitami i secesyjnymi wykończeniami.

- Ciociu, nie potrzebujesz czegoś? Może mam ci coś przywieźć? - spytał z troską w głosie. - Nie masz tu innej rodziny, myślałem więc...

- Po to przyjechałeś? - zapytałam wprost.

- Chciałem sprawdzić, jak się tu czujesz i czy czegoś ci nie brakuje - wzruszył ramionami, jakby jego troska była oczywista.

- Nie, Maurycy - spojrzałam na niego i zobaczyłam w jego oczach tę troskę i bezradność, jaką widziałam w oczach mojego ojca, kiedy wiozł mnie do wuja Johana. - Wszystko gra. Powoli przyzwyczajam się do tego miejsca i niczego mi tu nie brakuje. Nie martw się o mnie, poradzę sobie.

- Wiem, ciociu - pogłaskał mnie po ramieniu i dodał ciszej: - Ale ja sobie nie radzę.

Nie rozumiałam wtedy, co miał na myśli. Z czym sobie nie radzi? Niewiele o nim wiem, ale przecież był kochanym synem, ułożonym chłopakiem, dobrym studentem i przystojnym facetem. Skąd ten smutek w jego głosie? Jakie troski miał ten młody człowiek? Jakie problemy mogą mieć młodzi, piękni i bogaci? Może dziewczyna? Ale jak ja mu pomogę?

- Mogę ci pomóc? - spytałam, błędząc po omacku.

- Pewnie tak, ale jeszcze nie teraz - westchnął. - Zgódź się tylko, żebym mógł do ciebie czasem przyjechać -jego oczy czekały na przyzwolenie.

- Jasne - przecież nikt więcej mnie tu nie odwiedzi. Lilia nie pokaże się w takim miejscu, Jacek z całą pewnością nie pokaże mi się na oczy, a Natalii sama nie chcę widzieć. Za bardzo przypomina mi Lilię. - Jeśli to dla ciebie ważne... ja będę się cieszyła.

Wyraźnie odetchnął z ulgą, a ja nie wiedziałam, co mam o tym myśleć. Kiedy wreszcie pojechał, jeszcze bardzo długo myślałam, co go tu przywiodło. Bo na pewno nie troska mojej siostry. No, chyba że przyjechał, żeby sprawdzić, czy może już zwariowałam do końca. Pewnie byłoby jej to na rękę. Ale nie tym razem... siostrzyczko!

*

Nigdy nie sądziłam, że muzyka może tak bardzo ranić. I to miała być muzykoterapia? Jaka terapia? Wuj Johan kazał mi słuchać wyciszającej muzyki relaksacyjnej i tak przywykłam to jej dźwięków, że zawsze przed snem włączałam płytę. Usypiałam przy dźwiękach plumkania strumieni, szumu fal lekko obmywających piaszczystą plażę i dźwięków cichej muzyki fortepianu czy łkania skrzypiec. A tu taki szok! Myślałam, że to mnie uzdrowi, a nie wywoła niepokój duszy, że aż ciało

będzie mnie boleć. Zupełnie nieświadoma siadłam w fotelu i wysłuchałam krótkiego wykładu o muzykoterapii. Miał składać się z trzech części muzyki instrumentalnej, w trakcie słuchania której miałam wejrzeć w siebie i poczuć siebie. Cokolwiek to miało oznaczać. Na koniec terapii każdy mógł powiedzieć, co czuł, każdy miał też okazję wyrazić jednym słowem swój stan emocjonalny albo podać kolor, który w tej chwili wyraża stan jego duszy. Wydawało mi się to łatwe.

- Różo, jesteś gotowa? - psycholożka spojrzała specjalnie na mnie. Tylko ja w grupie byłam tu po raz pierwszy. Skąd ta troska? Czy coś mi tu grozi? Przecież muzyka nie zabija, więc o co chodzi?

- Chyba tak - wzruszyłam ramionami nieświadoma zagrożenia.

- Jest to spotkanie z samym sobą. Usłyszysz muzykę, wejrzyj w siebie i poczuj siebie - tymi słowami Agata wprowadzała nas w gotowość do słuchania i odczuwania. Pacjenci wygodnie mościli się w lekko bujanych fotelach, głowy poopierali na zagłówkach i wszyscy przymknęli oczy. Poszłam za ich przykładem, bo chyba wiedzą, co robią.

Rozległy się pierwsze dźwięki muzyki. Przyjemna. Podobna do tej, którą polecał mi wujek. Szum morza i delikatne tony fortepianu. Przypomniałam sobie wakacje nad morzem, kiedy zwykle wyszukiwałam dziką plażę i przesiadywałam tam samotnie z książką w rękę. Były to momenty, które gnały mnie do ojczyzny, ale nie do domu. To już nie był mój dom. Ale z piaszczystych plaż Bałtyku nie potrafiłam zrezygnować. Przyjeżdżałam wtedy do kraju sama albo z ciocią Ulą, która też tęskniła za ojczyzną. Ona odwiedzała przy okazji rodzinę, ja już wtedy jej nie miałam. Czułam się samotna i opuszczona, jednak nie szukałam kontaktu z krew-

nymi. Teraz wujostwo byli moją najbliższą rodziną. Muzyka była bardzo przyjemna, czułam pod stopami ciepło piasku, słyszałam jego chrzęst, kiedy wierciłam się na rozłożonym ręczniku i czułam muskanie słońca. Nie było tak źle. Druga część bardzo mnie zaskoczyła. Nie widziałam reakcji innych, oczy miałam zamknięte. Ale coś niepokojącego zaczęło dziać się w moim sercu. Niepokój narastał z każdą chwilą. Groźne dźwięki rozdzierały mi umysł i wywlekały na wierzch uczucia, które już dawno wyparłam. Wrócił ból, jaki zadała mi moja siostra, i nie chciał odejść. Poczułam się osamotniona i osaczona, oszukana i porzucona. Nie chcę znów tego czuć. Dlaczego ona nam to robi? Bałam się podnieść powieki, żeby to, co czuję, nie okazało się jawą.

Cichną powoli groźne dźwięki, ale serce łka i boli. Zaczyna się trzecia część terapii... podobna do drugiej. Boże mój... dlaczego? Po co wywlekać to, co już zabliznione, po co znów przeżywać ból jak po oderwaniu plastra przyschniętego do rany. Ciekawe, czy mogę stąd wyjść? Rozpaczliwie pragnęłam podnieść się z bujającego się fotela i uciec od dźwięków. Na szczęście tony rozdzierającej serce muzyki łagodnieją i przestaję czuć tę głęboką rozpacz. Zaczynam mieć nadzieję, że wrócę kiedyś do życia, że życie poczeka na mnie, że nie zostawi mnie na zawsze w tym pałacu smutku. Cichnie muzyka... chwila ciszy. Nie otwieram oczu, nie chcę widzieć, co dzieje się na zewnątrz.

- Jakie odczucia? - po chwili cicho pyta psycholożka.

Podnoszę jednak powieki i widzę, jak dziewczyna zajmująca fotel naprzeciwko siedzi z podkulonymi nogami i łka, ukrywając twarz pod splecionymi na głowie ramionami. Tylko plecy lekko jej drżą. Więc jednak można płakać? Nie tylko ja poczułam głęboką rozpacz? Co spotkało tę dziewczynę, że muzyka wyzwoliła w niej tak gwałtowną reakcję? Może nie tylko ja tak bardzo cier-

pię? Rozejrzałam się dyskretnie po twarzach pacjentów. Niektórzy pogrążeni jeszcze w myślach, inni dziwnie zrelaksowani... jakby właśnie wybudzili się z krzepiącej drzemki.

- Nie chcę dziś mówić - smutno odzywa się moja sąsiadka.

- Jeśli nie muszę, to ja też nie - podchwyciłam natychmiast jej pomysł. Agata uprzedzała, że wszystko co usłyszymy w tym pokoju, zostaje w tym pokoju. Jesteśmy swoistą grupą wsparcia i wolno nam dyskutować na zewnątrz o problemach innych. Ale kto by chciał omawiać cudze smutki? Nie chciałam zabierać głosu tylko po to, żeby coś powiedzieć, a nie byłam gotowa mówić o tym, co czułam, co strasznego mnie w życiu spotkało, że musiałam odizolować się od ludzi i uciec od życia, by móc do niego kiedyś powrócić. Jeszcze nie teraz.

*

Jakie to szczęście, że współlokatorki to wesołe kobiety. Ciągłe coś robimy lub o czymś gadamy, siedząc nad stołem pełnym przegryzek. Inicjatorką jest zwykle Madzia, która zdawałoby się nie potrafi rozmawiać bez chrupania czegoś i przeglądania kolorowego tygodnika. I im więcej w nim obrazków, tym dłużej ślęczy nad gazetą. Mam wrażenie, że więcej mogłaby powiedzieć o jakiejś celebrytce niż o najlepszej przyjaciółce, ale każdy ma jakieś hobby. Ostatnio uwielbiamy rozmawiać o sąsiadkach zza ściany, zwłaszcza że dziś będzie potańcówka. Obstawiamy ich kreacje i dyskutujemy o naszych. No, może niekoniecznie mojej... niewiele mam do wyboru.

- Co ja dziś włożę? - zastanawiała się Zosia, stojąc przed otwartą szafą.

- A co jeszcze masz? - zainteresowała się Magda.

Zośka odsunęła się od szafy i moim oczom ukazały się stosy ułożonych równo ciuchów. Równy nie zawsze znaczy równo. To równo, które ujrzałam, poważnie mnie zaniepokoiło.

- Boże mój, Zosiu, czy te rzeczy składasz z linijką?

- nie mogłam oprzeć się tej uwadze.

- A co? - zdziwiła się i spojrzała na mnie wielkimi niebieskimi oczami. Drobną blondynką z pofalowanymi długimi włosami, przepięknie podkreślała swoje długie rzęsy, nienagannie je tuszując. Spod takich rzęs rzuciła powłóczyście smutne spojrzenia i pochylała przy tym głowę, uwodząc każdego. Nawet mnie. Zosia może iść na potańcówkę nawet w dresie. Wie, jakie wrażenie robi na mężczyznach i chyba wie, jak to wykorzystać.

- Nigdy jeszcze nie widziałam tak równo ułożonych ubrań.

- Widzisz, mówiłam, że powinnaś się leczyć. -Renata poderwała się z łóżka i zawołała triumfalnie.

- Wciąż ci to powtarzam - i wszystkie zaczęły się śmiać. Ja razem z nimi.

Z czasem dowiedziałam się, że psychikę Zośki zwichrował ojciec alkoholik, który, nie szczędząc razów matce i rodzeństwu, faworyzował najmłodszą córkę. Teraz równie apodyktyczne starsze rodzeństwo odgrywa się na Zosi. Niezauważana przez rodzinę do czasu, gdy nie zrobi czegoś źle. Wtedy zawsze obrywała od siostry i brata i wysłuchiwała, jaka to jest beznadziejna. Nie pozwalała innym tak myśleć o sobie. Z miną kobiety znającej swoją wartość wkraczała do holu czy do sali balowej. Nie potrafiła Jednak takiej postawy zaprezentować rodzeństwu. W szpitalu odwiedzała ją mama i przywoziła olbrzymie zapasy smakołyków. Zosia przechowywała je na zimnym oknie, bo wspólna dla wszystkich lodówka wciąż nawiedzana była przez nieobecnego myślami Mar-

ka. Wyjadał wszystko, na co tylko przyszła mu ochota, i nie przejmował się. Żył we własnym świecie i nie zwracał uwagi na narzekanie innych. Zupełnie zapomniałam, że dziś walentynki i ordynator z tego powodu dał zgodę na pięciogodzinną zabawę. Zosia i Magda cieszyły się jak małe dziewczynki na koloniach letnich. Wszystkie trzy szykowały się i cały czas podpuszczały Magdę.

- Jak ty sieroto dziś się nie ruszysz, to ci tego absztyfikanta przyprowadzimy na siłę - Zosia odgrażała się ze śmiechem.

- Jakoś nie mam odwagi - Magda siadła ciężko na krześle.

- Pomyślałby kto - prychnęła - chodząca niewinność - wyrwało się nieskrępowanej Renacie. - Babo! Na co ty jeszcze czekasz? Aż pomarszczysz się jak śliwka i nikt cię już nie będzie chciał? Zakręć się trochę, zainteresuj sobą, niech szuka cię w tłumie wzrokiem... - patrzyłyśmy na Renatę, która zaczęła się nakręcać i demonstrować nam owo szukanie wzrokiem.

- O matko... westchnęła.

- Ceń się kobieto, myśl o sobie jak o królowej. Tyle jesteś warta, ile sama byś za siebie dała.

- Tylko jak mam to zrobić?

- Magda, ile ty masz lat? Nie wiesz jak? - Rena miała oburzoną minę.

- Nie załamuj mnie - ciężko opadła na łóżko. - Przecież to takie proste. Zawsze kiedy go zobaczysz, lekko unieś brwi... to znak dla faceta, że go lubisz i zależy ci na jego sympatii. No i że jesteś zainteresowana.

- I on to będzie wiedział? - zdziwiła się nieco Magda.

- Każdy to wie... podświadomie - tłumaczyła. -A potem go zlekceważ.

Teraz ja się zdziwiłam. Renata bardzo swobodnie udzielała rad nam wszystkim. Ciekawie się jej przyglądałyśmy.

- I ma się zawsze tak rozdziwiać na jego widok? - Zosia patrzyła rozbawiona na Magdę, która stała z uniesionymi brwiami i wyglądała, jakby zobaczyła kosmitę.

- Jezu, Magda! Nie aż tak - Rena tak się wystraszyła, że poderwała się z łóżka. - Tak to wszystkich wystraszysz.

- No - przytaknęła Zosia - i wyglądasz jak... rozdziaw jakiś.

Znów usłyszałam nieznane mi określenie, które jednak do Madzi pasowało teraz jak ulał. Trudno bowiem nadać nazwę takiej minie.

- Czekaj, może inaczej - Renata odetchnęła głęboko. - Jak wejdziemy na salę, to spróbuj złapać z nim kontakt wzrokowy i utrzymaj go przez jakieś trzy sekundy. Potem opuść wzrok - demonstrowała zainteresowanej bardzo obrazowo, bo przeszła do drzwi i tłumaczyła jej krok po kroku. - Zrób tak ze trzy albo cztery razy.

- Dlaczego aż tyle? - sama się zainteresowałam. Pomyślałam nawet, że robiąc to wielokrotnie, narazi się na miano... wariatki.

- Bo faceci to raczej tępe stworzenia są - machnęła ręką z rezygnacją Zosia, a Rena uśmiechała się z aprobatą. - Nie połapią się tak szybko.

- I to pomoże? - Magda nabierała ochoty na uwodzenie. Stała przed lustrem i dziwiła się do swojego odbicia.

- Powinno - Rena mruknęła, wzruszając ramionami. - Choć pewniejsze byłoby, gdybyś po prostu podeszła i powiedziała mu, że ci się podoba.

- No wiesz! - obruszyła się.

- No wiem, wiem — westchnęła. - To metoda nie dla ciebie i ta druga też nie.

- Która? - podchwyciłam, bo już się w tych radach z lekka pogubiłam. Renata spojrzała na nas poważnie, siadła na krześle i wzięła głęboki wdech.

- Dziewczyny - zaczęła swój wykład - jeśli już musicie, to polowanie na faceta powinnyście tak zaplanować, żeby ofiara nie domyśliła się, w jakiej roli występuje. Ma mieć przeświadczenie, że sama poluje.

- Ona, to znaczy ta ofiara, tak? - Madzia lekko nie nadażała.

- Konkretnie... facet, Madzia - uściśliła zniecierpliwiona Zosia. -
Mów dalej.

- Aha - Magda nieco uspokojona znów spoglądała w lustro i wcale nie stroiła przy tym min. Chyba podobało jej się to, co w nim widzi. Najważniejsze to być z siebie zadowolona. To podstawa do podjęcia właściwej terapii.

- Nie można gonić za facetem i zaraz potem oferować mu, co mamy najlepszego. To właśnie wywołuje u nich odruch ucieczki. Głupie są te, co to na pierwszym domowym spotkaniu wyskakują z kolacją z trzech dań i deserem - pokręciła się zalotnie na krześle i już nie musiała tłumaczyć, jaki deser ma na myśli.

- Dlaczego? - Magda poważnie wzięła szkolenie z zakresu uwodzenia.

- Bo takie zachowanie sugeruje, że kobieta ma kompleksy, że ma o sobie samej niskie mniemanie - kontynuowała wykład Rena. - Jeśli jest skłonna tak z marszu nadskakiwać niemal obcemu gościowi, to może oznaczać tylko dwie rzeczy. Albo jest zdesperowana, albo już drepcze w miejscu, żeby wskoczyć mu do łóżka.

- Albo jedno i drugie - dołożyłam swoje trzy grosze.

- No, właśnie. A gonienie go w seksownej bieliźnie nic tu nie pomoże. Najpierw cię przeleci, później zje kolację, a potem i tak da nogę.

- No masz. To już wiem, w którym miejscu robiłam błąd - sapnęła Madzia. - To co ja dzisiaj mam robić? Przecież to czysta desperacja i dodatkowo będzie mi głupio. Ta jego... - bezskutecznie szukała odpowiednie-

go słowa - dopiero co wyjechała - nadal się krygowała. Stała jednak przed lustrem i przybierała pozy. Nie wiedziałam, czy teraz podoba się jej to, co widzi w srebrnej tafli, czy dziwi się na ten widok, bo brwi wciąż miała uniesione.

- No i całe szczęście. Teraz czas na ciebie, tylko rozegraj to z głową - Zosia wyraźnie się ożywiła. - Przecież to samotny facet, niezaklepany. Idź, poliz i będzie twój.

- Poliz? - aż podskoczyłam na taką radę.

- No. Zośka zawsze na stołówce liże ostatnią kromkę chleba i nikt jej go nie ruszy. Nie wiedziałeś? Przecież to wariatka - Magda zachichotała.

- Oj, nie zawsze, tylko raz się zdarzyło - powiedziała skruszona. - Może mało apetyczne, ale skuteczne

- zakończyła rozmowę Zosia z szerokim uśmiechem.

- I nie tylko na stołówce - dodała jeszcze cicho z szelmowskim uśmieszkiem.

Na potańcówkę poszły wszystkie trzy. Ja nie miałam ochoty na rozrywki. Wolałam nadprogramowo pobiegać, chociaż na dworze dziś wieje wiatr, sypie śnieg i lekko się już ściemnia. W ciszy popołudnia biegłam wałami wokół jeziora, a potem wbiegłam pomiędzy drzewa. W miejscach, gdzie jeszcze nikt nie szedł, moje samotne ślady odbijały się na białym śniegu. Jak ślady stóp na mokrym piasku plaży. Biegłam i próbowałam przywoływać letnie wspomnienia, które najczęściej wiążą się z jakimś morzem. Nie chcę myśleć o moich problemach, chcę od nich uciec, jednak tak szybko biegać nie potrafię. Zastanawiałam się, skąd bierze się dziecięca wesołość moich towarzyszek? Czy pod pokrywą humoru skrywają swoje problemy? Dlaczego o nich nie mówią? Dlaczego sama o nich nie mówię? Może właśnie na tym polega ta terapia. Uciec na chwilę od problemów, zdystansować

się choć na pewien czas. Zawsze to ulga dla duszy. Po chwili wbiegłam na leśną ścieżkę. Tutaj płatki śniegu tańczyły w zacisznych miejscach lasu i nie chciały spaść na ziemię. Zupełnie jak ja. Wciąż się nie poddawałam i podrywałam do lotu. Nie chcę jeszcze stopnieć. To chyba dobrze, bo jeszcze niedawno było mi to zupełnie obojętne.

Każdy nowy pacjent może chodzić na trening autogenny. Dowiedziałam się, że to jedna z najczęściej wykorzystywanych technik relaksacyjnych. Jej celem jest uzyskanie przez ćwiczącego stanu wyciszenia, odprężenia i głębokiego odpoczynku, czyli relaksu. Trening polega na autosugestii, czyli wpływie wypowiedzianych słów czy powtarzanych myśli na funkcjonowanie organizmu, akceptacji wszystkich pojawiających się doznań i nie czekaniu na to, co być powinno. Podczas pierwszego treningu przychodzą do głowy własne myśli i zadanie polega na ich obserwacji. Najlepiej leżeć, co w moim przypadku może być końcem owego treningu, bo choć ze snem mam kłopoty, to jeśli przyjmę pozycję horyzontalną, zasypiam bez najmniejszego problemu. Można także siedzieć. Trening składa się z trzech części: wprowadzenie tekstu o rozluźnianiu mięśni, odsunięciu otoczenia, wyciszeniu się. Drugi etap to utrwalanie tekstu i wprowadzenie ciszy dla relaksu. Na koniec następuje stopniowe skracanie tekstu aż do momentu dziesięciu zdań. Ważne, żeby pamiętać, że wszystko, co się odczuwa w trakcie zajęć, jest cenne i godne uwagi. Nie należy czekać na spodziewane efekty, bo wtedy się człowiek niepotrzebnie napina i nic z tego nie wychodzi. Nie należy przejmować się burczeniem w brzuchu albo drapaniem w gardle, to sygnał rozluźniania mięśni.

Może zdarzyć się, że podczas treningu ćwiczący ucina sobie drzemkę... i to dotyczy takich jak ja. Bez obawy, prowadzący z całą pewnością śpiącego zbudzi.

Jednak na pierwszy trening szłam z niepokojem i z dodatkowym kocem. Moje współlokatorki pilnowały, żebym go nie zapomniała, bo sala zawsze jest wietrzona, niezależnie od pogody na zewnątrz. Trening od samego początku poznaje tylko kilkoro pacjentów, reszta pracuje z grupą zaawansowaną. Koce ułożone na pokrytej miękką wykładziną podłodze i piankowe poduchy pod głowę lub kolana... jak kto woli. Nie wiedziałam zupełnie, co mam robić, ale na szczęście takich gap było więcej. Wybrałam wersję leżącą, bo przy temperaturze panującej w sali nie było żadnych szans na drzemkę. Obok mnie leżał Jurek, też przyszedł pierwszy raz. Położył się na kocu i złożył ręce jak nieboszczyk w trumnie, splatając palce.

- Boże mój, Jurek! Musisz mnie tak straszyć? -spojrzałam na jego splecione palce. - Tylko różańca ci brakuje.

- Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć -zaśmiał się lekko zawstydzony. - To tylko przez skrępowanie.

No i nie dziwię się męskiemu skrępowaniu, choć niewielu mężczyzn zdaje sobie sprawę, jak śmiesznie wyglądają bez butów. Leżałam więc na podłodze przykryta kocem, z poduchą pod kolanami, i starałam się wsłuchać w słowa Agaty. Jednak kiepsko szło mi powtarzanie słów w myślach, bo uparcie gdzieś mi uciekały. Chyba nie tylko mnie, bo z kąta sali zaczęło dochodzić miarowe chrapanie. To dopiero relaks! Trening był miły, choć nie udało mi się zdrzemnąć i nie czułam niczego specjalnego, ale nie mieliśmy się tym przejmować. Więc się nie przejęłam, kiedy usłyszałam, że jednemu kole-

dze wydawało się, że coś go kołysze, inny znów czuł obecność kobiety. Ja tylko tyle, że zmarzły mi stopy. Następnym razem włożę cieplejsze skarpetki.

SWATKI-WARIATKI

Życie w pałacu nerwusów nie obfitowało w rozrywki i każdy organizował sobie czas pomiędzy terapiami według własnych upodobań. Zauważyłam, że nikt z pacjentów nie mówił o swoich sprawach i o niczym poważnym. Jakby za ciężkimi drzwiami pałacu zaczynało się inne życie. Jakby problemy, które nas tu przygnały, zostały na zewnątrz i nikt się o nie nie upominał. Moje towarzyski niedoli (albo to było tylko moje subiektywne odczucie) zabawiały się w swatki. Magda, samotna od lat, podkochiwała się już drugi rok w pewnym pacjencie. Właśnie w Jurku, który na treningach straszył mnie swoim układaniem się jak do trumny. Przystojny rozwodnik, postawny facet z brzuskiem, który deklarował się zrzucić dla ukochanej. Bo to niby tak łatwo? Madzia maślanymi oczami wodziła za Jurkiem i wciąż nie miała śmiałości podejść do niego. Pewnie dlatego, że Jurka obstawiała pewna Krysia i na chwilę nawet nie spuszczała z oka. Nie widywało się go w holu ani też na treningu autogennym. Czasami tylko przemykał do pokoju Krysi, a na wspólnych baletach był sztywny i poważny. Ale Krysia wyjechała. Jurek zaczął pojawiać się w holu, na treningach autogennych i teraz stwierdziły, że przyszła kolej Magdy. Wyciągnęły mnie siłą do holu, gdzie wszyscy, którzy pragnęli towarzystwa, bawili się przy kartach i stole tenisowym. To w końcu ważna terapia społeczna.

- Patrz, Magda, jest! - konspiracyjnym szeptem oznajmiła zadowolona Zosia. - Dalej kobiety, ruszać się! Idziemy grać w karty, bo akurat są miejsca w kasynie.

Porównanie kanapy i ławy w holu do kasyna wydało mi się bardzo śmieszne, ale najzupełniej trafne, choć nie grano na pieniądze ani inne temu podobne środki. Przy

długiej ławie kotłowali się gracze i przerzucali kilka talii wytartych kart.

- Siadać do stołu! - Renata wydała rozkaz. - Tylko ostrożnie. Nie spłoszcie zwierzyny - mrugnęła do Zosi.

Siadłyśmy. Ja na samym końcu kanapy, bo i tak nie miałam zamiaru grać. Nie, żebym nie umiała, ale zwyczajnie nie miałam jeszcze ochoty. Jurek kręcił się po holu i nie bardzo wiedział, do kogo się przysiąć. Widać jego poprzednia towarzyszka wytyczała mu ścieżki, bo błąkał się jak Mojżesz po pustyni.

- Jurek, zagrasz z nami w remika? - Zosia nie miała żadnych oporów. Odważna i bezpośrednia bez najmniejszego skrepowania zamachała do niego kartami i zatrzepotała rzesami. Aż dziw, że po takich ciężkich przejściach potrafiła być tak wyluzowana. Ale to podobno magia miejsca, w którym teraz jesteśmy.

- Chętnie - dosiadł się natychmiast i wziął z jej rąk karty. Sprawnymi ruchami wytrawnego karciarza przetasował dwie talie i zaczął rozdawać. - Na ile?

- Ja nie gram - szybko się odezwałam w obawie, że będę musiała włączyć się do radosnego kółka. - Ale chętnie wam pokibicuję.

Renata zgrabnie przesadziła Magdę tak, żeby siedziała naprzeciwko Jurka, a przedtem w pokoju tresowała ją przy szafie i wybierała bluzkę, która miała podkreślić jej walory. To znaczy biust i spory dekolt. Kiedy Madzia sięgała po bluzki z pokaźnym dekoltem, odsyłała ją do szafy po inną. Madzia długo nie mogła zrozumieć, o co chodzi, aż w końcu usłyszała:

- Magda, nie wystawiaj biustu jak na wystawie w cukierni. Jak pokazujesz wszystko od razu, to jakbyś wystawiała przy torcie kartkę „to wszystko dla ciebie” - tłumaczyła.

- Chyba przy pączkach - mruzczała Magda.

- Pączki to ma Rena, takich w twoich rozmiarach nie smażą - Zosia miała minę psotnika.

- No to co?

- To, że jeśli coś jest dla faceta niedostępne, to zdobywanie jest dla niego wyzwaniem. A tak? - rozłożyła ramiona. - Pozbawiasz go zabawy polowania.

- Już się gubię z tym polowaniem - Magda miała nieszczęśliwą minę.

- To kto tu w końcu poluje? - westchnęła, ale mimo to włożyła bluzkę podkreślającą słodkości. Fajnie było obserwować starania koleżanek, wchodzących coraz bardziej w rolę swatek. Swatek-wariatek. Zabawa toczyła się w najlepsze. Przy naszej ławie dwa odrębne kręgi grały w karty, przy schodach inna grupa raczyła się kawą i ciastkami. Był zwyczaj, że wyjeżdżający do domu na pożegnanie kupowali ciastka i częstowali wszystkich. Zwolenników łakoci nigdy nie brakowało, więc przy pudełkach z ciastkami była niezła kotłowanina. Do holu weszła unikana przez większość pensjonariuszy pani. Trochę marudna i wiecznie z pretensjami. Pewnie też się nudziła, bo widziałam ją tu po raz pierwszy. Podeszła do stołu tenisowego i wzięła do jednej ręki paletkę do tenisa, do drugiej piłeczkę.

- Ciekawe, czy jeszcze pamiętam, jak się w to gra? - mówiła sama do siebie, co nikogo specjalnie nie dziwiło. Zaczęła odbijać piłeczkę, starając się przebić ją na drugą stronę siatki. Piłeczka wciąż lądowała w siatce, więc po chwili znów po nią sięgała.

- Ej, Róża - Renata nachyliła się, widząc, że obserwuję jej samotną grę - czy ona wie, że to gra dla dwojga?

- Nie mam pojęcia, ale jak szybko biega i da radę oblecieć stół dookoła, to może grać sama - powiedziałam i wzruszyłam ramionami, jakby granie w pojedynkę było rzeczą absolutnie naturalną. Wszyscy siedzący zaśmiali się gromko. Czyżbym powiedziała dowcip? Boże mój, chyba udziela mi się klimat tego miejsca.

- Dowcipna jesteś - rzucił Jurek znad kart i pokiwał z uznaniem głową. Tenisistce jednak nie udało się przebić piłeczki przez siatkę, co mogło oznaczać, że albo nie pamiętała, jak się gra, albo specjalnie wbijała ją w siatkę, by piłka do niej wracała. Trochę zrobiło mi się wstyd, że tak zażartowałam, ale poprawiał mi się nastrój i pomyślałam, jak to dobrze, że wyciągają mnie z pokoju i nie pozwalają zostawać samej z moim smutkiem. Grały tak, wybuchając śmiechem co chwila, a ja coraz częściej śledziłam rozmowę i udzielał mi się ich humor. Renata zaglądała Jurkowi w karty i specjalnie się z tym nie kryła, a ten udawał, że się wkurza. Tak naprawdę było widać, że doskonale się bawi. Pewnie dlatego pozwalał zaglądać Renacie w karty, a Zosi oszukiwać. A czasami odwrotnie.

- No nie! - to oburzony na niby Jurek rzucił karty na stół. - Szulerki z trzydzieści pięć! Oszukujecie!

- Ale to było niechcący - Zośka ze śmiechem biła się pięścią w pierś - i tylko dlatego, że nie wzięłam z pokoju okularów - dodała, trzepocząc długimi rzęsami.

- Przynieść ci? - zaoferowałam pomoc.

- No coś ty! Na co będę zwała, jak mnie przyłapią na przekręcie - ściszyła głos i mrugnęła do mnie. - Może jestem w domu wariatów, ale jeszcze nie zgłupiałam! No i nie noszę okularów - dodała.

Zabawa trwała w najlepsze i nawet na chwilę zapomniałam, gdzie jestem. Przypomniały mi się beztroskie momenty na koloniach, na które w dzieciństwie wysyłali nas rodzice. Dwie równe dziewczynki Róża i Lilia, jak dwa dziwolągi. Już wtedy tak się czułam. Lilia brylowała w każdym środowisku, ja stałam w jej cieniu. Bywało, że gdy Lilia nabroiła lub nakłamała, mnie traktowano tą samą miarką. Zaczęłam uciekać z kręgu jej przyjaciół i szukać sobie zupełnie innych. Nie chciałam być z nią

utożsamiana, ale z racji wyglądu było to po prostu niemożliwe. Już wtedy próbowałam się od niej odróżnić. A to inna fryzura, a to jakaś bransoletka na rękę. Zawsze starałam się być nieco inna, ale niełatwo uzyskać taki efekt, kiedy nie dość, że wygląda się identycznie, to i dysponuje się jednakowymi ciuchami. Naprawdę nie było łatwo.

Zapędy w swataniu nabierały tempa i po powrocie do pokoju Zośka z Magdą znów siedziały z głowami w szafie i wybierały strój dla Magdy na następną potańcówkę. I tak nie było co robić. Siadłam po turecku na swoim posłaniu, próbowałam czytać, ale przyznano mi rolę jurora w pokazie mody, jaki pod dyktando Zosi robiła Magda.

- Teraz przymierz to - kolejna kupka ciuchów i kolejna prezentacja.

- Nie odsłaniaj tak walorów, już je dzisiaj widział - Renata miała zde gustowaną minę - wie, że je masz. Co za dużo, to niezdrowo. Pamiętaj, że kobieta intryguje faceta na tyle, na ile on nie ma pewności, co jeszcze go czeka. Jak wyłożysz karty na stół...

- To masz pozamiatane - dokończyła Zosia. Magda przerzucała uwagę z jednej na drugą i zdawała się już zupełnie zagubiona.

- Rena ma rację. Włóż bluzkę w grochy - wskazałam na jedwabną kremową bluzkę w czarne grochy, z opadającym golfikiem z przodu. Magda głęboko westchnęła, ale posłusznie wykonywała dyspozycje. Warto było. Wyglądała klasycznie i elegancko, do tego czarne spodnie i kremowo-czarne buty na wysokim obcasie, z kokardą z przodu. Naprawdę wyglądała jak kobieta z klasą. Pokiwałam głową z aprobatą i wydałam osąd.

- Ten zestaw wygrywa.

- No, fajnie wyglądasz. Tak trochę staroświecko, ale bardzo intrygująco - Zosia już nie upierała się przy głębokim dekolcie. - I pamiętaj, jutro masz ostatnią

szansę. Ja spróbuję przyciągnąć go do naszego pokoju na kawę, to sobie trochę pogadacie.

- I jak nie spytasz, czy możesz zabrać się z nim, jak będzie wyjeżdżał na przepustkę, to już o nic więcej mnie nie pytaj.

- Dlaczego?

- Bo to będzie znaczyło, że jesteś niereformowalna i szkoda czasu na twoją edukację - Renata chyba nie żartowała. - Zachowujesz się, jakbyś nic o życiu nie wiedziała, a to, jeśli wziąć pod uwagę twój wiek, nie mieści mi się w głowie. A swoją drogą, dlaczego?

- To nie takie proste - westchnęła Madzia. - Wyszłam za męża, kiedy miałam szesnaście lat. Nic o życiu nie wiedziałam, a i nauczyć się nie było czasu. Potem okazało się, że już nie było po co.

- Tak ci się spieszyło? - zdziwiłam się.

- Mnie nie - wzruszyła ramionami. - Rodzice za mnie zdecydowali, bo zakręcił się koło mnie pewien majętny, znacznie starszy ode mnie gość.

- I to wystarczyło?

- Moja mama pochodziła z bardzo biednej rodziny, i potem też klepaliśmy biedę. Uznała, że dostatnie życie gwarantuje szczęście. No i chyba wiedziała, że wtedy będą mieli mnie z głowy. Miałam jeszcze dwie młodsze siostry do wydania - mówiła jakby lekko zawstydzona. - Mój mąż był moim pierwszym... chłopakiem. Nie zdążyłam umawiać się na randki ani na jakieś tam podrywy. Nie było mi dane wybrać sobie męża, bo zostałam wybrana i szybciotko wydana. Potem mąż izolował mnie od życia.

- Dlaczego? - zapytałam.

- Bo był cholernie zazdrosny.

Renata przyglądała się Madzi i mina jej łagodniała. Zdawało mi się, że widzę nawet grymas współczucia.

- Rozumiem teraz - uśmiechnęła się do Magdy. - Nie przejmuj się, damy radę.

Kiedy tak na nie spoglądałam, pomyślałam, że problemy Madzi biorą się właśnie stąd. Desperacko chce mieć kogoś, ale nie zna się na ludziach i ciągle źle lokuje uczucia. Potem jest zawiedziona, nieszczęśliwa i depresja powraca. Dlatego co jakiś czas ląduje w pałacu. Tu zbiera siły, żeby znów wpaść w jakieś bagno. Ale Jurek naprawdę jej się podobał... Jednak to nie Zosia przyprowadziła go do naszego pokoju, tylko ja. Po treningu autogennym, na którym chyba już specjalnie układał się jak umrzyk, zapytał o ćwiczenia oddechowe, z którymi dzięki staraniom wuja Johana ponoć dobrze sobie radziłam. Wykorzystałam więc sytuację i przyprowadziłam go do naszego pokoju na herbatkę. Magda tak się spłoszyła, że gdyby nie zamykająca się nawet na chwilę buzia Zośki, siedzielibyśmy w zupełnej ciszy. Kiedy wyszedł, Renata nie wytrzymała.

- Magda, co cię tak otumanilo? Nawet to miejsce cię nie usprawiedliwia.

- No właśnie - dołączyła wkurzona Zosia - to Róża ściąga ci tu faceta, a ty jak ta trąba. Przecież to nie my mamy patrzeć mu w oczy i trzepotać rzęsami. Jak już się mu zaprezentowałaś, to teraz powinno być z górki.

- I pamiętaj Madzia... kontakt wzrokowy - Renata gestem dwóch rozstawionych palców ręki pokazała, na czym ma on polegać. - Walory masz schowane, więc nie powinno być komplikacji.

- Aleja tam sama nie pójdę - zarzekła się spłoszona Magda.

- Jasne, że nie. Jeszcze siadłabyś gdzieś w kącie i babcia sklerotyczka z dołu miałaby większe branie niż ty - sapała Zośka. - Wszystkie idziemy.

- Wszystkie? - wystraszyłam się. I to nie z powodu braku odpowiedniego stroju, bo ten zaraz zaoferowałyby mi koleżanki, ale roztańczone towarzystwo jeszcze mnie nie kręciło.

- Wszystkie, Róża! Nie ma rady - Zosia rozłożyła bezradnie ręce. - Musisz się poświęcić dla gelejzy, bo jeszcze gdzieś utknie na schodach i całe nasze starania diabli wezmą.

Bardzo bawiły mnie niesłyszane dotąd określenia, jakich używały moje nowe koleżanki. Niektórych nawet nie rozumiałam i próbowałam je zapamiętywać, ale raczej słabo mi szło. Potem zaczęły mi je tłumaczyć. Powtarzając w myślach nowe przezwisko, podjęłam poszukiwania w szafie. Nie było wyjścia. Trzeba było się poświęcić dla sprawy i dla... gelejzy. Wciągnęłam więc dzinsy, w których tu przyjechałam, trampki i poszłam. Nasze wejście przyjęto gromkimi oklaskami... nie wiem, dlaczego. Magda oczywiście dwa krzesła od Jurka.

- No patrz na tę sierotę! Ona naprawdę jest niereformowalna - Renata wyraźnie się zdenerwowała i syczała pod nosem. Po chwili wstała od stołu i w geście rozpaczycy zwróciła się do zadowolonej z siebie koleżanki. - Magda, pozwól na chwilę.

Kiedy zdezorientowana Magda wstała, Zośka natychmiast się przesiadła, zostawiając tylko jedno miejsce wolne. Przy Jurku. Podstęp się udał i mogłyśmy spokojnie pić kawę. Jednak nie ruszyłyśmy się z miejsc tak długo, aż Jurek nie zaczął bawić się tylko z naszą podopieczną. Bałyśmy się, że powtórzy nam ten numer z krzesłami. Po kilku kawałkach zostałam łaskawie zwolniona do pokoju, jednak dźwięki muzyki tanecznej były na tyle przyjemne, że po drodze siadłam na ławce przed witrażem i zaczęłam się przysłuchiwać, zerkając na podświetlony posąg w palmiarni. Przed klatką z papugą znów stał Marek i zagadywał do swojej ulubienicy. Już dłuższą chwilę go obserwowałam, a on wciąż do niej mówił. Papuga się nie ruszała i nawet zaczęłam się zastanawiać, że może rzeczywiście go słucha. Co tak pomieszało temu Markowi w głowie, że tylko z papugą chciał rozmawiać. A raczej... mówić do niej.

- Nie bawisz się? - podniosłam głowę i zobaczyłam przed sobą psycholożkę.

- Nie na tańcach, ale uknułyśmy mały spisek -uśmiechnęłam się pod nosem - i byłam potrzebna w jego realizacji - opowiadałam, na co Agata uśmiechała się z aprobatą. W końcu integrowałam się z resztą, a o to w terapii w holu chodzi.

- Może masz ochotę na małą pogawędkę? Miałam dość dobry humor, więc nie obawiałam się

pytań Agaty. Nawet czułam się już bardziej pewnie w jej towarzystwie, więc bez zbędnego migania zgodziłam się. Poszłam do jej pokoju.

- Czy muszę siadać w tym fotelu? - wskazałam na kraciaste madejowe łoże.

- Siadaj sobie Rózo, gdzie tylko chcesz. Może masz ochotę na zieloną herbatę? - uśmiechnęła się przyjaźnie. - To moja pora, więc i tak będę piła. To jak?

- Chętnie, poproszę.

Przygotowanie naparu zajęło chwilę, miałam więc czas porozglądać się. Trudno to nazwać gabinetem. Tylko ten kraciasty potwór sprawiał wrażenie, że spełnia jakąś misję specjalną. Wielki regał z książkami przypominał zasobnością regał w gabinecie ordynatora. Tematyka woluminów była zbliżona. Rzędy książek stały piętrami na lekko uginających się półkach, wystawiając tylko kolorowe grzbiety. Ciasno upchane skrywały całą wiedzę lekarzy dusz. Pomyślałam z rozrzewnieniem o pięknej, starej bibliotece wuja Johana, gdzie przy specjalnie robionych regałach na książki stał jego ulubiony fotel. Ciocia nie lubiła tego mebla i wiecznie go czymś nakrywała. Wuj odkrywał i zabawa zaczynała się od początku. Zupełnie jak z książkami. Ciocia układała je mężowi według wielkości i koloru... twierdziła, że tak jest ładniej, wuj przekładał je na powrót. Trwało

to latami i odpuściła dopiero, kiedy zajęłyśmy się naszą twórczością. Na przemeblowania nie miała już czasu i wuj wreszcie odzyskał władzę w swojej bibliotece. Usiadłam teraz na pluszowej kanapie i podkuliłam nogi. Agata siedła obok i zrobiła to samo.

- Jak się u nas czujesz? Lepiej?

- Oj, to pytanie jest tendencyjne - zaśmiałam się, Agata też. - Trochę - przyznałam. - Mam wesołe współlokatorki i przy nich nie sposób się smucić. Zawsze coś zabawnego wymyślą.

- Biegasz jeszcze? - zerknęła na mnie znad kubka.

- Jasne - szybko przytaknęłam. - Każdego dnia. Bardzo to lubię - pokiwałam głową zadowolona z siebie. - Nie wiem, jak długo jeszcze pobiegam, ale dopóki utrzymuje się śnieg, sprawia mi to frajdę i przynosi spokój.

- Jak długo nie było cię w kraju? Możesz mi to już opowiedzieć? - przeskakiwała z tematu na temat.

- Jeśli to ważne - westchnęłam i poprawiłam się na kanapie. Nie lubię mówić o sobie. - Skończyłam tam studia i gdy wróciłam do domu, okazało się, że nie ma już dla mnie miejsca. Moje życie przywłaszczyła sobie Lilia - dopowiedziałam znacznie ciszej. - Nie chciałam dłużej żyć w jej cieniu i wróciłam do Austrii.

- Tak po prostu rzuciłaś stare życie? - przyglądała mi się badawczo i choć próbowała robić to dyskretnie, wiedziałam, że chce mnie wyciągnąć na zwierzenia.

Popijałam gorącą herbatę i dmuchałam w nią dla zebrania myśli. Znajomy zapach delikatnie muskał nozdrza, ale nie mogłam go z niczym skojarzyć. Znałam go, ale nie wiedziałam skąd, w każdym razie skądś z przeszłości. Dalekiej przeszłości. Co mam jej powiedzieć o moim życiu? Że to życie mnie rzuciło? Kiedyś jej to wyjaśnię.

- Widzisz, tato zawsze chciał, żebyśmy zostały ogrodniczkami. Żebyśmy kontynuowały jego dzieło.

Nawet się nie dziwię - wzruszyłam ramionami - dorabiał się przecież całe życie i nie było mu lekko. Nie miał syna, a gospodarstwo było dla niego wszystkim. Nawet imiona wymyślił nam florystyczne. Głupie, prawda?

Milczała, popijała napar i kątem oka spoglądała na mnie, delikatnie się uśmiechając, jakby zachęcała mnie do dalszego mówienia. Mówiłam więc.

- Żadna z nas nie miała na to specjalnej ochoty. Ja po liceum poszłam na akademię ekonomiczną, siostra... nigdzie nie poszła. Miała poślizg w maturalnej klasie i zniechęciła się do nauki. Matury też nie zdała - znów podmuchałam w kubek i upiłam mały łyk. - Ale tato wciąż marzył o ogrodniku. Poznałam na studiach chłopaka z akademii rolniczej. Dość długo spotykaliśmy się w czasie studiów.

- Kochałaś go? - miała rozmarzoną minę. Czy to aby na pewno psycholog?

- Pewnie - przytaknęłam - i to bardzo. Na to wspomnienie trudno było mi wykrzesać choć cień uśmiechu. Nie miałam specjalnej ochoty na dalsze zwierzenia, nie był to dla mnie miły temat. Mimo lat terapii wciąż wolałam o tym nie myśleć, a co dopiero mówić. Umilkłam na chwilę, mając nadzieję, że mi odpuści.

- I? - nie odpuściła.

- To już nieważne.

- A ojciec? Jakie miałyście relacje z ojcem?

- Tato kochał nas jednakowo. Choć czasami zdawało mi się, że Lilię bardziej - zastanowiłam się przez moment i nagle stało się dla mnie jasne. Tato doskonale znał jej charakter, a jednak cały czas traktował ją ulgowo. Wiedział, że ode mnie może wymagać więcej niż od mojej siostry i pogodził się z porażką. Nie udało mu się jednakowo wychować córek, byłyśmy skrajnie różne. - Więcej jej wybaczał, zapominał o jej krętowniach i nie gonił do nauki - mówiłam z żalem, bo wciąż bolało mnie to różnicowanie.

- Krętactwach? Dobrze usłyszałam?

Teraz się zorientowałam, że chyba muszę powiedzieć jej wszystko. Nie ma sensu niczego ukrywać, jeśli chce zrozumieć, co mnie gryzie. Wujek Johan wiedział o wszystkim, ale teraz jestem tu, na kanapie młodej psycholożki, nie w Innsbrucku.

- Z moją siostrą jesteśmy podobne jak dwie krople wody, jednak tylko z wyglądu. Charaktery mamy skrajnie różne - znów upiłam łyk herbaty, oddalając moment, w którym będę musiała powiedzieć coś złego o niej. -Nie lubię kłamców i nie lubię komplikować sobie życia, więc zawsze mówię prawdę. Mama często powtarzała: „nie kłamcie, nie oszukujcie, bo to podłe. A może się zdarzyć, że przyjdzie moment, w którym już nie odróżnicie fikcji od prawdziwego życia”. Lilia jednak poszła na skróty. Potrafiła tak wszystkimi wokół zakręcić, że usługiwali jej, wyręczali i pomagali na wszelakie możliwe sposoby. A ona to wykorzystywała maksymalnie. Zawsze wchodziła mi w słowo, podpisywała się pod moją czasami ciężką pracą, kradła moje prace domowe. .. nawet na świat wypchnęła się pierwsza. I wszystko zawsze uchodziło jej na sucho - pijąc herbatkę u Agaty pomyślałam, że życie nie jest sprawiedliwe, że nie ma nikogo, kto pilnowałby porządku na tym ziemskim padole. Gdyby bowiem było inaczej, już wyrosłyby jej diabelskie rogi i ogon.

Ucichły dźwięki muzyki i usłyszałyśmy kroki na korytarzu. Skończyła się potańcówka, wszyscy rozchodzili się do pokoi. Zaraz rozlegnie się gong na kolację. Czas kończyć rozmowę, i tak dość już dziś z siebie wyrzuciłam. Agata nic nie mówiła. Patrzyła do wnętrza kubka i zastanawiała się nad czymś.

- Chyba muszę już iść - odstawiłam kubek. - Dziękuję za herbatę, była bardzo dobra.

- Koleżanka przywiozła mi ją z Chin - ocknęła się nagle. - Zapraszam cię, kiedy tylko będziesz miała ochotę pogadać albo napić się ze mną herbaty.

- Dziękuję, chętnie jeszcze wpadnę.

Kiedy wyszłam z gabinetu, zastanawiałam się, czy wszyscy psycholodzy postępują tak samo. Zdawało mi się, że to powinno wyglądać inaczej. Kiedy posypałam się jak domek z kart, zajmował się mną tylko wuj Johan i to wyłącznie w zaciszu naszego domu w Austrii i przy terapii zajęciowej, jaką nam z ciotką Ulą zafundował. Dotąd nie miałam styczności z tą profesją. A może tak to ma wyglądać? Może nie każdy psycholog rozkłada ci podświadomość na czynniki pierwsze i próbuje poskładać do kupy w jako takim porządku? Jak na razie rozmowy z Agatą nawet zaczęły mi się podobać.

- No, mówię ci, Róża... myślałam, że nie wytrzymam - Zosia wyrzekła już w od progu.

- Co się stało? - dość poważnie się wystraszyłam.

- Ty się lepiej spytaj, co się nie stało! - Zosia siadła ciężko na łóżku. - Ta trąba tańczyła z Jurkiem, ten dwoił się i troił - gestykulowała przy tym, obrazując jak to Jurek bardzo się starał - a nasza gwiazda nawet się nie uśmiechała.

- O matko! Speszona byłam - broniła się Magda.

- Speszona to mogła być ta anorektyczka, jak facet przy wszystkich ją obmacywał! A widziałaś? Nie była! Speszona, też coś! - Zosia sapała z nieukrywaniem niezadowoleniem i głośno to sygnalizowała, trzaskając drzwiami od szafy. Co w przypadku Zosi musiało oznaczać ogromne wzburzenie, bo szafa była dla niej jak sanktuarium.

- No chyba nie spodziewałyście się jakiś ekscesów na parkiecie? - zapytałam zaniepokojona.

- Ekscesów? Tutaj? Jak tak dalej pójdzie, to nie wyjdiesz poza uścisk dłoni i kontakt wzrokowy. A przepustka już tuż-tuż - Renata z rezygnacją machnęła ręką. - Muszę się napić. Komu melisy?

- Zrób wszystkim.

Magda jednak miała rozmarzoną minę i więc chyba nie do końca mówiła nam prawdę. I dobrze! Niektóre informacje i odczucia należy zostawić dla siebie, nawet gdyby miało to zepsuć humor zawiedzionym swatkom. Czasami trzeba być egoistą, wuj Johan próbował mnie tego uczyć. Zdawało mi się, że mało skutecznie, ale chyba jednak robię postępy.

Przed weekendem było dużo wypisów, więc sobota i niedziela wlokły się pod znakiem nudy i pogoni za Jurkiem. Też niezła zabawa, ale podobno w łapaniu króliczka ważne, żeby go gonić, a nie dopaść. I dokładnie tak to wyglądało. To nic, że Renata zrzędziła coś o odwróceniu ról, zabawa i tak była przednia. Leżałyśmy na łóżkach zatopione każda w swoich myślach lub książce, tylko co jakiś czas któraś wychodziła na przeszpiegi. Wracała po chwili i informowała resztę, gdzie w tej chwili znajduje się nasz króliczek. A ten zaszył się przed swatkami, że nijak nie mogłyśmy go dopaść. Magda oczywiście polowania ograniczyła do minimum i pewnie znów miała nadzieję, że załatwi to za nią Zosia. Ta uwijała się jak w ukropie, aż w końcu zaczęłam się zastanawiać, czy nie zależy jej na tym zbyt mocno. Ale to ich wewnętrzne rozgrywki. W soboty i niedziele nie ma terapii i czas wlecze się niemiłosiernie. Jediną rozrywką jest niedzielna msza w miejscowym kościele i spacer przez wieś w odświętnym rynsztunku, nawet lumpeks jest zamknięty. W oczekiwaniu na nieco lepszy niż codzienny obiad można tylko

spacerować i drzemać. Bo z poważnie przerzedzonych szeregów trudno nawet zebrać komplet przy karcianym stole. Siadłyśmy więc z Zosią, Madzią i Renatą na karcianej kanapie i zastanawiałyśmy się, jak dotrzeć do końca dnia. Nasz króliczek najwyraźniej dość miał pogoni, bo na dobre skrył się do nory, a z relacji Czesia wynikało, że śpi. I mógłby to być sen zimowy... sądząc po długości. Choć to misie zapadają w takie odrętwienie, nie słyszałam, żeby robiły to króliczki. Nasz wyjątek najwyraźniej potwierdzał regułę.

- Może zorientował się, że na niego polujemy? - lekko spłoszona Magda zaczęła zastanawiać się na głos.

- Na kogo? - Czesio nagle odłożył gazetę, w którą przez dłuższą chwilę wpatrywał się zawzięcie. Najwidoczniej nie znalazł tam niczego zajmującego albo życie na zewnątrz nie obchodziło go zanadto.

- Na króliczka - palnęła Zosia, nie zastanawiając się ani chwili.

- To już nie polujecie na koty? - zdziwił się. - Zdawało mi się, że ich nie lubisz - zwrócił się do Magdy.

- To po co mam na nie polować? Zresztą - westchnęła, nie kryjąc osobistej awersji do futrzaków - to one polują na mnie. Bestie nienazarte.

- Dajcie spokój. Lepiej w coś zagrajmy - zaproponował, zacierając ręce. - Jaką grę można zaproponować kobiecie... wiecie, żeby sprawić jej frajdę.

- Wstępną - bez namysłu odpowiedziała Magda. Spojrzeliśmy na nią zdumieni, a najbardziej zdziwiony był Czesio. Magda chyba zrozumiała nasze spojrzenia, ocknęła się z zadumy, w jaką popadła moment wcześniej. - Powiedziałam to na głos? - dziwiła się sama sobie.

Parsknęłam śmiechem, a po mnie pozostali. Tylko Madzia patrzyła na nas zaskoczona. Trochę też zmieszana, że jej robaczywe myśli zaczynają wypełzać na

powierzchnię. Rozbawiła nas tak, że nasz śmiech wyciągnął z pokoi rozespanych nerwusów. Po chwili zrobiło się gwarno i sprośno, bo Madzia niechcący uderzyła w strunę, na której Czesio grywał najchętniej. Uwielbiał niecenzuralne dowcipy. Sypały się więc jak z rękawa, ale zamysłem terapii społecznej w szpitalnym holu jest ogólna wesołość i ten cel został tego wieczoru w stu procentach osiągnięty.

Dziś nareszcie dzień przyjęć. Nie będzie tak pusto. Dyżurni panowie już od rana czekali w dolnym holu, tuż przy pokoju pielęgniarek i palmiarni. Co chwila ktoś maszerował ze stosem przydzielonej pościeli i bagażami, prowadząc bardziej lub mniej wystraszoną osobę. Ci, którzy wracali tu po raz enty, byli pewni siebie i zorientowani. Potrafili nawet poprosić o ulokowanie w konkretnym pokoju. Inni, bardziej przejęci, grzecznie szli tam, gdzie im kazano. W drodze na moją rytualną przebieżkę stanęłam przy szybie palmiarni i sprawdzałam, czy moja obecność jest tam dziś niezbędna. Zimą rośliny nie potrzebują zbyt częstego podlewania, a porządek z poobsychanymi badyłami zrobiłam już wcześniej, zaraz jak podjęłam się tej funkcji i po sprawdzeniu, że nie ma tam żadnych kwitnących roślin. Obserwując nowo przybyłych, zauważyłam dziewczynę, którą przywiózł przystojny mężczyzna w wieku zbliżonym do mojego, czyli po czterdzieście, no... może około pięćdziesiątki. Dziewczyna była zupełnie obojętna na to, co działo się dookoła i kiedy mężczyzna się z nią pożegnał, poszła pokornie za siostrą oddziałową i dwoma panami. Mężczyzna stał jeszcze przez chwilę i patrzył, jak dziewczyna, bez oglądania się za siebie, znika na zakręcie schodów. Twarz miał smutną i szarą. Z rezygnacją

opuścił głowę i zszedł schodami do drzwi frontowych. Zamknęły się za nim ciężkie wrota, ale widać było, że serce zostawił w pałacu. Tego dnia do szpitala przybyły jeszcze dwie panie i czterech panów. Będzie pewnie jeszcze weselej w holu. Może dziewczyny znajdą też nowego króliczka?

NOWA

Wyszłam z pałacu i zaraz zwróciłam się w stronę jeziora. Na wał i wolnym truchtem do lasu. Zima lekko odpuszczała i zrobiło się bardziej mokro, niż mogłabym sobie tego życzyć. Jak tak dalej pójdzie, przyjdzie mi biegać w kaloszach. Zapуściłam się do lasu, ale tam jeszcze nie znalazłam oznak przedwiośnia, więc bez obaw przebiegłam swoją starą trasę. Co jakiś czas zatrzymywałam się i robiłam ćwiczenia oddechowe zalecane przez wujka Johana. Dawno już nie musiałam ich robić, ale teraz znów wprowadzają spokój w moją duszę i ciało. Zastanawiałam się też, co spowodowało wizytę Maurycego. Czy Lilia przysłała go na przeszpiegi? Może chciała sprawdzić, czy już na amen zwariowałam i uda się jej zrealizować następny niecny plan zagarnięcia spadku po rodzicach. Jak mogła pomyśleć, że ojciec nie podzieli majątku między nas obie? Dotąd zawsze wszystko szło po jej myśli, a ja musiałam wciąż ustępować. Wuj Johan powtarzał, że muszę pracować nad asertywnością. Nigdy nie potrafiłam walczyć o swoje. Może jednak tym razem spróbuje? Wracam do pałacu, bo znów zaczyna mnie dopadać przeszłość. A nie chcę o niej myśleć, nie chcę znów przypominać sobie tego bólu. Już nie warto. Tylko widok Maurycego obudził wspomnienia. I te jego smutne oczy. Dlaczego?

- Mamy nową w pokoju - konspiracyjnym szeptem powiadomiła mnie tuż przed drzwiami Zosia. - Nie wystrasz się tylko.

- Dlaczego?

- Bo taki trochę dzikus. Zupełnie jak ty, no... może trochę przesadzam i tylko więcej płacze. I nic nie mówi.

Weszłam i od razu zauważyłam smutną dziewczynę z holu. Siedziała na łóżku, wzrok miała utkwiony

w stojących przed łóżkiem kapciach. Długie blond włosy otulały niemal całą twarz, jakby chciała się za nimi ukryć. Podniosła na mnie niewidzące oczy. Wyraz twarzy nie zmienił jej się nawet na chwilę.

- To jest Kasia, nowa do kompletu, a to Róża -Magda dokonała prezentacji.

Kasia znów patrzyła na kapcie, głucha na jakiegokolwiek odgłosy z otoczenia. Siedziała z podkulonymi nogami i oplatała je ramionami. Włosy zakrywały jej twarz. - Boże mój, co się stało temu dziewczęciu? - tłuło mi się pod czaszką. - Ja też taka byłam? Taka dzika? Niemożliwe, nie tym razem, ale z całą pewnością wtedy, gdy tato wiozł mnie do wuja Johana. - Siadłam na łóżku naprzeciwko i spoglądając na jej torbę, spytałam:

- Pomóc ci się rozpakować? - tak przecież zrobiły na powitanie dziewczyny, to było bardzo miłe i przełamało lody. Tylko one nie spytały o pozwolenie i same się do tego wzięły. Rozłokowały mnie w szafie z ciuchami i małej szafce na buty, komentując przy tym bezceremonialnie brak szpilek. Teraz to nieobecne duchem dziewczątko siedziało, gapiąc się na swoje kapcie i nawet nie podniosło wzroku. - Może wolisz moje łóżko? - spytałam.

- No, Róża, jeśli ci się zdaje, że jak zajmiesz łóżko bliżej drzwi, to szybciej wyjdiesz... to jesteś w błędzie - Renata próbowała żartować. Kasia nawet nie drgnęła, więc postanowiłam, że nie będę się narzucać i zaczęłam zdejmować warstwy sportowych ciuchów, które wkładałam na siebie przed każdą przebieżką. Trochę ich jest, ale w końcu co mam tu innego do roboty?

Dziewczyny poszły na swoje planowe terapie, ja położyłam się na łóżku i próbowałam odciąć się od tej kupki smutku. Siedziała bez najmniejszego ruchu i czasami nawet zdawało się, że przestawała oddy-

chać. Zaczęła przymykać zmęczone od płaczu oczy. Boże mój... miała może ze dwadzieścia lat, nie więcej. Drobna i blada, sprawiała wrażenie dziecka, które ktoś okrutnie skrzywdził. Nie mogłam leżeć, nie potrafiłam się wyłączyć. Po raz pierwszy zaczęłam myśleć o czymś dramacie, nie o swoim. Siadłam na łóżku i głębokie westchnienie samo dobyło się z moich piersi. Wstałam i wyjęłam spod jej koca poduszkę, położyłam u szczytu łóżka i delikatnie popchnęłam obojętne na otoczenie skulone ciało. Położyła się, wciąż nie puszczając podkulonych nóg. Odgarnęłam jej z twarzy kosmyki i pogłaskałam po osypujących się włosach. Nie mogłam się oprzeć. Była krucha i poskręcana fizycznym bólem, który, czego byłam pewna, brał się z rozdartej duszy. Znam to, doskonale to pamiętam. Pamiętam ten nieznośny ból ciała, ból, kiedy ktokolwiek próbował mnie dotknąć. Nawet kiedy była to ciocia Ula czy wuj Johan. A im ufałam bezgranicznie, bo przyjęli mnie do swojej rodziny w momencie, kiedy odrzuciła mnie moja, i traktowali jak własne dziecko. Kasia też mogłaby być moją córką, której już nigdy nie będę miała. Może teraz przyszedł czas na odpłacenie dobrem za dobro, bo jak mama często powtarzała... dobro zawsze do nas wraca. Nie zawsze od tej samej osoby, ale wraca. Kiedy sobie to przypominam, mam nadzieję, że zło też kiedyś w końcu odbija się czkawką. I choć mama nic o tym nie wspominała, długo żyłam głęboką nadzieją, że tak właśnie jest.

Z kącików zamkniętych oczu Kaśki płynęły łzy i wsiąkały w białą poszewkę poduszki. Wzięłam ze swojego łóżka koc i okryłam tę kruszynkę.

- Pośpij trochę Kasiu. Czasem to pomaga - jeszcze raz pogłaskałam blond włosy. Położyłam się na swoim łóżku i tak długo ją obserwowałam, aż równy, choć płytki oddech zaczął wskazywać, że usnęła. Z każdym kolej-

nym oddechem schodziło z twarzy dziewczyny napięcie czy smutek i jej rysy powoli łagodniały. Po chwili wyglądała jak zaspany anioł, który uciał sobie popołudniową drzemkę na wąskim łóżku w domu wariatów. Cóż... może przybył z misją właśnie do tego miejsca?

- Zostawiłaś ją samą? - zaniepokoiła się Zośka, kiedy zauważyła mnie wchodzącą do holu. Już były po swoich zajęciach i oddały się ulubionej ostatnio zabawie w ściganego.

- Zaczekałam, aż zaśnie i okryłam kocem. Teraz śpi - przypominałam sobie, jak koleżanki z pokoju nie zostawiały mnie samej sobie i zawsze któraś była przy mnie, a nie było przecież ze mną tak źle. Może powinnam z nią zostać?

- Pójdę do niej - Zosia próbowała wydostać się z kanapy.

- Nie, dajmy jej spokój. Śpi - uspokoila ją jednak. Przecież gdybym wiedziała, że nie mogę zostawiać jej samej, nie ruszyłabym się z mojego punktu obserwacyjnego. A teraz nie powinny się rozpraszać, bo ściganie po korytarzach pałacu podziało i Jurek grał z nimi w remika. Gdyby Zośka zrezygnowała, mogłoby być ich za mało i misterny plan diabli by wzięli. Poprzyglądałam się troszkę, jak Renia na zmianę z Zosią bezczelnie zaglądają Jurkowi w karty, a ten cały czas udaje, że tego nie widzi.

- Oj, teraz wam pokażę, rozbiję tę szulernię z trzydzieści pięć - wydawać by się mogło, że tylko odgrażał się ze śmiechem, ale po chwili rzeczywiście rozłożył wszystkie karty na stole i klasnął z uciechy. - No i jak podglądasz, Zośka?

- Ja miałabym podglądać? Ja? - zrobiła wielkie, niewinne oczy. - Nie śmiałabym. Jestem uczciwa do szpiku

kości - i zatrzepotała perfekcyjnie wytuszowanymi długimi rzęsami. Ja prawie dałam się nabrać i odniosłam wrażenie, że Jurek też.

- Już się boję - westchnął z uśmiechem mimo to. A Magda znów siedziała jak trusia, tyle tylko, że

sprytnie odkryła dekolt, bardzo ładny zresztą. Nie miałam pojęcia, jaka to rażąca broń. Może czegoś się od nich jednak nauczę? Kazałyśmy jej od czasu do czasu łapać spojrzenie Jurka, ale przy takiej ekspozycji było to raczej dość trudne. Magda - dość pulchna, apetyczna kobieta o śniadej cerze przyciągała spojrzenia mężczyzn, tylko zwykle tych, na których specjalnie jej nie zależało. Jeszcze parę dni wstecz łąził za nią pewien Włodek, co nie do końca się jej podobało. Ale z asertywnymi zachowaniami rzeczywiście ma problemy i nie wiedziała, jak się od niego uwolnić. A zwykle powiedzenie prawdy, że toleruje wyłącznie facetów, za którymi ciągnie się zapach dobrych kosmetyków, po prostu nie mieściło się jej w głowie. Więc ciągnął się za nią ów Włodek i doprowadzał do szewskiej pasji.

- No, dziewczyny, zaraz obiad - Jurek uniósł się z krzesła. - Trzeba iść po narzędzia do pracy. Co dziś jemy?

- Zupa porowa, a na drugie mielony z sosem, kaszą i buraczkami - wyrecytowała zawsze dobrze zorientowana w tej kwestii Zosia. A na obzartucha nie wyglądała. Szczupła i gibka wbiegała na schody, przeskakując po dwa stopnie. Co ją tak nosi? Poszłyśmy za nią do pokoju. Kaśka wciąż spała, tylko już nie taka skulona. Poprawiłam jej koc i spojrzałam pytająco na współlokatorki.

- Budzić ją?

- No raczej. Wygląda, jakby dawno nie jadła - Zośka nigdy nie rozumiała, jak można nie pójść na posiłek do stołówki i nie dojadać jeszcze w międzyczasie. Siadłam na łóżku obok dziewczyny, ale była tak delikatna, że bałam się jej dotykać.

- Kasiu - lekko dotknęłam jednak ramienia. Nie reagowała, więc odgarnęłam jej włosy z twarzy i pogłaskałam po policzku. - Kasiu, trzeba iść na obiad.

Otworzyła oczy, lecz nie podnosiła wzroku. Leżała bez ruchu i nawet nie wiem, czy mnie słyszała. Wyjęłam z jej szufladki sztucce i kubek. Nadal nie reagowała. Tak jak lekko ją położyłam, teraz z powrotem posadziłam na łóżku. Nałożyłam jej kapcie na nogi i spojrzałam na koleżanki. Stały i przyglądały się tej scenie bez słowa, tylko Magdzie jakoś dziwnie zwilgotniały oczy.

- No, chodź Kasiu. Pójdę z tobą - wzięłam ją za rękę i pociągnęłam do pionu. Wtedy dopiero na mnie spojrzała i może nawet dostrzegła. Zosia szybko wzięła z moich rąk komplety narzędzi do jedzenia, żebym sama mogła zająć się naszą nową towarzyszką. Słysimy cichym orszakiem i żadna z nas nie wiedziała, jak się zachowywać. Na błaznowanie jakoś nie było nastroju, a nie chciałyśmy też niepotrzebnie dodawać powagi i tak już poważnemu zachowaniu. Wyglądałyśmy jak kondukt żałobny.

- Renatka, idź proszę i załatw, żebym mogła z nią siedzieć przy jednym stoliku - poprosiłam przejętą Renię.

- Dobra - wyrwała się do przodu, żeby nie uczestniczyć w tym pochodzie.

- Idę z tobą - Zośka szybko ją dogoniła.

Na korytarzu nie było już prawie nikogo, wszyscy stali pod stołówką. Kiedy rozległ się gong zwołujący na posiłek, Kaśka nagle jakby się ocknęła. Znów spojrzała na mnie i na moją dłoń, w której trzymałam jej drobną jak witka rękę. Kiedy przechodziłyśmy obok ławki płaczu, siadła na niej.

- Tylko na chwilę - cicho powiedziała. - Muszę odpocząć.

- Dobrze, w końcu nikt nas nie goni.

Siadłam obok niej i zauważyłam siostrę oddziałową, która stała w drzwiach dyżurki i przyglądała się nam zatroskana. Lubiłam ją bardzo. Była miła, pogodna i często się uśmiechała, jak zresztą wszystkie siostry. Oddziałową jednak lubiłam szczególnie. Może dlatego, że kiedy sama przyszłam tu wystraszona i zagubiona, poleciła mnie opiece najlepszej, jaką mogła tu znaleźć. Wiedziała, że lokatorki dobrze się mną zajmą. Pewnie na to samo liczyła w przypadku Kaśki. Zrobię wszystko, żeby jej nie zawieść.

- Chodźmy Kasiu, bo zupa nam wystygnie - podniosłam ją z ławki.

Kiedy weszliśmy na stołówkę, nikt specjalnie się nam nie przyglądał. Osobny stół był już przygotowany i Zośka z końca sali wskazywała w jego stronę. Posadziłam Kasię naprzeciwko, tak żeby miała widok na przepiękny jadalniany kredens. Ja się już na niego napatrzyłam. Zaczęłam jeść.

- Kaśka, zjedz choć trochę - namawiałam. Wzięła do ręki łyżkę i powoli zaczęła jeść. Bardzo

powoli. Tak skupiłam się na obserwowaniu jej, że nawet nie wiem, kiedy zjadłam swoją zupę, a zapomniałam, że za porową nie przepadam. Kaśka po kilku łyżkach miała dosyć.

- Już nie chcesz?

- Nie lubię porowej - westchnęła i spojrzała przeproszająco.

- No, zobacz, jaki zbieg okoliczności! Też za nią nie przepadam. Tylko się skupiłam na tym, żebyś ty trochę zjadła i teraz widzisz. Musisz jeść, bo jak tak dalej pójdzie, nie wleżę nawet w dres - próbowałam żartować. - Pójdę po drugie.

Drugie danie też jej zbyt mało wchodziło, ale dłużyła trochę w talerzu. Kiedy poszłam nalać nam kom-

potu, w drzwiach znów zauważyłam siostrę oddziałową. I tym razem się nam przyglądała. Kiedy spojrzałam na nią, uśmiechnęła się z wyraźnym zadowoleniem. Po obiedzie sama obmyłam dwa komplety sztućców, które zaraz capnęła mi Zośka.

- Ty idź z nią po leki na dyżurkę - przypomniała mi. I słusznie, bo sama nie biorę ich o tej porze i nawet bym o tym nie pomyślała.

Trzymając się cały czas za rękę, dreptałyśmy do dyżurki. Próbowałam ją zagadywać, ale raczej tylko po to, żeby nie wyglądała jak prowadzony za rękę manekin. Przy tacy z lekami czekała siostra oddziałowa z kubkiem leków Kaśki. - Boże mój... pomyślałam - to może ona dlatego tak mało je, żeby zostawić sobie miejsce na garść prochów?

- To wszystko dla niej? - musiałam mieć niezłe zdziwioną minę, bo siostra znów się uśmiechnęła.

- No, niestety - westchnęła - na razie jeszcze tyle. Ale spokojnie, nie wszystkie są na nerwy.

Kaśka grzecznie wzięła leki, połknęła przy oddziałowej i popiła wodą.

- Dziękuję - szepnęła.

- Na zdrowie dziecko, na zdrowie.

Wzięłam ją znów za rękę i skierowałyśmy się do drzwi. Odwróciłam się jeszcze, a siostra bezgłośnie, ale wyraźnie powiedziała do mnie:

- Dziękuję ci, kochana.

I tak stałam się nieoficjalną opiekunką nowo przybyłej Kaśki i dopiero dużo później miało się okazać, że ta opieka działała w dwie strony.

Przez pierwsze dni Kasia dużo spała, a jeśli nawet nie, to leżała na łóżku, patrząc w sufit. Nie miałam pojęcia, jak ją rozruszać. Najchętniej wzięłabym ją na przebieżkę, ale była taka słaba, że ledwo chodziła. Więc

ustaliłyśmy, że kiedy inne dziewczyny nie miały terapii, siedziały z Kaśką, a ja szłam biegać. Później, kiedy one zajmowały się gonieniem króliczka, ja próbowałam zajmować się Kaśką. Gdy wracałam za którymś razem, zatrzymała mnie na schodach siostra oddziałowa.

- Pani Różo, może panie zajrzeć na chwilę do ordynatora? - chwyciła mnie delikatnie za ramię.

- Coś narozrabiałam? - wystraszyłam się. Może widział z okna, jak wchodzę na łód na jeziorze, a wyraźnie tego zabraniał.

- Nie, skąd - machnęła ręką z uśmiechem - chciał tylko z panią porozmawiać.

- Dobrze, tylko się przebiorę - miałam nadzieję odwlec tę chwilę, bo choć ordynator to bardzo miły człowiek, obawiałam się, że rozmowa może mieć charakter dyscyplinujący. Czasami zdarzało mi się wchodzić na łód, a okna jego gabinetu wychodzą na jezioro. Mogło się zdarzyć, że był świadkiem tych eskapad.

- Nie, niech panie idzie teraz. Póki jeszcze jest u siebie.

Porozpinałam założone jedna na drugą kurtki, ściągnęłam czapkę i okulary słoneczne i poszłam posłusznie do pokoju z piękną szafą biblioteczną, gdzie zwykle pacjenci czekali na wejście do ordynatora. Zapukałam.

- Proszę, proszę - rozległ się przyjacielski głos doktora.

- Dzień dobry - uśmiechałam się od progu. - Chciał mnie pan ordynator widzieć.

- Tak. Jak tylko zobaczyłem panią na wałach, prosiłem siostrę, żeby się na panią zaczęła - uśmiechnął się zadowolony ze swobodnego języka, często się tak odzywał, przez co świetnie się z nim rozmawiało.

- Proszę się rozgościć i zdjąć te kurtki, bo mi tu pani wyparuje.

Zdjęłam warstwy ciuchowej cebuli i siadłam na kanapie. Siadł w fotelu naprzeciwko.

- Pani Rózo, robię coś, czego nie zwykłem robić, ale prosił mnie o to ojciec Kasi - zaczął niezbyt dla mnie zrozumiale. - Otóż siostra oddziałowa opowiadała mi, jak wspaniale zajęła się pani Kasią. Mówiłem o tym ojcu, bo dzwoni tu każdego dnia - wziął do ręki miseczkę z cukierkami i podetknął mi pod nos. -Cukiereczka?

- Nie, dziękuję - nadal nie rozumiałam jego intencji. -I co z tym ojcem Kasi?

- Upoważnił mnie do tego, żeby opowiedzieć pani historię córki, bo sam nie mógłby jeszcze tego zrobić. Też nie czuje się najlepiej, a bardzo zależy mu na powrocie do zdrowia jedyne dziecko.

Coraz bardziej ciekawiło mnie, co doktor chce mi powiedzieć. Dlaczego właśnie mnie? I nieco się uspokoiłam, że nie chodzi o moją niesubordynację. Umościłam się wygodniej.

- Kasia jest jedynaczką. Bardzo kochała rodziców, a oni ją. Miała udane dzieciństwo i duszę artystki... zupełnie jak pani - spojrzałam na niego zdziwiona.

Skąd to wie? Podawałam wykształcenie i zawód... ale wyuczony. Od kiedy ekonomista jest artystą? No, czasami musi być, najczęściej artystą cyrkowym. O, iluzjonistą na przykład. Nikomu nie mówiłam o mojej galerii, więc tym bardziej nie rozumiałam.

- Jesienią, kiedy warunki na drogach nie były już najlepsze, Kaśka miała wypadek samochodowy. Jakiś nieodpowiedzialny nastolatek bez prawa jazdy z jeszcze głupszym rodzicem u boku wpadł w poślizg i zahaczył o auto Kasi. Na śliskiej drodze już go nie opanowała. Uderzyła w drzewo - przerwał.

- Ale nic się jej nie stało?

- Nie. Miała tylko guza - pokazał miejsce na głowie, gdzie Kasia przez długi czas miała śliwę. - Ale jej mama zginęła na miejscu.

- Boże mój - jęknęłam. Teraz już wiem, co gryzie to biedne dziecko. - Boże mój, jakie to straszne - zakryłam oczy dłońmi. Nawet nie chciałam myśleć, co czuła, tracąc matkę, choć sama straciłam całą rodzinę naraz.

- Najgorsze jest to, że całą winę przypisała sobie. Wciąż powtarzała, że to wszystko przez nią - zamyślił się na chwilę, a potem zaczął mówić dalej: - Dość długo była w innym szpitalu na oddziale zamkniętym, było z nią kiepsko. Ojciec zrobił wszystko, żeby przenieść ją do nas, bo dłuższe przebywanie w zamknięciu nic by już nie pomogło. Potrzebni jej byli serdeczni ludzie, a nie leki. Obawialiśmy się jednak, że nasz sposób funkcjonowania nie pozwoli nam zaopiekować się Kasią. No i trafiła się pani - uśmiechnął się.

- Lubię to biedne dziecko - przyznałam - i chyba wiem, jak może się czuć.

- Tak, wiem. Umieszczając panią w kompanii w trzydzieści pięć, też mieliśmy nadzieję, że koleżanki się panią zajmą. To stałe pensjonariuszki, znam je i wiedziałem, jaki będą miały na panią wpływ.

No tak, wszystko jest tu skrupulatnie planowane. Nieprzypadkiem znalazłam się pomiędzy tymi wariatkami. Jakim świetnym obserwatorem trzeba być, by tak połączyć nieszczęścia, żeby wytworzyć uzdrawiający klimat. A wśród nerwusów to musi być wyjątkowo trudne.

- I? - spojrzałam pytająco na ordynatora.

- Chciałem prosić, żeby zajmowała się nią pani nadal - kontynuował. - Ona potrzebuje kogoś takiego.

- To się rozumie samo przez się. Nie musiał mi pan tego mówić - wzruszyłam ramionami na znak, że nie mówi niczego odkrywczego. - Myślałam, że chodzi o coś jeszcze.

- Nie, pani Rózo, chciałem tylko opowiedzieć pani jej historię - pokiwał głową uspokajająco.

- Może pan na mnie liczyć - sprawnie pozbierałam kurtki i wstałam z kanapy. Rada byłam, że udało mi się wykręcić bez reprimendy... może nie widział moich spacerów. Skierowałam się do drzwi i nagle w drzwiach usłyszałam:

- I niech już pani nie chodzi po jeziorze - widziałam kątem oka, jak śmieje się całym sobą. - Lód zaczyna być kruchy, a ja, choć jestem wierzący, to jeszcze cudu chodzenia po wodzie tu nie widziałem.

- Nie będę, przepraszam - bąknęłam i pospiesznie zamknęłam za sobą drzwi. Pomyślałam, że jednak ma oczy dookoła głowy i wie wszystko. Oj, trzeba będzie bardziej uważać. Nie powiedziałam mu jednak, że uwielbiam te spacer, bo na lodzie nie spotkam się z żadnymi kwiatkami, a w lesie zaczynam się już tego lekko obawiać. Jeszcze weźmie mnie za wariatkę!

Idąc schodami na górę, zaczęłam się zastanawiać, czy moje pojawienie się tu też było nieprzypadkowe. Ale to musiałyby być niezły spisek. Tak knuć mogłaby tylko Lilia, ale nie w sytuacji, kiedy mogłaby mi w czymś pomóc. A czułam, że z dnia na dzień jestem zdrowsza i coraz pogodniej patrzę na świat. Zdałam sobie tutaj sprawę, że moje problemy nie są tak straszne, w końcu mam teraz w miarę udane życie. Niemal każdy przeżył jakiś dramat i żyje, czując czasem drzazgę w sercu. Cóż więc mój osobisty dramat znaczy? Nie jestem jednak jedyna. Żyję, nic mi nie zagraża i powrotu do zdrowia jestem już pewna, bo każdego dnia coraz częściej myślę o wujostwie, Gercie i naszej galerii. A drzazga w sercu? Może kiedyś sama wyjdzie.

Po śniadaniu, kiedy szłyśmy z Kaśką po leki, przy klatce z papugami zobaczyłam Marka. Stał cały szczęśliwy i jak zwykle gadał do swojej ulubienicy. Ktoś inny wyprowadzał z męskiego pokoju panią Stasię, bo

znów pomyliła drzwi. Ma okropną sklerozę i ciągle myli stołówki, pokoje czy nawet łóżka. O łazienkach nie wspomnę. Panowie już ją jednak tolerują, nic ich nie dziwi i grzecznie podprowadzają ją do pokoju.

- Coś mi się wydaje, że ona robi to specjalnie - Magda mrugnęła okiem.

- Dlaczego tak myślisz? - spytałam, idąc po schodach pod rękę z Kaśką.

- No bo zobacz - przystanąła przy witrażu. - Jak dietetycy mają kiepski posiłek, to przychodzi na normalną stołówkę. Jak mają lepszy niż my, to jakoś nigdy się nie pomyli.

- Ty, Madzia - Renata aż siadła na ławce - ty ściągnij od niej ten patent z pokojami. Tak na niby się pomył i właduj się do pokoju Jurka - i parsknęła śmiechem na widok miny Madzi, która już ważyła w myślach podsunięty pomysł.

- No i pamiętaj, żeby trafić do właściwego łóżka, a nie do tego sklerotyka pana Romka - Zosia miała bardzo rozbawioną minę i nawet zdawało mi się, że Kaśka też przysłuchiwała się temu bezmyślnemu paplaniu.

- On pewnie i tak by nie zajarzył, po co tam wlażał - Zosia machnęła ręką.

- O nie, moje drogie - Magda nagle ocknęła się z rozmyślań i poważnie zabrała głos. - Tego faceci nigdy nie zapominają. Myślą o tym do samego końca, tylko organizmy ich już nie słuchają.

- Chciałaś chyba powiedzieć, że organy nie domagają - poprawiła ją Rena.

- Nie stają - poprawiła Zosia.

- Zosia! - spojrzałam na nią zdumiona.

- Co? - oburzyła się. - Może nie mam racji?

I wtedy po raz pierwszy zobaczyłyśmy, jak Kasia się uśmiecha. Nieśmiało, pod nosem, ale z całą pewnością był to uśmiech.

- Boże mój... dziecko mi zgorszycie - oburzyłam się w żartach i cmoknęłam Kasię w czoło. Spojrzała mi wtedy w oczy i po policzkach popłynęły jej łzy. Przytuliłam ją do siebie, a dziewczyny patrzyły na tę scenę oniemiałe. Nie wiedziałyśmy, co się dzieje, ale z całą pewnością działo się coś pozytywnego.

- Mówiłam? Mówiłam? - Zosia stanęła i podparła się pod boki. - To wszystko przez tę ławkę płaczu

- zauważyłam, że pod długimi rzęsami Zośki kryją się załzawione oczy i delikatne nawet mrugnięcie wypuści spod powiek wielkie krople. - Kasia, ławka jest twoja. Czasem dobrze sobie poryczeć. Jak chcesz, mogę dotrzymać ci towarzystwa, mam wprawę - i dodała ciszej:

- Też sobie lubię popłakać.

- To akurat wiemy - Renata wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się ciepło do Zośki.

- Jeszcze? - zdziwiła się Magda.

- Tak od czasu do czasu, dla towarzystwa, to mogę.

- Samej tak jakoś przykro. Ja w końcu wiem to najlepiej.

Odsapnęłyśmy chwilę na ławce płaczu, gapiąc się w witraż, i poczłapałyśmy do pokoju. Już na samej górze przy drzwiach Zosia jeszcze radziła:

- Ale o tych pokojach to pomyśl - mówiła jakby do siebie - to niegłupie jest. Potem zwalisz na Alzheimerera. Ten złośliwy Niemiec wciąż coś komuś chowa i miesza.

- Jak to Niemiec - westchnęła Renia.

Po obiedzie troszkę się zdrzemnęłyśmy, bo miałam plan wyciągnięcia Kasi na spacer. Nie na przebieżkę, na to jeszcze tak szybko nie będzie gotowa, ale na krótki spacer wałami, nad jeziorem, to i owszem. Popołudnie było przepiękne, białe i słoneczne, z lekkim tylko mrozikiem. Kiedy się obudziłyśmy, słońce nadal pięknie świeciło. Obiad podają tu w samo południe. Nie można zmarnować takiej pogody, przynajmniej mnie prędzej pękłoby serce, gdybym teraz miała grać w karty albo

plotkować w holu. Ale każdy ma swoje hobby i nic na to nie poradzisz. Jakiegoś świra trzeba w końcu mieć, oprócz tego, z którego powodu tu się znaleźliśmy. Wyjęłam z szafy kurtki swoje i Kaśki, czapki, rękawiczki i słoneczne okulary, bez nich dziś ani rusz. Kasia patrzyła na mnie, już chyba rozumiejąc moje intencje.

- Kasia, idziemy na spacer - próbowałam przekupić ją uśmiechem, ale powiedziałam to tonem niepodlegającym dyskusji. - Nie odmawiaj mi, bo i tak zabiorę cię siłą.

- Lepiej Kaśka idź - Zosia machnęła ręką - bo jak Róża się zawezmie, to nic nie poradzisz!

Nie wiedziałam, skąd u Zosi takie przypuszczenie, ale zabrzmiało niczym groźba i może dlatego Kasia bez najmniejszego oporu zaczęła się ubierać i szło jej to dużo sprawniej niż mnie. Odetchnęłam. Już najwyższy czas, żeby wyjść z tych murów. Kiedy schodziłyśmy po schodach do frontowego wyjścia, siostra oddziałowa stała w drzwiach dyżurki i miała bardzo zdziwioną minę. Przed wyjściem włożyłyśmy słoneczne okulary i zaraz po pchnięciu ciężkich drzwi uderzyły nas ostre promienie słońca. Wysokie albedo potęgował okrywający wszystko biały puch, który ostatniej nocy spadł z nieba, robiąc zimowe porządki. Wszystko, co już zdążyło stopnieć i nieco się zbrudzić, teraz znów raz było olśniewającą bielą.

- Chodź, pokażę ci piękny widok - wzięłam ją za rękę i poprowadziłam w stronę wału nad jeziorem. Wiedziałam, że nasz spacer nie może być za długi, bo to chyba pierwszy spacer Kaśki od bardzo długiego czasu. Na wał lekko ciągnęłam ją za sobą, bo czułam, że była jeszcze bardzo słaba. Stanęłyśmy na szczycie. Przed nami roztaczała się wielka płaszczyzna skutego lodem jeziora. Gdzieś wędkarze stali przy przeręblach i łowili ryby. A może tylko usiłowali. Może to ich spo-

sób na uspokojenie nerwów? W każdym razie robili to dość wytrwale. Lekki wiatr kołysał zeschniętymi pióropuszcami traw i muskał nas po nakremowanych policzkach. Odetchnęłam głęboko, nabierając w płuca pachnące świeżością powietrze. Świeżością ze znaczną domieszką aromatów prosto z obór. Jednak zapach ten nie był przykry. Tak w końcu pachnie wieś.

- Pięknie tu - nagle usłyszałam za sobą. - Jakby stwórca posypał świat cukrem pudrem - westchnęła Kaśka i zaraz dodała: - Zjadłabym szarlotkę z cynamonem na ciepło posypaną cukrem pudrem... i z bitą śmietaną - dodała z tęsknym westchnieniem.

Nie miałam pojęcia, jak zareagować. Dotąd się niemal nie odzywała, a tu taki wykład. Natychmiast przestałam myśleć o unoszącym się w powietrzu zapachu obornika.

- Nic się nie bój, coś zorganizujemy - powiedziałam, jak tylko ocknęłam się z zaskoczenia. - Właściwie, też bym zjadła - zatęskniłam do ciocinej szarlotki.

I nagle miałam w głowie gotowy plan. Tak bardzo ucieszyłam się z przebudzenia Kaśki, że wydrapałabym tę szarlotkę spod śniegu. Tkwiła w zamroczeniu smutkiem tak długo, że jej ocknięcie przypominało niemal przebudzenie królowny Śnieżki. Mój plan miał jednak związek z siostrzeńcem i szarlotką, bez przebudzających pocałunków, ale musiałabym najpierw zdradzić mu mój zamysł. Może się uda, w końcu miał przerwę po sesji, a gdyby nawet nie, to na ostatnim roku nie miał już za wiele roboty i obiecywał, że jakbym czegoś potrzebowała, to mam mu tylko dać znać. Poszłyśmy kawałek wałem, ale wiedziałam, że nie ma co się dalej zapuszczać, bo musiałabym ją przynieść do pałacu na rękach albo ciągnąć za nogi po śniegu, bo sama też nie byłam gigantem. Tyle tylko, że bieganie nieco mnie już wzmocniło.

Kiedy wracałyśmy po kilkuminutowym spacerku, w oknie gabinetu zobaczyłam ordynatora. Stał i nawet

nie krył się za firanką. Kiedy zwróciłam się w jego stronę, bezceremonialnie pokiwał mi ręką. Odkiwnęłam. Byłam bardzo dumna, że udało mi się wyciągnąć to kruche dziewczętko na powietrze. Po powrocie sama nie wiedziałam, która z nas była bardziej zmęczona. Ja padłam na łóżku i usnęłam w opakowaniu, a tymczasem Kaśka zdjęła kurtkę i całą resztę spacerowych ciuchów, potem siadła do stołu, co wprawilo w zdumienie resztę lokatorek. Kiedy się przebudziłam, na moim stoliku nocnym leżał przepiękny szaro-biały pejzaż jeziora otoczonego suchymi badyłami tataraków i innych traw, z wędkarzami na łodzi i dwiema stojącymi na wale postaciami, trzymającymi się za ręce. Piękny.

SZARLOTKA NA CIEPŁO

Przez następny dzień zastanawiałam się, jak załatwić tę ciepłą szarlotkę, a im więcej myślałam, tym większą miałam na nią ochotę. Ciocia Ula często robiła strudel z jabłkami, taki, jaki lubił wujek Johan. Czasami tylko piekła szarlotkę, którą się zajadałyśmy. Dlatego właśnie musiała piec ją zdecydowanie rzadziej, bo bez lodów i bitej śmietany nie sposób jej przecieź jeść. A skutki tego bywały opłakane, zwłaszcza kiedy próbowałam wchodzić w ulubione spodnie. Zwykle te próby przywoływały mnie do porządku i rozsądku.

Miałam plan, żeby zadzwonić do Maurycego, nie byłam jednak pewna, jak to odbierze. Na szczęście nie musiałam zbyt długo nad tym myśleć, bo Maurycy, jakby ściągnięty przeze mnie telepatycznie, wkrótce mnie odwiedził.

- Jak dobrze, że jesteś - tym razem to ja niemal uwiesiłam się siostrzeńcowi na szyi, co niezmiernie go zdziwiło.

- Miło mi, że się ciocia tak cieszy - przyznał wielce zaskoczony. - Czyżbym tym razem mógł coś dla cioci zrobić?

- Tak, Maurycy. Zabierz nas na ciepłą szarlotkę - powiedziałam bez zbędnych ceregieli. Stał zaskoczony i patrzył na mnie, ni to się uśmiechając, ni powątpiewając. Pewnie za bardzo na niego z tym pomysłem naskoczyłam. A może obawiał się zabrać ze szpitala ciotkę wariatkę?

- A dokąd? - zreflektował się w końcu.

- To już ty chyba lepiej znasz tę okolicę - wzruszyłam ramionami. Pojęcia nie miałam, dokąd można wybrać się na ten frykas. Wiem, że na wsi jest piekarnia

i pieką tam też ciasta. Widziałam nawet małe, okrągłe szarlotki w witrynie sklepowej, ale nie podają ich na ciepło i na pewno nie z bitą śmietaną.

- Nie ma sprawy - zgodził się bez wahania. - W ile osób jedziemy, bo powiedziałaś ciociu, nas?

- Wezmę jeszcze tylko jedną małą zbląkaną duszę. Zgoda?

- Małą, zbląkaną - powtórzył po mnie. - To czekam przy aucie - był wyraźnie zadowolony z takiego obrotu sprawy. Ja też. I nie tylko dlatego, że znalazłam podwózkę na ciacho, ale też sposób na przełamanie niechęci do siostrzeńca. Kruszę lody. Wpadłam do pokoju i doskoczyłam do szafy. Zaczęłam wyjmować kurtki i czapki, a Kaśka już wiedziała, o co chodzi. Bez słowa zaczęła przebierać, które jej, a które moje.

- Dalej Kachna, mam niespodziankę - pospieszałam ją.

- Jaką? - zaczęła wkładać na siebie przygotowane rzeczy.

- Jak ci powiem, to już nie będzie niespodzianki -zaśmiałam się chytrze.

Ubrałyśmy się dość szybko i sprawnie zeszłyśmy po schodach. Weszłam do dyżurki i choć ze szpitala można było bez żadnych problemów wychodzić, to jednak jeszcze nigdy nie brałam na przejażdżkę podopiecznej. Spytałam, czy mogę ją wziąć na ciepłą szarlotkę. Siostra tylko się uśmiechnęła i powiedziała, gdzie w okolicy podają najlepszą.

- Chodź dziecko - capnęłam zdziwione dziewcząt-ko za rękę. - Jedziemy.

- Jedziemy? Dokąd?

- Zobaczysz - i pociągnęłam ją w stronę samochodu, przy którym czekał na nas Maurycy. - Jedziemy na szarlotkę. Masz jeszcze na nią ochotę, czy już ci przeszło?

- Nie przeszło - uśmiechnęła się Kasia, ale podejrzliwie spoglądała na Maurycego.

- To Maurycy, mój siostrzeniec - wskazałam na zdziwionego młodzieńca - a to Kaśka, moje dziewcząt-ko. Znaczy, najmłodsza koleżanka.

Maurycy podał jej rękę, otworzył drzwi z tyłu auta, mnie z przodu, po czym szybko obiegnął dookoła i grzotnął w śnieg, czym wywołał u mnie atak śmiechu. Otrzeptał się i nieco zdeprymowany siadł za kierownicą.

- Zapnijcie dziewczyny pasy - przypomniał, a ja natychmiast dostrzegłam, że Kaśka posmutniała.

Na szarlotkę zawiózł nas na drugą stronę jeziora i zgodnie z tym, co mówiła siostra, była przepyszna. Przyjemna knajpka w ośrodku wypoczynkowym z ogniem w kominku i cichą muzyką kusiła pacjentów szpitala. Od czasu do czasu ktoś urywał się na deser, dobrą kawę czy kolację. Maurycy ukradkiem przyglądał się nieco smutnej Kasi, ale widziałam, że robił to dość często. Kasia milczała, tylko na koniec cicho podziękowała i powiedziała, że dawno już nie jadła tak dobrej szarlotki. Maurycy cieszył się ze spotkania... ja zresztą też. Obcy dotąd siostrzeniec stawał mi się coraz bliższy. Jeszcze wtedy nie miałam pojęcia, co spowodowało taką eksplozję uczuć u syna mojej przebiegłej siostry, ale rada byłam, że do tego doszło.

*

Zaczęłam się już martwić, bo coraz cieplejsze dni zapowiadały nieodwracalnie nadejście wiosny. Wszyscy się cieszyli, tylko mnie nie było do śmiechu. Do palmiarni zaglądałam już bez większych oporów, ale na szczęście tam nic nie zapowiadało rychłego przebudzenia i żadnemu zielonemu potworowi na kwitnięcie się nie miało. To jeszcze mogłam ścierpieć. Każda z nas miała

swoje zajęcia. Magda śledziła nowych i ściągała składki, Renata bacznie obserwowała życie pałacowe, Zosia ściagała Jurka i próbowała wyswatać go Madzi. A Kasia? Kiedy siostra od terapii zajęciowej zobaczyła obrazek namalowany przez Kasię, chodziła za nią tak długo, aż ta zgodziła się przyjść do pracowni. Kasia bardzo chciała, żebym chodziła razem z nią, ale terapia zajęciowa była świetnym pretekstem, żeby ją trochę ode mnie oderwać. Mnie zwykle w tym czasie dopadała psycholożka Agata. Tym razem nie było inaczej.

- Oj, Róża... znów się nasłuchasz jak koza grzmotu - uzalała się nade mną Zosia, ale wcale tego tak nie postrzegałam i chętnie chodziłam do Agaty na zieloną herbatę. Po drodze zastanawiałam się jednak, co znaczyło to określenie. Pluszowa kanapa, podkulone nogi... tak można było rozmawiać. Już od progu spytałam o to Agatę.

- Wiesz... - stanęła jak zamurowana z czajnikiem w ręku. - To takie słuchanie bez zrozumienia. Słuchasz. .. a i tak nic nie wiesz, o co chodzi.

- O, często widzę to podczas kazań w kościele - zaśmiałam się na wspomnienie wiernych, którzy wpatrują się w księdza i albo myślą już o niedzielnym obiedzie i nie zaprzatają sobie głowy tym, co mówi pleban, albo rzeczywiście nic z tego nie pojmują.

- O, właśnie - zastukała kubkami, przygotowując napój. O tym, że być może Zośka też tak jej słucha... nie wspomniałam. Ja rozumiem ją doskonale i mam cichą nadzieję, że podczas naszych rozmów nie prezentuję tak głupiego wyrazu twarzy. - Róża, świetnie ci idzie z Kasią - z uznaniem kiwała głową psycholożka, podając mi wreszcie do ręki kubek. Pięknie pachniała ta herbata... jaśminem. I ta myśl bardzo mnie zdziwiła. Agata natychmiast to wyłowiła. - Coś nie tak?

- To jaśminowa herbata, prawda? - spytałam.

- Tak, zapomniałam, że zapachu kwiatów też nie lubisz - spojrzała przeprasząco, ale mnie się mocno wydawało, że było to jak najbardziej zamierzone.

- No i właśnie to jest dziwne - sama nie wierzyłam w to, co mówię. - Wcale nie jest mi ten zapach przykry. To chyba dobry znak, co?

- Może mogłybyśmy zabrać się do tej twojej fobii? - łypnęła na mnie okiem. - Jesteś tu co prawda z powodu zaburzeń adaptacyjnych wskutek silnego stresu... ale wiosna za pasem - uśmiechała się znacząco. - Chyba nie przesiedzisz jej w pałacu? Musiałabyś zostać tu do zimy.

- Tak długo nie mogę - pokręciłam głową.

- No i skoro już tu jesteś - patrzyła na mnie wyczekująco - co ty na to?

- Co zrobimy? Będziesz mi kazała rysować kwiatki? - nie miałam pojęcia, jak miałyby wyglądać terapia, ale na samą myśl o niej ciarki przeszły mi po plecach. Agata chyba to zauważyła.

- No co ty! - zaśmiała się. - Ale skoro twierdzisz, że nie przeszkadza ci zapach jaśminu, to mam dla ciebie zadanie na jutro.

- Już jutro? Jakże? - zaintrygowała mnie i postanowiłam udawać dzielną.

- Za piekarnią jest mała kwiaciarnia - zaczęła, a mnie na samo to słowo otrząsnęło. Tego się nie spodziewałam. - Wiesz gdzie?

- Niby wiem, ale za bardzo mnie tam nie ciągnie.

- No właśnie - klasnęła w dłonie. - I na tym polega twoje zadanie. Idź tam, wcale nie musisz iść sama, i sprawdź, czy mają już jakieś wiosenne kwiatki. Wiesz, prymulki, hiacynty i takie tam.

- To wszystko? - zdziwiłam się, bo zadanie nie wydało mi się nie do zrealizowania. Ale całą frajdę z picia zielonej herbaty pachnącej jaśminem diabli wzięli. Trudno. W końcu jestem tu po to, żeby się leczyć.

Pójdę tam z Kasią. Jej dobrze zrobi spacer, a ja nie będę się tak bała. Tyle tylko, że będę musiała się wreszcie przyznać do swojego dziwactwa, a to może okazać się nie tak proste. A może nawet najtrudniejsze w tym zadaniu, bo może się okazać, że koleżanki wezmą mnie za... wariatkę.

PIERWSZE STARCIE

Dziś po południu ostatnia zabawa. Potem już Popielec i Wielki Post. Ordynator nie zgodzi się na dodatkowe balety. Magda wiedziała, że to może być jedna z ostatnich szans, którą musi wykorzystać, jeśli chce się jeszcze poprzytulać do Jurka. Kto wie, jak Jurek postrzega post? Może jest ortodoksyjny i w tym czasie się nie bawi? Więc przygotowania do meczu ostatniej szansy były bardzo gorące. Magda uwijała się jak w ukropie i nawet nie chciała słyszeć o spacerze do kwiaciarni.

- Żadna ze mną nie pójdzie? - zapytałam już nieco spanikowana.

- Co chcesz kupić? - Zosia patrzyła na stosy równo ułożonych ubrań i nie była zbytnio zainteresowana moją propozycją.

- Nic. Muszę tylko tam iść - westchnęłam cicho z przekonaniem, że właśnie nadchodzi chwila prawdy. Teraz będę się musiała przyznać do moich irracjonalnych lęków.

- Po co?

- Chciałam zobaczyć, jakie wiosenne kwiatki ma pani w sprzedaży - jeszcze lawirowałam.

- Sztuczne - szybko odpowiedziała Renata, nie odrywając wzroku od lustra. Kiedy się ruszy, już nie dopcha się tam z powrotem. - Ale całkiem ładne i niedrogie. Cięte takie sobie, chyba że na zamówienie.

Siadłam ciężko na łóżku, aż skrzypnęły nadwyrężone sprężyny. Podkuliłam nogi pod brodę i oparłam głowę na kolanach. Zupełnie jak Kaśka, kiedy do nas przyszła. Renata natychmiast opuściła szczoteczkę do malowania rzęs i spojrzała na mnie z niepokojem.

- O co chodzi, Róża? - natychmiast spostrzegła moje obawy. - Mów jak na spowiedzi.

- Bo ja się boję... kwiatów - westchnęłam ciężko, bo i nielekkko było się do tego przyznać.

- Czegoś jeszcze? - Zosia spojrzała na mnie w oczekiwaniu na dalszy ciąg.

- Nie, tylko kwitnących kwiatów.

- Też mi coś! - prychnęła. - Jakbyś się bała pajaków

- otrząsnęła się przy tym - to rozumiem. Ale głupich kwiatów - popatrzyła na mnie z żałością. - Dobra! -zgrabnym ruchem podniosła się z podłogi sprzed szafy.

- Nie wiem jak wy, ale ja idę z nią do tej kwiaciarni.

- To ja też - Renata odłożyła tusz. - W końcu jakie inne zajęcia tu mamy?

- Idę z wami - Magda podniosła się z krzesła, gdzie czekała spokojnie w kolejce do lustra.

- Musimy iść wszystkie. Po drodze wejdziemy do ciucholandu, bo dzisiaj nowy towar.

Drzwi się otworzyły i weszła Kaśka ze szkicownikiem pod pachą. Jeszcze nie zdążyła zamknąć drzwi, gdy usłyszała rozkaz.

- Kasia, też idziesz z nami!

- Dobra - zgodziła się natychmiast. - A dokąd?

- Róża boi się kwiatów i musi iść do kwiaciarni. Pójdziemy z nią i będziemy opędzać kijami, jakby który się na nią rzucił - zachichotała Zosia. A mnie wcale nie wydało się to takie niemożliwe.

- Każdy się czegoś boi - broniła mnie Kasia. - Ja nie lubię ciemności - przyznała cicho i odłożyła szkicownik na stolik przy łóżku.

- To czego nic nie mówisz? - Renata dopchała się do szafy i z jej dna wydobyła małe radio w kształcie pocisku ze świecą na szczycie. - Nie daje dużo światła, ale nie wywalisz się w nocy o Zosi kapcie.

- Ja się boję kotów - Magda kiwała głową, przysiadła na łóżku i ciężko westchnęła - właściwie to się ich brzydzę. Ale czasem myślę, że mogą mnie nawet dopaść i pożreć.

- To już wiemy. Ale wytłumacz mi moja droga, dlaczego codziennie je dokarmiasz? - Zosia patrzyła na nią jak na wariatkę.

- Sama nie wiem - wzruszyła ramionami - może chcę się wkupić w ich łaski, żeby jednak mnie nie zeżarły - spojrzała na Zosię i z niepokojem dodała: - Już kiedyś się tak zdarzyło.

Renata zaczęła się jej badawczo przyglądać, potem spojrzała w okno, a raczej gdzieś w przestrzeń za szybą, jakby szukała czegoś w pamięci.

- Nie pomyliło ci się? Zdarzyło się, dawno temu. Zeżarły Popiela, tylko to myszy były Magda, nie koty - spojrzałam na nią i zmrużyłam oczy w uśmiechu. - Koty byłyby ci raczej pomocne. I to jest tylko legenda.

- No właśnie - dodała skwapliwie Renata. Widać, właśnie tego szukała za oknem.

- Myszy też się boję - przyznała.

- No i widzisz Róża, ten twój strach przed kwiatami wcale nie jest taki zwariowany.

Doskonale wiedziałam, że celowo bagatelizują sprawę, żebym nie czuła się głupio ze swoimi lękami. Każda przecież czegoś się bała.

- A propos... kto dał ci takie durne imię? - Zosia zatrzepotała rzęsami.

- Co głupio pytasz? Wiadomo, że rodzice ją tak nazwali, ale przecież nie mogli wiedzieć, że będzie się siebie bała - Magda zażarcie broniła moich rodziców.

- Albo siostry - dodałam.

- To jak na imię ma twoja siostra? - spojrzała na mnie pytająco.

- Lilia.

- Ci twoi rodzice to botanicy, biolodzy jacyś czy co? - Renata wykorzystwała zdziwienie Zośki i znów przepychała się do lustra.

- No. Prawie - westchnęłam. - Ogrodnicy.

- O, ja pieprzę! Ale to pokręcone, nie ma co gadać - Magda wydała rozkaz. - Ubierać się i idziemy do tej nieszczęsnej kwiaciarni!

I tak oto przyznałam się moim współmieszkankom do tego, co od pewnego czasu mnie gryzie od wewnątrz i osłabia i tak już nadwątlonego ducha. Może to głupie, ale już zaczynało mi to przeszkadzać. Kiedy dostawałam od kogoś kwiaty, a była w pobliżu ciocia lub wuj, szybko zabierali je, tłumacząc, że mam alergię na pyłki i potem długo kicham. Z czasem zaczęłam dostawać czekoladki, potem różne alkohole. Ale to przychodziło stopniowo. Im mocniejsze trunki zaczęły zastępować kwiaty, tym dotkliwiej docierało do mnie, że się starzeję, bo zaczynam być traktowana jak stara ciotka lubiąca dobre alkohole. Trudno, widać ten etap w życiu też trzeba zaliczyć. I oby wtedy trunki były prawdziwie wysokoprocentowe.

Nie przypuszczałam, że w koleżankach z pokoju znajdę tak silne wsparcie. Siedziałam na łóżku i przyglądałam się, jak przepychają się przy szafie i szykują jak na wojnę. Siebie rozumiem, wiem w końcu, z czym muszę się zmierzyć, ale im nikt nie każe. Dobrze że siostra oddziałowa umieściła mnie z tymi zakręconymi kobietami, wraca mi przy nich chęć do życia i wiara w drugiego człowieka. Zanim oddział był gotowy do wymarszu, wzięłam do ręki szkicownik Kaśki. I nagle pomyślałam, że może nie chce, żebym do niego zaglądała.

- Kasia, mogę zajrzeć? - spytałam więc grzecznie w nadziei, że mi nie odmówi.

- Jasne - odparła - ale to nic specjalnego. Takie tam...

Otworzyłam szkicownik na pierwszej stronie i nie mogłam wprost uwierzyć własnym oczom. To, co zobaczyłam, absolutnie mnie zachwyciło.

- Boże mój, Kachna! - dziewczyny spojrzały na mnie zaniepokojone i zaraz przysunęły się bliżej. Odwróciłam obrazek, żeby każda mogła zobaczyć.

- Ja nie mogę! - Zosia nie kryła podziwu. - Ty tak rysujesz?

Kasia stała przy drzwiach zawstydzona i trochę jednak zadowolona z tej reakcji. Dobrze wiedziała, że świetnie rysuje. Uśmiechała się zadowolona i spoglądała na nas skromnie.

- Zawsze tak miałaś? - Renata patrzyła na Kaśkę.

- Chyba tak... no i studiowałam na ASP - wzruszyła ramionami.

- Jak to, studiowałaś? Już nie studiujesz?

- Nie - posmutniała - trochę mi się w życiu namieszało i chyba przerwałam studia. Albo mnie wyrzucili.

- Musisz do tego wrócić. Koniecznie! - Magda z zachwytem patrzyła na biało-szaro-czarny obrazek pałacu, w którym teraz mieszkamy, ujęty z najładniejszej strony... z wieżyczkami z kopulastymi dachami i ryzalitami. Z tarasem wychodzącym na jezioro i porośniętym wszędzie wypychającymi się krzewami. Od razu rozpoznałam też okno, przez które ordynator często obserwuje spacerujących po wale pacjentów.

- I to właśnie robisz na tej terapii zajęciowej? - ciekawiło mnie.

- Przeważnie - pokiwała głową i uśmiechnęła się, chyba do swoich myśli.

Kiedy już nazachwycaliśmy się dziełem Kasi i ubrałyśmy się do końca, zdałam sobie sprawę, że dłużej nie odwlokę wyprawy do kwiaciarni. Nie było wyjścia, musiałam tam w końcu pójść. Marudziłam jeszcze na schodach, ale one już czekały przed pałacem i ponaglały mnie, bo miały nadzieję zdążyć na tańce. Droga do kwiaciarni ciągnęła się niemiłosiernie. Choć na świecie jeszcze było trochę biało, im bliżej kiosku z kwiatami,

tym bardziej szary wydawał mi się świat. Minęliśmy kościół, zakład fryzjerski. Za chwilę będzie piekarnia, a potem już tylko... kwiaciarnia. Nie ma odwrotu. Moje towarzyszki szły przodem i przekrzykiwały się bez skrępowania, można by pomyśleć, że to dzieci ze szkoły, a nie dorosłe kobiety.

- No, jesteśmy na miejscu - Magda obejrzała się bardzo zdziwiona, że zostałyśmy z tyłu. Szłam z Kasią, a ona wiedziała, co nie pozwalała mi dotrzymywać im tempa.

- Chodź, Róża - zachęcała - wejdę tam z tobą. Stanęłyśmy przed kwiaciarnią. W przeszklonej

ścianie sklepiku odbijały się nasze sylwetki, ale ja i tak widziałam tylko pęki sztucznych kwiatów. Wciągnęłam powietrze, zrobiłam krok w stronę drzwi i zaraz się cofnęłam. Coś mnie odpychało. W oknie wystawowym stały bukiety sztucznych kwiatów, ale skąd miałam wiedzieć, co czai się wewnątrz.

- A możesz wejść tam pierwsza? - spojrzałam prosząco na Kaśkę. - Będę wiedziała, czego się spodziewać.

- Dobra - Kasia natychmiast weszła, pokręciła się po sklepiku i po chwili wróciła. - Teraz ty, dasz radę. Nie ma tam niczego zaskakującego - zachęcała.

- Dalej, Róża, nic jej nie zagryzło, więc wal śmiało.

- A może jeszcze ty? - poprosiłam Magdę. Weszła i nie było jej przez dłuższą chwilę. W końcu pojawiła się ze ślicznym aniołkiem w ręku. Figurka była tak mała, że bez trudu mieściła się w zaciśniętej ręce. Włożyła mi go w dłoń i zacisnęła palce.

- Wchodź! To będzie twój anioł stróż. Widząc jednak popłoch w moim spojrzeniu, zwróciła się do Zosi.

- Zośka, teraz ty.

Po Zośce weszła jeszcze Rena. Nie miałam już wyjścia. Nawet nie martwiłam się, co pomyśli sprzedawczyni, wstręt był o wiele silniejszy niż obawa przed śmiesznością.

- A może powiecie mi, jakie kwiatki są w środku?
- poprosiłam.
- Będziesz kłamać? - Kasia spojrzała na mnie z wyrzutem.
Tkwiłyśmy tak przed drzwiami, dziewczyny starały się zachęcić mnie do wejścia. W końcu z kwaciarni wyszła uśmiechnięta właścicielka.
- Można paniom w czymś pomóc?
- Dziękujemy - Magda bez żenady mówiła dalej
- koleżanka chciała zobaczyć, czy ma pani wiosenne kwiatki.
- To zapraszam - zachęciła mnie gestem, ale nie ruszyłam się z miejsca. Panika przymurowała mnie do chodnika.
- Tylko ona się trochę boi - Zosia dreptała w miejscu, bo pewnie bardzo już chciała potańczyć.
- Aaa, to panie są z tego szpitala - kwaciarkę olśniło. - Proszę, niech się pani nie obawia. Mam teraz tylko bratki... ale one nie gryzą - uśmiechnęła się i mrugnęła do mnie.
- Oby - pomyślałam i weszłam za nią na miękkich nogach, a reszta oddziału została na zewnątrz. W sklepiku było przyjemnie ciepło i jasno. Na półkach stały dość tandetne figurki kotków, piesków, aniołków i innego inwentarza. Regał z kartami z życzeniami krzyczał kiczowatymi wierszykami, a pęki sztucznych kwiatów wdzięczyły się żywymi kolorami. Miały jednak poważną przewagę nad żywymi - nie pachniały. Jeszcze znicze i wkłady do nich, plastikowe cementarne wazon-y i wreszcie one. Zobaczyłam je. Stały na podłodze w niskich skrzyneczkach i patrzyły na mnie. Żółty z bordowym okiem i cętką w środku, granatowy z żółtym ślepiem, jak pirat z przepaską na drugim oku, słał mi złowrogie spojrzenie. Cofnęłam się przestraszona. Miałam wrażenie, że zaraz dopadną mi do kostek jak wściekłe jamniki.

- Są, widzę - mamrotałam pod nosem i kiedy biednemu aniołkowi w mojej dłoni już niemal wycisnęłam duszę, podziękowałam. - Dziękuję, na razie tylko to chciałam wiedzieć - i wyskoczyłam z kwaciarni jak z przedsionka piekła. Jeszcze dygotałam, kiedy Kaśka chwyciła mnie za rękę i głaskała po ramieniu.

- No, nie! Tak nie może być! - Zosia tupnęła nogą. - Skoro masz przestać się ich bać, to musisz zacząć kochana od siebie.

Spojrzałam na nią już nieco spokojniej, choć jeszcze nie wiedziałam, o co jej chodzi. Poprawiłam więc kurtkę, odchrząknęłam i dumnie podniosłam głowę. Wszak dokonałam dużej rzeczy.

- Musimy cię koniecznie przechrzcić, imię masz zupełnie do kitu. To tak jakbyś się bała samej siebie. No nie, dziewczyno? - szukała potwierdzenia z chytrym uśmieszkiem. Teraz wszystkie na nią spojrzały, ale z większym zrozumieniem niż ja. Po prostu już się zastanawiały nad moją nową tożsamością. I całą drogę do pałacu, kiedy ja delectowałam się sukcesem, przekomarzały się jak przekupki. Zaczęłam się zastanawiać, jaki dziwny wpływ ma to miejsce na ludzi. Jakby nagle uleciały wszystkie troski świata, jakby wszyscy, bez względu na wiek, mentalnie cofnęli się o kilka lat. Tutaj chcieli zapomnieć o swoich problemach, wyizolować się choć na kilka tygodni. My też uległyśmy klimatowi pałacu nerwusów. Po drodze weszłyśmy do ciucholandu, gdzie zaglądają chyba tylko pacjentki szpitala, traktując go jak jedną z niewielu rozrywek na tej wsi. A może nawet terapię? Bo grzebanie w stosach ciuchów i wyszukiwanie oryginalnych egzemplarzy pozwala uspokoić skołatane nerwy. To takie polowanie albo łowienie ryb. Zaczęłam myśleć o czymś innym, zapominając już o całej sprawie. W pogodnym nastroju ruszyłyśmy w drogę powrotną. Odtąd jednak zaczęłyśmy traktować

to miejsce jako stały punkt wspólnych spacerów i doskonały sposób na poprawienie humoru. Właściwie to ja zaczęłam tak myśleć, one już doskonale znały tę formę terapii i dość często ją stosowały... czego efektem były zavalone szafy w pokoju. Ale fajnie było potem planować, co na co można przerobić albo do czego założyć i przekonywać się nawzajem, która zrobiła lepszy interes. Jedno jest pewne, nic tak nie poprawia nastroju jak stos szmatek i kilka wariatek.

Nikt z mieszkańców wsi nie miał wątpliwości, kto zmierza w stronę pałacu ukrytego w parku. Miejscowi życzliwie odnosili się do pensjonariuszy i jeśli nawet zjawił się ktoś nowy, to szybko był identyfikowany. Zdarzyło się w ostatnią niedzielę, że jedna z pacjentek poszła za wcześnie do kościoła i bardzo zdziwiła się, że nikogo jeszcze nie ma. Kiedy spytała przechodnia, dlaczego nie ma mszy, chociaż słyszała dzwony, pan życzliwie się uśmiechnął i tylko upewnił się „to pani z tego szpitala? Msza będzie za pół godziny i to nie kościelne dzwony pani słyszała”.

No cóż, mieszkańcy znali swoich gości. Było ich we wsi ponad sześciuset, a w szpitalu ponad sześćdziesięciu. Można powiedzieć, że co jedenasty w tej wsi to wariat... nie licząc oczywiście tych niezdiagnozowanych.

NARODZINY EWY

Choć kalendarz nieubłaganie pchał nas w objęcia wiosny, pewnej nocy znów spadł śnieg i lekko przymroziło. Znów mogłam bezpiecznie biegać po wałach i lesie. Na przebieżkę ciągle wychodziłam sama, Kaśka jednak coraz częściej towarzyszyła mi w popołudniowych spacerach. Pewnie wiedziała, że nie lubię chodzić sama, a nie chciałam rezygnować mimo obaw przed czającym się pod śniegiem wrogiem. Biegając wzdłuż wału i ciesząc się zwróconą mi bielą, zastanawiałam się, skąd wzięła się moja antofobia. Przecież lubiłam kwiaty. Czasami zaszywałam się w którejś ze szklarni i siedziałam wśród kwitnących roślin, sama, w ciszy, pogrążona we własnych myślach. Czasami nawet chodziłam tam z książką i przesiadywałam na stołeczku, schowana za kolorowym zagonem. Rodzice wiedzieli, gdzie mnie wtedy szukać, ale zwykle dawali mi spokój. Lilia nie zaglądała do szklarni, wciąż się bała, że tato zagoni ją do pracy. Bo i tak się zdarzało. Nie dotykała książek, zawsze napawały ją wstrętem, no, chyba że były to katalogi odzieży czy kosmetyków. Takie słowo drukowane, z przewagą obrazków, jeszcze trawiła. Kiedy rodzice zlecali nam jakieś prace, zawsze zalewała się krokodylimi łzami i robiła im wyrzuty, że mnie kochają bardziej, bo pozwalają mi w spokoju czytać. Tyle tylko, że moje książki nie miały obrazków. I tak zdarzało się, że pracowałam za Lilię, a ona ukryta w swoim pokoju przeglądała katalogi mody. Lilia często stosowała emocjonalny szantaż, ale uzmysłowił mi to dopiero wujek Johan i próbował nauczyć, jak z tym sobie radzić. Nie jest to łatwe, ale bywa skuteczne. Trzeba jednak zebrać w sobie dość siły. Najgorszy w tym wszystkim był fakt, że to rodzice ją tego nauczyli. Stosując szantaż emocjonalny, trzeba się liczyć z tym, że w końcu zwróci się on przeciwko sto-

sującemu, bowiem bezwolnie stajemy się nauczycielami władania tą bronią. Przenigdy nie posunę się do takich metod, nawet w stosunku do jedynej siostry. Rozmyślając o mojej małej ułomności, doszłam do wniosku, że nie znajduję jej początku. Może z fobiami tak to już jest. Nikt nie wie, skąd się biorą, dlaczego nas dopadają i kiedy dają nam spokój. Może wystarczy tylko trochę chcieć i trochę poczekać... Tylko ile to jest to... trochę?

- Ewa, Ewa! - usłyszałam wołanie za plecami. Biegłam przez las i nie widziałam przed sobą żadnej

kobiety, odwróciłam się i za sobą też nikogo nie dojrzałam. Zawsze biegałam sama i nie kojarzyłam w szpitalu nikogo o takim imieniu. Nie było żywej duszy, która mogłaby nosić takie imię... jakiegokolwiek imię.

- Ewa! - znów rozległo gdzieś z tyłu. Stanęłam. Musiałam sprawdzić, co się dzieje, bo

może ktoś potrzebuje pomocy. Zaniepokoiłam się trochę. Po chwili zobaczyłam, jak, idąc na skróty, zza drzew wyłoniły się Magda, Rena, Zośka i Kaśka. Podparłam się pod boki i rozglądałam się.

- Widzicie - triumfalnie powiedziała Zośka. - Reaguje na imię Ewa.

- Co?

- Wymyśliłyśmy ci nowe imię - zadowolona z siebie Zosia prostowała się dumnie.

- Co takiego? - powtórzyłam pytanie, nie byłam bowiem pewna, czy mnie słuch nie mylił. Choć omamów słuchowych wcześniej u siebie nie notowałam.

- Uzgodniłyśmy, że musimy ci wybrać nowe imię - Magda poprawiła sobie czapkę i wtuliła się głębiej w futrzany kołnierz kurtki. - Musiałyśmy sprawdzić, na które zareagujesz.

- I musiałyście to sprawdzić natychmiast? - zaśmiałam się, patrząc jak Renata trzęsie się i dmucha w zmarznięte ręce.

- No!

- Nawet Kasia chciała koniecznie z nami pójść -Zosia pogłaskała odziane warstwowo ramię Kasi. Ona nie dygotała z zimna.

- Jakże jeszcze macie propozycje? - spytałam.

- Czego? - Magda zerkała na mnie przez szparę pomiędzy czapką i zjeżonym sierściuchem na kołnierzu. Jej uniesione brwi trochę zbiły mnie z tropu. Nie wiedziałam, czy się czemuś dziwi, czy może mnie lubi. Przyjęłam, że jedno i drugie.

- No... imienia dla mnie.

- Nie mamy innego - Zosia wzruszyła ramionami. - Przecież zareagowałaś na to.

Zaczęłam się śmiać. Co za świruski! Nie ma siły, żeby w takiej ekipie na dojść do równowagi psychicznej albo nie zwariować do reszty. Nie ma innej opcji. Patrzyłam na zadowolone z siebie trzy twarze w różnym wieku i zdziwione oczy Magdy, i dziękowałam Bogu, że zesłał mnie pomiędzy te wariatki.

Już od samego rana Kaśka była podekscytowana, bo siostra oddziałowa powiedziała jej o wizycie ojca. Widziałam, że trochę się bała, ale wciąż niecierpliwie spoglądała przez wielkie witrażowe okno. Siedziała na ławeczce płaczu i co chwila podchodziła do okna. Kręciłam się koło palmiarni i zaglądałam przez szyby, czy nie muszę reanimować jakichś zielonych stworów. Nie musiałam, więc odetchnęłam z ulgą.

Marek znów zagadywał do swojej ulubienicy, a ta słuchała go bez ruchu. Nie podchodziłam za blisko klatki, bo rzeczywiście nie chciałam kichać jak nakręcona, a niechybnie tak właśnie by się to skończyło. No i nie chciałam przeszkadzać w tej rytualnej już scenie. Marek nakrywał wieczorem klatkę z papużkami ciemną chust-

ką, żeby stworzyć im pozory nocy, rano natomiast robił im pobudkę, kiedy kuranty na wieży kościelnej wybijały „Kiedy ranne wstają zorze”. Nie pospały za długo biedaczyska. Ale czemu się dziwić? Zdarzało się, że wraz z kurantami niektóre pacjentki kończyły pić pierwszą kawę, one jednak nie spały z jakiegoś powodu. Może im też pomogłoby nakrywanie chustką? Boże mój... co za głupoty przychodzą mi do głowy?

Przyglądałam się Kaśce i zastanawiałam się, jakie relacje łączą ją z ojcem. Nie wierzyłam, że ten oskarża ją o śmierć żony, bo nie troszczyłby się tak o poranioną psychikę córki. A z opowieści ordynatora wynikało, że dzwonił każdego dnia. Wreszcie uzyskał zgodę na odwiedziny.

- I co, przyjechał? - Renata zjawiła się jakby spod ziemi.

- Jeszcze nie - odpowiedziałam cicho, żeby nie usłyszała nas Kaśka. Po co ma wiedzieć, że wszystkie równie niecierpliwie czekałyśmy.

- Marek, jak tam twoja papużka? - Renata zaczęła zagadywać zadowolonego chłopaka, bo nieczęsto zdarzało mu się uciąć pogawędkę z kimś oprócz papugi.

- Chyba czegoś się boi - pokiwał głową. - Nie chce dziś ze mną rozmawiać.

- E, tam. Może ma zły dzień - uspokajała go.

- Nie, na pewno się czegoś boi - i spojrzał na mnie, jakbym była czemuś winna. Przeszły mnie dreszcze, bo spojrzenie nie było przyjazne.

- Chyba nie mnie? - zdziwiłam się. - Nie podchodzę do klatki, mam alergię.

- Ona nie lubi, jak zagładasz do palmiarni.

- Dlaczego?

- Bo kiedyś tam fruwała, a potem ją zamknęli w klatce - teraz mówił z żalem w głosie. - To jej palmiarnia, nie twoja.

Nie miałam pojęcia, co mu odpowiedzieć. Nie chciałam go denerwować, ale do tego buszu czasami muszę zaglądać i daj Boże jak najdłużej przez szybę. Może rzeczywiście żałował utraconej wolności swojej podopiecznej i głęboko przeżywał jej uwięzienie.

- Wierz mi Marek, wchodzę tam tylko, kiedy naprawdę muszę. Nie przepadam za tym miejscem - tłumaczyłam się jak dziewczynka. Uśmiechnęłam się jeszcze przepraszająco i odciągnęłam Renatę od klatki. - Renia, one naprawdę tu fruwały? - spojrzałam pytająco. Z półuśmiechem pokręciła głową i głęboko westchnęła.

- Kobieto, podejdź bliżej i wreszcie się im przyjrzyj - konspiracyjnie szepnęła Renata. Patrzyła na mnie ni to z politowaniem, ni to z dumieniem. Ryzykując atak kichania, podeszłam do klatki i spoglądając to na Marka, to na Renię, zajrzałam do królestwa papug.

- Która to twoja ulubienica? - zapytałam z zaciekawieniem. Marek podszedł jeszcze bliżej klatki, pewnie w obawie, że rzeczywiście jestem wrogiem papug.

- Ta niebieska - z dumą odpowiedział i popukał delikatnie w drucianą ściankę ptasiego więzienia. Podeszłam jeszcze bliżej, bo to co zobaczyłam, nie mieściło mi się w wyobrażeniach. Jego ulubienica była... plastikowa. Dlatego słuchała go tak cierpliwie, ilekroć do niej zagadywał.

- Marek! Ona jest... - nie dokończyłam, bo Renata boleśnie kopnęła mnie w nogę. Zobaczyłam pioruny w jej oczach - ... śliczna - dokończyłam. Dobrze, że na nogach miała kapcie, bo z całą pewnością miałabym potężnego siniaka.

- Prawda? I tak chętnie ze mną rozmawiała - był dumny z przyjaźni z ptakiem. - Lubi mnie, to ja nauczyłem ją mówić.

- I tak dobrze o nie dbasz - dodała szybko Renata.

Stałam jak zaklęta i przypatrywałam się, jak Marek patrzył na swoją papużkę i pomyślałam, że tak patrzy tylko ktoś, kto naprawdę kocha. Dawno nikt tak na mnie nie patrzył. Miałam w głowie kompletny mętlik... nie od tego odkrycia, rzecz jasna. Jednak plastikowy przyjaciel jakoś nie mieścił się w ramach mojej normalności. Ale co ja wiem o normalności?

- Nawet cień przyjaciela wystarczy, by uczynić człowieka szczęśliwym - powiedział zamyślony i odplynął. Potem zadowolony dołał świeżej wody do poidełek i zawiesił pałeczkę oklejoną ziarenkami. Stał tak przed klatką i świetnie się bawił ze swoimi podopiecznymi. A mnie szczeka niemal opadła na podłogę. Czyżbym jednak doznała omamów słuchowych?

- Że co? - Renata spojrzała na niego zdziwiona. Zmarszczyła nos i zmrużyła swoje śliczne oczy, ale nie pomogło jej to w zrozumieniu Marka. Ze zdumienia wyrwałam ją pytaniem:

- Boże mój... słyszałaś, co on powiedział?

- Coś bardzo mądrego - pokiwała z uznaniem głową.

- Ale - westchnęłam - ty Rena wiedziałaś, że ten ptak jest z plastiku? - nie wiedziałam, co bardziej mnie zdziwiło.

- Oj, ty zakręcona kobieto... ale on ją kocha - pokręciła głową z dezaprobatą. - Myślisz, że tylko ty masz tu świra? Rozejrzyj się. Przecież jesteś w wariatkowie. Tu wszystkich coś gryzie. Jedni gadają do plastikowych ptaków, inni boją się kwiatów. A myślisz, że ci ludzie z zewnątrz są tak zupełnie zdrowi? - zatoczyła wzrokiem po holu, po którym kręcili się odwiedzający. - Każdego coś gryzie. Tyle tylko, że my miałyśmy tyle odwagi, żeby przyznać się do słabości, i szczęście, że znalazłyśmy się pod opieką lekarzy. Oni ciągle się zmagają z lękami, ale w końcu i tak tu wylądują - poklepała mnie po plecach.

- Myślisz?

- Ja to wiem - powiedziała pewnie. - A im wcześniej, tym dla nich korzystniej, bo lepiej tu niż na oddziale zamkniętym - pokiwała głową na znak, że wie, co mówi. - Nie ma w życiu sytuacji bez wyjścia, nie ma spraw, których nie da się wyprostować. Tylko musisz w to uwierzyć... Ewa.

Dziwnie się poczułam, kiedy zwróciła się do mnie tym imieniem. Jak do obcej osoby. Może jednak powinnam poczuć się obco, żeby odnaleźć odrodzoną siebie. I nagle przypomniały mi się słowa:

Bądź sobą, a zwłaszcza nie zwalczaj uczuć, nie bądź cyniczny wobec miłości. Albowiem w obliczu wszelkiej oschłości i rozczarowania jest ona wieczna jak trawa.

- Patrz! - nagle szturchnęła mnie znów dość boleśnie, tym razem w bok. - Idzie.

Po schodach od frontowych drzwi wchodził na górę przystojny, nieco zmęczony mężczyzna. Nie sposób nie zauważyć tego smutku w oczach, którymi szukał córki. Kaśka stała na półpiętrze przy witrażu i wpatrywała się w sylwetkę ojca. Szedł powoli i zapewne obawiał się spotkania. Kiedy ją tu przywiózł, był rozpaczony i załamany. Zostawiał tu przecież dzikie zwierzątko i nie wiedział do końca, kogo teraz zastanie. Teraz, choć smutny, niesiony nadzieją, wchodził stopień po stopniu.

- Tato! - Kaśka nie wytrzymała i znad głowy usłyszał stłumiony żalem, ale radosny okrzyk.

Obejrzał się za głosem córki i zobaczył ją przy masywnym dębowym słupku poręczy schodów. Zaczął wchodzić po dwa stopnie naraz, aż w końcu wspiął się do podestu z witrażem i otworzył ramiona, w które z płaczem rzuciła się Kaśka. Stałyśmy tak przy klatce z nie do końca żywym ptactwem i przyglądałyśmy się tej scenie. Renata nie ukrywała łez, a ja płakałam już na widok tego biednego dziewczątka, które tak czekało na tatę. Dopiero

po chwili zorientowałam się, że Marek stał przy nas i też się im przyglądał, nawet przestał mówić do papugi.

- Jak tu przyjechała, to też płakała - powiedział i po chwili dodał: - Jeśli jest noc, musi być dzień. Jeśli łza, uśmiech - i znów odwrócił się w stronę klatki. Oniemiałam na te mądre słowa, bo zarejestrowałam już to, co mówił o przyjaźni. Pomyślałam wtedy, że może warto się bliżej przyjrzeć Markowi. A może nawet zaprzyjaźnić? Ale on już stukał w klatkę i zachęcał swoją pupilkę do skosztowania przysmaku. Robił to tak zapamiętale, że przez moment myślałam o plastikowym ptaku jak o niewdzięczniku. Na takie prośby i słodkie słówka każdemu stopniałoby serce. Nawet jeśli jest z plastiku. Nie wiedziałyśmy, co ze sobą zrobić. Do pokoju nie chciałyśmy iść, żeby nie przeszkadzać rodzinie, w holu wszystkie miejsca na kanapach były zajęte, trwały boje w remika i w tysiąca.

- Renia, wejdź ze mną do palmiarni - zaproponowałam. - I tak nie mamy się gdzie podziać, to może sprawdzimy ziemię w donicach.

- Mówiłaś, że doniczkowych się nie boisz - spojrzała na mnie spode łba. - Czy tylko ściemniałaś?

- Nie, nie boję się. Ale lepiej się tam będę czuła z tobą.

- Dobra, co mi tam - machnęła ręką. - Może pracuś zaliczy mi to jako terapię pracą.

Pokręciłyśmy się trochę po palmiarni. Pozamiatałyśmy liście, które na skutek nocnych mrozów zdecydowały się opaść, poobrywałyśmy pożółkłe i zaschnięte łodygi. Zawsze znajdzie się coś do zrobienia. No i oczywiście podlewanie. Z tym akurat musiałam Renę lekko hamować, bo próbowała to zrobić z dużym zapasem. A przecież to nie rośliny bagienne, no, przynajmniej nie wszystkie.

- E, tam! Starczy już tego - zbuntowała się w końcu. - Nie będziemy się szwendać po pałacu, bo Kaśka ma gościa. Idziemy tam!

- Myślisz? - wahałam się jednak.

- No a co? Będziemy się ukrywać jak złodzieje? Albo wariatki jakieś?

- Dobra, idziemy - odetchnęłam zadowolona, że nie wyrwałam się z tym pierwsza. Bo muszę przyznać, że ojciec Kasi nieco mnie zainteresował... tylko nie wiem, dlaczego. No i poszłyśmy. Może nawet dobrze, że wkroczyłyśmy, bo po wylewnym przywitaniu nie było w pokoju za wesoło. Kaśka siedziała na łóżku i z nerwów wyłamywała sobie palce. Ojciec siedział przy stole i próbował złapać kontakt wzrokowy ze spłoszoną córką, nie rozumiejąc, dlaczego się tak zachowuje.

- Dzień dobry - Rena wkroczyła z wyciągniętą ręką. - Jestem Renata, też tu mieszkam.

- Miło mi - uścisnął jej dłoń. - Maciej Rawecki, ojciec Kasi.

- To jest Ewa - wskazała na mnie, podałam mu rękę.

- Jestem Róża.

- To Ewa czy Róża? - zdziwił się i spoglądał zdezorientowany to na mnie, to na Renię.

- Ewa - wtedy odezwała się Kasia. - Bardziej do niej pasuje.

Chyba za bardzo nie rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi, ale wyraźnie był zadowolony, że Kaśka wreszcie się odezwała, co pewnie sprawiło, że przestał się nad tym zastanawiać.

- Kasia, zrób tacie coś do picia - Renata poczuła się gospodynią. - Pewnie chętnie się napije. Prawda? -spojrzała na niego.

- Tak, chętnie napiję się czegokolwiek - uśmiechał się do córki.

Kasia poszła do łazienki nalać wody, bo czajnik był pusty. Maciej zakłopotany patrzył za wychodzącą córką, jakby bał się zostawać z nami sam. Może myślał, że

naprawdę jesteśmy wariatkami? Wstał nagle i podszedł do mnie.

- Pani Rózo, Ewo - rozłożył ręce - nie wiem, jak do pani mówić.

- Ewa - sprostowała Rena.

- Ewo, bardzo ci dziękuję za opiekę nad Kasią. Ordynator mi mówił, ile panie dla niej robią, pani w szczególności - uściskał mi rękę i teraz trzymał, ściskając z wdzięcznością. - Nie wiedziałem już, co robić. Strasznie się o nią bałem.

- Chyba najgorsze już mija - próbowałam cofnąć rękę, ale wciąż ją trzymał. - Bardzo ją polubiłyśmy.

- Dziękuję paniom ogromnie - jeszcze raz uściskał mi dłoń i tym razem skutecznie udało mi się ją wycofać. - Bardzo wiele to dla mnie znaczy.

W tym czasie wróciła Kaśka i nastawiła wodę, potem ustaliła, co ojcu zaparzyć i wszyscy siedliśmy do poobiedniej kawki. Po chwili z głośnym okrzykiem zwycięstwa do pokoju wpadła Zosia i tuż za nią Magda. Wcale nie były spłoszone siedzącym przy stole gościem, widziały go przecież już w holu.

- O, dzień dobry - Zośka rzadko się peszy. - Pan to pewnie tato Kasi?

- Tak, dzień dobry - wstał i elegancko się z nimi przywitał. - Maciej Rawecki, miło mi.

Kobiety dołączyły do grona i w naszym niewielkim pokoiku zrobiło się niebezpiecznie ciasno. Nikomu to jednak nie przeszkadzało, a Maciej wykorzystał okazję i siedł na łóżku obok Kasi. Głaskał ją po głowie i nie miałyśmy wątpliwości, co czuje.

- Cieszę się Kasiu, że masz się lepiej - wciąż gładził jej włosy - i wyglądasz lepiej. Byłem na twojej uczelni i rozmawiałem z dziekanem - zaczął wyjmować jakieś papiery z szarej koperty. - Dostaniesz urlop dziekański, tylko musisz podpisać te papiery. Załatwię to.

- Nie myślałam jeszcze o powrocie - cicho broniła się przed życiem zewnętrznym.

- Przecież jeszcze nie teraz - uspokajał ją. - Do jesieni jest mnóstwo czasu. Wyzdrowiejesz i zdecydujesz, co chcesz robić. Ale urlop to furтка, z której nie można było nie skorzystać.

- Masz rację, tato - przytaknęła jakby radośniej. Pewnie liczyła, że ojciec zajmie się jej sprawami, a jemu widać bardzo zależało na rozwijaniu jej talentu. Bo to, że Kaśka talent ma, było niezaprzeczalne. Magda wzięła Kaśki szkicownik i podała ojcu. Ten wziął go i spojrzał na córkę.

- Proszę zobaczyć, jak Kasia rysuje - Magda mówiła, jakby to ona odkryła talent dziewczyny - to prawdziwa artystka.

- Wiem. Ma tak od dziecka - mówił z dumą i uśmiechał się do Kaśki - zawsze była powodem mojej dumy.

Przekładał karta po karcie i nie sposób było nie dostrzec, jak dumny jest z talentu swojego dziecka. Spoglądał na Kaśkę i uśmiechał się. Twarz mu się zmieniła. Nie było już na niej śladu zmęczenia i szarości. W oczach rozbłysła mu nadzieja i każde spojrzenie, każdy nawet maleńki uśmiech córki był obietnicą wyzdrowienia.

- Kaśka studiuje na Akademii Sztuk Pięknych na kierunku malarstwa i specjalizuje się właśnie w rysunku i malarstwie sztalugowym - w tonie głosu słychać było ojcowską dumę. - Kasiu - zwrócił się do córki - może ci przywieźć jakieś materiały do malowania? To żaden problem.

- Jeszcze nie teraz, tato - spojrzała ze smutnym uśmiechem. - Powiem ci, kiedy.

- Nie wiem jak wy, ale my z Zosią i Reną wracamy grać w karty. Nie możemy stracić pozycji jaskini szulerów - Magda wydała komendę i wszystkie podniosłyśmy się z miejsc. Teraz, kiedy już zaczęli rozmawiać,

mogliśmy spokojnie zniknąć. Nawet ja poszłam... może przydam się im do rozdawania kart, bo gra zwykle mi nie idzie. Ale tu, w pałacu nerwusów trzeba się czymś zająć. Nikt nie czyta książek, nie toczy poważnych dysput, nie zastanawia się nad życiem.

- Ależ byłaś rozmowna, jak nie ty - Renata patrzyła na Magdę z podziwem, kiedy zamknęłyśmy za sobą drzwi.

- Przecież nie chciałyście chyba tak siedzieć i patrzeć na nich - wzruszyła ramionami - wy nie miałyście zamiaru się ruszyć.

Już po chwili Magdę sparaliżowało, bo na kanapie zobaczyła Jurka. I czar prysł. Znow siedziała jak trusia i sztywno patrzyła w karty. Swoje. Za to Renata i Zosia miały oczy dookoła głowy i najczęściej wbite w karty Jurka. Ten jak zwykle się nie przejmował i zdawał się doskonale bawić. Siedziałam na końcu kanapy i cieszyłam się widokiem. Podczas tych gier świetlicowych, spacerów, terapii i rozmów zapominałam o otaczającym pałac świecie. Porównanie pobytu w pałacu nerwusów z kolonią letnią było trafne. Dorośli zachowywali się jak bez troskie dzieci. I pewnie wielu schroniło się tu przed rzeczywistością, a zetknąwszy się z cudzymi dramataми, nagle zdawali sobie sprawę, że ich problemy są niczym. Pewnie na tym też polegała terapia społeczna... żeby swój problem skonfrontować z innym, zwykle większym. I wtedy Czesio opowiedział dowcip.

- Wczoraj poszedłem do psychologa.

- I co? - ktoś spytał zaciekawiony.

- Przez dwie godziny opowiadał mi, jakie wredne są jego teściowa i żona - niemal wszyscy podnieśli oczy znad kart, bo przecież Agata nie ma żony. Czesio poczekał na odpowiedni moment i dokończył: - Zaraz poczułem się lepiej.

Dopiero wtedy zorientowaliśmy się, że to był żart. Nigdy przedtem nie pomyślałam, że towarzystwo kilku

nerwowych kobiet i rozbawionych panów tak pozytywnie na mnie wpłynę. A coraz bardziej chciało mi się żyć. Bo w porównaniu z kłopotami innych moje życie było usłane różami... wszystko było w nim poukładane, tyle tylko, że ja tych róż się bałam.

- Ciekawe, jaki jest w łóżku - Renia mówiła w przestrzeń z półprzymkniętymi powiekami.

- Kto? - Magda spiorunowała ją wzrokiem i lekko się zaniepokoiła. - O kim mówisz?

- Przecież nie o tym twoim Jurku. Sama się tym martw - prychnęła i spojrzała w stronę męskiego pokoju, w którym przed chwilą zniknął obiekt Madzinych westchnień. - Mówię o Macieju, ojcu Kasi.

- No wiesz! - rzuciła Zosia i poprawiła się w fotelu. - Chociaż właściwie... ciekawe.

- Czy wyście poszalały? - zdziwiłam się.

- No. Nie wiedziałaś? Jakiś czas temu i dlatego tu jesteśmy - Renata mówiła nadal z przymkniętymi oczami. - I nie udawaj, że też o tym nie myślałaś - uniosła głowę i spojrzała na mnie rozbawiona. - Każdy normalny człowiek, kiedy spotyka kogoś po raz pierwszy, ocenia go pod względem życzliwości, dominacji i ocenia jego możliwości seksualne.

- Rena!

- No co! Nie wiedziałyście? I wcale nie patrzy w oczy - dokończyła swoją teorię - ale zdecydowanie niżej.

- Ale mówiłaś, że każdy normalny człowiek - czepiłam się.

- My jesteśmy normalne... tylko lekko znerwicowane.

- Walnięte - Zosia poprawiła półgłosem.

- Niech ci będzie - Renata machnęła ręką.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - spojrzałam na nią z boku. Zupełnie o tym nie pomyślałam. Patrzyłam na niego jak na ojca biednego, smutnego dziewczątka, które zmagало się ze swoim dramatem. Nie spojrzałam jak na mężczyznę... jednak coś mnie niepokoiło. Może moja własna hipokryzja?

- Jak to skąd? - zdziwiła się. - Facet jak świeże ciacho francuskie, trochę go sponiewierało, ale jeszcze do życia wróci. I pewnie warto by się zakręcić. Samotny, z odchowaną córką - snuła dalej. - Teraz wystarczy go trochę pocieszyć. Facet to tylko facet. Jak zniknie mu z pola widzenia poprzedniczka, szybko trzeba wskoczyć w kadr. Nie narzucać się, ale sprawić, by cię zauważył.

- Boże mój, Rena, chyba tak nie myślisz?

- Ja tylko myślę - pokiwała głową. - Tylko myślę. Ale to właśnie ty powinnaś zrobić. W moim kadrze jest wciąż ten sam mężczyzna - uśmiechnęła się rozmarzona.

Całe szczęście, że wrócił Jurek i znów zaczęły grać. Nie wiem, dokąd zaprowadziłyby nas te dywagacje, ale muszę przyznać, że kiedy Kaśka odprowadzała ojca do drzwi, patrzyłam za nimi i zdawało mi się, że widziałam go teraz inaczej. A sio! Natrętne myśli! Co ta Renia mi zadała? Musiała opowiadać takie głupoty? Teraz będę myślała o nim jak o francuskim ciastku, a nie jak o nieszczęśliwym człowieku, który niedawno stracił żonę i walczy o córkę. Ale swoją drogą... zjadłabym takie ciacho. Maciej odwrócił się w naszą stronę i pokiwał nam ręką. Potem spojrzał na mnie i uklonił się z uśmiechem. Boże mój... chyba uniósł brwi.

- Widziałaś? - Renata nachyliła się do mnie z wachlarzem kart w rękę.

- Szansa jest. Nie zastanawiaj się za długo i nie przegap okazji. Popatrz tylko na niego... pyszna kremówka, pycha.

Do wieczora nie potrafiłam myśleć o niczym innym. Wizja kremówki snuła się za mną jak koty za Magdą, kiedy po kolacji wychodzi przed pałac zanieść im resztki ze szpitalnej uczy. I uparcie odpędzałam od siebie tę myśl tak jak ona oganiała się od kotów. Na próżno.

Miałam jednak do przemyślenia coś poważniejszego. Dostałam zadanie zakupu i przyniesienia do pokoju doniczki z bratkiem. Myślę o tym od samego rana, kiedy Agata dopadła mnie na schodach, spytała o rezultaty wizyty w kwiaciarni i wyznaczyła mi zadanie. Kombinowałam teraz, jak wykonać zadanie, a nie spotkać się z wrogiem.

- Nie martw się Ewa, pójdę z tobą - Kasia poklepała mnie po plecach, które nagle bardzo mi się zaokrągliły. Przeważenie przyginało mnie do ziemi. Na przedpołudniową przebieżkę wybrałyśmy się razem. Ale im bliżej byłyśmy końca zwyczajowej trasy, tym wolniej biegłam. Potem już szłam i gdybym tylko mogła, związałabym gdzie pieprz rośnie.

- Chodź - zachęcała mnie - damy radę.

Pani w kwiaciarni poznała nas natychmiast... trudno, żeby było inaczej. Nieczęsto spotyka się wariatkę, która boi się bratków. Była jednak bardzo miła i nie robiła głupich uwag. Pamiętała ostatnią wizytę i może nawet mi współczuła, bo patrzyła przyjaźnie.

- Który? - zapytała.

- Obojętnie. Wszystkie są ładne - skłamałam. Miła pani włożyła małą doniczkę do wielkiej

papierowej torby, żeby nie zmarzł i żeby była jak najdalej od tego potwora. Kaśka pięknie podziękowała i ruszyłyśmy z powrotem. Ja byłam zbyt przejęta, żeby pamiętać o formach grzecznościowych. Droga do szpitala ciągnęła się niemiłosiernie. Kaśka próbowała mnie

zagadywać, ale nie wiedziałam nawet, o czym mówiła. Plecy miałam mokre, ale nie był to efekt biegania. Zresztą niespieszna to była przebieżka. Kiedy dotarliśmy do pałacu, na parkingu zobaczyłam auto Maurycego. Kasia wydawała się zadowolona, że wreszcie dotarliśmy na miejsce i wykonałam zadanie. Maurycy zagadywany przez Zośkę czekał na mnie w korytarzu i miał bardzo zdziwioną minę, kiedy mnie zobaczył.

- Co tam ciociu masz? Bombę zegarową? - wskazał pakunek.

- Gorzej - sapnęłam. - Kaśka, zabaw go przez chwilę, ja muszę się jeszcze z tym uporać.

Maurycy nie rozumiał, co się dzieje i spoglądał pytająco na Kasię. Ta wzruszyła ramionami i posłała mu spojrzenie pełne rezygnacji.

- Boi się kwiatów - usłyszałam za plecami.

- Słyszałem o tym, ale nie miałem wyobrażenia, że aż tak - odszepnął mało konspiracyjnie. Więcej nie słyszałam. Szłam sztywno po schodach, niosąc przed sobą pakunek. Parkiet na podłodze w holu migał mi się w oczach i bałam się, że się przewrócę.

- Ej, Ewa... co tam masz? - usłyszałam głos znad karcianego stołu. Nie wiem czyj, nie chciałam tracić z oczu mojego wroga. A nuż rzuci mi się do gardła. -Ktoś ci narobił w tę tytkę?

Pamiętałam to określenie papierowej torebki, ale tym razem mnie nie rozśmieszyło. Wpatrywałam się w rzeczoną tytkę i spocona z emocji kończyłam swoją misję.

- Bardzo śmieszne - to Rena. - Lepiej patrz w karty i najlepiej w swoje - strofowała ów głos.

Kiedy doszłam wreszcie do pokoju, odetchnęłam z ulgą. Pchnęłam nogą drzwi i weszłam do środka. Stół jak zwykle zastawiony był smakołykami. Ani kawałka miejsca, gdzie mogłabym to paskudztwo postawić. Na podłodze będzie dobrze. Agata kazała mi kwiat kupić i przynieść do

pokoju, ale nie powiedziała, co w pokoju mam z nim zrobić. Zadanie wykonane. Teraz musiałam zdjąć z siebie tę masę ciuchów, bo z emocji byłam zupełnie mokra. Kiedy uporałam się z kurtkami i trampkami, padłam na łóżko jak martwa, i nie wiem nawet, kiedy usnęłam. Nie był to zły sen, choć śniły mi się zagony kwiatów w szklarniach rodziców. Siedziałam między nimi z książką w ręku i cieszyłam się samotnością. Czułam w powietrzu zapach róż, bo siadałam w pobliżu ulubionej, cudnie pachnącej odmiany w aksamitno-bordowym kolorze. Wokół mnie kwitnące róże i cisza. Spałam jak zabita przez godzinę i kiedy się przebudziłam pełna energii i już bez lęku, przypominałam sobie auto Maurycego na podjeździe.

- Boże mój! - zerwałam się na równe nogi. - Zapomniałam o Maurycem!

Wybiegłam z pokoju i popędziłam schodami do holu. Z rozmachem otworzyłam drzwi i usłyszałam z tłumu na kanapie:

- Jeśli biegniesz do siostrzeńca, to Kaśka się już nim zajęła - Zosia serwowała mi szeroki uśmiech.

- Co takiego? - nie mogłam pozbierać jeszcze zaspanych myśli.

- O matko! Poszła z nim na spacer - uszczegółowiła Renata. - Kazała ci powiedzieć, żebyś wstawiła wodę na herbatę.

- Skąd wiedziała, że tyle mi zejdzie w pokoju? - przysiadłam na oparciu kanapy i cicho pytałam koleżanek.

Renata przybliżyła karty do orderów, jak zwykła mówić, opadła na oparcie kanapy i kręcąc głową z politowaniem, powiedziała:

- Oj, kobieto! Jest zakręcona, ale nie głupia. Nie doceniasz intuicji tego dziecka. Myślałaś, że pobiegła z tobą tylko dlatego, że lubi biegać? Wiedziała, ile wysiłku i stresu będzie cię kosztować przytaszczenie tego

kwiatka do pokoju. I pewnie czuła, że padniesz potem umęczona. Chciała cię wspierać.

- Wiem - mamrotałam. - Przecież wiem.

- No. To daj jej teraz pospacerować z tym twoim mniamuśnym siostrzeńcem - powiedziała Zosia, nie podnosząc oczu znad kart. - Nagroda jej się należy -z uśmiechem wyłożyła karty - i ładna z nich para - dodała.

- Mniamuśnym? - spojrzałam pytająco na Zosię.

- No - kiwnęła głową - akurat do schrupania -zaśmiała się psotnie.

Nie myślałam o tym wcześniej. Nagle przypomniałam sobie skrępowanie Maurycego, kiedy zabrał nas na szarlotkę, uśmiech Kaśki, kiedy zobaczyła dziś auto pod pałacem. Czegoś nie zauważyłam? Czyżby coś było na rzeczy? Znalazł się rycerz, który obudził śpiącą królową? Trudno się dziwić, że umknęło to mojej uwadze, przecież tak skupiałam się na zadaniu, że niczego dokoła nie widziałam. A cóż dopiero tak subtelne sygnały. Odetchnęłam z ulgą i poczłapałam z powrotem do pokoju nastawić wodę na herbatę. Pora była już co najmniej odpowiednia. Ile w końcu można spacerować po lesie?

Okazało się, że można długo. Wstawiałam czajnik jeszcze dwa razy, zanim usłyszałam ich za drzwiami. Rozmawiali o czymś z ożywieniem i co mnie bardzo ucieszyło, ton głosu obojga był pogodny. I mnie przez to zrobiło się raźniej. Pijąc z nimi gorącą herbatę z cytryną, zastanawiałam się, czy na pewno Maurycy przyjechał do mnie? Rozmawiali o sztuce, o swoich uczelniach, o sprawach ludzi młodych i wolnych. Miło było na nich patrzeć i czuć się częścią ich życia. Dopiero kiedy widoczne już były dna kubków, mojego siostrzeńca olśniło:

- Ciociu, niczego ci nie potrzeba?

- Nie synku, wszystko gra - uśmiechnęłam się skrępowana, bo wyrwało mi się „synku”. Coraz cieplej myślałam o synu mojej siostry. On zaś uśmiechał się

i byłam już pewna, że dobrze czuje się w naszym towarzystwie. - Po to przyjechałeś?

- Chciałem sprawdzić, jak się czujesz, no i pozwoliłaś mi tu przejeżdżać - tłumaczył się mało sensownie. Wydawało mi się, że lekko się zmieszał.

- Przyjeżdżaj, kiedy tylko będziesz chciał, będzie mi miło - dotknęłam jego przedramienia i ścisnęłam lekko. - I chyba nie tylko mnie - mrugnęłam do Kaśki. Ta natychmiast zabrała puste kubki ze stołu.

- Pójdę je umyć - i szybko wyszła z pokoju.

- Spłoszyłaś ją ciociu - powiedział z udawanym wyrzutem. I zażartował tak chyba tylko po to, by ukryć własne zmieszanie.

- Chyba tak. Ciekawe czemu. - I teraz on lekko się zarumienił.

Oj, dzieci, dzieci - pomyślałam. Jak dobrze, że tu jesteście. Przy was znów chce się żyć. Może jeszcze jest po co? Maurycy pojechał do domu, Kaśka zeszła grać w karty, a ja siadłam do laptopa. Jednak nie mogłam się skupić, wciąż miałam przed oczami papierową torebkę rzuconą pomiędzy buty Magdy. Wiedziałam, co kryje jej wnętrze, ale nie miałam ani odwagi, ani chęci zaglądać do środka. Zadanie wszak wykonałam... przyniosłam bratka do pałacu.

GRY I GIERKI.. NIEKONIECZNIE KARCIANE

Zosia, Rena i Magda weszły do pokoju ze zrezygnowanymi minami. Awantura wisiała w powietrzu.

- Mówię wam, kiedyś nie wytrzymam i trzepnę w ten zwariowany łeb! - Zosia już na korytarzu miała wyraźnie słyszalne pretensje do Magdy.

- No co? Co znowu zrobiłam nie tak! - Magda próbowała się bronić. Bardziej ignorowała pretensje Zośki, niż się nimi przejmowała.

- W ogóle nie zrobiłaś. - Renata była konsekwentna w pretensjach. - Czemu nie śmiałaś się z dowcipów Jurka? Nie widziałaś, jak my się śmiałyśmy?

- Trudno było nie widzieć i nie słyszeć - wzruszyła ramionami. Po czym spojrzała z dezaprobatą. - Rżałyście jak dwie kobyły.

- No - Renata skinęła głową. - I ty też tak miałaś rzeć.

- Jestem w domu wariatów, ale jeszcze nie zgłupiałam - Magda ze złością stukała łyżeczką, przygotowując sobie kawę.

- Rany! Jesteś z nas najstarsza, a tak mało wiesz o życiu. Ilu facetów miałaś? - Zosia ciężko siadła przy stole. - Chyba nie za wielu.

- No przecież już mówiłam - Magda łypała znad naszego kuchennego kącika. - I w ogóle nie ma o czym mówić.

Przez chwilę myślałam, że nie ma ochoty na dalsze rozmowy o swoim prywatnym życiu. Że to zbyt intymne pytania, wykraczające daleko poza psiapsiułkowe pogaduchy. Ale okazała się bardziej otwarta i dość szybko rozwiała moje obawy.

- Ale to prawda. Był tylko mój mąż i dwa nieudane związki - podparła się pod boki i czekała na wodę z czajnika. - Źle wybrałam.

- Jasne, że źle. Jak twoja wiedza o facetach i ludzkich zachowaniach jest taka uboga, to wcale mnie to nie dziwi - Renata mówiła ni to do siebie, ni do zainteresowanej, sadowiąc się przy tym na łóżku. Magda poczuła się jednak odbiorcą tej uwagi i tylko lekceważąco wzruszyła ramionami. Chyba już trochę miała dość tych wiecznych reprimend.

- A co to ma wspólnego z tym dzisiejszym rzeniem?

- widząc obojętność Madzi, sama się zainteresowałam.

Zosia odwróciła się gwałtownie w moją stronę i spojrzała groźnie. Siedziałam na łóżku jak trusia. Schowałam głowę w ramiona i skupiłam wzrok na ekranie laptopa. Lepiej nie patrzeć w te oczy bazyliuszka.

- Powiedz - zwróciła się do mnie - co cenisz u faceta? Jakie zdolności.

- Płatnicze - palnęła Magda i zachichotała cicho.

- Czy ja wiem... - zawahałam się, bo nie byłam znawcą męskiej natury, życie mi to dość boleśnie udowodniło. - Inteligencję, dowcip...
- zaczęłam wyliczać.

- No właśnie! - podchwyciła. - Dowcip. Druga strona lubi dokładnie to samo.

- Dobra, dobra - Magda podjęła próbę obrony - ale to on opowiadał dowcipy. Nie ja.

- No! I ty tylko miałaś się z nich śmiać - dokończyła Zosia tonem, jakby oznajmiła najstarszą na świecie zasadę.

- Kobieta dowcipna to nie taka, która opowiada kawały, tylko taka, która się śmieje z dowcipów faceta

- teraz Renata przejęła wykład, ale jakby już mniej agresywnie. - Nie wiedziałaś, że faceci tak to widzą?

- Ja zwariuję! - Madzia objęła głowę dłońmi i ciężko siadła na krześle.

- Za późno.

Przyglądałam się tej scenie z rozbawieniem i zastanawiałam się, do czego jeszcze posuną się te wariatki, żeby skutecznie wyswatać Magdę. Postanowiłam, że będę ich uważniej słuchać, bo o życiu wiedzą zdecydowanie więcej niż ja. A myślałam, że po takich przejściach niewiele mogę się już o ludzkich zachowaniach dowiedzieć. Jak się okazało, wiele się od nich nauczyłam.

- Gdzie Kaśka? - Rena rozejrzała się po pokoju.

- Poszła odprowadzić Maurycyego do auta i zapowiedziała, że potem idzie do pracowni - odpowiedziałam, nie odrywając oczu od monitora.

- Długo jej schodzi - Zosia pokiwała głową z uznaniem. - Widzisz Magda, ucz się od młodzieży.

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że rzeczywiście długo nie wraca do pokoju. Maurycy tak sprytnie poprosił ją, żeby odprowadziła go do samochodu, że nawet nie miałam możliwości się dołączyć. Uściskałam siostrzeńca jeszcze w pokoju i przestrzegłam przed drogą, a Kaśka szybko złapała kurtkę i wyszła.

- Pewnie od razu poszła do pracowni - tłumaczyłam na głos, bardziej sobie, niż pozostałym.

- No, jasne - Rena pokiwała głową, wertując kartki swojego notesu i po chwili zaczęła w nim coś zapisywać. - Bez szkicownika i ołówków.

Przez moment każda zajmowała się swoimi sprawami. Zosia poprawiała w szafie równiutko ułożone stosiki, Madzia nad kolorowym pismem celebrowała doprowadzanie swojej kawy, dzwoniąc głośno łyżeczką, Renata nadal coś skrobała, nie podnosząc oczu znad zapisków, a mnie wciągnęły zdjęcia na ekranie.

- Ewa, co jest między tobą a twoją siostrą? - spytała nagle Magda, spoglądając na mnie spode łba. Pewnie chciała odwrócić uwagę koleżanek od siebie. Coś niecoś wiedziały o moim lustrzanym odbiciu. Wspominałam

- przecież, że mam siostrę, bo i skąd miałabym mieć siostrzeńca.
- Mówiłam wam, że mam siostrę bliźniaczkę - zaczęłam cicho, bo nie spieszyłam się do takich wyznań - ale za bardzo się nie lubimy.
 - Dlaczego? Zrobiła ci coś? - Zosia siadła do stołu i zaczęła chrupać słone paluszki, wpatrując się we mnie badawczo. Poczułam się trochę jak na fotelu Agaty, ale wiedziałam, że pytają ze zwykłej ciekawości i może troszkę z troski?
 - Powiedzmy, że mnie okradła.
 - Co ci buchnęła? - Renata porzuciła swój notes, skrętnie skrywając go w torbie wciśniętej za łóżko, i zabrała się do składania rzeczy w szafie. Można postrzegać Zosię jako lekko szurniętą, ale jej porządek na półce w szafie jest najczęstszym czynnikiem wpływającym na nasze nagłe zrywy do porządkowania. I wcale nie niemożność znalezienia skarpetki! Ten jej porządek bywa wkurzający, a złośliwe skarpety zawsze gubią parę.
 - Życie - burknęłam. Zaraz jednak pomyślałam, że nie powinnam tak na nie fukać, ale nie jestem jeszcze gotowa o tym mówić, więc ograniczyłam się do kilku informacji. - Chce mnie pozbawić spadku po rodzicach. Uważa, że skoro ma męża ogrodnika, to wszystko jej się należy. A majątek jest dość spory.
 - Nie daj się! - Madzia oderwała oczy od kolorówki.
 - Nie zależy mi na pieniądzach, mam niezłe źródło dochodu tam gdzie mieszkam, w Austrii - dodałam dla usprawiedliwienia, że nie znalazłam się tu przez walkę o kapitał rodzinny
 - Mieszkasz na stałe w Austrii? - były bardzo zdziwione, bo rzeczywiście wcześniej im o tym nie mówiłam. Nie było kiedy i nie było sposobności. Nikt za wiele o sobie nie mówił, nadal nie wiem, czym zajmują się moje współspaczki i dlaczego się tu znalazły.

- Tak, w Innsbrucku. Mam tam małą galerię biżuterii autorskiej.
- Jesteś artystką?
- Nie - zaprzeczyłam. - Ekonomistką.
- No, ładnie - Rena przysiadła na krześle i podrapała się po głowie. - Czemu mnie to nie dziwi? I co zamierzasz zrobić z tym spadkiem?
- Nie wiem. Nie zależało mi na nim, ale wujostwo, u których mieszkam, radzą mi nie odpuszczać. Mam walczyć o swoje, bo podobno wciąż się poddaję - wzruszyłam ramionami na znak, że nie jest to moja opinia. I za bardzo się z nią nie utożsamiam. Choć w tym akurat mieli rację. Pozwoliłam ograbić się z życia, przeszłości, przyszłości, rodziny i przyjaciół. Kiedy zamieszkałam za granicą, za jednym zamachem straciłam wszystko. Moje plany wzięły w łeb, całe życie zawaliło mi się i przydu-siło do ziemi. Myślałam nawet, że już się nie podniosę. Tylko dzięki wujkowi Johanowi i cioci Urszuli postanowiłam, że jednak wrócę do pionu. Z dala od kraju, od rodziny, od przeszłości.
- Mają rację! Nie wolno się poddawać, przynajmniej nie przez całe życie - Zosia spochmurniała.
- Bo przyjdzie taki moment, że będzie już za późno i zaczniesz zjeżdżać równią pochyłą w dół. Wiem coś o tym - westchnęła.
- I co zamierzasz? - Rena drążyła temat.
- Jeszcze nie wiem - wzruszyłam ramionami utknęłam tu i nie myślałam, co dalej. Może życie samo podsunie mi jakieś rozwiązanie?
- Co? I poddasz się losowi? - Renata nadal przegarniała ciuchy w szafie i udawała, że bardzo jest tym zajęta.
- A może byś tak raz odpłaciła pięknym za nadobne? Czasami to pomaga.
- Niby co mam zrobić? Rzucić urok na uprawy? -zaśmiałam się drwiąco.

Obsiadły stół i wyglądały, jakby właśnie zaczynały naradę wojenną. Siedziałam na swoim łóżku i zerkałam w ekran komputera, a trzy czarownice zastanawiały się nad zemstą.

- Ty, a może odbij jej męża - Magda rzuciła pomysł, a pozostałe posłały jej zaskoczone spojrzenie. - Rozkochaj go w sobie, a potem zostaw.

Boże mój... żebyście znały prawdę! - pomyślałam i ciarki przeszły mi po plecach, a włosy stanęły dęba. Ja do takiego świństwa nie byłabym zdolna, nawet względem niej, nawet po tym wszystkim, co sama mi zrobiła.

- Magda! Ty takie rzeczy? - Zosia nie wytrzymała. - Szttywniejesz przy rozwiedzionym Jurku, a sama radzisz takie rozwiązanie? - Patrzyła jednak na nią z uśmiechem i z cieniem zadowolenia w spojrzeniu. Pewnie pomyślała, że jej nauki i wieczne ciosanie kołków na głowie jednak na coś się zdały.

- To taki luźny pomysł - zaczęła się wycofywać. - Ale mnie by to najbardziej ubodło. No i radzić zawsze łatwiej, no nie?

- Ty lepiej przypilnuj tego spadku, bo coś mi się wydaje, że to zaboli ją najbardziej - Zośka, choć najmłodsza ze spiskowców, najtrafniej oceniła moją siostrę.

Pieniądze dla Lilii były bardzo ważne. Nie wiem nawet, czy nie najważniejsze. Uwielbiała markowe ciuchy, drogie kosmetyki i zagraniczne podróże. Drogie auta i luksusy. A tego bez pieniędzy nikt jej nie da. Kiedy byłyśmy dziewczynkami, zawsze zawłaszczala sobie co najlepsze i najdroższe. Jadąc na zakupy z rodzicami, musiała postawić na swoim. A że zwykle kupowano nam to samo, to i mnie trafiały się rzeczy, na których niekoniecznie mi zależało. Gust Lilia ma nie najgorszy, więc do pewnego momentu nie musiałam się przejmować modą... wiedziałam, że moje ubrania są na topie. Lilia złościła się wtedy, bo chciała być wyjątkowa, a tu za nią

wlokło się jak cień jej lustrzane odbicie. I całą wyjątkowość diabli brali. Dopiero w szkole średniej zaczęłam się wyzwalać spod jej wpływu. Ona nadal była „topowa”, ja zaczęłam poszukiwać siebie, swojego stylu, i po jakimś czasie zauważyłam, że był skrajnie różny niż siostrzany. Myślałam, że jednak jesteśmy zupełnie różne, ale wuj Johan mi potem wytłumaczył, że tak bardzo chciałam uwolnić się od bliźniaczki, że negowałam jej upodobania. I dobrze. Nigdy nie lubiłam lalek Barbi. Tak więc postanowiłam, że jednak nie odpuszczę Lili i stanę do walki o to, co mi się od rodziny należy. Ze wszystkiego nie dam się ograbić i może też jej coś ukradnę. Byłam gotowa na włączenie telefonu i komunikowanie się ze światem. Nie będę już stała cicho w kącie i zawalczę o resztę mojego życia. I miałam tę pewność, że wuj Johan mi w tym pomoże.

- Renata, a ty czym się w życiu zajmujesz? - zapytałam nagle, bo zaczęłam sobie uświadamiać, że niczego o nich nie wiem.

- Polowaniem - odpowiedziała bez chwili namysłu.

- Czym? - Magda zrobiła wielkie oczy.

- Pracuję w firmie headhunterskiej... jestem łowcą głów - zaśmiała się. - Manipuluję, zastraszam i przejmuję cennych pracowników dla zainteresowanych pracodawców - zrobiła groźną minę, a my zamilkłyśmy, bo nie miałyśmy pojęcia, czy mówi serio, czy sobie z nas żartuje. - Czego się tak dziwicie? - wszystkie siedziałyśmy z rozdziawionymi ustami, co bardzo Renatę rozbawiło. - Trochę przesadziłam... uczestniczę w rozmowach kwalifikacyjnych i rozszyfrowuję kandydata po jego zachowaniu. Praca jak każda inna, no, może trochę stresująca, ale za to dobrze płatna. I dobrze się bawię.

- Nie miałam pojęcia - Magda patrzyła na nią, jakby zobaczyła ją po raz pierwszy.

- Bo i skąd mogłaś wiedzieć - wzruszyła ramionami. - Poza tym... nie pytałyście.

Żadna z nas nie wiedziała, co powiedzieć. To dlatego zawsze tak trafnie oceniała, co za chwilę zrobi Jurek, czy jak się zachowa Magda. Znała się na tym. Potrafiła przewidzieć reakcje ludzi w najróżniejszych sytuacjach. Dotąd niepozorna Renata urosła w naszych oczach do rozmiarów guru od zachowań.

- To stąd wiesz tyle o zachowaniach - pokiwała głową Zosia. - A ja myślałam, że po prostu jesteś taką sprytną babką, która potrafi okręcić sobie każdego wokół małego palca.

- Albo wróżką jakąś - pokiwała głowa Magda.

- Potrafię przewidywać pewne zachowania, ale przyszłości nie - przytaknęła nieskromnie. - A szkoda.

- Ale nie wiedziałam, że robisz to zawodowo - najwyraźniej zyskała w oczach Zosi, bo ta nie spuszczała z niej zachwyconych oczu. - Też bym tak chciała.

- To nic trudnego - wzruszyła ramionami - nauczę was paru sztuczek.

- Koniecznie - westchnęła Magda.

I tak oto dowiedziałyśmy się, że mieszkamy pod jednym dachem z manipulantką od zachowań i ludzkich emocji. Pomyślałam sobie, że szkoda zmarnować taką okazję i warto się trochę podszkolić. W życiu każda wiedza się przyda, a taka, która pozwoli mi powalczyć z moją siostrą, jest teraz dla mnie szczególnie cenna.

Z każdym dniem nabierałam coraz silniejszego przekonania, że chcę uporządkować swoje życie i wyjść wreszcie z ukrycia. Choć moje bytowanie z wujostwem było udane, w nowej ojczyźnie znalazłam przyjaciół i znajomych i byłam tam szczęśliwa, to jednak wciąż

czułam się odcięta od korzeni. Nie, żebym tak bardzo za nimi tęskniła, ale Lilia pozbawiła mnie rodzicielskiej troski i zainteresowania moim życiem. Odwiedzali mnie u wujostwa, ale specjalnie nie namawiali do powrotu. I po każdej wizycie na nowo długo rozpamiętywałam swoje skradzione życie i zrujnowane marzenia. Rodzice wiedzieli o tym, dlatego z upływem lat odwiedziny stały się rzadsze. Do tej pory mam do nich żal, że pozwolili Lilii tak mnie skrzywdzić. Teraz, kiedy już odeszli, nikt nie dopilnuje mojej siostry i nie powstrzyma przed kolejnymi podłościami. Muszę bronić się sama, a wuj Johan mi w tym pomoże. A walkę o godną przyszłość musiałam zacząć od pokonania nieszczęsnych bratków.

- I co? Zadanie wykonane? - natknęłam się na Agatę w drodze do łazienki. Nie miałam pojęcia, że tymi korytarzami też czasami krąży.

- A wykonane - powiedziałam zadowolona z siebie. - Przyniosłam bratka - posłałam jej uśmiech od ucha do ucha, bo naprawdę byłam dumna z tego wyczynu. Kosztował mnie przecież mnóstwo wysiłku.

- Gdzie go postawiłaś?

- Kogo? - nieco się zdziwiłam.

- Tego bratka - patrzyła na mnie z chytrym uśmiechem, bo pewnie czuła, że nie do końca zrozumiałam zadanie.

- A gdzie go miałam postawić? Miałam go przynieść do pokoju, to przyniosłam - udawałam nierozgarniętą. Nie dała się nabrać.

- No chyba nie zostawiłaś go w tej torbie?

- No... chyba jednak tak - przypomniała mi się szara, papierowa torba stojąca na podłodze razem z Madzinymi butami. I wcale nie chodziło o to, że o niej zapomniałam. Ale zadanie brzmiało - kupić i przynieść do pokoju - o niczym innym nie było mowy.

- Myślałam, że postawisz go na stole - nie ukrywała rozczarowania.
- A miałam? - zrobiłam wielkie oczy, ale nie te w typie „lubię cię”, raczej bardziej zdziwione, takie jakie zwykle prezentowała nam Magda.

- No, jasne! O to przecież chodziło - zaśmiała się. Widziałam, że raczej się już nie wykręcę, no i nie chciałam, żeby wymyśliła mi jakąś gorszą terapię, więc tonem wynegocjowanego kompromisu próbowałam ją ułagodzić.

- Zaraz go ustawię na stole, co mi tam. Chyba jadę nie będzie pluł - wydułam wargi i zaczęłam się zastanawiać, czy z tym zdrowieniem nie zapędzam się za daleko.

Uśmiechnęła się usatysfakcjonowana i powędrowała dalej szukać kolejnej ofiary, a ja z ciężkim sercem wróciłam do pokoju. O łazience zapomniałam. W obliczu tak ciężkiego zadania fizjologia schodzi na drugi plan. Kiedy weszłam do pokoju, Renata udzielała Zosi lekcji, która i mnie zaciekała. Stała przy niej i trzymając jej dłoń w powitalnym uścisku, coś jej tłumaczyła.

- Jeśli, witając się z facetem, w tym momencie drugą ręką dotkniesz jego łokcia, znacznie zwiększy to prawdopodobieństwo załatwienia sprawy, jaką chciałabyś z nim załatwić - prezentowała dość sprytną zagrywkę.

- Tak? - Zosia koniecznie chciała przećwiczyć numer na nauczycielce. Teraz ona ścisnęła jej dłoń i delikatnie dotykała jej łokcia.

- Dobrze!

- A dotknij go niżej, to załatwisz każdą sprawę na sto procent - powiedziała Magda, nie podnosząc głowy znad gazety.

- Magda! - wyrwało mi się.

- No co? To najstarsza sztuczka - oderwała wzrok od kolorowego magazynu i spojrzała na mnie - działa jak zaklęcie. Nie próbowałaś?

- Nie mogę! - Renata parsknęła śmiechem, a Zosia patrzyła na Magdę jak na dziwoląga. - I ty mówisz, że nie radzisz sobie z facetami? Jak to jest, że jeśli znajdziesz się z zasięgu jakiegoś konkretnego, to zatyka cię tak, że, że...

- Że aż żal tyłek ściska - dokończyła Zosia, używając jednego ze swoich określeń.

- O! - Renia przytaknęła, dziękując tym samym za podsuniecie tego mało wybrednego określenia.

- No, właśnie nie wiem - oderwała wzrok od gazety, zdjęła okulary i pokiwała głową wyraźnie zmartwiona. - Tak mnie paraliżuje, że wszystkie te mądrości szlag trafia. Teoretycznie wiem, co zrobić, z praktyką jest dużo gorzej.

- To dlatego nie ty wybierasz, tylko jesteś wybierana - Zosia jak na swój młody wiek dużo wiedziała o życiu. - Myślę, że to zadanie praktyczne powinna przeciwiczyć właśnie Magda.

- Co? Kogo mi każecie dotykać? - już się przeraziła.

- Kogo chcesz, możesz nawet Jurka - Renata wzruszyła ramionami - tylko wymyśl sobie jaką sprawę do załatwienia.

- O, nie! Nigdy w życiu! - zacięła się nie na żarty. Na policzki wyskoczyły jej rumieńce, albo raczej nerwowe plamy.

- Magda, uspokój się. My wciąż mówimy o łokciu - Zosia podparła się pod boki i patrzyła na nią z politowaniem.

- Aaa, chyba że tak. To może spróbuję - uspokoiła się nieco i zaczęła gramolić z krzesła. - Może poproszę go o podwózkę na przepustce.

- O, świetny pomysł. I tak miałaś to zrobić - przyklepałam jej zadanie i zaraz przypomniało mi się moje. - Nie widziałyście gdzie tego mojego nieszczęścia?

- Kasia? - Magda spojrzała na jej łóżko. - Poszła na fototerapię.

- Nie, mówię o bratku - westchnęłam. To było moje nieszczęście. Nie pamiętałam nawet, gdzie postawiłam tę papierową torbę, tak szybko chciałam ją usunąć z zasięgu wzroku. Gdy jej nie widziałam, nie myślałam o potworze siedzącym wewnątrz. Teraz sama czułam się jak torba.

- Stoi razem z butami Magdy - Renata wskazała na rząd butów pod oknem zajmujących większą część podłogi. Szara, pomięta torba wciśnięta pomiędzy włochate kozaczki a trzy pary szpilek w różnych kolorach nie wróżyła niczego dobrego. Ani mnie, bo musiałam wreszcie do niej zajrzeć, ani lokatorowi tejże torby, bo zgnioty na papierze mówiły same za siebie. I specjalnie się nie myliłam. Wewnątrz szarej torby mały, żółty bratek... już nie żył. Nawet nie było mi go bardzo żal, ale zdałam sobie sprawę, że będę musiała pójść po następnego. I to mnie najbardziej zmartwiło.

- Boże mój... - westchnęłam na jego widok.

- I co? - Magda przyglądała mi się znad gazety gotowa skoczyć na pomoc.

- Nic, chyba... nie przeżył - nie wyjmując go z torby, wyrzuciłam do kosza na śmieci. - Będę musiała znów tam iść.

Jakoś nie zrobiło to na nikim wrażenia, więc razem ze swoim zmartwieniem poszłam wreszcie do łazienki, a one wróciły do ćwiczeń praktycznych. Idąc krętym pałacowym korytarzem, zastanawiałam się, czy kolejna wyprawa do kwiaciarni też będzie mnie kosztowała tyle wysiłku. Tak czy siak, będę musiała wkrótce zmierzyć się z tym zadaniem, a póki co musiałam zmierzyć się

z innym. Mróz ostatniej nocy spowodował, że zamarzła stara instalacja wodno-kanalizacyjna i w głównej łazience nie działały spłuczki w toaletach. Woda leciała, ale tylko z kranów. Jedynym wyjściem było wstawienie do kabin misek i nabieranie do nich wody do spłukania. Wprowadziło to mały rozgardiasz, ale w szpitalu każda rozrywka jest pożądana.

Po południu, kiedy leżałyśmy powyciągane na łóżkach, nagle ktoś zapukał.

- Wlazł! - żadnej nie chciało się podejść do drzwi. Te otworzyły się szeroko i do pokoju wszedł duży bukiet białych kwiatów.

- A to co?! - natychmiast poderwałam się z pozycji horyzontalnej.

- Witam piękne panie - przemówił bukiet i zza niego wyłonił się Rafał, mąż Renaty. - Czy hrabina jest u siebie? - uśmiechnięty patrzył na łóżko żony. Chciałabym, żeby kiedyś szukały mnie w tłumie takie zakochane oczy. Nie trzeba być geniuszem, żeby zorientować się, jak bardzo zakochany jest w swojej żonie.

- A tobie co? - patrzyła na niego zdziwiona. - Dokąd się wybierasz z tymi kwiatami?

- Do mojej słodkiej Renatki, którą poślubiłem dokładnie dwadzieścia siedem lat temu - miał gotową odpowiedź, bo pewnie podejrzewał, że żona nie pamiętała o rocznicy. Po czym wręczył Renacie bukiet.

- Pamiętałeś? - cieszyła się, nie kryjąc promiennego uśmiechu. - Byłam pewna, że zapomnisz.

- To ty zapomniałaś!

- Skąd znowu. Czekałam tylko do wieczora... potem robiłabym ci wyrzuty - uśmiechała się chytrze.

- O, tego jestem pewien - pokiwał głową.

Coś mi się jednak zdawało, że nie pamiętała o rocznicy, a teraz tylko dobrze grała. Nie wspomniała przecież

o tym ani słowem. Rafał trzymał ją za rękę i całował. Potem pociągnął delikatnie do siebie, podniósł ją z łóżka i poprosił:

- Renatko, kochanie... zrobisz mi kawki? - i dotknął delikatnie jej łokcia. Natychmiast wzięła butelkę i pognęła do łazienki po wodę.

- Patrz, tak to się robi - zaśmiałam się do Zosi, która tak jak ja obserwowała całą scenę. Tyle tylko, że ja z obawy przed tym wielkim bukietem, Zośka raczej z nudów.

- Co, czyżby Renia coś na was ćwiczyła? - Rafał rozglądał się po naszym bałaganie, zapewne w poszukiwaniu jakiegoś naczynia do kwiatów. - Znam te jej chwytaki i na szczęście, jak zauważyłyście, ona sama też się na nie nabiera.

- W końcu jestem tylko człowiekiem - odezwała się stojąc już w drzwiach. Kawę wypiliśmy wszyscy przy stole, tylko ja zaszyłam się w kącie na łóżku, w bezpiecznej odległości od białych goździków i kremowych tulipanów.

Zostawiłyśmy małżonków samych i poszłyśmy na spacer po parku, bo świeży śnieg wyglądał zachęcająco. Pod oknami dyżurki pielęgniarskiej Kaśka zaczęła w nas rzucać śnieżkami, pewnie już ostatnimi. Biegała po śniegu jak szczeniak, który pierwszy raz zobaczył śnieg.

- No, mała! - rozległo się z okna dyżurki. - Zrób orła na śniegu!

- Mogę? - Kaśka się rozechociła, ale patrzyła niepewnie na siostrę oddziałową roześmianą na widok brykającej pacjentki.

- A w jakim szpitalu jesteś? - oddziałowa zachichotała.

Kaśce nie trzeba było dwa razy powtarzać. Rzuciła się tyłem na śnieg i śmiejąc się, machała rękami i nogami. Zośka szybko zrobiła jej zdjęcie, a Magda aż

podskakiwała z uciechy. - Boże mój - pomyślałam - jak niewiele trzeba, żeby się dobrze bawić. - Pielęgniarki były bardzo wyrozumiałe, szczególnie względem osób, za którymi ciągnęła się jakaś straszna historia. Trzeba wiele cierpliwości i spokoju, żeby wysłuchiwać smęcenia niektórych pacjentów, ale one miały to opanowane do perfekcji. Teraz stały w oknie dyżurki i bawiły się razem z nami. Pomogłyśmy Kaśce wstać, otrzepałyśmy ze śniegu i podreptałyśmy ścieżkami parku, dając jeszcze jubilatом trochę samotności. A za nami ciągnął się koci pochód. Tak przyzwyczyły się do dokarmiania przez Magdę, że na jej widok zbiegały się jak na zbiórkę.

- Patrzcie! - Magda co rusz oglądała się do tyłu. - Leżą za nami. Lepiej nie idźmy dalej.

- Bo? - Zosia nie rozumiała jej niepokoju.

- Bo to wiadomo, czy nie ma ich tam więcej? - ruchem głowy wskazała głębiej parku.

- O rany, Magda! To koty, nie pantery.

- No właśnie! - potwierdziła z nieskrywaną obawą.

Kaśka nic nie mówiła, widziałam jednak, że śmieszyła ją ta rozmowa, podśmiewała się pod nosem, ale nie dała odczuć Magdzie, że nie rozumie jej problemu. Sama przecież mówiła, że każdy się czegoś boi. Poszłyśmy do parku. Niemal czarne pnie drzew odcinały się od bieli świeżego śniegu. Stałam pod jednym z nich i spojrzałam w górę na nagie konary. Zdawało się, że drapały niebo czarnymi pazurami albo wyciągały wątłe ramiona w geście błagania. Mam nadzieję, że o śnieg, bo za wiosną zdecydowanie nie tęskniłam. Pospacerowałyśmy jeszcze chwilę po parkowych ścieżkach, znacząc długość spaceru śladami na bielutkim śniegu. Kiedy wróciłyśmy do pokoju, Renata właśnie marudziła, że Rafał za bardzo przytył. Najwyraźniej rodzinna sielanka się skończyła

i proza życia małżeństwa z długim stażem upomniwała się o codzienne utyskiwania.

- Co ty tam jesz, że tak puchniesz?

- A co mam jeść? To co mi zostawiłaś - bronił się.

- Czasami tylko idę do mamy.

- Wiedziałam! Przecież utyłeś dobre kilka kilo

- minę miała dość groźną, z czego wniosliśmy, że nie przepadała za teściową, a przynajmniej za jej kuchnią. Jak się później dowiedzieliśmy, mąż Renaty chorował dość poważnie i nadwaga mogła być dla niego bardzo niebezpieczna.

- E, tam. Niech się martwią ci, co poniosą - machnął ręką. Widać było, że jubileuszowy nastrój przysł i najwyraźniej wróciliśmy w samą porę. Próbowaliśmy zagadać Renatę, żeby przestała rugać męża, bo nie miał jeszcze ochoty zostawiać żony w tym przybytku smutku. Zaczął opowiadać stare historie, a my rozsiadaliśmy się w najlepsze jak dzieci w przedszkolu podczas opowiadania bajek.

- To były lata dziewięćdziesiąte - opowiadał Rafał

- wracaliśmy z Niemiec i jak to wtedy było, staliśmy na przejściu granicznym w okrutnie długiej kolejce. Pamiętacie jeszcze te realia?

- Jasne - Magda, która prowadziła swoją firmę, dość często wyjeżdżała za granicę. - Bez termosu z gorącym pićm i kanapkami można by tam paść z głodu.

- No właśnie - podchwycił. - To było lato i kolejka stała nieruchomo. Ktoś nawet rozpałił małego grilla i zrobiła się imprezka. Kielbaski, piwo i pogaduchy -wspominał z uśmiechem. - Tak długo czekaliśmy, że zawiązały się nowe znajomości i czekanie było całkiem miłe. No, w każdym razie... znośne. I wszystko było w porządku, tylko nie było nigdzie toalet.

- Nie było? - Zosia się zdziwiła.

- Zosia, jesteś za młoda, żeby pamiętać kilometrowe kolejki do granicy - Renata z pobłażaniem spoglądała na koleżankę. - Dwa kilometry od przejścia, sikałaś gdzie się dało.

- I wtedy czekaliśmy w takim miejscu, że nie było szans na nic. Droga była na stoku, stromo pod górę i bardzo stromo w dół. Nigdzie się nie schowasz - obrazował stromizny ramionami. - Jeden z czekających musiał odcedzić kartofelki, a nie było gdzie.

Nagle Renata zaczęła chichotać, co musiało oznaczać, że finał historii jest zabawny. Zakryła twarz i starała się zdusić śmiech. Rafał cieszył się, że rozbawił gderającą żonę i poprawił jej humor jeszcze przed finałem.

- W górę nie pójdzie, bo musiałby stać na widoku, więc wybrał drugą opcję. Jednak było tak stromo, że trzymał się pni drzew, schodząc od jednego do drugiego. Tak zszedł parę metrów w dół i wciąż trzymając się jednej brzoźki, rozpiął rozporek - zaśmiał się. - Co dalej robił, nie muszę chyba mówić... wiadomo.

- I wtedy Rafał podszedł do skraju drogi, gdzie była ochronna barierka - Renata wstała na łóżku i prezentowała ze śmiechem poczynania męża. - Przechylił się przez nią i z kijem w ręku krzyknął: „Hände hoch!”

- wszystkie poderwałyśmy się na ten okrzyk. Magda o mało nie wypuściła z ręki kubka.

- Matko kochana! - opanowała niesforne naczynie.

- Ale się wystraszyłam.

- To wyobraź sobie, co poczuł sikający facet przy niemieckiej granicy, który jedną ręką trzymał się drzewa, a w drugiej miał... no, wiecie, sikawkę - Rafał przejął opowieść.

Zosia zaczęła chichotać i poprawiła się na krześle. Wszystkie czekałyśmy na puentę, choć już spodziewałyśmy się zakończenia.

- Wypuścił z rąk drzewo, sikawkę i podniósł je do góry. Natychmiast poleciał w dół. Potoczył się jak worek ziemniaków i zatrzymał się na niżej rosnącym drzewie. Ale sikać nie przestał - parsknął śmiechem. Kiedy się uspokoił, dokończył opowieść. - Jak wrócił do góry, był wściekły i osikany. Obraził się na mnie. Teraz go rozumiem, ale wtedy było zabawnie.

Bawiliśmy się świetnie, zwłaszcza że Rafał opowiedział jeszcze kilka śmiesznych historii, ale jemu nagle zaczęło się spieszyć do domu. Nie chciał jechać o zmroku, tak przynajmniej twierdził. Pożegnał się i odprowadzany przez żonę zszedł do samochodu. Zostałyśmy bez rozbawiacza i każda znów zajęła się sobą. Jestem pewna, że wszystkie myślałyśmy o tym samym. O tym, że to ogromne szczęście mieć przy sobie człowieka, który kocha bezgranicznie.

- Ewa, miałaś męża? - ni z tego, ni z owego spytała Magda.

- Nie - odpowiedziałam automatycznie, zaskoczona pytaniem. - Nie miałam. A dlaczego pytasz?

- Bo z facetami tylko kłopoty, a ty wyglądałaś, jakbyś była po ciężkich przejściach - pokiwała głową z ubolewaniem. - To pomyślałam, że może przez faceta.

Siadłam na łóżku po turecku i zaczęłam się przygotowywać na poważną rozmowę, bo na taką się zanosilo. Ale to znów była zwykła babska ciekawość.

- No, ale faceta jakiegoś chyba miałaś - Zosia włączyła się do śledztwa. - Jesteś fajna babka, więc z tym chyba nie masz problemów.

- No - westchnęłam głęboko i uśmiechnęłam się pod nosem - miałam faceta - pomyślałam o Erichu. To też mi się w życiu nie udało, jednak w końcu to była moja decyzja i mój wybór. Erich był znajomym Gertrudy i zjawił się w moim życiu za jej sprawą. Pokręcił coś z rachunkami i potrzebował pomocy przy księgowaniu

i tak się zaczęło. - Taki Erich, miał warsztat stolarski, gdzie produkowano repliki antyków i odnawiano stare meble. Austriacy są bardzo przywiązani do takich rzeczy.

- I co?

- I nic - wzruszyłam ramionami - rozpadło się. Nie pasowaliśmy do siebie.

Nawet nie było mi żal. Erich był rozsądnym, miłym facetem, którego żona porzuciła dla młodszego. Tak przynajmniej mi powiedział, jednak później prawda wydała mi się nieco inna. Kiedy odwiedził Gertrudę w pracowni po raz pierwszy, wydał mi się wystraszony i nieobecny myślami. Wszedł niby przypadkiem, zobaczywszy znajomą przez okno i rozmawiał z nią zupełnie bez składu i ładu. Później dowiedziałam się, dlaczego. Parę miesięcy wcześniej odeszła od niego żona i nie potrafił się pozbierać. Niby pracował, ale za bardzo mu nie szło, niby się spotykał ze znajomymi, jednak wszyscy zaczęli go w dziwny sposób unikać. Podobno stał się marudny i trudny do zniesienia. I na domiar złego namieszał coś w rachunkach firmy i nie potrafił dojść z tym do ładu.

- Może byś mu Rózo pomogła - ciocia Ula już nie po raz pierwszy próbowała mnie swatać. - To taki miły człowiek.

Według cioci Uli wszyscy wolni bądź uwolnieni faceci pasujący do mnie wiekiem byli mili i godni zainteresowania. Wywodziła się jeszcze z tych czasów, kiedy mężczyzna pracował na kobietę, która prowadziła mu dom i była jego ozdobą. Nie mieściło jej się w głowie, że mogę chcieć być sama, że dobrze mi ze sobą, że nie potrzebuje drugiej połowy, aby czuć się dopełniona. Pomimo że nasz koralikowy interes rozkwitał, cały czas czuła się żoną swego męża i nie dopuszczała

do siebie myśli, że mogłaby żyć sama, utrzymywać się sama i sama o sobie stanowić. A mogłaby... tylko po co? - pytała.

Ja to pytanie zadawałam w drugą stronę. Mogłabym z kimś być... tylko po co? Od tego czasu Erich zaczął zaglądać do pracowni regularnie, najpierw ze stosami papierów, potem z ciasteczkami i innymi słodkościami. Coraz więcej czasu spędzał w naszym zakładzie, a coraz mniej w swoim. Twierdził, że interesy idą nie za dobrze i pracownicy na miejscu wszystko sami załatwią, on nie jest tam potrzebny.

- Co to za facet, co nie pilnuje interesów - wujkowi Johanowi nie mieściło się w głowie. - Wiadomo, że pańskie oko konia tuczy i jak nie będzie doglądał interesu, tylko zajmował się damskimi robótkami, to go rozkradną.

Damskimi robótkami wuj nazywał nasze przedsięwzięcie i choć dumny był z naszej działalności, to nie dopuszczał myśli, że mógłby stać się zbędny. Nie chciał w budżecie domowym naszych pieniędzy, więc z czasem zaczęłyśmy kombinować, w co je lokować. Pewnego razu znalazłam ogłoszenie o sprzedaży sekretarzyka z czasów Ludwika XV. Zawsze bardzo chciałam mieć taki mebel. Wujostwo mieli pięknie urządzone wnętrza, jak przystało na mieszkanie w stylowej kamienicy, wypełniały je antyki, haftowane obrusy, piękne obrazy. Moje mieszkanko urządzili jak dla młodej osoby, taka byłam, kiedy mnie przygarnęli. Nowoczesne i trochę... bez ducha. Lubiłam swoje mieszkanie, ale brakowało mi w nim tego klimatu, jaki panował piętro niżej. Antyczny sekretarzyk był moim marzeniem. I wreszcie się trafił. Pieniądzy też miałam dość, żeby spełnić taki kaprys. Kiedy zobaczyłam zamykany sekretarzyk, dotknęłam palisandrowego forniru, pogłaskałam lakie-

rowane, malowane ozdoby i siadłam do marmurowego blatu... wpadłam. Nie mogłam się już oprzeć. Mimo kilku uszkodzeń, kupiłam.

- Naprawię ci go - zaoferował się Erich - za tę pomoc przy rachunkach.

Po wywodach wuja Johana trochę się bałam tej naprawy. Jak zna się na antykach tak jak na rachunkach, to może byłoby lepiej, żebym zrobiła to sama. Potrafiłabym, jestem tego pewna. Jednak z duszą na ramieniu zgodziłam się. Przez następne trzy tygodnie Erich nie pokazywał się w galerii, a ja sama zaczęłam wątpić w odzyskanie mojego marzenia. Na szczęście po tym czasie Erich się znalazł, razem z moim skarbem.

- Trochę ci to zajęło - uśmiechałam się, ale kamień spadł mi z serca, że jednak odzyskam mój mebel. Jeszcze tylko zżerał mnie niepokój o jakość tej naprawy. I tu mnie zaskoczył.

- Boże mój - zatkało mnie - nie myślałam, że on może wyglądać lepiej niż kiedy go kupowałam... oprócz tych uszkodzeń, rzecz jasna. Świetna robota - chwaliłam, a było za co.

- Musiałem najpierw poczytać o antykach i tak mnie to wciągnęło, że na wzór twojego zrobiłem replikę. Chcesz zobaczyć?

Jasne że chciałam i to co zobaczyłam po raz kolejny odebrało mi mowę. Na dobrą sprawę nie wiedziałabym, który jest prawdziwy. Erich odkrył w sobie artystę i już rzadziej bywał w naszej galerii, co bardzo martwiło ciocię. Nie odpuszczała. Zaczęła zapraszać go na niedzielne obiady i traktować jak zalotnika. Śmieszyło mnie to nawet, bo ciocia była w tym wszystkim bardzo autentyczna, a Erich bardzo miły. Poddalam się temu prądowi i jakoś tak poszło, że wszyscy zaczęli postrzegać nas jako parę. Ale to było jakby w innym życiu.

- Czyli jesteś wolna? - Magda nie odpuszczała.

- No, raczej.

Już za drzwiami usłyszałyśmy, jak Renata kłóci się z mieszkankami pokoju obok. Powodu jeszcze nie znałyśmy, jednak wszystko wskazywało raczej na dość istotną kwestię.

- Co się stało - zapytałam, jak tylko stanęła w drzwiach.

- Wiecie, że te idiotki naskarżyły siostram, że w naszym pokoju jest głośno po dziesiątej wieczór?

- stanęła przy szafce z czajnikiem i nalewała wodę. -Niektórzy to tutaj są niezbyt prawidłowo skierowani

- sapiała ze złości. - To jest szpital dla nerwusów, a nie kretynów! - zawołała w stronę zamkniętych już drzwi.

- I co? Siostry zmyły ci głowę? - spytałam.

- Żartujesz? Śmiały się tylko... mają to gdzieś -wzruszyła ramionami.

- Ważne, że jesteśmy w swoich pokojach.

Oddział leczenia nerwic był oddziałem otwartym. W każdej chwili można było wyjść na spacer, na zakupy, nikt nikogo nie pilnował ani nie rozliczał z czasu. Rzecz jasna, trzeba było chodzić na terapie, zażywać leki i wieczorem wracać do pokoju. Swojego. Jednak nawet na koloniach trafiają się lizusy. Zaparzyła melisę. Piłyśmy wszystkie, nawet Kaśka ją polubiła.

- Dlaczego nam nie powiedziałaś, że masz dziś takie święto? - Magda dmuchała w parujący kubek. -Zrobiłybyśmy ci imprezkę.

- Wpierw musiałabym o tym pamiętać.

- Zapomniałaś? - Magda znów zrobiła minę typu „lubię cię”. - Mówiłaś mężowi, że czekałaś na niego -zaczęła kiwać głową - kłamałaś.

- Moja droga - westchnęła - nie chodzi o to, co powiedziałaś, tylko o to, jakie zrobiłaś wrażenie, mówiąc

to. Nabrałaś się, więc wszystko gra. Rafał też się nabrał. Faceci są mniej spostrzegawczy, jeśli chodzi o czytanie mowy ciała - machnęła ręką.

- Jesteś pewna, że się nabrał? - spytałam.

- Jasne, znam go przecież - odpowiedziała, a mnie zaraz przypomniał się manewr z łokciem. Nie wyprowadziłam jej z błędu, widać mają taką rodzinną grę. Ona myśli, że zna jego zachowania i nigdy nie da się oszukać, on wykorzystuje jej wyuczone chwytaki przeciwko niej samej i robi z nią co chce. Podobną grę prowadziła ciocia Ula z wujem Johanem. Kiedy kupiła coś bez uzgodnienia z mężem, chowała to na dnie szafy i kiedy wyjmowała, mówiła, że ma to od dawna. Myślałam, że wuj daje się nabierać. Jednak razu pewnego, kiedy nakryłam go, jak śmieje się ukradkiem, wyjaśnił mi tę grę.

- Dziecko drogie, na nic jej nie skąpię pieniędzy. Może kupować co tylko chce, bez zbędnego ze mną uzgadniania, stać nas na wszelkie jej kaprysy i lubię, kiedy jest szczęśliwa.

- Więc dlaczego to robi? - nie rozumiałam.

- Bo tak robiła jej mama. I gwarantuję, że teść też znał te numery. Ale jak ją to bawi... to proszę. Ja traktuję to jak pewnego rodzaju grę. Bez tego czułbym się oszukany, rozumiesz teraz?

Nie do końca rozumiałam, ale już zawsze zwracałam uwagę na ten zakupowy rytuał i po jakimś czasie śmiejących się życzliwie było dwoje.

Rena ustawiała teraz pieczołowicie na swoim stoliku piękny bukiet kwiatów i cieszyła się z pamięci męża. Białe goździki i kremowe tulipany wplecione w gołe, bezlistne gałązki jakiegoś krzewu i kilka zielonych liści - pięknie prezentowały się na tle seledynowej ściany pokoju.

- Mogą tu stać? - spytała nagle, spoglądając z niepokojem, bo przypomniała sobie o mojej fobii.

- Jeśli obiecasz, że nie przestawisz ich bliżej mnie - uśmiechnęłam się pomimo niechęci do bukietu - i że nie pożrą mnie w nocy.

- To akurat mogę ci obiecać - poprawiła z czułością kremowy bukiet. W końcu miałam się powoli oswajać z wrogiem. Dlaczego nie miałabym zacząć od całego bukietu? Ale nie jest mój i w razie wspomnianego ataku niezręcznie będzie walczyć z nieprzyjacielem, którego Rena darzy rocznicowym sentymentem. Pozostaje mi tylko wierzyć w nieagresję rzeczy nieożywionych. Ale czy na pewno nieożywionych? Będę tego pewna, dopiero jak przeżyję noc.

FILOZOFIA ŻYCIA WEDŁUG SZALONEGO MARKA

Jeszcze nie podniosłam powiek, kiedy usłyszałam z wieży kościelnej „Kiedy ranne wstają zorze” i leżąc, zastanawiałam się, czy więcej jest takich miejsc, gdzie w spokoju powraca się do równowagi. Ile jest takich pałaców smutku i ilu nerwusów się w nich kryje. Jakie fobie męczą ich mieszkańców i z czym muszą się w życiu mierzyć. Każdego ranka, kiedy wreszcie unosiłam powieki, czułam się silniejsza, choć tej nocy spałam w jednym pomieszczeniu z moim wrogiem. Jednak po szczęśliwie przeżytej nocy nabrałam odwagi i energii, więc zadzwoniłam wreszcie do wuja Johana.

- Dziecko moje drogie, bardzo się cieszę, że wreszcie dzwonicz - usłyszałam. - Wiem, że czujesz się już nieźle, ale czekałem, aż sama się odezwiesz.

- Wiesz wujku? Skąd? - zdziwiłam się.

- Myślisz, że posłałbym cię w miejsce, którego nie znam? Ordynator to mój znajomy. Często spotykamy się na sympozjach. Doskonale wiedziałem, że zajmie się tobą nie gorzej niż ja sam i pomyślałem też, że jego córka Agata będzie miała na ciebie dobry wpływ. Nigdy nie miałaś kontaktu z psychologiem, uznałem więc, że teraz ci się przyda.

I nagle wszystko stało się jasne. Nawet dziwiłam się, że bez problemu przyjęto mnie do polskiego szpitala, choć na stałe mieszkam za granicą. Wuj specjalnie nie zabrał mnie do domu, a ja podejrzewałam Lilię o spiskowanie.

- Ale opowiadaj Rózo, jak się czujesz. Chcę to usłyszeć od ciebie.

- Wszystko dobrze wujku. Ordynator umieścił mnie z wesołymi kobietami w różnym wieku i dobrze nam ze sobą. Nie myślałam nawet, że to powiem... ale podoba mi się tu.

- Oj, to całe szczęście. Bo chciałbym, żebyś tam jeszcze trochę pobyła. Załatwiam przez pewne biuro prawne twoje sprawy spadkowe i byłoby dobrze, żebyś przez ten czas przebywała w swoim kraju - wtedy pomyślałam, czy naprawdę jestem w „swoim” kraju. Gdzie jest moje miejsce? Którego kraju jestem obywatelką? Oficjalnie jestem Austriaczką, ale sercem? Sercem też jestem Austriaczką.

- A rozumiem, że w domu rodziców się nie zatrzymasz.

- Nie, wujku. Wolę zostać tutaj.

- Tak myślałem - westchnął. - Słyszałem też, że wypełniasz tam ważną misję?

- Misję? - zdziwiłam się. Nie wyznaczałam sobie żadnego zadania, prócz pozbycia się własnej fobii, rzecz jasna. Ale to był bardziej pomysł Agaty niż mój.

- No tak. Opiekujesz się pewną dziewczyną.

- Wujku, to nie jest tak, jak wszyscy myślą

- zaśmiałam się i dokończyłam nieco ciszej: - Ona opiekuje się też mną.

- A to ciekawe - słyszałam, że się uśmiecha. Znam jego reakcje. Lubiłam jego kojący, ciepły tembr głosu, zawsze mnie uspokajał.

- Próbuję walczyć z moją fobią. Bardzo się nasiliła w ostatnim czasie i stała się już nie do zniesienia - przyznałam się do czegoś, o czym wuj Johan wiedział pewnie od bardzo dawna. Nie na darmo był wziętym psychiatrą, ale jak mówią... szewc chodzi w dziurawych butach. Mogłam myśleć, że niczego nie dostrzega, ale w końcu to on i ciocia dbali, żebym nie dostawała kwiatów, więc nie był tego nieświadomy. - Chodzi ze mną do kwaciarni, bo oswajam się z wrogiem.

- To dobrze dziecko, to bardzo dobrze. Cieszę się niewymownie. Jak tylko poczujesz, że jesteś gotowa wracać... dzwoń dziecko do domu, zaraz dzwoń.

Potem zadzwoniłam do cioci Uli i do Gertrudy, i kiedy dowiedziałam się już wszystkiego, uspokoiliam się, wiedząc, że obie doskonale pilnują interesu, a Gercia ma pomysł na lokowanie naszych zysków i rozkręcenie interesu. O tym jednak chce mi powiedzieć dopiero, jak coś sprawdzi. Poczekam więc.

Zadowolona schowałam telefon i nagle zobaczyłam Marka. Siedział na ławce płaczu i patrzył na witraż. Gdybym podejrzewała, że zna niemiecki, mogłabym myśleć że podsłuchuje. Zaśmiałam się do swoich myśli.

- Coś ty tam tak szprechała? - na schodach zaczął mnie jeden z graczy w tenisa. Głos spod witraża niesie się po holu i rozmowa nie do końca jest taka prywatna. Jednak nigdzie indziej nie ma zasięgu. Ale przypuszczałam, że nie muszę się tym aż tak przejmować. Pewnie dałam niektórym do myślenia, bo tylko z ciocią rozmawiałam w naszym języku ojczystym. Ciocia Ula, moja matka chrzestna, jest Polką, wyszła za Austriaka i tam już została.

- Tak, tam... musiałam podzwonić - wzruszyłam ramionami.

Na to Marek się ożywił, wstał z ławki, obrócił się w stronę holu i głośno zameldował:

- Rozmawiała ze swoim wujkiem i współpracowniczką. Mówiła, że jej się tu podoba i jeszcze trochę zostanie -po czym zwrócił się do mnie i dodał:
- Tylko nie ruszaj klatki z papugami. Ja się nimi zajmuję. Ty masz się zajmować palmiarnią - wskazał palcem w stronę przeszklonej ściany, po czym na znak, że skończył swój wywód, skinął głową i poszedł do pokoju. Odebrało mi mowę. Nie tylko mnie zresztą. Wszyscy w holu patrzyli za Markiem

z większym zainteresowaniem i zdumieniem niż wtedy, gdy wyjadł ze wspólnej lodówki wszystko, nawet majonez. Konsternacja była wprost namacalna. Znaczyło to również, że wie o mojej fobii. Tylko komu to powie i kto zechce go słuchać - uspokoiłam się w myślach.

- O w mordę! - usłyszałam z kanapy i zaległa cisza. Po chwili ktoś zapytał - Kto coś wie o Marku?

Nikt nic nie wiedział. Wysoki, szczupły, można by powiedzieć, że nieco zabiedzony, z wymyślnymi tatuażami na pajęczych ramionach. Zawsze chodził po pałacu nieobecny myślami, czasami nawet podejrzewałam, że zupełnie nieobecny duchem. Jeśli nie rozmawiał z plastikową papugą, to gadał do siebie. Trudno było go zrozumieć. Zadawał jakieś pytania i prawdopodobnie sam sobie odpowiadał, czasami nawet śmiał się z tego, co do siebie mówił. Może tylko siebie uważał za godnego konwersacji? Gdzie był jego prawdziwy świat? A kto to wie. Często widywałyśmy go podczas spacerów, jak włóczył się po wsi. Zawsze sam. Zaglądał do salonu fryzjerskiego, czasami nawet tam przesiadywał. Lubił też zaglądać do lumpeksu i ciągle chodził w innych, kupionych tam ciuchach. W sklepie spożywczym, gdzie słodczyce były wyłożone na plan pierwszy, sam się obsługiwał i rzadko płacił. Właścicielka sklepu wiedziała o tym, ale chyba bała się reagować w zdecydowany sposób, sam wygląd Marka nieco straszyl, więc tylko chowała co droższe łakocie za ladę. Tam Marek, pomimo swoich długich ramion, już nie sięgał. I nie z powodu, mimo wszystko, za krótkich rąk, ale z powodu zasad. Co za ladą, to nie rusz! Odrobinę przyzwoitości jednak miał. No cóż, każdy ma swój świat. Dlaczego nie miałby go mieć szalony Marek? Myślałam o nim jeszcze przez pewien czas, ale zaszył się w swoim pokoju i zniknął nam z oczu, po chwili zniknął też z moich myśli. Na krótko.

Mróz nieco ustąpił, często zza chmur wyglądało przedwiosenne słońce i jakoś tak lżej na duszy się robiło. Może niekoniecznie mnie. Na lód nie wchodziłam już od dłuższego czasu i trochę szkoda mi było tych konspiracyjnych wycieczek. Chowałam się więc za suchymi trzciniami, upewniałam się, że ordynator nie stoi w oknie i ostrożnie wchodziłam na lód. Ostatnio to już żadna frajda, bo przez przymarznięty cienki kożuszek śniegu nie mogłam obserwować życia pod lodową pokrywą. Więc darowałam sobie niebezpieczne wyprawy, choć wędkarze, widać bardzo zacięci w swoim hobby, nadal siedzieli nad przerębiami. Ich skulone sylwetki rozsiane były po tafli i wyglądały jak okruchy makowca na świątecznym obrusie. Nieruchome cętki na białym tle nie wzbudzały już mojego zainteresowania. Coraz ciekawsze za to stawało się obserwowanie życia w szpitalu. Stałam na wale okalającym jezioro i już od kilku minut robiłam ćwiczenia oddechowe i cały czas myślałam o szalonym Marku. Co się stało, że wylądował na oddziale między nerwusami. Nie wyglądał na mającego kłopoty z nerwami ani emocjami, raczej z czymś znacznie poważniejszym. Myślę, że powinien być na oddziale zamkniętym. Ale zaciekawiał mnie, kiedy okazało się, że doskonale zna niemiecki. A musi go znać bardzo dobrze, bo nie mówię literackim językiem po tylu latach życia w Tyrolu. Wszystko rozumiał.

Kiedy wieczorem siadłam na ławce przy witrażu i zastanawiałam się, czy zadzwonić do Ericha, dosiadł się Marek. Siedział i milczał. Patrzył na witraż niewidzącymi oczami. Gdzie błąkała się jego świadomość? Może gdzieś pomiędzy zielonymi liśćmi kasztanowca a jego różowymi kwiatami? Może zupełnie gdzie indziej. Przez moment myślałam, że chce pogadać, choć nie jestem z plastiku i miałam nieodparte wrażenie, że

mnie nie lubi. Po chwili zapomniałam, że jest obok, zatopiłam się w swoich problemach i zastanawiałam się nad słowami Gertrudy: „zadzwoń do Ericha”. Niby po co? Kiedy wyjeżdżałam do Polski, nie układało się między nami. Po latach niezbyt żarliwej miłości i letniego seksu zasłona spadła mi z oczu i oprzytomniałam. Nie wiem nawet, co zdecydowało, że zaczęłam się zastanawiać nad naszym związkiem. A Gerta powiedziała wtedy, że jeśli to początek wahań, to już raczej koniec miłości czy może uczucia, które trzymało nas razem. Tylko że razem trzymały nas obiadki cioci Uli i jej troska o znalezienie mi kogoś do pary. Erich stawał się taki... zwyczajny. I nie żeby mi to przeszkadzało, ale zaczęłam zauważać zachowania, które dotąd mi umykały. Zaczęły mnie drażnić. Zaimponował mi, kiedy zabrał się do produkcji replik antyków i wciąż rozwijał się w tym kierunku. Bo przecież „kto się przestaje rozwijać, umiera” - jak powiedział Antoine de Saint-Exupéry. Czasem zastanawiałam się nad związkami, w których jedno zupełnie stawało w miejscu. Jak mąż Gertrudy. Ona zakręcona malarka, tworząca niezmierną biżuterię i jeżdżąca po Europie od muzeum do muzeum, z wystawy na wystawę. On, starszy od niej, wiecznie leżący na kanapie z pilotem w ręku, zajęty wyłącznie swoją pracą zawodową. Inżynier budownictwa, który w pewnym momencie swego życia przestał w siebie inwestować. Nie czytał, nie oglądał ciekawych dokumentów. Niby słuchał wiadomości, był na bieżąco, ale raczej ze zwykłej ludzkiej ciekawości... może nawet nie ludzkiej, tylko ciekawości opłótkowej plotkary, która komentuje wydarzenia bez chęci wpływania na wkurzającą rzeczywistość. Zajmowały go wyłącznie przyjemności płytkiego życia: bilard, kręgle, rower... no i telewizja. Telewizja w najpospolitszym ujęciu. Programy rozrywkowe i talk-show na wszelakie tematy, teleturnieje i babskie kanały. Czy

wygodne życie bez trosk finansowych tak wpływa na człowieka, że przestaje rozwijać się intelektualnie? Czy to tylko zwykłe lenistwo lub brak bodźca napędzającego? Nie wiem, nie miałam takich dylematów i nie musiałam się tym martwić, a mojej przyjaciółce to nie przeszkadzało. Jednak prawdziwe wydawało mi się powiedzenie, że nic tak nie nakręca do działania, jak głowa pełna marzeń i pusta kieszeń. Widać miał za dużo kasy albo nie potrafił marzyć. Teraz siedziałam na ławce płaczu i zastanawiałam się, co powiedzieć Erichowi. Jak mu powiedzieć, że nie ma sensu ciągnąć czegoś, co nigdy nie było tym, czym być powinno. Marzyłam o żarliwym uczuciu, które nie daje spać, nie pozwala zapomnieć ukochanej twarzy, o uczuciu, dzięki któremu nie cichną w głowie słodkie słowa wypowiedziane wprost do ucha, a na karku czuć ciepły oddech pożądania. Marzyłam o miłości, której kiedyś już zaznałam, o miłości, którą skradziono mi wraz z moim życiem.

Ciężko mi było, wzięłam głęboki oddech i wybrałam jego numer z listy.

- Halo, Erich - nabrałam powietrza, jakbym chciała zanurkować.

- O, Róża. Nareszcie! - wydawał się spięty, jakby... nabrał powietrza przed zanurkowaniem. I wtedy telefon zamilkł. Nie chce ze mną rozmawiać? Nie, po prostu wyładowała mi się komórka.

- No nie! - sapnęłam. - Ja to mam szczęście.

A może to właśnie szczęście? Przez moment zdawało mi się, że Erich chciał mi coś powiedzieć. Coś, co nie przychodziło mu łatwo, zupełnie jak mnie.

- Też znam jednego Ericha - odezwał się Marek. - Często z nim rozmawiam.

Spojrzałam na mojego dotąd cichego towarzysza. Siedział na drugim końcu ławki i ciągle wpatrywał się w witraż. Długie nogi wysunął do przodu i każdy, kto

mijał ławkę na półpiętrze, musiał obchodzić nas dużym łukiem. Ale jakoś nikt nie miał o to pretensji. Nie wiedziałam, czy się odezwać, czy lepiej milczeć. I wtedy szalony Marek odwrócił się w moją stronę, spojrzał na mnie zupełnie trzeźwymi oczami i powiedział:

- Wiesz, co mówił mi o szczęściu?

- Co? - zaciekałam się nie tyle, co jakiś tam Erich miał do powiedzenia na temat szczęścia, tylko zupełnie przytomnym spojrzeniem Marka.

- Szczęście nie jest ani dziełem przypadku, ani darem bogów. Szczęście to coś, co każdy musi wypracować dla samego siebie - powiedział to potwornie poważnie. Po czym znów odwrócił się w stronę witraża i zdawało się, że odpłynął. Popatrzyłam na mój martwy telefon i wstałam. Nie wiedziałam... zostać i zagadać do niego, czy dać mu święty spokój i odejść. Za plecami usłyszałam jeszcze cichą zachętę.

- Pomyśl o tym.

Odwróciłam się, bo jednak chciałam odpowiedzieć, ale nie było do kogo. Już schodził po schodach i z anielskim uśmiechem kierował się w stronę klatki z papugami. Patrzyłam przez chwilę, jak idzie na patykowatych nogach i rozmarzonymi oczami spogląda na swoją ulubienicę. Po chwili stał przy klatce i delikatnie skrobał palcem w drucianą klatkę. Nagle mnie olśniło. Boże mój! Przecież on ma rację! Na szczęście trzeba zapracować, nie spada z nieba, nikt nie podsunie mi go pod nos. Jeśli sama nie wezmę życia we własne ręce i pozwolę cioci Uli swatać mnie na obiadkach, to mogę nigdy nie trafić na swoje szczęście. Kiedyś usłyszałam, że szczęściem można zarazić się jak chorobą. Jednak nigdy nie słyszałam o żadnej epidemii. Może jestem odporna?

Marek już rozmawiał ze swoją plastikową przyjaciółką. Pewnie żegnał się przed snem, bo po chwili nakrył klatkę wielką chustą, co dla papugi (oczywiście

tej żywej) oznaczało, że pora spać, nastala noc. Poszłam więc do pokoju i, wchodząc na górę stopień po stopniu, myślałam o tym, co usłyszałam od Marka.

*

Znów musiałam zmierzyć się z koszmarem. Wybrałam się do kwiaciarni po mojego prześladowcę, maleńkiego bratka. Sama. Idąc w stronę kwiaciarni, starałam się nie myśleć, jaki jest cel spaceru, a wczorajsze słowa wyimaginowanego Ericha wciąż brzmiały mi w uszach, co bardzo w tym pomagało. Na szczęście musimy sami zapracować, nikt nie da nam go w prezencie ani też nie spadnie nam z nieba. Jeśli nie masz szczęścia, zakasuj rękawy i bierz się do roboty. Trzeba go poszukać. Pieniądze też nie spadają z nieba, zakasuj więc rękawy i bierz się do roboty. Jeśli potrzebni ci przyjaciele, nie siedź samotnie w domu, wyjdź do ludzi. Im dłużej o tym myślałam, tym prawdziwsze stawały się bajdurzenia szalonego Marka. Może słusznym jest, że w niektórych plemionach afrykańskich bardzo szanuje się obłąkańców? To, co powiedział uznany za najbardziej zakręconego pacjent, wydało mi się najtrafniejszym stwierdzeniem, jakie usłyszałam, od kiedy jestem w tym pałacu.

Rozmyślając nad tym, nie spostrzegłam, jak doszłam do jaskini przeznaczenia. Pani w kwiaciarni już mnie rozpoznawała i od progu pytała, którego potwora mi zapakować. I znów ta wielka torba z małym kwiatkiem w środku.

- Pewnie trudno żyć z taką fobią? - troskliwie zagadnęła kobieta, ostrożnie podając mi pakunek.

- Znacznie gorzej z nią walczyć - westchnęłam. -Ale skoro już tu jestem, to próbuję.

- Pani tu pierwszy raz, prawda. Nie widziałam pani wcześniej - kobieta przyglądała mi się, ale było to bardzo życzliwe spojrzenie, pełne współczucia i troski.

- Tak - przytaknęłam. - Nie mieszkam w Polsce i nigdy tu jeszcze nie byłam. Ale muszę przyznać, że bardzo mi się podoba. Nie wiedziałam o tym miejscu.

- O, ten szpital jest tu od zawsze. No, może nie od zawsze, ale od kiedy pamiętam w pałacu zawsze leczyły się... no, wie pani, nerwusy - uśmiechnęła się zażenowana, bo pewnie chciała powiedzieć „szajbusy” albo coś zbliżonego.

- Ale miłe jest to, że mieszkańcy dobrze znoszą pacjentów - uśmiechałam się, jakbym chciał podziękować w imieniu wszystkich chorych.

- Prawda jest taka, że to wieś zabita dechami i głównie z pensjonariuszy żyjemy.

- Nawet kwaciarnia? - zdziwiłam się. Bo rozumiem, że można dokupować jedzenie (w szpitalu nie karmią najlepiej, w końcu to nie pięciogwiazdkowy hotel), ale kwiaty?

- Nawet nie wie pani, ilu panów kupuje tu kwiaty dla nowych sympatii - uśmiechnęła się filuternie. Nie, tego jeszcze o szpitalu nie wiedziałam. - No i szczęśliwie są osoby z różnymi fobiami - natychmiast pogłaskała mnie po rękę w przepraszającym geście. - Proszę się nie gniewać.

- Ależ nie gniewam się - uspokoiłam ją z uśmiechem i nagle uzmysłowiłam sobie, że zapomniałam, gdzie jestem. Wokół pełno kwiatów, a ja ucinam sobie pogawędkę z właścicielką kwaciarni. Co prawda stałam już w drzwiach... zawsze lepiej być blisko wyjścia, a nuż któryś z tych drapieżników rzuci się na mnie. - Pewnie pełno jest anegdot o mieszkańcach pałacu, prawda?

- O, tak - pokiwała głową lekko zawstydzona. - Ale niech mi pani wierzy, to nie jest złośliwe.

Opowie mi pani jakąś? - poprosiłam.

- A pewnie - uśmiechnęła się - ale nie będzie się pani gniewała?

- Skąd znowu - odpowiedziałam uśmiechem. Sama się chętnie pośmieję.

- Kiedyś - zaczęła więc opowieść - bardzo kiepsko karmili w szpitalu...

- Nadal nie jest najlepiej - wtrąciłam się.

- Kiedyś było znacznie gorzej, niech mi pani wierzy. Pacjenci przychodzili po różne produkty do gospodarzy, bo w sklepie nie było co kupić. Pamięta pewnie pani te czasy - westchnęła. - Kupowali jajka, czasami warzywa, kurę czy też wyroby wędliniarskie. Tak bywało. Dorośli różnie określali pacjentów - wzdrygnęła ramionami lekko zdeprymowana - ale wie pani, jak to jest. Oni niekoniecznie o tym wiedzieli, a może wiedzieli i sami się z tego śmiali. W każdym razie, do moich sąsiadów przychodzili po jajka i drób. I pewnego razu sąsiadka zostawiła na podwórku synka, a sama poszła za dom do ogrodu i wtedy przyszli pacjenci po jajka - uśmiechała się do siebie. - I mały z krzykiem ruszył za dom. „Mama, chodź! Czubki przyszły po jajka!”. Sąsiadce było strasznie głupio, ale klienci tylko się śmiali.

- Zabawne - zaśmiałam się. - Miło się z panią rozmawia, ale muszę już wracać. Dziękuję za zapakowanie kwiatka - spojrzałam ze śmiechem na wielką papierową torbę. Zaraz widać, że kobieta poważnie podeszła do mojej słabości. - Do zobaczenia.

- Do widzenia pani. Miłego dnia.

Kiedy wracałam do pałacu, uśmiechałam się. Prawie zapomniałam, co niosę w torbie. Wciąż bawiła mnie ta historia z czubkami. Widać z tego, że miejscowi bez problemu tolerują nerwusów i nie rodzi to większych problemów.

W holu szpitala już bardziej skupiłam się na zadaniu, bo wiedziałam, że wkrótce będę musiała wyjąć brat-

ka z torby. Ciężko westchnęłam i wdrapywałam się po schodach. Na ławce płaczu siedział Marek i wpatrywał się w witraż. Zerknęłam na niego. Oczy miał nieobecne i zdawało mi się, że w myślach prowadzi z kimś rozmowę. Dziwny uśmiech błąkał mu się w kącikach ust, które poruszały się, jak podczas prowadzonego dialogu albo modlitwy. Biedny - pomyślałam i znów nerwowo sapnęłam, zerkając na pakunek.

- Nie bój się cieni, one świadczą o tym, że gdzieś znajduje się światło - usłyszałam. Spojrzałam na szalonego Marka i kolejny raz zobaczyłam ten przytomny wyraz twarzy i wspierający uśmiech.

- Co powiedziałeś?

- To nie ja. To Oscar Wilde - odpowiedział spokojnie, po czym skierował wzrok na witraż. - Właśnie z nim rozmawiałem. Podlałaś kwiaty? - spytał ni z gruszki, ni z pietruszki i znów spojrzał na mnie.

- Podlałam - odpowiedziałam wciąż zaskoczona tym, co przed chwilą usłyszałam.

- Tylko pamiętaj, nie dotykaj klatki. Ja zajmuję się papugami.

- Tak, pamiętam - odpowiedziałam, a Marek znów odleciał do swojego świata.

Boże mój, czym jeszcze mnie ten chłopak zaskoczy? Nie trzeba było długo czekać. Jeszcze tego dnia, kiedy wszyscy byli na kolacji, Marek znów wyżarł wszystko z lodówki, łącznie z keczupem. Chociaż... to zaskoczyło tylko nowo przybyłych, którzy w parę chwil stracili zapasy. Bywalcy tylko żalowali Marka, bo potem dwa dni leżał w łóżku, a siostry donosiły mu gorącą herbatę, do holu bał się wychodzić, a zalecono mu dużo pić. I nie dziwota! Zjeść tyle bez popijania? Keczup pewnie był pikantny. Każdy musiałby potem uzupełniać płyny. Biedny Marek.

- No, moje drogie! Wreszcie jest woda w spłuczkiach - Renata stała zadowolona w drzwiach. - Koniec z miskami.

- Też mi radość - zaśmiała się Magda. - A z drugiej strony... patrzcie. Taka gówniana sprawa, a ile uciechy.

- Trzeba się cieszyć drobiazgami - nie wiadomo dlaczego zachichotała Renata. - I należy sobie sprawiać drobne przyjemności.

- Co masz na myśli? - Kaśka zerknęła na nią podejrzliwie. - Co zmalowałaś?

Renata rozsiadła się na krześle, zaczęła pieczołowicie poprawiać codzienny przekąskowy bałagan na stole i uśmiech nie schodził jej z twarzy. Kaśka podparła się pod boki i spojrzała na mnie pytająco. Renata skończyła układanie i triumfalnie oznajmiła:

- Nie powiedziałam o wodzie tym wariatkom zza ściany. Niech latają z miskami - zacierała ręce. - Nie ma to jak poprawić sobie humor.

- Zorientują się - Magda machnęła ręką z rezygnacją.

- Bardzo wątpię - teraz Kasia z szerokim uśmiechem kiwała głową z zadowoleniem, wracając do kartki, na której coś rysowała. Też nie przepadała za sąsiadkami. - Wczoraj widziałam, jak przepisywały ze ściany w świetlicy tekst Desideraty - podniosła na nas roześmiane oczy.

- No to co? - nie zrozumiałam. - To bardzo mądry tekst. Każdy powinien go znać. A nerwusy to nawet na pamięć.

- No - przytaknęła. - I pewnie dlatego kserówki z tekstem leżą na parapecie okna tuż obok.

- I nie powiedziałaś im? - spytała Renata z nadzieją w głosie.

Kasia z uśmiechem i nieukrywaną satysfakcją powoli pokręciła głową. Renata aż podskoczyła na łóżku.

- Dobre dziecko, moja szkoła!

Zabawne stały się potyczki z mieszkankami pokoju obok, bo od kiedy doniosły na nas siostrom, nie były naszymi ulubienicami. Chodziły po pałacu z małymi torebkami przewieszonymi przez ramię, jakby bały się zostawić je w pokoju. Nie mam pojęcia, co w nich nosiły, bo przecież zasięg był tylko przy witrażu, więc raczej nie telefony, kasy tutaj nie było gdzie wydawać, więc też nie pieniądze, klejnoty nosiły na sobie, to może papierosy? Palarnia była w piwnicach pałacu i chodziły tam pielgrzymki. Nasze sąsiadki czasem też tam zmierzały. Nie wiedziałyśmy jednak, czy gnał je tam nałóg, czy szły za męską częścią pacjentów. Z tymi wyszukanymi torebkami, w pełnym makijażu i w rozdeptanych kapciach wyglądały przekomicznie. Życie w szpitalu neuropsychiatrycznym potrafi być czasami bardzo radosne. I podobno też o to tu chodzi. Pacjenci mają odciąć się od codzienności, poddać się różnym zabiegom uzdrawiającym lub też ułatwiającym poznanie siebie i swoich problemów, włączyć się w życie społeczne i grzecznie przyjmować leki lub próbować już z nich rezygnować. Drobne przyjemności są więc jak najbardziej na miejscu. Tak jak na miejscu zdają się być młodzi ludzie rozmawiający z filozofami. Sprawdziłam słowa Marka. Wpisałam w wyszukiwarkę słowa „szczęście”, „Erich” i wyskoczył mi niemiecki filozof Erich Fromm. Tylko że on już od kilkudziesięciu lat nie żył. Jak zresztą Oscar Wilde.

- Wiecie, że Marek cytuje filozofów? - spytałam, choć nie spodziewałam się odpowiedzi. Było to pytanie retoryczne rzucone w przestrzeń małego pokoju. Kasia

i Zosia zdawały się być za młode na filozofów, Magda kompletnie niezainteresowana, najprędzej Rena mogłaby wykazać zaniepokojenie.

- Podpytałam o niego siostrę przełożoną - Renata jednak podchwyciła temat. - Nie chciała nic powiedzieć, ale lekko ją podeszłam.

- Czemu mnie to nie dziwi? - Magda uśmiechała się znad gazety.

- I co? - ożywiłam się.

- Marek jest podobno wykształcony... i to nieźle. Studiował gdzieś w Niemczech, nie dowiedziałam się, co i gdzie, ale przypuszczam, że jakieś nauki społeczne. Może filozofię, może socjologię, może prawo, może filologię? Nie wiem.

- To by mi pasowało - przyznałam. Dotąd postrzegałam go jak wytatuowanego menela, jednak po kilku rzuconych sentencjach nie byłam już taka pewna. Patrzyłam na niego raczej jak na ekscentryka, którego losy przygnały do pałacu nad jeziorem.

- Potem coś się stało i wylądował w szpitalu. Czasami jest na oddziale zamkniętym w innym szpitalu, ale kiedy jest lepiej, przenoszą go tutaj. Ma też niezły majątek i rodzina bardzo o niego dba.

- Serio? - Zosia się zdziwiła. - Nie wygląda na to.

- Dbają, bo pewnie zarządzają jego kasą - Magda była zimną realistką i nie miała złudzeń, skąd bierze się pamięć o chorym. - To dlaczego podkrada słodycze w sklepie? - zreflektowała się nagle.

- To się dzieje poza nim - tłumaczyła go Renata. - Ale rodzina o tym wie i od czasu do czasu wyrównuje w sklepie straty.

- To wszystko wiesz od przełożonej? - Zosia nie dowierzała. - Coś ty jej zrobiła? Jest miła, ale bardzo zasadnicza, nie powiedziałaaby ci tyle o pacjencie.

- Mam swoje sposoby - pokiwała głową na potwierdzenie tych słów i nie podnosząc na nas wzroku, uśmiechała się do swoich myśli.

- Aż strach się bać - Kasia patrzyła na nią z podziwem i lekką obawą.

- No co wy! Mam narzędzia i z nich korzystam. Czasem nawet bezwiednie - przyznała lekko zażenowana i dla odwrócenia uwagi zaczęła ustawiać kubki z woreczkami melisy.

- Jakie narzędzia?! - przeraziła się Magda i podniosła na nią wystraszone oczy.

- O matko, Magda! - Zosia kręciła głową nad naiwnością koleżanki - ona mówi o różnych podchodach i sposobach na wyciąganie zeznań. Wiesz, żeby rozmówca powiedział jak najwięcej.

- Aha! - pokiwała głową uspokojona. - U nas to się nazywa plotkarstwo i wścibstwo - Magda była bezlitosna i bezpośrednia, ale ciekawa jak każda plotkara. I chyba trafnie przetłumaczyła sobie znaczenie tego słowa. - No, ale mów dalej. Co jeszcze wiesz?

- Jadłaś wczoraj ciasto? - Rena spojrzała na nią jak sędzia na oskarżonego. A ciasto było pyszne, z piekarni, nie jakieś tam suche ciasteczka z pudełka.

- No, dobre było. Nie tylko ja jadłam. Wszyscy zlecieli się jak muchy do padliny - była lekko zde gustowana, bo ledwo zdążyła na ukochane rurki z kremem. - Bo co?

- To mama Marka przeproszała za wysprzątanie lodówki - i zaczęły się plotki o łakomstwie co niektórych, co to jedli darowane ciasta jak niedźwiedź przed snem zimowym, o damsko-męskich zagrywkach z korytarzy szpitala, o gustach i guścikach sąsiadek z pokoju obok. Nie ma to jak drobne radości! Ploteczki, odrobina wścibstwa i ciasto na przeprosiny. Życie potrafi być piękne. Nawet wśród wariatów. A może zwłaszcza tu...?

CIEMNA STRONA MIŁOŚCI

Niemal każdego dnia odwiedzałam kwiaciarnię i miłą panią Jolę. Uczyniłam z tego mój prawie codzienny rytuał i zmieniałam trasę przebieżki. Kończyłam dotlenianie u pani Joli i z dotlenioną krwią z domieszką adrenaliny, z papierową torbą w ręku i sercem na ramieniu wracałam do pałacu. A te cholerne bratki wciąż odmawiały współpracy i wędły. Już nawet podejrzewałam je o znowę i tworzenie przeciw mnie wspólnego frontu. Ale jak to w życiu zwykle jest... co dajesz komuś, to dostajesz w zamian. Ja nie darzyłam ich sympatią, więc nie powinnam mieć za złe, że miały mnie gdzieś. Za to zyskałam jeszcze jedną znajomą, sprzedawczynię kolorowych potworów. Ona zaś śmiała się, że jestem najlepszą klientką, bo kupuję już drugą skrzyneczkę bratków.

Któregoś dnia, kiedy wracałam z bratkiem z kwiaciarni Joli, zadzwonił telefon. Rzadko biorę go na spacer, ale dziś chciałam zadzwonić do cioci Uli, a w pałacu zasięgu jak na lekarstwo. To jednak nie była ciocia. Dzwoniła Lilia.

- Halo, co tam Lilia? - przyznam, że byłam nieco zdziwiona i nie powiem, że ucieszona.

- Cześć Róża. Jak się czujesz?

- Nie najgorzej, dziękuję - postanowiłam nie ułatwiać jej rozmowy. Stałam na górcie przy kościele, postawiłam papierową torbę przy nodze i skupiłam się na rozmowie. Ciekawa byłam, co chce mi powiedzieć moja wiarołomna siostra.

- Wiesz, chciałam cię odwiedzić, ale tak jakoś nie wychodziło - motała się. Musiała czegoś ode mnie potrzebować, bo inaczej by nie zadzwoniła. Znam ją. Nie

odzywała się do mnie ponad dwadzieścia lat, więc po co teraz miałyby się o mnie troszczyć?

- Rozumiem, jesteś zapracowana - nie wiem, czy wyczuła sarkazm. Pewnie nie, a jeśli nawet, to i tak miała to w nosie.

- Róża, musimy porozmawiać - zaczęła ostrożnie.

- Słucham cię - zachęciłam rzeczowo. Byłam bardzo ciekawa, co miała mi do powiedzenia.

- Ale to nie jest rozmowa na telefon - westchnęła. Co tak trudnego chciała mi powiedzieć, że cyniczna dotąd natura pozwalała jej na takie sapanie? A znam to sapanie. Jest wynikiem szarpanych emocjami nerwów. Może chodziło o Maurycego? Może nie podoba jej się, że odwiedza znikowaną ciotkę, której dotąd nawet nie znał?

- Co masz mi do powiedzenia, czego nie możesz powiedzieć teraz?

- Musimy co nieco uzgodnić - wiała się jak piskorz. Zawsze śliska była jak ryba. Niech się jeszcze trochę powije, co tam!

- No to musisz tu do mnie przyjechać - nie miałam litości, ale sądziłam, że to ją skutecznie odstręczy od pomysłu. W takim miejscu się przecież nie pokaże.

- A ty nie możesz?

- Nie dostanę przepustki - kłamałam - i jeszcze tu trochę pobędę. Chyba że to nie jest takie pilne, to wpadnę do ciebie, jadąc do domu. Muszę w końcu zabrać swoje rzeczy.

- To raczej pilne - nie ustępowała.

- Cóż, to musisz się pofatygować. Nie ma innej rady - w słuchawce nastąpiła cisza. Może zastanawiała się, co odpowiedzieć, więc postanowiłam ją nieco uspokoić. — Nie bój się, nie zamknę cię tu tylko dlatego, że jesteśmy do siebie podobne... i porozmawiać też jest gdzie.

- To jeszcze pomyślę - nie potrafiła zdobyć się na odwagę.

- Jak chcesz - wzruszyłam ramionami i naraz niezaplanowany odwet przyniósł mi ulgę. A może tylko poczułam dumę, że jej nie uległam? - Ja donikąd się nie wybieram - dodałam zadowolona z siebie.

I tak skończyła się nasza siostrzana rozmowa. Kto głosi poglądy, że siostry bliźniaczki łączy jakaś specjalna więź czy też siostrzana miłość, mógłby pogadać ze mną i zweryfikować nieco tę teorię. Choć podobno wyjątki potwierdzają regułę. Podobno. Uśmiechając się pod nosem, schowałam telefon do kieszeni, podniosłam mojego kwiatka i dziarsko pomaszero wałam w stronę pałacu. Kiedy dochodziłam do szpitala, zobaczyłam, że panuje tam niezłe poruszenie. Siostry biegały po schodach, ordynator, niespokojnie drapiąc się po siwej czuprynie, rozmawiał ze swoją córką.

- O, jest! - krzyknęła na mój widok psycholożka Agata.

- Co się stało?! - udzieliła mi się ich panika, bo myślałam przez moment, że coś niedobrego stało się z Kaśką. Ale jak wychodziłam, ona w najlepsze siedziała na terapii zajęciowej i rysowała.

- Całe szczęście - ordynator chwycił się za serce. - Byli tu policjanci. Ktoś utonął w przereźbli, widział to pewien wędkarz i zgłosił na policję. A że to zdarzyło się tuż przy pałacu, więc przyszli spytać, czy czasami nie brakuje kogoś z pacjentów - mówił niemal jednym tchem, jednak z ulgą w głosie. - Zaraz pomyślałem o pani. Ależ się przeraziłem, jak mi powiedziały koleżanki z pokoju, że poszła pani pobiegać.

- Ale nie po jeziorze - obruszyłam się.

- Oj, dziecko - pogroził mi palcem. - Widziałem cię nie raz.

Stałam w holu z papierową torbą i pewnie zrobiłam się czerwona jak burak, bo Agata ratowała mnie z opresji.

- To kwiatek? - wskazała na zawiniątko.

- Tak, bratek - uniosłam torbę na wysokość oczu, trochę żeby zasłonić purpurę na twarzy.

- Cieszę się. To chodźmy pogadać - i pociągnęła mnie za rękaw w stronę schodów. - Chodźmy, bo tato ci nie odpuści i będziesz musiała wysłuchać wykładu - szepnęła konspiracyjnie, wchodząc już na stopnie. Tak więc wpadłam z deszczu pod rynnę. A dokładniej od psychiatry do psychologa. Jednak dziś wolałam pogadać z Agatą, przynajmniej dostanę zielonej herbaty. W jej gabinecie już nie siadałam na kraciastym fotelu, tylko od razu pakowałam się na kanapę. Fotel źle mi się kojarzył.

- Dawno nie rozmawiałyśmy - zagadnęła, wstawiając czajnik z wodą.

- Oczywiście, napijesz się ze mną herbaty?

- Jeśli masz jeszcze tę co ostatnio, to chętnie - przytaknęłam z ochotą. - Rzeczywiście, dawno nie ściagałaś mnie po korytarzu - zamyśliłam się przez ułamek sekundy.

- Nie musiałam. Doskonale sobie radzisz bez rozmów ze mną. Myślę, że to zasługa Kaśki.

- Z Kaśką też dawno nie rozmawiałaś - uzmysłowiłam sobie nagle.

- No, bo też nie musiałam. Dzięki tobie - zaśmiała się. - Fajnie, nie? Jakby tak dało się dobrać w pary wszystkich pacjentów, nie miałabym roboty.

- To może lepiej tego nie rób.

- Nie będę. Lubię tę pracę i ten szpital - postawiła przede mną kubek z herbatą pachnącą jaśminem. - Nie mogłabym chyba robić niczego innego - zaczęła dmuchać w parujący kubek. - A ty? Gdybyś mogła wpłynąć na swoje życie i je zmienić... co byś zmieniła?

- Nie wiem - zamyśliłam się. Co zmieniałabym w moim życiu? Pewnie nie wyjechałabym na studia do Wiednia. Niczego innego nie musiałabym już robić. - Pewnie nic - odpowiedziałam. Nie byłam jeszcze gotowa na głębokie wyznania, a może czułam, że nie warto już tego ruszać. Eee, nie... jeszcze mnie to boli.

- Mniejsza o to - machnęła ręką. - Masz w sobie takie pokłady siły i optymizmu, że nie muszę cię podchodzić żadnymi terapeutycznymi numerami - zaśmiała się - Cieszymy się, że Kaśka tak wspaniale się pozbierała. To wyłącznie twoja zasługa - patrzyła takim wzrokiem, że zaczęłam wierzyć w moje terapeutyczne oddziaływanie na Kaśkę. Bo że Kasia dobrze wpływa na mnie, to wiedziałam już od jakiegoś czasu.

- To widać działa w obie strony.

I tak przegadałyśmy herbatkę. Odpoczęłam troszkę, poczekałam, aż emocje związane z topielcem opadną i zbierałam się do wyjścia do pokoju. Jeszcze dobrze nie zamknęłam drzwi, jak Agata zawołała za mną:

- A bratek!?

- Ach, zapomniałam - cofnęłam się po pakunek.

- Specjalnie? - zapytała ze śmiechem, mrużąc figlarnie oczy.

- Nie, no co ty. Nie mogłabym go przecież tu zostawić - mrugnęłam do Agaty.

- Akurat. Bo ci uwierzę - zaśmiała się. - Ile już ich masz?

- Czego?

- No... bratków - wskazała na torbę, jakby było oczywiste, że je kolekcjonuję. Skąd taki pomysł?

- Tylko tego jednego.

- Jednego? - zdziwiła się. - Przecież prawie codziennie jakiegoś przynosisz.

- Ale nie mają woli współpracy - rozłożyłam bezradnie ręce. - Nic na to nie poradzę. Za to zakolegowałam się z Jolą z kwiaciarni.

- Dobrze i to - westchnęła trochę jakby rozczarowana.

Pomachałam jej ręką już z końca długiego, ciemnego korytarza. Niosąc moje zadanie do pokoju, zaczęłam się zastanawiać, co dzieje się z tymi, które poległy. Nie każdego osobiście wyrzucam do kosza. Pewnie Zośka, porządnicka, sprząta te zwłoki. Nie znosi bałaganu i cały czas coś ogarnia. Czasami robimy sobie zabawę i kiedy Zosia wychodzi z pokoju, celowo coś zostawiamy na wierzchu i robimy zakłady, kiedy Zośka to sprzątnie i co z tym robi. Najczęściej wygrywa Renata. W końcu odczytywanie ludzkich zachowań to jej chleb powszedni, ale Kaśce też udało się wygrać. Najgorzej wypada Magda... zwykle nawet zapomina, jakie miejsca wskazywałyśmy i co było do sprzątnięcia. Jej mały rozgardiasz w ogóle nie przeszkadzał. Ale zabawa i tak jest fajna.

Następnego dnia przy obiedzie dowiedzieliśmy się, kto prawdopodobnie utonął w przerębli. Tę straszną wiadomość przyniosła jedna z siostr mieszkających po drugiej stronie jeziora, która przyszła na popołudniową zmianę. Pewna młoda dziewczyna, zakochana, najwyraźniej nieszczęśliwie, nie wróciła do domu. Rodzice są przerażeni, bo podejrzewają, że to właśnie ich córka targnęła się na życie. Nie znaleziono ciała, utknęło pewnie gdzieś pod lodem i nie wiadomo, czy kiedykolwiek zostanie odnalezione. Mówią, że to jezioro jest bardzo zdradliwe, przez wiry, które co jakiś czas zabierają komuś życie. Ponoć nie ma lata bez dramatu. Choć zwykle toną podpici amatorzy chłodnych kąpiei, to i tak szkoda. Wiry jeziora wysysają życie z odnajdywa-

nych w różnych miejscach jeziora ciał. Kto wie, gdzie teraz jest ta biedna dziewczyna, czy jej ziemską powłoka zaczepiła o coś pomiędzy konarami albo korzeniami drzew. Gdzie podziewa się nieszczęśliwa dusza samobójczyni? Czy zaznała spokoju, czy utuliła żal, który pchnął ją w otchłań lodowatej wody? Czy zimna śmierć ulżyła cierpiącej duszy? Miłość potrafi uskrzydlać, ale zawiedziona potrafi zburzyć wszystko, odebrać życie, zmysły. No, właśnie... zmysły.

- Myślicie, że można umrzeć z miłości? - kiedy w ciszy wróciłyśmy do pokoju, Zośka domagała się odpowiedzi. Wielkimi oczami patrzyła w okno, choć i tak zdawała się niczego nie widzieć.

- Można przytyć - sprostowała Magda i sięgnęła po następną bezę.

- Jak to przytyć? - spytałam zdziwiona.

- Normalnie - Magda wzruszyła ramionami. - Kochasz się w facecie i boisz się do niego zagadać. Poprawiasz sobie humor i zajadasz. Najlepiej coś słodkiego. No i tyjesz.

- Ty lepiej zostaw te bezy i idź do holu. Widziałam tam Jurka - Renata próbowała ją zachęcić do ataku, a może odciągnąć od ciasteczek, ale Magda chyba się poddała. - Weź karty i zaklep miejsce. Przed chwilą była wolna cała kanapa. Połóż się na niej i czekaj na nas.

- Zwariowałaś? Mam leżeć w holu na kanapie? Pomyślą, że mi odbiło.

- No... i za bardzo się nie pomył - zaśmiała się Kaśka. Coraz chętniej wtrącała się do rozmów i coraz częściej się śmiała.

- Nie, nie pójdę. To już nie ma sensu - Magda wyraźnie zrezygnowała.

- Zaproś go wieczorem na spacer - Renata nie dawała za wygraną - spróbuj ostatni raz.

- A jak odmówi? Będzie mi głupio.

- Nauczę cię pewnej sztuczki - nasza manipulatorka poderwała się z łóżka i dosiadła się do stołu. Sama też zamknęłam pokrywę laptopa, bo ciekawa byłam, czego będzie ją uczyć. Może i mnie się przyda. - Kiedy chcesz nakłonić kogoś do wyrażenia zgody, to powinnaś nauczyć się kiwać głową.

- Dlaczego? - Zosia też nagle wyraziła chęć podnoszenia swoich życiowych kwalifikacji.

- Przypomnijcie sobie sytuacje, w których byliście do czegoś pozytywnie nastawione i opowiadałyście o tym - wyczekująco patrzyła na adresatkę nauk. - Co wtedy zwykle robicie z głową?

- Mamy ją na karku? - Magda próbowała odpowiedzi, ale Rena spojrzała na nią z dezaprobatą.

- Przynajmniej powinnaś ją tam mieć - zgasła zawiedziona Magdę. - Ale chodzi mi o coś innego. Kiedy mówimy coś takiego, zwykle kiwamy głową w geście aprobaty - na potwierdzenie swych słów lekko kołysała głową. Sama zaczęłam jej wierzyć. - I to kiwanie jest zaraźliwe. Nasz rozmówca też zaczyna kiwać głową i nastawia się pozytywnie do tego, co mówimy.

Zmrużyłam oczy i chciałam sobie przypomnieć jakieś takie sytuacje. Przypominało mi się tylko, jak ciocia Ula gra z wujem Johanem w swoją zakupową grę i rzeczywiście kiwa wtedy głową. Tyle tylko, że wuj wie doskonale, o co w tej zabawie chodzi i już na samym początku zaczyna jej przytakiwać. Więc to chyba się nie liczy.

- No, możesz mieć rację - Kaśka kiwała głową z uznaniem.

- I mam. Cała sztuczka polega na tym, żeby, chcąc kogoś do naszego projektu przekonać, świadomie zacząć potakiwać - nie przestawała demonstrować triku przekonywania. - Po chwili on zaczyna robić to samo i już go mamy. Zadajesz potem kluczowe pytanie i w czasie,

jak ci odpowiada, dalej potakujesz. Nie odmówi ci. No, chyba że prosisz o gwiazdkę z nieba.

Przez chwilę zastanawialiśmy się i zapewne każda z nas szukała w pamięci momentów potwierdzających tę teorię. Kaśka uśmiechała się, co świadczyło, że takie zagrywki też nie były jej obce, albo przynajmniej była ich świadkiem.

- Dobra! Spróbuję ten ostatni raz - Magda podjęła rękawicę.

- Czekaj! Jeszcze jeden numer - Renata chwyciła ją za przedramię i przytrzymała przy stole. - Jeśli chcesz wiedzieć, jakie wywiera to na nim wrażenie, to zajrzyj pod stół.

- Pod stół? Jak? Mam tam wejść? - już się wystraszyła. - I co mam tam robić?

- Spojrzeć na stopy.

- O rany! Już się wystraszyłam - odetchnęła z ulgą. Zosia przyglądała się to Renacie, to Magdzie i kiwała z niedowierzania głową. Pewnie pomyślała, że jak na doświadczoną kobietę, Madzia o życiu wiedziała niepokojąco mało.

- Kiedy człowiek kłamie, może czasami zapanować nad mową ciała, ale zwykle zdradzą go nogi i stopy. Sfrustrowany człowiek będzie kiwał i potrząsał stopą - siadła na krześle i demonstrowała. - Jeśli chcesz wiedzieć, czy ktoś cię buja, zajrzyj pod stół. Stopy też pokazują nastawienie do osób, z którymi delikwent rozmawia. Jego stopa będzie wskazywała osobę, którą jest zainteresowany.

- No, ale jak ja mam tam zajrzeć? - z niepokojem spoglądała na Renatę. - Serio mam tam wleźć? - Magda robiła wielkie oczy. Pewnie się bała, że Renia wpuszcza ją w maliny, jak to mówi Zosia.

- Ja wleżę - zaofiarowała się Kaśka, wężąc pewnie niezłą zabawę.

- I nie miej takiego spiętego tyłka - poradziła jej Zosia.

- Że co? - nie rozumiała.

- Przestań tak się spinać, bo ściągnając pośladki, przestajesz myśleć i dowcip ci ucieka. A przecież potrafisz być dowcipna - Renata poklepała ją poniżej pleców.

I tak uzbrojone w nową wiedzę, dwie talie kart, szkicownik i ołówki (tylko do użytku Kaśki) poszłyśmy do holu sprawdzić nowe umiejętności. Oj, dobrej zabawy byłam pewna na sto procent! I nie myliłam się. Jurek samotnie siedział w fotelu i wyraźnie nie wiedział, co z sobą robić. Aż dziw brał, że tyle miejsc było wolnych, ale po chwili się okazało, że większość panów siedziała w sali balowej i oglądała mecz. Panie siłą woli musiały robić to samo, bo przecież nie można puścić faceta samopas po pałacu. A nuż nie wróci albo trafi do innych drzwi? Zrzuci potem wszystko na nowe leki lub na ich brak. Trzeba być czujnym.

- Jurek, grasz? - Zosia pokazała karty.

- Pewnie - zatarł ręce niecierpliwie. - Już prawie umierałem z nudów, a piłka mnie nie kręci. Daj te karty, potasuję.

Rozsiadłyśmy się wygodnie, bo dopóki trwa mecz, kanapę mamy dla siebie. Oczywiście, Magdę usadziłyśmy naprzeciw Jurka, wcześniej odkrywając jej dekolt. Dobrych widoków nigdy za wiele, a na swój dekolt Magda zawsze mogła liczyć. To była już desperacja, ale skoro właścicielka owego dekoltu zadeklarowała ostatnie podejście, to trzeba było iść va banque. Dziś jej zadaniem było zaproszenie Jurka na wieczorny spacer, kiedy zwykle zanosila kotom kolację.

- Rozdajemy, rozdajemy - zaczęłam ponaglać, bo od pewnego czasu włączałam się do gry, choć wciąż kiepsko mi szło, a rolę obserwatora przejęła Kaśka. Magda siedziała pełna skupienia i pewnie w myślach układała plan

rozmowy. Zośka jak zwykle sadowiła się w fotelu tak, żeby w sposób nierzucający się zbyt w oczy podglądać karty Jurka. Miała już w tym pewną praktykę. Kasia, upuszczając i podnosząc z podłogi ołówek, przymierzała się do zaglądania pod stół. Kontrola musiała być pełna.

Gra toczyła się jak zwykle, Jurek udawał, że się wkurza, ale pozwalał Zosi patrzeć w swoje karty, Magda jak zwykle milczała i tylko raz po raz posyłała Jurkowi powłóczyste spojrzenia (tego uczyła ją Zosia).

- Jurek, co robisz po kolacji? - wreszcie spytała.

- A co? Nie będziemy już grać w karty? - wyraźnie się zaniepokoił. Codzienne partyjki wpisały się w program terapii społecznej. W ten sposób wyczekiwaliśmy do momentu rozdawania usypiaczy. Kaśka znów upuściła ołówek, wlała pod stół i uszczypnęła Magdę w nogę.

- Auuu! - krzyknęła zdziwiona i spojrzała na źle wróżącą minę gramolącej się spod stołu Kasi. - Co to było?

- Nic, niechcący ukłułam cię ołówkiem. Przepraszam - i posłała Renacie rozpaczliwe spojrzenie.

- Czego Magda nie rozumiałaś? - spytała. Magda zaczęła się rozglądać po naszych twarzach w poszukiwaniu wyjaśnienia, a my jak jedna zaczęłyśmy kiwać głowami. Dopiero wtedy zrozumiała. Za to Jurek patrzył na nas kompletnie ogłupiały, nie śmiał jednak spytać, o co nam chodzi i co nas tak rozbijało.

- Tak pytam - zwróciła się znów do Jurka - wieczory są teraz takie ładne, nie ma już mrozu - mówiąc, cały czas kiwała głową jak piesek przy tylnej szybie syrenki - a ja muszę iść nakarmić koty. I pomyślałam sobie, że może byś ze mną poszedł? Wieczory są ładne - zaczęła się powtarzać - ale jednak jest ciemno, trochę się boję.

Brawo! - pomyślałam. Uderzyła w czułą nutę. Faceci lubią opiekować się słabymi kobietami i występować w roli macho. Nawet jeśli młodość mają już za sobą.

- Oczywiście, bardzo chętnie - mówił, cały czas rozglądając się po naszych twarzach, tym bardziej zdziwiony, że teraz Zosia weszła pod stół. - Też coś upuściłaś?

- najwyraźniej gubił się w tej grze i rozpaczliwie szukał odpowiedzi w kiwających się głowach. - Co się dzisiaj z wami dzieje, dziewczyny? Nie poznaję was!

- Eee, już nic. Gramy - to był sygnał spod stołu do odwołania akcji, cel został osiągnięty. Przez resztę czasu do kolacji ogrywałyśmy go nieludzko, zaglądając mu od czasu do czasu w karty, Magda w oczy, a on Magdzie w dekolt. Każdy znajdował coś dla siebie, zabawa była świetna, czego nie można było powiedzieć o kolacji. Zwłaszcza że musiałyśmy się jeszcze podzielić z kotami. Ale już przywykłam. Kiedy szłyśmy Magdę na wieczorny spacer, żywo dyskutowałyśmy o tym, co dziewczyny widziały pod stołem.

- Z tą stopą to jakaś ścierna - Zosia zdawała się być rozczarowana. - Stopa wcale mu nie latała.

- To znaczy, że nic nie kombinował - tłumaczyła Renata. - To dobrze, intencje ma czyste.

- Skarpetki też - dodała Kasia. - Magda spokojnie możesz iść z nim na randkę. Nie padniesz, jak zdejmie buty.

- Marzę o randce, o skarpetkach nawet nie śmiem

- westchnęła.

- Bo i nie ma o czym - też chciałam się podzielić mądrością. - Nie ma nic bardziej żenującego niż facet w samych skarpetkach. Obraz nędzy i rozpacz. Jak dojdzie do czegoś w przyszłości Madzia, to każ mu najpierw zdjąć skarpetki. Dobrze ci radzę - zaraz przypomniał mi się widok naszych nerwusów parających dumnie w szlafrokach i skarpetkach w drodze do łazienki. Widok mało seksowny, za to typowo męski. Mężczyźni chyba nie zdają sobie nawet sprawy ze śmieszności i z tego, jak to destrukcyjnie wpływa na ich atrakcyjność. A może są tak pewni swojej męskości, że mają to w nosie?

- Wiem, pamiętam jeszcze ten widok. Zupełnie jak kobieta w „antygwałtach”. Straszne! Wiecie, co to? Moja znajoma je tak nazwała

- Renata podśmiewała się, pewnie na wspomnienie wieczornych przebieranek Madzi. Ta zawsze paradowała w cienkich kolanówkach, do tego w obrzydliwym opalonym kolorze.

- I miała rację - przyznałam. - A w którą stronę kierował stopę? Widziałyście?

- Różnie, raz na Magdę, raz na drzwi...

- Oj, na drzwi... niedobrze - Rena się lekko zafrasowała.

- Bo co? Chciał wiać? - zaniepokoiłam się. Na Madzi nie robiło to już większego wrażenia. Albo nie wierzyła w umiejętności Renaty, albo nie wierzyła w powodzenie swojej akcji. Obojętnie wcinała bezy, których słodkie okruchy sypały się na obrus.

- Mogło tak być, ale dziś zachowywałyśmy się inaczej niż zwykle, to pewnie dlatego - machnęła ręką. - Tylko pamiętaj Magda, nie świruj z tymi kotami. Nie zjedzą cię.

- Łatwo ci mówić - westchnęła.

I tak gaworząc, udzielając ostatnich rad, wyprawiłyśmy koleżankę na spacer przy księżycu, zaopatrując ją jednak w kij do obrony przed krwiożerczymi kiciami. Bo biorąc pod uwagę kierunek stopy Jurka, od niego chyba nie będzie musiała się opędzać.

Bardzo byłyśmy ciekawe tego wieczornego spaceru i nie miałyśmy zamiaru czekać, aż Magda sama nam o tym opowie, więc wiedzione troską o koleżankę (postanowiłyśmy odciągnąć koty), też wybrałyśmy się przewietrzyć. Kiedy tylko Magda poszła, nie uzgadniając wcześniej niczego, zaczęłyśmy się ubierać. Ciekawość nie dałaby nam spokojnie siedzieć na kanapie. Jednak

skierowałyśmy się w drugą stronę, żeby nikt nas nie posądził o śledzenie, i po chwili weszłyśmy na wał przy jeziorze. Nigdy nie biegałam po zmierzchu, więc wszystko wydało mi się obce i trochę straszne. Ale w końcu szłyśmy we cztery.

- Trochę strasznie - powiedziałam głośno to, co tłuło mi się po głowie.

- Czego tu się bać? - prychnęła Renata, ale jakoś tak ciszej niż zwykle.
- Pójdziemy wałami do polanki w parku i wrócimy główną aleją. Koty pójda za nami.

- A pójda? - Kaśka nie była taka pewna, choć na przynętę wzięła kabanosa. Po chwili nie widziałam też kabanosa. Oglądałyśmy się na próżno. - Chyba i tak poszły za Magdą.

- Ot, co to znaczy siła przyzwyczajenia - Zosia pokiwała głową.

Szłyśmy tak po grzbiecie wału i rozmową dodawałyśmy sobie otuchy. Rozmawiając, nie czułyśmy tak bardzo dotkliwie otaczającej nas ciemności. Powoli dochodziłyśmy do miejsca, w którym wydarzyła się tragedia. Pewnie dlatego nie było nam do śmiechu. W powietrzu czuć było aurę tragicznego zdarzenia. Mówiło się, że dziewczyna utopiła się rozmyślnie, że to żaden tam przypadek, jak niektórzy próbowali tłumaczyć samobójstwo. Zawiedziona miłość, ot co! Mówiło się też, że była w ciąży, a chłopak zrobił jej awanturę, że to nie jego dziecko. Jednak to mogły być tylko plotki. W takich sytuacjach prawda jest tylko ułamkiem opowiedanej historii.

Im bliżej byłyśmy przerębla, tym mniejszą miałyśmy ochotę na rozmowę. Co chwila któraś odwracała się za siebie i daje głowę, że myślały to co ja. Może by już jednak wracać?

- Matko kochana, co to? - Zosia rozłożyła ręce i zatrzymała nas. Spojrzałam w kierunku, gdzie utkwiła

prerażone spojrzenie. Z wysokości wału zobaczyłyśmy światła lampionów. To na brzegu jeziora, w miejscu, gdzie lód stykał się z nasypem wału, paliły się znicze. -Widzicie to co ja?

- To tylko znicze - powiedziała Renata opanowanym tonem. - Ktoś je pewnie zapalił.

- To tu się utopiła - nabożnym szeptem mówiła Kasia. - Ciekawe, czy odnaleźli jej ciało.

- Niby jak? - Renata nie pozostawiła żadnych złudzeń. - Przecież jeszcze lód nie stopniał. Kiedy będzie można szukać, to pewnie nie będzie już czego - rozłożyła bezradnie ramiona. - Węgorze ją zjedzą.

- O, matko - jęknęła głucho i dodała po chwili -lubię węgorze. Chyba już nie będę ich jadła.

- Żeby odbierać sobie życie przez jakiegoś palanta - Zosia kręciła głową. Blond loki wychodzące spod wełnianej czapki przelewały się nad zakręconym wokół szyi szalikiem.

- Nigdy nie byłaś tak zakochana... tak, tak - Kaśka szukała właściwego słowa - do szaleństwa?

- Nie - odpowiedziała głucho. - I mam nadzieję, że litościwy Bóg mnie przed tym szaleństwem uchroni.

- A ty - zwróciła się do mnie - kochałaś tak, że można od tego zwariować?

Patrzyłam na mrugające w mroku zimowego wieczoru światła cmentarnych lampionów, które migotały jak wspomnienia bolesnych chwil, i zastanawiałam się, co odpowiedzieć. Przyznać się do szaleństwa z powodu miłości czy udać cyniczną i zaśmiać się jak Zośka.

- Dawno temu - odpowiedziałam cicho - w innym życiu.

Może to był dobry moment, żeby przyznać się koleżankom, że nie pierwszy raz pomieszało mi się w głowie, i że sprawcą poprzedniego załamania była właśnie zawiedziona miłość. Ale ciemność spowijająca to przerażające

teraz miejsce spowodowała, że postanowiłam przełożyć to na później. Choć klimat był sprzyjający.

- E, dziewczyny! Ktoś tam jest - Renata pochyliła się nieco i zaczęła powoli iść w stronę światła. - Ciii! Chodźcie na mną - i zaczęła skradać się jak Indianin. Co zabawne, w tej strasznej chwili... zrobiłyśmy to samo. Krok po kroku zbliżyłyśmy się do wyschniętych badyli tataraków i innych sterczących z brzegu suchych traw. Trochę się bałam i próbowałam chwycić się Zośki kurtki, kiedy poczułam, jak Kaśka chwyciła się mojej. Wzięłam ją pod ramię i tak przytulone, garbiąc się i wstrzymując oddech z emocji, posuwałyśmy się krok po kroku, coraz bliżej miejsca, gdzie idąca przodem Renia zobaczyła postać. Nagle zdało mi się, że usłyszałam ciche łkanie. Nie byłam jednak pewna.

- Kasia, słyszałaś?

- Ktoś płacze?

- Cicho! - Zosia odwróciła się nagle do nas z palcem na ustach. - Sprawdźmy tylko, kto to jest.

Już chciała iść dalej za Renetą, kiedy ta wyprostowała się nagle, stanęła, Zośka bęcnęła ją pochyloną głową, a Rena odwróciła się gwałtownie i, odpychając nas, rzuciła się do ucieczki. Nawet nie spytałyśmy, co się stało. Natychmiast ruszyłyśmy za nią. Jedną przez drugą gnałyśmy grzbietem wału, chwytając się wzajemnie za kurtki. Śliskie podłoże umykało spod nóg. Dopiero kiedy zobaczyłyśmy światła podjazdu szpitala, zwolniłyśmy.

- Co ci do cholery odbiło!?! - Zosia, sapiąc, wrzeszczała do Renaty i wymachiwała ramionami. - Zobaczyłaś ducha czy co?

- No. Chyba tak - oczy wciąż miała przerażone. Starła się pozować na wyluzowaną, ale ręce ją zdradzały. Jedną trzymała się za bok, a drugą w okolicach żołądka pompowała przeponę. To tam umiejscawia się

nagle przerażenie. Sama nam to wcześniej pokazywała.

- Zdawało mi się, że kogoś widzę, a potem coś usłyszałam - ciężko oddychała. - Kiedy podeszłam bliżej, okazało się, że nikogo tam nie ma, a mnie zrobiło się tak jakoś dziwnie. Zimno i smutno, jakby coś przeze mnie przeniknęło. Coś zimnego i smutnego.

- Przestań, boję się - Kasia szukała mojej ręki.

- Ona żartuje - próbowałam uspokoić dziewczynę — nikogo tam nie było, tylko jej się zdawało.

- Ale sama coś słyszałaś - przypomniała mi Kasia.

- To pewnie tylko wiatr - ale przytrzymałam jej rękę i przyspieszyłam, bo ciarki przeleciały mi po plecach. Kaśka też przyspieszała i za chwilę znów biegłyśmy. Zatrzymałyśmy się dopiero za drzwiami pałacu, a właściwie koło dyżurki, pół piętra wyżej, i to w tempie szybszym niż jedno wahnięcie skrzydła ciężkich pałacowych drzwi. Zanim się za nami domknęły, sapiąc, stałyśmy już koło klatki z papugami.

- Co się stało? - oddziałowa pospiesznie wyszła z dyżurki. - Gonił was kto?

- Duch - głucho odpowiedziała Renata. - Siostro, dostanę coś na uspokojenie? Tak poza rozdzielnikiem?

Kiedy Rena przyjmowała kropelki w dyżurce, my stałyśmy w drzwiach i słuchałyśmy, jak pielęgniarki opowiadały o rzekomym duchu samobójczyni. Podobno wczoraj też ktoś widział w świetle księżycy postać stojącą w tym samym miejscu i słyszał ciche łkanie. Renacie pewnie to nie pomogło, ale Zośkę utwierdziło w przekonaniu, że ta pieprzona miłość, jak się wyraziła, do niczego dobrego nie prowadzi. I akurat wtedy byłam skłonna się z nią zgodzić.

Jeszcze tego samego wieczoru próbowałyśmy wyciągnąć od Magdy zeznania z romantycznego spaceru, ale oprócz tego, że Jurek bronił jej przed stadem głodnych tygrysów podążających ich śladem, niczego więcej się

nie dowiedziałyśmy. Nam też nie chciało się opowiadać o wieczornym spotkaniu, więc po porcji przepisanych usypiaczy grzecznie i w milczeniu poszłyśmy do łóżek.

- Nie gości dzisiaj światła, co? - poprosiła nieśmiało Kaśka. Żadna z nas nie spytała, dlaczego. Magda też nie. Ale pewnie dlatego, że spod jej kołdry dochodziło już tylko głośne, miarowe chrapanie. Nawet nie zdążyła pomarzyć, sen po usypiaczu jest znacznie szybszy niż marzenia... nawet te o miłości.

Dni stawały się bardziej słoneczne, niebezpieczeństw podczas leśnych przebieżek przybywało, toteż ostatnio biegałam tylko wzdłuż wałów jeziora. Choć miejsce wieczornego spotkania wciąż stawiało mi włosy na karku, to wołałam ten krótki lęk od wszechogarniającego mnie strachu przed wiosennymi niespodziankami w ściółce leśnej. A co rusz któraś z pacjentek z zachwytem relacjonowała spotkanie z kolejnym odkrytym miejscem, gdzie spod śniegu zaczęły wylazić przebiśniegi. Jakby było się z czego cieszyć! Wołałam więc wspomnienie wieczornego gościa nad brzegiem jeziora. Już nie bałyśmy się o tym rozmawiać, tym bardziej że pogłoski się potwierdziły. Dziewczyna nie wróciła do domu i znalazł się kolejny świadek zdarzenia. Straszne. Wskoczyć do niewielkiego przerębla, do lodowatej wody z sercem i duszą tak przepełnioną żalem i bólem, żeby nie dać sobie możliwości odwrotu? Boże mój... jakaż to musiała być miłość! A może desperacja? Dawno minęły czasy, kiedy samotna kobieta w ciąży nosiła na piersiach szkarłatną literę. Nie, to nie był powód jej decyzji... to nie te czasy. To musiała być szaleńcza miłość. Może ja nie kochałam aż tak bardzo, bo tylko straciłam rozum? I na szczęście tylko na jakiś czas. Tyle że zmieniło to całe moje życie.

Pomimo gęszej skórki stanęłam w miejscu, gdzie w topniejącej już pokrywie lodowej widoczny był przeręb. Lód porwany nieco przez sprzęt, bo próbowano jednak szukać ciała dziewczyny, obrzucony był pojedynczymi kwiatami. Żałośnie przymarznęte do tafli świadczyły o dość regularnych odwiedzinach. Na brzegu znicze, których część jeszcze się paliła, przekonywały, że to nie duch odwiedza to miejsce. Kto tu przychodzi? Co myśli, patrząc na pokruszony lód, pod którym być może pogrzebane jest ciało na śmierć zakochanej dziewczyny. Biedna...

Może pomieszanie zmysłów uratowało mi życie? Może właśnie tak miało być, żebym nie wpadła w czarną dziurę rozpacz i nie targnęła się na życie? Widać mam wyraźne inklinacje do fiksowania, bo znów w obliczu nieszczęścia normalnie zwariowałam. I chyba w tym tkwi właśnie moje szczęście, bo znalazłam tu spokój, przyjaźń i zrozumienie. Jak dobrze, że są domy wariatów, jak dobrze, że wśród ludzi z krwawiącymi duszami są ci, którzy zamiast odbierać sobie życie, po prostu tracą rozum. Jak dobrze bywać wariatką.

SIOSTRZANE UCZUCIA

Wracałam do pałacu w lekko przemoczonych butach, bo nie patrząc pod nogi, wpadłam w łąkę ze śniegu, pod którym była już zwyczajna wiosenna breja. Mam tylko te jedne buty do biegania, więc będę musiała je wysuszyć na kaloryferze. Do jutra wyschną. Zajęta rozmyślaniami o mokrych nogach dopiero w ostatniej chwili zauważyłam znajome auto przed pałacem. Oho, Kaśka pewnie znów nie pójdzie na muzykoterapię. Ale ma w zamian dużo lepszą. Jakież było moje zdziwienie, kiedy w holu, przy klatce z papugami zamiast Maurycego zobaczyłam Lilię. Nie zauważyła, jak weszłam po schodach, bo wielkimi oczami przyglądała się Markowi. Jak zwykle rozmawiał ze swoją plastikową ulubienicą i nie zwracał na nikogo uwagi. Nawet na mojego klona. Mnie jednak zauważył.

- Podlałaś już kwiaty? - spojrzał na mnie obojętnie.

- Tak - skłamałam szybko, nie tłumacząc mu, że nie wolno ich teraz tak często podlewać, bo Lilia nagle się odwróciła i poderwała z krzesła, na którym zwykle dyżurni czekają na nowo przybyłych.

- O, cześć Róża - powiedziała z wyraźną ulgą.

- Cześć. Przyjechałaś jednak - może za dużo ironii było w moim głosie, ale ona i tak tego nie dostrzegła.

- Mówiłam ci przecież, że musimy porozmawiać - mówiła zniecierpliwiona. - Nie pamiętasz?

- Pamiętam, pamiętam. Ale nie myślałam, że to aż tak pilne.

Doskonale wiedziałam, że to pilne. Wczoraj dzwonił wuj Johan, a potem prawnik przez niego wynajęty. Nie pozwolili mi ustąpić nawet o krok, instruując, że gdyby naciskała, mam po prostu powiedzieć, że wszystko musi ustalić z moim prawnikiem, bo z uwagi na chorobę

nie wtajemnicza mnie w tę sprawę. To miał być wybieg przed szantażem Lili. Jak przypuszczał wuj, nie obędzie się bez tego. A znał moje żałośnie małe pokłady asertywności. Nie wiedziała, jak zacząć rozmowę, a ja chciałam zobaczyć, jak będzie wiła się w realu, nie przez telefon.

- Gdzie możemy porozmawiać? - rozglądała się po holu.

- Mogę zaprosić cię do pokoju, wypijemy kawę i pogadamy - wskazałam ręką na szerokie pałacowe schody.

Poszła za mną niechętnie, rozglądając się. Nawet nie zwróciła uwagi na piękny witraż, na przepiękne poręcze przy schodach, na pałacowe meble. Co aż tak zaprzęta jej myśli? Tylko kasa? Za to oglądała się za Markiem i z wyraźną ulgą oddalała się od tej patyczkowatej postaci. Jednak w holu na piętrze czekał ją kolejny szok. Renata, Zosia i Magda grały w karty z Jurkiem i głośno się o coś wyklócały. W drugim końcu kanapy siedziały panie w pełnym makijażu, ze śmiesznymi torebkami przewieszonymi przez ramię i domowych kapciach i przyglądały się grającym w tenisa stołowego, dostojnie popijając kawę. Przy zbiorowej lodówce ktoś głośno przeprowadzał przesłuchanie, bo zginęły mu kabanosy. Nowi jeszcze się nie nauczyli, że smakołyki trzyma się w pokoju za oknem. Zdarza się, że częstują się nimi gołębie, ale w lodówce też nie ma pewności, że nie poczęstuje się nimi szalony Marek. Lilia minę miała nietęgą.

- Jak ty tu wytrzymujesz? - zapytała konspiracyjnym szeptem. - Przecież tu są sami wariaci.

- Nie przesadzaj. Tu się tylko leczy nerwy. To oddział leczenia nerwic Lilia, nie dom wariatów -zaśmiałam się. Przeprowadzałam ją przez zaludniony o tej porze hol i tylko czekałam na jakąś reakcję. A bez tej się nie obyło.

- O cholera! W oczach mi się dwoi - nasz widok odwrócił uwagę Waldka od zaginionych kabanosów. - Za silne prochy mi dają! - Teraz wszyscy na nas spojrzeli.

- Chyba za słabe - ktoś zripostował.

Pomimo nieco innych fryzur, różnicy w makijażu i stroju... podobieństwo rzucało się w oczy. Bawiła mnie ta sytuacja, wiedziałam bowiem, ile kosztowała moją siostrę.

- Ej, Ewa! Ciebie są dwie? - zapytał ktoś.

- To moja siostra bliźniaczka - przedstawiłam Lilię, która kryła się za moimi plecami i niemal schowała się pod zabytkowy parkiet.

- Też zwariowała?

- Nie - zaśmiałam się na widok miny Lili - tylko mnie odwiedza - pociągnęłam ją za sobą w stronę drzwi na kolejny korytarz i kolejne schody. Szła sztywna ze zdumienia.

- Ewa? - nagle spytała. - Powiedział do ciebie... Ewa?

- Tak mnie tu nazwano. Fajnie, nie?

- Ale dlaczego?

- Koleżanki w pokoju uznały, że żeby walczyć z antofobią, nie mogę mieć kwiatowego imienia.

- Z czym? - zapytała, nie rozumiejąc, o czym mówię. I dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że przecież nie obchodziło jej moje życie, więc niby czemu miała znać to pojęcie. Pewnie nawet nie wiedziała, że boję się kwiatów.

- Z moją fobią - stanęłam na schodach i patrzyłam na nią. Nie miała pojęcia, o czym mówię. W jej oczach nie znalazłam odrobiny współczucia, niczego w nich nie znalazłam. - Z moimi chorymi nerwami - uprościłam. Ale nadal nie zobaczyłam choć przebłysku zrozumienia. Trudno. W pokoju usadziłam ją przy stole i poczęstowałam kawą. Nawet się nie krzywiła, co zwykła robić,

kiedy kawa nie spełniała jej standardów. A standardy miała wyśrubowane.

- Luksusów to tu nie ma - rozglądała się. - I ciasno jakoś.

- Starcza nam miejsca, zwykle każda wyleguje się na swoim łóżku albo przesiadujemy w holu - wskazałam ręką za siebie. - Tam odbywa się swoista terapia społeczna. Na tym to wszystko polega.

Siadłam do stołu ze swoim kubkiem i spojrzałam na nią w oczekiwaniu. Domyślałam się, po co tu przyjechała, ale niech się wysili. Kręciła się na krześle, jakby rajtuzy przykleiły jej się do ud. Pamiętam to uczucie ze szkoły, kiedy na twardych deskach ławki bawełniane rajstopy odbijały swoje wzorki na udach i pośladkach. Straszne. Nie wiadomo było, czy się podrapać, czy może lepiej odkleić je od skóry. Zwykle nie pomagało ani jedno, ani drugie. Najlepsze na to były wagary, puszczało wszystko. Lili rajtuzy przyklejały się najczęściej, przynajmniej liczba opuszczonych dni w szkole na to właśnie wskazywała. Tu jednak wagary nie pomogą. Jeśli chciała załatwić sprawę, musiała pocierpieć i znieść dyskomfort swędzącego tyłka. Pokręciła się jeszcze chwilę i wreszcie zaczęła.

- Rozmawiał ze mną twój prawnik - odstawiła kubek na stół. - Nie chce odstąpić od tego, co w testamencie spisali rodzice.

Ton jej głosu wskazywał, że dotknęła ją głęboka niesprawiedliwość i nijak nie może tego zrozumieć. A przecież nie ona powinna czuć się pokrzywdzona przez los... albo złą siostrę. To nie jej świat zawalił się na głowę... ale cóż, zawsze myślała wyłącznie o sobie.

- A uważasz, że powinien? - spytałam, udając, że nie rozumiem jej zamiarów.

- Nie było cię tutaj przez ponad dwadzieścia lat. Ja pracowałam w firmie. Musiałam zrezygnować z wła-

snych marzeń i pracować w ogrodnictwie - zaczęła robić mi wyrzuty.
- A czyja to wina? - spojrzałam jej prosto w oczy. Nie spuściła wzroku. - Ja chciałam pracować w firmie rodziców, ale mi nie pozwoliłaś. A to właśnie były moje marzenia - zaakcentowałam słowo „moje”. - Zabrałaś mi je.

- Przecież mogłaś zostać, nikt cię nie wyganiał - szybko syknęła.

- Lilia, nie bądź cyniczna - teraz ja spojrzałam na nią z wyrzutem. - Miałam żyć z wami pod jednym dachem? Patrząc na was każdego dnia? Chyba nie wiesz, co mówisz.

- Ale nie są ci potrzebne pieniądze rodziców. Masz własne, przecież masz galerię - rzuciła, jakbym była winna temu, że ciężko pracowałam na swoje pieniądze.

- Skąd to wiesz? Nie odwiedziłaś mnie nigdy, nie masz pojęcia, jak tam żyłam, co robiłam - teraz ja czyniłam jej wyrzuty. Wciąż bardzo mnie bolało, że rodzice nie usiłowali ściągnąć mnie do domu, że nie znaleźli żadnego sposobu. - Nie zajmowaliście się moim życiem i nikt nie zapraszał mnie do powrotu. Nawet rodzice... ale pewnie mieli swoje powody - spojrzałam, jak skrobie łyżeczką po skromnym obrusiku, licząc na to, że choć podniesie na mnie wzrok. Na próżno się łudziłam. - I pewnie z tych samych powodów podzielili majątek na dwie równe części - dokończyłam.

- To nie było z ich strony sprawiedliwe. Ty nie masz rodziny - nie oszczędzała mi niczego.

- I ty to mówisz? - spytałam z wyrzutem.

Odłożyła łyżeczkę i kurczowo chwyciła kubek dwoma rękami, jakby chciała go zgnieść. Zaczęła go obracać w dłoniach i co jakiś czas głośno siorbać gorącą jeszcze kawę.

- Dobra ta kawa - nagle zmieniła temat. - Jak ci tutaj jest?
 - Nie jest źle - westchnęłam i pomyślałam, że węgry ma jednak we krwi. Jeśli temat stawał się niewygodny, po prostu od niego uciekała. - Tęsknię trochę za domem, ale odpoczywam i dochodzę do siebie.
 - Nie nudzisz się?
 - Nigdy się nie nudzę - uśmiechnęłam się tajemniczo.
- Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju weszli rozbawieni Kasia i Maurycy. Na widok matki stanął jak wryty. Lilia też wyglądała na zdziwioną. Takiej jej jeszcze nie widziałam.
- Co tu robisz, mamo? - zaatakował ją nieoczekiwanie.
 - To ja pytam, co tu robisz? - zdenerwowała się nagle. Kaśka przyglądała się jednemu i drugiemu lekko spłoszona.
 - Odwiedzam ciocię i Kasię - poszukał jej wzrokiem i wziął za rękę. - Mamo, to jest Kasia. Moja dziewczyna - powiedział to tonem zdecydowanym, dumnym i nieznoszącym sprzeciwu, co z kolei mnie wprawiło w lekkie zdumienie. Nie wiedziałam, że tak potrafi. Nie zdziwiło mnie za bardzo, że tak przedstawił Kasię, ją samą może lekko, za to Lilia o mało nie spadła z krzesła. Jednak pokazała jakąś tam klasę i podała dziewczynie rękę.
 - Miło mi cię poznać, Kasiu.
 - Mnie również - odpowiedziała jej uściskiem dłoni.
 - To tu przyjeżdżasz, ilekroć zabierasz moje auto? -zapytała, podkreślając, kto jest właścicielem rzeczonoego pojazdu.
 - Zwykle tak - odpowiedział bez najmniejszego skrępowania. - Ktoś musi ciocię odwiedzać - podszedł

i wziął mnie za rękę, co znów mnie niezmiernie zdziwiło. Czyżbym stała się narzędziem do odegrania się za coś na matce? - Ciocia nie ma tu nikogo prócz nas, a ty się nie kwapiłaś - zabrzmiało jak wyrzut. - Zresztą, lubię ciocię i podoba mi się tutaj.

- No tak, rozumiem - zmieszała się nagle. Pokręciła się jeszcze trochę na krześle, po czym wstała. - Muszę już jechać - spojrzała na mnie wyczekująco. - Odprowadzisz mnie do drzwi?

- Jasne. Chodźmy - wstałam od stołu. Byłam pewna, że nie zależy jej na moim towarzystwie, po prostu bała się przejść samotnie przez hol pełen nerwusów.

- A ty nie jedziesz? - zwróciła się do syna z ponagleniem w głosie.

- Jeszcze nie teraz. Napijemy się herbaty, pojechaliśmy na drugą stronę jeziora i zmarzliśmy na spacerze - patrzył jej hardo w oczy i nie ruszał się z miejsca. - Kasiu, przygotuj kubki, ja pójdę po wodę.

Lilia spojrzała na niego raz jeszcze i wyszła. Po schodach szła za mną cichutko, nie próbując nawet wracać do rozmowy o spadku. Wiedziała już, że niczego nie ugra. Zawsze ustępowałam, poddawałam się bez walki i nawet nie przychodziło mi do głowy, że mogę do niej stanąć. Czas jednak na zmiany, może jeszcze nie jest za późno. Zaskoczyła ją moja postawa, więc nie próbowała grać dalej. Podeszła do samochodu, otworzyła drzwi pilotem i odwróciła się do mnie.

- Widzę, że zamierzasz odebrać, co wydaje ci się twoje - powiedziała przez zaciśnięte zęby i spojrzała z wyrzutem. - Ale syna ci nie oddam... jest mój.

- Tak, jest twoim synem, ale... Lilia, już o tym rozmawialiśmy - odwróciłam się, dodając - szerokiej drogi, uważaj, bo jest ślisko. I dziękuję za odwiedzinę, mimo wszystko - tego jednak już chyba nie słyszała.

Pojechała. Gdyby nie śnieg na podjeździe odjechałaby z piskiem opon, a tak tylko zabuksowały, zanim zadziałał system antypoślizgowy i ruszyła. Patrzyłam za oddalającym się mercedesem i zastanawiałam się, czy wie, że dziedzicę po wujostwie? Pewnie nie, inaczej trafiłby ją szlag na miejscu albo musiałaby zamienić się ze mną miejscem pobytu. Przynajmniej czasowo.

*

Kiedy już Maurycy odjechał autem ojca, siedziałyśmy w pokoju i każda zajęła się swoimi sprawami. Madzia przerzucała kartki kolorowej gazety, strzepując z niej co chwila beżowe okruchy, Kaśka nad kremowym szkicownikiem przygryzała obsadkę do węgła i marszczyła czoło. Widać szukała natchnienia w najmniejszej części swojej duszy.

- Nie wytrzymam - Zośka weszła do pokoju, trzymając się za brzuch.

- Co się stało - nie wystraszyłam się zbyt, bo minę miała zdecydowanie rozbawioną i nie zdradzała nawet odrobiny cierpienia. Siadła na swoim łóżku i aż kulila się ze śmiechu.

- No co się stało, do diabła? - Magda poderwała się z krzesła i stanęła nad Zośką. - Powiedz w końcu, też się pośmiejemy.

- Wiecie, że te „ejnstejny” zza ściany nadal biegają do ubikacji z miskami? - znów parsknęła.

- Żartujesz?! - nie mogłam uwierzyć. - Przecież to już niemal tydzień.

- No. Mówiłam, że się nie połapią - Kaśka spojrzała triumfalnie znad kartki. - A mogłam się założyć - pokiwała głową z wyraźnym żalem. - Powiedziałaś im?

- Coś ty! - oburzyła się. - Nigdy nie odmawiam sobie dobrej zabawy.

Wiedziałam, że chciały spytać o moją siostrę, tylko nie bardzo wiedziały, jak to zrobić. Od jej odjazdu Zośka z Magdą robiły miny i dawały sobie znaki. Kaśka chyba tego nie zauważyła. Z nosem w szkicowniku, z palcami upapranymi węglem zagryzała bezwiednie język i rysowała. Przyglądałam się jej co jakiś czas i już wiedziałam, kiedy praca pochłania ją bez reszty, a kiedy rysuje od niechcenia. Teraz ruchy czubeczka języka niemal odzwierciedlały ruchy ręki. Jego różowy koniuszek wędrował od jednego kącika ust do drugiego, czasami przygryzała dolną wargę, wtedy wiedziałam, że się zastanawia. Kiedy rysowała ołówkiem, miała zwyczaj wkładania go do ust, ale go nie gryzła. Patrząc na nią, zaczęłam się śmiać. Podniosła oczy znad rysunku.

- Co?

- Zastanawiam się, co by się stało, gdybyś pomyliła ołówek z węglem - śmiałam się.

- Oj, tam - wzruszyła ramionami. - Nie jest w smaku taki zły.

- Już się pomyliłaś? - Zosia zrobiła wielkie oczy.

- Żeby to raz. Nic wielkiego, dlatego teraz wkładam go w obsadkę. Ale kiedyś zapomniałam się, jak malowałam farbami olejnymi i pomyliłam końce pędzla. To dopiero była jazda - zaśmiała się, zagryzła język i rysowała dalej. Zdawała się nie uczestniczyć w tym, co działo się w pokoju, szkicowanie pochłaniało ją bez reszty.

- Malujesz portrety? - spytała Magda i łypnęła na Zosię.

- A co, chciałabyś portret? - ocknęła się nagle, spojrzała na nią z niedowierzaniem i lekko zde gustowanym wyrazem twarzy. - Nie robiłam tego dawno. Kiedyś malowałam Myszkę Miki - mrugnęła do mnie.

- No - Zosia pokiwała głową - to teraz możesz namalować Magdę. Szkic już masz.

- Ale śmieszne! - parsknęła zainteresowana, ale się nie obraziła. - Pytam, bo tak sobie myślałam, że jakby pozowała ci Ewa, to już nie musiałaby jej siostra. No nie?

Wreszcie! Wydusiła to z siebie. Spojrzała z ulgą na Zosię i czekała, kiedy ta podejmie temat. Zosia zaś robiła rozpaczliwe miny i wzruszała ramionami. Z początku udawałam, że tego wszystkiego nie widzę.

- Rany! Ale się szczypicie - w drzwiach stanęła Renata. - Nie możecie spytać wprost? Spytajcie ją w końcu, no śmiało.

Spoglądałam teraz rozbawiona to na jedną, to na drugą. Magda nagle zainteresowała się krzyżówką w kolorowym magazynie, której poziomu trudności obrażałby nawet prostą gospodynię domową. Zosia założyła słuchawki i skupiła się na telefonie, Kaśka, z nosem umalowanym węglem, spoglądała, nie wiedząc, o co właściwie chodzi. Renata zaśmiała się i ostentacyjnie wystawiła na stół kubki i zaczęła wkładać do nich ziółka.

- No, wariatki. Czas na meliskę. A ty zostaw tę gazetę - zwróciła się do Magdy - bo do reszty zgłupiejesz.

Magda spojrzała na nią z wyrzutem, ale póki co wyrok mi odroczone. Obgadałyśmy za to koleżanki zza ściany i w przyływie perfidii postanowiłyśmy zrobić mały eksperyment. Musiałyśmy jednak w nasz plan wtajemniczyć mieszkanki całego piętra. Eksperyment był prosty. Chciałyśmy się przekonać, jak długo jeszcze nie sprawdzą spłuczek i będą biegać z miskami. Zabawa zapowiadała się przednia, bo właścicielki śmiesznych torebeczek, ufiołkowanych oczu i rozdeptanych papuci tak skupiły się na śledzeniu męskiej części pacjentów, że na nic innego już uwagi nie zwracały. A na wodę w spłuczkiach chyba najmniej.

Kolejny bratek nie przeżył. To wyraźnie jakaś zмова. Na szczęście polubiłam panią Jolę i kończę tam przebieżkę. Nawet już nie sprawdzam, jak się ma poprzednik i kupuję następną doniczkę. Teraz przerzuciłam się na inne kolory. Żółty mi się opatrzył. Kiedy wracałam ze spaceru z moją bombą zegarową, o mało nie padłam ze zdziwienia, kiedy zza bramy zabytkowego cmentarza wyłonił się Jurek... z Zosią. Boże mój, czy mnie wzrok nie myli? Nie mylił. Szli jakby nigdy nic, rozmawiając i śmiejąc się raz po raz. Nie zauważyli mnie, więc zrobiłam wszystko, żeby tak pozostało. Skradałam się ulicą niczym tajemniczy Don Pedro, rozglądając się w poszukiwaniu ewentualnego schronienia. Za nic nie chciałam być zauważona, a oni rozmawiali, machali rękami i istniało realne niebezpieczeństwo, że kiedy któreś się odwróci, zauważy mnie. Byłam akurat na wysokości wiejskiego salonu urody i w obawie przed dekonspiracją zwolniłam i szybciotko wśliznęłam się do fryzjera.

- Dzień dobry - nie pozostało mi nic innego, jak wymyślić jakiś pretekst. - Czy znajdują panie trochę czasu na ufarbowanie włosów? - nic innego nie przyszło mi do głowy, ścinać ich raczej nie chciałam.

- Teraz? - właścicielka uśmiechnęła się miło, najwyraźniej gotowa do pracy.

- Niekoniecznie, chciałam tylko spytać, czy trzeba się wcześniej umawiać? - lawirowałam, bo nagle wystraszyłam się, że z marszu posadzi mnie na fotelu.

- Przed południem to pewnie jest pani zajęta na terapiach - kiwała głową z miną znawczyni rozkładu dnia pensjonariuszy szpitala - ale jak następnym razem pójdzie pani do kwiaciarni, to proszę najpierw zajść do nas. Najlepiej po obiedzie, wtedy mamy najwięcej cza-

su i zwykle możemy zrobić to od ręki - tłumaczyła mi z uśmiechem dziwnie powoli. Widać wzięła mnie za wariatkę. - A ma pani swoją farbę?

- Miałam nadzieję, że mi coś zaproponujecie -brnęłam. Skąd wiedziały, że jestem ze szpitala i chadzam do kwiaciarni? No tak. Przecież to żadna metropolia, a tę trasę pokonuję niemal każdego dnia i to po dwa razy. Miała prawo myśleć, że nie mam piątej klepki. I nie mogłam o to mieć do niej pretensji, przecież wciąż nosiłam wielką szarą torbę w wyciągniętej przed siebie ręce.

- Mamy dobre farby, jeśli pani się zdecyduje, to zapraszam - uśmiech właścicielki zachęcał do wizyty. Mając nadzieję, że Zośka z Jurkiem doszli już do pałacu, pożegnałam się grzecznie i wyszłam z zakładu. Kiedy byłam na ulicy, wybiegła za mną uczennica.

- Proszę pani, pani bratek - podała mi papierową torbę.

- Dziękuję, zapomniałam - wzięłam torbę i powoli ruszyłam w stronę parku. Nagle coś do mnie dotarło. Przystanęłam, odwróciłam się i spojrzałam podejrzliwie na znikającą w drzwiach salonu uczennicę. Skąd wiedziała, że w środku jest bratek? Jasnowiedząca czy co? Nie spieszyłam się zbyt, bo nie chciałam przyjść wcześniej od nich. - Co oni razem robią? - tłuło mi się po głowie. Zośka rzadko wychodziła na spacer, zwykle chodziłyśmy stadnie. A już na cmentarz? Czego tam szukała? To prawda, że było na nim ładnie. Może to śmieszne, ale prawdziwe. Piękne szarobiałe anioły na murowanych z czerwonej cegły słupach bramy strzegły wejścia na teren wiecznego snu. Miały taki spokój na twarzach i łagodność w sylwetkach spowitych spływającymi szatami, że wieczny odpoczynek zdawał się być obietnicą prawdziwego spokoju. A przecież nikogo on nie minie. Miło mieć świadomość, że miejsca spoczynku strzec będą posągowe anioły. Pomyślałam

o dziewczynie spod lodu... czy kiedyś spocznie pod skrzydłami marmurowych strażników wiecznego snu? Czy zazna ciszy za cmentarną bramą? Czy może już zawsze będzie się błąkać w lodowatych, zdradliwych wodach jeziora?

Doszłam tak, rozmyślając, do szpitala. Zastanawiałam się, czy po prostu nie spytać Zośki, co jest grane. Przecież Magdzie pęknie serce, jak Jurek się od niej odwróci. Choć ostatnio Kaśka zwracała mi uwagę na to, czy aby Jurek na pewno przychodzi do Magdy, kiedy odwiedza nas w pokoju? Nie myślałam o tym wcześniej, teraz jednak zaczęło mnie to męczyć. Może spotkali się przypadkiem? Boże mój, żeby tak właśnie było. Żeby czasem dusza Zośki nie szwendała się po pałacu, kiedy Magda dowie się o potajemnych spotkaniach. Bo piekło nie zna wściekłości większej niż kobieta wzgardzona, a w przypadku Magdy jeszcze do tego głodna. No, chyba że oberwie się Jurkowi. Z dwojga złego, lepiej tak.

W pokoju czekał mój siostrzeniec, co bardzo mnie zdziwiło, bo nie zauważyłam auta. Siedział sam przy stole i przeglądał rysunki Kaśki. Kiedy mnie zobaczył, uśmiechnął się przyjaźnie.

- Cześć ciociu. Widziałem cię, jak wchodziłaś do fryzjera. Myślałem, że dłużej ci tam zejdziesz.

- Weszłam tylko o coś zapytać - machnęłam ręką. - Ale dlaczego ja nie zauważyłam ciebie? - uzmysłowiłam sobie, że nie widziałam samochodu. Jednak mógł mnie dostrzec z daleka, a ja pochłonięta śledztwem mogłam nie zauważyć auta. Szpiegowanie bowiem wciągnęło mnie bez reszty.

- Kolega mnie przywiózł - zmieszał się nagle. - Będzie wracał za jakieś dwie godziny, to po mnie tu wpadnie.

- Czemu sam nie przyjechałeś? - zaczęłam coś podejrzewać. Maurycy nagle zaczął rozkładać rysunki i dziwnie się wiercił. Jemu też kleją się rajtuzy?

- Nie było akurat auta - uciekał oczami po kątach. Kłamać to on nie umie. Musiałby pójść na nauki do Renatki.

- Mama ci nie dała - odpowiedziałam za niego.

- Skąd wiesz, ciociu? - westchnął. Z wyraźną ulgą, że sam nie musi mówić niczego złego.

- Oj, chłopcze - poklepałam go po ramieniu i siadłam na krześle obok.

- Nie było mnie w kraju ponad dwadzieścia lat, ale nie zapominaj, że zanim stąd wyjechałam, żyłam z twoją mamą drugie tyle. Znam ją lepiej niż ktokolwiek. Wierz mi - spojrzał na mnie trochę smutny, trochę zmieszany. - Czekałam tylko, kiedy ci zabroni do mnie przyjeżdżać.

- To chyba nie o ciocię tu chodzi - wpatrywał się w rysunki Kaśki. Przestał je przekładać, tylko wpatrywał się w nie jak zakłęty.

- Nie? - zdziwiłam się.

- No, może nie tylko o ciocię - sapnął nerwowo i spojrzał na mnie.

- Kaśka - dotarło do mnie. - Chodzi o Kaśkę? -siadłam ciężko na krześle i poklepałam go po ręce, którą znów przekładał rysunki. Pokiwał głową i zaczął wpatrywać się w jeden punkt na stole. Jakby zawiesił mu się wzrok albo jakby wstydził się postępowania matki.

- Tylko ciociu - spojrzał prosząco - nic jej nie mów.

- Czego mam nie mówić? Przecież nic nie wiem -wzruszyłam ramionami. - Chyba że mi powiesz. Może razem coś wymyślimy - ostrożnie dałam mu do zrozumienia, że ma we mnie sprzymierzeńca. - Boi się, że jeśli tują poznałeś, to musi być jakąś wariatką?

- Nie... no, może trochę - bąkał. - Ale bardziej o to, że już mi wybrała żonę - wyrzucił z siebie.

- Co takiego? - aż podskoczyłam. Przypomniały mi się lata młodości, kiedy ojciec straciwszy resztki nadziei na to, że któraś z nas pójdzie w jego ślady, próbował zachęcać nas do szukania ogrodnika na męża. Ale tylko zachęcał, nie podsuwał nam kandydatów. - Chyba nie mówisz poważnie.

- Obawiam się, że jednak tak - skrobał teraz palcem ów znaleziony na stole punkt. Nie podnosił oczu ze wstydu, tylko nie wiedziałam, czego bardziej się wstydził... dotychczasowej uległości czy arogancji swojej matki.

- Kto to jest?

- Koleżanka Natalii - podniósł na mnie smutne oczy. - I córka wziętego adwokata, właściciela dużej kancelarii.

- Boże mój - przeraziłam się, bo zaczęło mi to wszystko wyglądać na prawdę. Pewnie już sobie wyliczyła korzyści, jakie to przyniesie rodzinie, splendor i nobilitację. Bo straszną była snobką. - Jeszcze mi powiedz, że kierunek studiów też ci wybrała.

- Nie - tu się uśmiechnął. - Wolą, żebym został ogrodnikiem.

- Skąd ja to znam? - westchnęłam. - I co zamierzasz? Poddasz się bez walki?

- A co mam zrobić? - rozłożył ręce. - Nie lubię walczyć, przynajmniej nie z najbliższymi.

- I ty chcesz być adwokatem?

- Nie powiedziałem tego - spojrzał na mnie już pewniej. - Kończę prawo, ale wolę godzić, szukać kompromisów, niż walczyć. Nie taką aplikację miałem na myśli.

- A kim chciałbyś być? - zainteresowałam się nagle, bo rzeczywiście, na adwokata to mi raczej nie pasował. Nie znałam go jeszcze za dobrze, ale czułam, że nie miał charakteru wojownika.

- To nie tak do końca ode mnie zależy, ciociu. Trudno dostać się na wymarzoną aplikację, szczególnie kiedy nie ma się prawnika w rodzinie. To zamknięty klan -mówił dość pewnie, ale nie zauważyłam, żeby bardzo go to martwiło.

- To może dlatego mamie tak zależy? - próbowałam ją usprawiedliwić. Chyba rzeczywiście zwariowałam!

- Może. Ale ja nie chcę być adwokatem. Wolę być radcą prawnym, sędzią, notariuszem, ale nie adwokatem. Zresztą, różne firmy potrzebują prawników, nawet bez aplikacji. Nie ożenię się z Małgosią tylko dlatego, żeby uprościć sobie życie. Nawet jej nie lubię.

- Czy ciebie czasami nie podmieniono w szpitalu?

- pomyślałam, ale nie zdawałam sobie sprawy, że powiedziałam to na głos. Spojrzał na mnie jakby zawstydzony i dopiero wtedy zrobiło mi się przykro. Co winien syn, że ma cyniczną i wyrachowaną matkę? Pewnie nawet o tym nie wie. Wie. Jest mądrym młodym człowiekiem.

- Masz rację Maurycy. Nie chcę cię nastawiać przeciwko matce, ale masz rację.

Wstałam i nastawiłam wodę. Przez to wszystko zupełnie zapomniałam o moim kwiatku i postawiłam torbę jak zwykle na podłodze. Po chwili z terapii wróciła Kaśka, nie zauważyła mnie, bo akurat wyjmowałam coś z szafy. Podeszła do Maurycego i pocałowała go, przymykając oczy. Kiedy je otworzyła, spojrzała prosto na mnie. Podskoczyła jak oparzona, a ja parsknęłam śmiechem.

- Ale was przyłapałam - Kasia zaczerwieniła się jak pomidor, a siostrzeniec uśmiechał się zawstydzony.

- E tam, ciociu, my się nie ukrywamy.

- No, widzę właśnie - wzięłam swój kubek ze stołu

- Idę grać w karty. Nie ukrywajcie się trochę beze mnie -żartowałam z nich. W drzwiach się jeszcze odwróciłam.

Kasia nadal była czerwona. - Jak będziesz wyjeżdżał, to pokaż mi się jeszcze. Chcę ci coś powiedzieć.

W holu ludno było jak zwykle. Na kanapie miejsca nie znalazłam, więc przysiadłam na stołku, który czasami służy również jako stoliczek kawowy. Wsunęłam się nim między Renę i Magdę, bo zamierzałam nieco poobserwować Zośkę. Jurka jeszcze nie było, jego miejsce zajął niedawno przybyły Waldek. Nie grał tak luźno jak Jurek i poważnie traktował każde rozdanie. A o zaglądaniu w jego karty nawet mowy nie było, trzymał je tuż przy piersi i gromił wzrokiem każdą próbę zerknięcia w swój wachlarz... nawet mnie, a przecież nie grałam. Za to Magda nie była taka spięta jak zwykle, co bardzo mnie zdziwiło i trochę zmartwiło. Zdałam sobie sprawę, że pewnie rzeczywiście czuje coś do Jurka, skoro aż tak ją deprymuje. Wreszcie z pokoju wyłonił się nasz karciany kumpel i stanął za fotelem, na którym siedziała Magda. Chciał jej zajrzeć w karty, w dekolt czy może popatrzeć na Zosię? A może wszystko naraz? U Zosi takich widoków nie znajdzie, więc niech się jeszcze ponapawa.

Waldek zwolnił miejsce, a mnie udało się wcisnąć na kanapę. Nigdy bym nie przypuszczała, że tak polubię kanapę i grę w karty. I pomyśleć tylko, to też wymyślili Chińczycy i już podobno w dziesiątym wieku. Znaczą... karty, nie kanapę. Mają patent na wszystko, co wartościowego zdarzyło się w dziejach świata, pewnie jednak nie na kanapę, wiecznie przecież przesiadują na podłodze. Zdecydowanie wolę kanapę, nawet z tymi wysiedzianymi dołkami. Ciekawe, czy wariaci to też chińskie dzieło?

Skupiłam się na obserwacji. Zastanawiałam się, czy pomimo całej mojej konspiracji nie zauważyli mnie podczas spaceru. Zachowywali się jak zwykle. Zosia przymierzała się do zaglądania w karty Jurkowi, ten wcale ich nie zasłaniał i spoglądał na milczącą Magdę.

Ciekawe, czy domyśla się naszych swatów? Raczej trudno tego nie zauważyć, ale facet często nie widzi rzeczy oczywistych. Chyba że ta trzepnie go w łepetynę. Pewnie niepotrzebnie się martwię, a zresztą, co ma być, to będzie. Nie da się nakazać sercu, by kochało i nie można mu rozkazać, by przestało. Wiem to z autopsji... niestety.

Gra się rozkręcała, kiedy w holu zobaczyłam Kaśkę i Maurycego. Kiwnęła nam tylko ręką i poinformowała, że idą na spacer. Im też już nie da się niczego nakazać, czy zakazać. Widać po nich, że nikt już nie ma takiej mocy, nawet moja przemyślna siostra.

Tymczasem ogrywałyśmy Jurka jak zwykle, a ten jak zwykle dobrze się bawił. Może nawet za dobrze, bo kiedy spadła mi karta i zanurkowałam za nią pod stół, zauważyłam, że jego prawa stopa była skierowana zdecydowanie w stronę Zosi, choć oczy nadal w dekolt Madzi. Ot, faceci! Mijały kolejne rozdania, a Kaśka nie wracała.

- Gdzie oni się podziali? - zaczęłam się denerwować. - Chciałam jeszcze pogadać z Maurycem.

- Nie denerwuj się - Zosia była spokojna - pewnie błądzą gdzieś po parku. Tutaj nie potrzebuje nawigacji satelitarnej, na pewno trafi.

- Dziwne - nagle odezwała się milcząca zwykle w tym towarzystwie Magda - facet trafi na stadion sportowy w każdym mieście, bez nawigacji, bez planu miasta - zawiesiła głos i nadal patrząc w karty, dokończyła: -a nie potrafi znaleźć punktu G.

Zamarłam. Skąd jej się wziął taki wywód. Wszyscy spojrzeli na nią z ciekawości i zaskoczenia, nawet ci z drugiego końca stołu zawiesili wzrok nad naszą grupą. Jurkowi omal karty nie wypadły z ręki, a Renata poląła się ziólkami.

- Magda! - powiedziała do niej oniemiała, nie zwracając uwagi na zalany dres.

- No co? - wzruszyła ramionami jakby nigdy nic, nie odrywając oczu od kart. - Nie dziwne to?

Teraz już byłam pewna, że nastąpił jakiś przełom. Albo już sobie dała spokój z romanssem, albo poszła na całość. Jednak wcale nie była spięta, co wskazywało raczej na pierwsze. Może i lepiej? Zostawiłam ich w tym zadziwieniu i potruchtalam w stronę schodów, bo zauważyłam, że wracają zaginieni.

- Kaśka, zajmij mi miejsce, bo za chwilę wracam, a ty Maurycy chodź ze mną do pokoju. Muszę ci coś powiedzieć - chwyciłam go za rękaw i pociągnęłam w stronę schodów na piętro.

- Ciociu, kolega już po mnie przyjechał.

- Wiem, domyślałam się. Inaczej pewnie jeszcze byście krążyli po parku - zaśmiałam się. - To zajmie tylko chwilę.

Poszedł za mną, tym bardziej że posłuszeństwo wymuszałam ciągnięciem za rękaw. W pokoju podeszłam do szafy i sięgnęłam po przygotowany już wcześniej dokument.

- Chłopcze - zaczęłam jak stara ciotka - tu masz kluczyki i dokumenty mojego auta. Stoi w garażu dziadka, widziałeś je.

- Ale ciociu... - nie wiedział, co ma powiedzieć, jednak oczy mu zabłyśły. I nie dziwię się. Moje nowe audi Q7 jest obiektem marzeń niejednego faceta. Sama nie wiem, jak dałam się namówić na ten model. To wszystko przez Ericha. Podejrzywałam nawet, że właściciel salonu coś mu za to odpalił, bardzo mu zależało, żebym je kupiła. Nie potrzebowałam takiego auta, ale kiedy je zobaczyłam w salonie, takie kremowe, lśniące, z mahoniową deską rozdzielczą i jasną skórą w środku, po prostu mnie uwiodło. I w końcu na coś musiałam wydawać pieniądze. Ale nie musiałam kupować właśnie tego. Mogłam wybrać bardziej nobliwe.

- Mnie nie jest tu potrzebne, a tobie przyda się do odpierania szantaży emocjonalnych mojej siostry. W tym jest niezła - wzięłam go za dłoń i w już otwartą włożyłam kluczyki i dokumenty.

- Skąd wiesz, ciociu?

- Synuś - spojrzałam na niego i pokiwałam głową. - Długo uczyłam się radzić sobie z tym. Mogę ci dać gotową odpowiedź - pomyślałam, że warto mu odpowiedzieć to, co sama trenowałam bardzo długo.

- Powiedz mamie, że inaczej patrzycie na tę sprawę, obojętnie, co będzie obiektem szantażu, albo że widzisz, że to jej nie pasuje, ale sprawa nie podlega negocjacji

- patrzył na mnie skupiony i smutny. Niełatwo przyjmować nauki, jak walczyć z własną matką. Nie miałam jednak wyrzutów sumienia. Lilia zniszczyła już kilka życiorysów, niech chociaż syn jej się wywinie. - To droga do asertywnego zachowania, a tak musisz zachowywać się wobec jej sposobów. Wierz mi Maurycy, to jedyny sposób, na pewno jej nie zranisz, nie pozwalając ranić siebie.

- Dziękuję ci ciociu - wreszcie się uśmiechnął i spojrzał na kluczyki, które już trzymał w ręku. - A nie boisz się o auto?

- Dziecko, to tylko auto - wzruszyłam ramionami.

- Martwię się tylko, czy masz na paliwo?

- Dorabiam sobie do tego co dostaję od rodziców, no i tato często daje mi coś ekstra. O to się już ciociu nie bój, potrafię zarobić kasę. Dziękuję ci raz jeszcze, oddam nienaruszone.

Pojechał. Kiedy wróciłam do gry, zabawa trwała w najlepsze, Waldek rzucał mało wybredne dowcipy, za to widać śmieszne, bowiem wszyscy rzeli w najlepsze. Magda najwyraźniej wreszcie przyswoiła nauki albo faktycznie odpuściła romanse, bo śmiała się najgłośniej.

Przed dwudziestą drugą poszliśmy po usypia-cze, jak zwykle. Miewałam po nich straszne sny, więc starałam się trochę oszukiwać i nie łykałam ich. Bez nich spałam już całkiem nieźle. Przed snem robiłyśmy zakłady, jak długo jeszcze nasze torebkowe damy będą walczyły z miskami. A nic nie wskazywało na rychły koniec zabawy, bo w innych pokojach na naszym piętrze też robiono zakłady i trwała zmowa milczenia.

- Co, twoja siostra odcięła synka od auta? - spytała Renata, przygotowując sobie posłanie.

- Na to wygląda - westchnęłam.

- Oj, to musi być już nieźle zdesperowana - pokiwała głową. - Takie ruchy to raczej ostateczność.

- Cóż, Lilia nigdy nie była zbyt subtelna. Zawsze szła na całość, aby tylko osiągnąć cel - nie było mi przykro, kiedy mówiłam źle o siostrze, jednak nie znajdowałam w tym specjalnej przyjemności. Było mi to zupełnie obojętne.

- I co teraz chłopak robi? - Zosia wyraźnie martwiła się o rozwój romantycznej miłości pomiędzy Kaśką a moim siostrzeńcem, choć podobno była zazartym przeciwnikiem takich uczuć. Mogłyśmy przez chwilę o tym swobodnie pogadać, bo jeden z obiektów plotek jeszcze siedział pod prysznicem.

- Nie będzie już prosił matki o auto - powiedziałam, uśmiechając się tajemniczo, niemal dumna z tego, co dziś zrobiłam. - Dałam mu do dyspozycji swoje -szelmowski uśmiech nie schodził mi z twarzy. Choć odrobinę namieszam w życiu mojego lustrzanego odbicia. A radość była podwójna... pomogę rodzącemu się uczuciu i dokuczę nieco siostrzyczce. Boże mój, co się ze mną dzieje? Może zaczynam zdrowieć?

- Za co ty tak nie lubisz swojej siostry? - Padło wreszcie długo wstrzymywane pytanie, choć Magda led-

wo opanowywała ziewanie. - Ja tam zawsze marzyłam o siostrze. Już nie musiałabym być taka sama, ale pewnie by mi to nie przeszkadzało.

- Wiesz Madzia, długo by mówić - obawiałam się, że już teraz się nie wywinę. - Nie pamiętam, czy kiedykolwiek się lubiliśmy. Kiedyś oglądałam taki program na National Geographic o bliźniakach - po latach ten dokument wytłumaczył mi naszą wzajemną awersję

- z którego dowiedziałam się, że większość ludzi w stanie embrionalnym ma bliźniaka. Tylko potem silniejszy bliźniak wchłania słabszego.

- To co - ożywiła się nagle - zjada go czy jak?

- Madzia chyba zbyt dużą część swojej kolacji oddała kotom.

- Nie wiem, jak to się dzieje. Na początku sądziłam, że to bzdura, ale potem pomyślałam, że może Lilia czegoś nie zdążyła zrobić w łonie matki i postanowiła dokończyć już na zewnątrz - uśmiechnęłam się smutno. -1 nawet nieźle jej szło.

- Yyy - znów ziewnęła. Zaśmiałam się w myślach, bo można było pomyśleć, że dawno już połknęła swoją siostrę i to bez gryzienia.

- O czym mówicie? - w drzwiach stanęła Kaśka w turbanie na głowie.

- O uczuciach siostrzanych - Renata mościła się pod kołdrą. - Ale jakoś tak mętnie tłumaczy.

- Zawsze chciałam mieć siostrę - zamarzyła na głos Kasia. Układała przybory toaletowe na stoliczku i podtrzymywała ręką rozwijający się turban.

- Na szczęście rodzice albo matka natura bywają mądrzejsi niż dzieci - westchnęłam - mogłabyś nieźle wtopić.

- No. Jeszcze by cię zjadła - ziewnęła Magda.

- Co? - zdziwiona Kaśka spojrzała w stronę Madzinego kąta.

Ale z kąta Magdy płynęło już miarowe chrapanie, więc na dziś koniec. Zosia spojrzała zdegustowana i tylko pokręciła głową z rezygnacją, bo zeznania się skończyły, kiedy przesłuchanie dopiero się rozkręcało. Tak już z Magdą jest, kiedy połknie usypiacza, to czas pomiędzy jej pierwszym ziewnięciem a chrapaniem jest zaskakująco krótki. Ostatnio już nawet połyka tabletkę, leżąc w łóżku, bo mogłoby się zdarzyć, że usnęłaby w drodze do niego.

STAROŚĆ NIE RADOŚĆ.. A MOŻE JEDNAK?

Życie w szpitalu psychiatrycznym wcale nie musi być ponure i przykre, jest raczej zwariowane. Pacjenci pomimo często ciężkich przeżyć są wyluzowani i pogodni. Bywa że za bardzo (patrz: Marek), ale to przypadek odosobniony. No i starsze panie ze sklerozą... choć Magda coraz częściej się zastanawia, czy to nie sprytny wybieg. Przyjemnie popatrzeć na rozbawionego starszego pana, który pozostawiając za sobą troski życia codziennego, dokazuje z paletką do tenisa stołowego, niekoniecznie przy stole. Radość można czerpać z różnych form tej gry, nawet z klepania paletką po pupie zagląającej komuś w karty pani. Zastanawiałam się, od którego momentu w życiu można mówić o starości? Czy od ranka, kiedy wstając z łóżka, czujesz łamiący ból w kręgosłupie, czy może kiedy zdajesz sobie sprawę, że telewizyjne reklamy witamin dla seniorów przeznaczone są dla ciebie. A może kiedy przestajesz się śmiać z klepania paletką po pupie i tracisz chęć do zespołowej gry w karty? W każdym razie starość dopada ludzi w różnym wieku, a z moich obserwacji tutaj wynika, że małe torebeczki i rozdeptane kaptcie są zdecydowanie katalizatorem starości.

- Różana Ewo - tak mnie nazywał posiadacz tłuko-pupej paletki - posuń się troszeczkę - i wmontował się obok mnie na kanapę.

Lubię go. W myśl mojej teorii nie można go nazwać starym, ale licząc latami, to już raczej zażywa witaminy dla seniorów. Okrągłutki, duży i rubaszny. Nie mówi wiele o sobie, ale dumny jest ze swojego syna nauczyciela, pasjonata biologa. Dużo o nim opowiada i przyjemnie go

śłuchać. Bardzo chciałam, żeby moi rodzice tak o mnie mówili, żeby opowiadali innym, jaką mają fantastyczną córkę, jak ją kochają. Pewnie opowiadali, tyle tylko że nie o mnie.

- Moja droga - spojrzał na mnie z ukosa - coś taka zamyślona? Stało się coś?

- Nie, Czesiu, nic się nie stało. Tak tylko myślę -zasmęciłam.

- O czym? - zaczął mi się przyglądać z zatroskaną miną. Zmartwił się, zauważyłam to natychmiast. Kiedy tu przyjechałam, szybko zorientowałam się, że ma w sobie ogromne pokłady empatii. Już sam widok jego twarzy dziwnie mnie uspokajał i dawał wiarę, że nie wszyscy ludzie są tacy jak moja siostra.

- Kiedy zaczyna się starość? Wiesz może? - spojrzałam mu w oczy w oczekiwaniu odpowiedzi.

- Też wymyśliłaś - prychnął ze śmiechem. - A niby skąd mam to wiedzieć? Jeszcze o niej nie myślę. I ty też nie próbuj, jeszcze masz mnóstwo czasu i mnóstwo uciech przed sobą.

- Skąd wiesz? Może wcale nie - zamyśliłam się.

- No, jeśli będziesz tak właśnie myśleć, to pewnie się nie doczekasz. Pamiętaj, zawsze trzeba mieć nadzieję - wziął moją dłoń w swoją i poklepywał nimi swoje kolano w rytm wypowiedzianych słów.

- Na co? - spojrzałam na niego z zaciekawiona.

- Jak to na co? - zdumiał się. - Na wszystko. Tylko martwi nie mają już nadziei. Uśmiechnij się, kobieto! Jutro możesz nie mieć czasu - odłożył moją dłoń na moje własne kolano.

- Albo zębów - dodał ponuro siedzący naprzeciwko Waldek. Od kiedy tu przyjechał, ciągle dokuczają sobie z Czesiem, co rodzi masę śmiechu, ale dogadując sobie, taką właśnie mają nadzieję. Oni z całą pewnością nie leczą tu depresji.

- Każdemu zdarzy się zapomnieć - Czesio uśmiechnął się, ukazując tym razem równiutkie zęby protezy. - Gorzej, jak zapomnisz, że zawsze trzeba mieć nadzieję. Chodź marudo, zagramy w tenisa - zwrócił się do Waldka, który trzymał drugą paletkę.

- Nie mamy piłeczki.

- A po co ci piłeczki? - Czesio mrugnął do niego. - Patrz, jakie mamy tyłeczki.

Waldek zgromił go wzrokiem i pokręcił głową. Roześmiałam się i poszłam przygotować się do biegania. Kiedy już przebrana schodziłam po schodach, raz po raz słyszałam znajome klap i okrzyk zdumienia. Obaj biegali po holu i korytarzach, grając w klepanego tenisa, niekoniecznie stołowego. Nawet psycholożce Agacie się dostało, co wcale nie wprawiło jej w zakłopotanie. Zawsze powtarza, że trzeba umieć się bawić, nawet grając w tenisa stołowego bez piłeczki i stołu. Kiedyś usłyszałam, że jest tylko jedno lekarstwo na duże kłopoty. .. małe radości. Nic w tej chwili nie wydało mi się bardziej trafnym stwierdzeniem.

*

Wracałam właśnie od Joli kwiaciarki z moim zadaniem, kiedy w bramie do parku pałacowego minęło mnie czarne eleganckie auto. Zbliżał się do pałacu jak tajemniczy książę na karym koniu. Nie wiedziałam, kto to, bo po samochodzie nie poznałam. Okazało się, że do Kaśki przyjechał tato. - Oj - pomyślałam - nie znajdziesz swojej królowny w pałacu. Poszła na spacer ze swoim rycerzem - bo zobaczyłam też kremowego rumaka zaparkowanego z boku podjazdu. Tego rumaka poznałam, był z mojej stajni.

- Dzień dobry! - zawołałam przyjaźnie. - Obawiam się, że na Kaśkę będzie pan musiał trochę poczekać.

- Dzień dobry, pani Rózo - uśmiechnął się na mój widok i mogłabym się założyć, że... uniósł brwi. - Gdzie ją wywiało?

- Chyba poszła na spacer z moim siostrzeńcem - wskazałam na rumaka. - Stoi jego auto. A mam wrażenie, że ostatnio nie do mnie tu przyjeżdża, albo nie tylko do mnie. Ale zapraszam, wypijemy kawkę, zanim wrócą - i nawet się nie obejrzałam, jak zaprosiłam go do pokoju. Kiedy szliśmy przez hol, nastąpiła cisza. Potem rozległo się głucho: uuu...

- Proszę im wybaczyć, to wariaci - machnęłam ręką w ich kierunku ze śmiechem, a policzki paliły mnie, jakby ktoś przyłożył do nich termofor. Szedł za mną i podśmiewał się pod nosem, widać bardzo go to rozbawiło. Wspięliśmy się do naszego pokoju. Był pusty, dziewczyny musiały gdzieś powędrować, bo w holu ich nie widziałam. Wstawiłam wodę i przygotowałam kubki, kiedy Maciej stanął przede mną i zaproponował:

- Czy możemy mówić sobie po imieniu? Tak byłoby prościej - wziął mnie za obie ręce i złożył je w swoich dłoniach. Kiedy poczułam ciepło jego dłoni, serce skoczyło mi do gardła. Facet nie zasypia gruszek w popiele. Może to on sam szuka okazji, aby następna kobieta wskoczyła w jego kadr - przypomniała mi się rada Renaty.

- Oczywiście, bardzo chętnie - ledwo wydukałam.

- Jestem Maciej - i pocałował obie moje dłonie.

- Róza.

- A nie Ewa?

- Mów jak chcesz - głos mi jeszcze drżał, kiedy nachylił się i delikatnie pocałował mnie w usta. Zawirowały mi gwiazdy w oczach. - Boże mój... co jest? Co się dzieje? - Nagle otworzyły się drzwi i stanęły w nich Renata z Zosią. Renata zrobiła wielkie oczy, zdawać by się mogło, że za chwilę wypadną jej z oczodołów. Zosia

zaś zaśmiała się znacząco i szybciotko wepchnęła się przed zdziwioną Renatę.

- Nie przeszkadzamy? - Zosia gdyby nie uszy, pewnie miałyby uśmiech dookoła głowy.

- Nie, nie - zmieszałam się niemiłosiernie - właśnie przeszliśmy na ty - tłumaczyłam się jak uczeń. - Tak będzie wygodniej.

- No jasne - Zosia natychmiast wyciągnęła rękę -jestem Zosia.

- A ja Renata - ocknęła się ze zdumienia i szybko dołączyła.

- Maciej - obie pocałował szarmancko w rękę, ale nic poza tym.

- Chcecie melisy? - zapytałam szybko, chłodząc się dmuchaniem sobie w nos. Zmieszana byłam do granic możliwości i czułam, że twarz mi płonie.

- Od kiedy pytasz? - Renata zaczęła mi się natrętnie przyglądać z głupim uśmiechem - ale może sobie też zrobić... zamiast kawy - zajrzała do kubka. - Dobrze ci zrobi.

Maciej siedział przy stole i uśmiechał się, patrząc na tę scenę. Wiedział, że wprowadził mnie w nie lada zakłopotanie, jednak specjalnie się tym nie przejął. Przystojny, pachnący i elegancki mężczyzna przy stole z gromadką wariatek. Niecodzienny widok.

- Bardzo jestem wam wdzięczny za opiekę nad Kasią. Już się bałam, że ją też stracę. Tego bym chyba nie przeżył - odezwał się w końcu i skrzypowany wyznaniem, wskazał na pakuneczek, który po wejściu do pokoju postawił na stole. - Przywiozłem coś słodkiego do kawki.

- Oj, nie trzeba było - powiedziała Zosia, ale natychmiast zabrała się do rozpakowywania zawiniątka. Pewnie z obawy, że Magda dołączy do gromadki, a wtedy znacznie zmaleje szansa zjedzenia ciasteczka. Bo do

słodczy Madzia ma stosunek bardzo szczególny. Nic nie jest zbyt słodkie, żeby nie można było tego zjeść do końca, do ostatniego okruszka.

- Nic takiego nie robimy - krygowałam się - Kasia się doskonale przystosowała... do nas, a wiesz, że my też nie jesteśmy tu bez powodu. Więc może jednak nie najlepiej to wróży.

- Jesteście normalniejsze niż większość ludzi, których znam. Serio - kiwał głową z miną świadcząca, że wie, co mówi.

Oczekiwałam tego zapewnienia. Nie chciałam, żeby powątpiewał w nasze zdrowe zmysły. W końcu leczymy tu tylko ociupinkę nadwyreżone nerwy. Jakkolwiek ociupinka dla każdego znaczy co innego. Nasze ociupinki nie są niebezpieczne dla otoczenia, co najwyżej dla spokojnego snu. Ale na to, na szczęście, dostajemy wieczorne usypiacze. Nie porozmawialiśmy już za długo, bo wkrótce za drzwiami usłyszeliśmy kroki młodzieży. Drzwi z rozmachem się otworzyły i Kaśka już od progu wołała:

- Tatusi! - rzuciła się mu na szyję, że o mało razem z krzesłem nie fiknął do tyłu. - Cześć tato. - Kiedy już go obcałowała, przypomniała sobie o Maurycym. Wyprostowała się nagle i zaczęła szukać go wzrokiem. On tymczasem stanął za moim krzesłem, objął mnie za szyję i pocałował w czubek głowy. Albo czułości są zaraźliwe, albo pomyślał, że w tej pozycji mu nie ucieknę, bo jeszcze chwilę się do mnie tulił i szepnął do ucha:

- Masz superbrykę ciociu, dzięki za pożyczkę.

- Tato - Kasia uwolniła mnie z uścisku siostrzeńca - to jest Maurycy, siostrzeniec Ewy i mój chłopak - powiedziała to nieco zawstydzona, ale z pełnym uśmiechem.

Maciej poderwał się z krzesła, po męsku uściśnął dłoń chłopakowi i twarz mu się nagle zmieniła. Jakby opadły resztki obaw o normalność córki, jak-

by wielki kamień nagle spadł mu z serca. Nawet przez chwilę miałam wrażenie, że uniósł się lekko nad podłogą z linoleum. Wiem, że to głupie, ale słyszałam huk rozbijającego się o podłogę kamienia. A może to znów pękła rura w łazience? Nie wiem... jednak ulga w jego oczach była wypisana drukowanymi literami na tęczęwkach.

- Cieszę się, że mogę cię poznać - trząśł jego dłonią. - Podejrzywałem w tym cudzie uzdrowienia jakiś męski pierwiastek.

- I ulżyło ci, że to nie jeden stąd? - Renata mrużyła swoje śliczne oczy w uśmiechu. Z całą pewnością widział Marka rozmawiającego ze swoją ulubienicą.

- Chyba bym sobie z tym chłopakiem od papug nie pogadał - uśmiechnął się przeproszająco.

- No, nie wiem. Mógłbyś się zdziwić - pokiwałam głową - to bardzo mądry i zdaje się, dość gruntownie wykształcony facet.

- Tylko odjechany - szybko dodała Zosia.

- Pogubiony - poprawiłam Zosię z upominającym uśmiechem.

- No, mówię właśnie - przytaknęła wcale nie zmieszana. - Pogubiony.

Zostawiliśmy w pokoju ojca z córką. Dziewczyny, zaspokoivszy ciekawość, każda z eklerkiem, przewracając oczami z wymownymi minami, poszły na karcianą kanapę, a ja zabrałam siostrzeńca na mały spacer. Nachodzi się chłopak, dla odmiany nie z Kaśką, tylko ze starą ciotką.

- Ciociu, mama nie była szczęśliwa, kiedy z garażu dziadka wyprowadziłem twoje cacko. Ojciec tylko spytał, kto mi pozwolił, ale jak pokazałem mu papiery auta, to tylko się uśmiechnął i dał mi na paliwo - szliśmy alejką parku i trzymałam Maurycego pod rękę.

- Była zła? - spojrzałam na niego z boku. Miałam nadzieję... że tak. Nie mogłam się oszukiwać, trochę chciałam dokuczyć siostrze, krzyżując jej plany.

- Pewnie tak. Znów próbowała mnie zdołować -patrzył pod nogi jakby zawstydzony zachowaniem matki

- mówiła, że wolę ciebie niż ją, że chcesz mnie jej odebrać, że jak będę jeździł do Kasi i do ciebie, to jej serce pęknie.

- I? - spojrzałam na niego z lekkim uśmiechem, bo znałam Lilię jak zły szeląg i wiedziałam, jaką broń wyciągnie, ale oczekiwałam podekscytowana na opowieść o jej reakcji. Miałam jednak nadzieję, że jak już się raz postawił i Kasię przedstawił jako swoją dziewczynę, to i teraz wiedział, co zrobić.

- Powiedziałem, jak mi radziłaś - spojrzał na mnie

- że przykro mi, że tak to właśnie widzi i że tak postanowiła to odczuwać, aleja postrzegam to i czuję inaczej.

- Bolało? - miałam nadzieję na jakąś spektakularną scenę.

- Bardziej chyba mnie, ale to w końcu pierwszy raz

- westchnął. - Mama trochę się zdziwiła. Nawet przez chwilę zapomniała robić te swoje miny cierpiętnicy -mówił cicho, pewnie zawstydzony manipulacyjnymi zdolnościami Lilii.

- Nie przejmuj się - potrząsnęłam nim pieszczotliwie, cały czas trzymając go pod rękę. - Znam te numery od dziecka. Wiem, jakie to robi wrażenie. Sama też się nabierałam.

- Może Natalii też już nie pozwolę się szantażować

- westchnął z nieukrywaną nadzieją.

- Czyżby robiła tak samo? - jakoś mnie to nie dziwiło. Z szantażem emocjonalnym tak jest, uczeń zwykle przerasta mistrza.

- Miała dobrą nauczycielkę - nieświadomie zgodził się z moimi myślami.

I tak, wisząc Maurycemu na ramieniu i rozmawiając, zrobiliśmy kółeczko po parku. Dopiero w drodze powrotnej zdałam sobie sprawę, że zapomniałam o przebiśnigach i innych gadach. Tak pochłonęła mnie

rozmowa z Maurycem, że zapomniałam się bać. Dziwne. Dziwne też było to, że spacer w towarzystwie sprawił mi tyle przyjemności co samotne bieganie. A może nawet więcej. Czyżbym się starzała czy może zdrowiała? Przecież uwielbiam biegać samotnie. Mam nadzieję, że to jednak nie starość. Po powrocie do pokoju Maciej poprosił Maurycego o pomoc w przyniesieniu z auta sprzętu do malowania, o który prosiła wcześniej Kaśka. Widać Kaśka też zdrowieje, bo rzadko wychodzi z pracowni, jednak malowanie dobrze jej robi. Poszli wszyscy troje.

- Przyszedłem się jeszcze pożegnać - wrócili po chwili i Maurycy znów mnie uścisnął. Już się nie odsuwam i nie sztywnieję jak słup. - Fajnie ciociu, że cię mam - powiedział nieco zawstydzony, a mnie zrobiło się ciepło gdzieś w okolicach serca.

Przeszło mi wtedy przez myśl, że okazywanie uczuć słabo mu wychodzi. Czyżby moja siostra nie przytulała go w dzieciństwie? Czyżby był tylko narzędziem do osiągnięcia, zdawać by się mogło, życiowego celu? Oby nie bał się okazywać uczuć, bo życie bez świadomości bliskości i miłości kochanych osób jest straszne. Wiem to. Lilia zawsze pierwsza ładowała się tacie na kolana, mama nie była wrywna do pieścizot, więc stałam zawsze w kolejce i najczęściej nie doczekałam się swojego przydziału czułości. Pewnie dlatego tak brakowało mi potem utraconej miłości. W tamtym czasie nie musiałam czekać w kolejce. Jednak i to okazało się złudzeniem. Nie będę już sztywniała jak krochmalony kołnierzyk, bo i Maurycemu, i mnie samej bardzo potrzeba ciepła rodzinnej czułości. I wreszcie mam ją komu okazywać.

- Też chcę się pożegnać, pewnie nie na długo, bo Kaśka pozwoliła się już częściej odwiedzać - Maciej wziął moją rękę i trzymał w uścisku. - Może następnym razem to my wybierzemy się na spacer?

- Może - stałam tak spięta, że zgodziłabym się nawet pójść na wystawę kwiatów. Kaśka spoglądała z ukosa na ojca, a ja wystraszyłam się, że to zdecydowanie za wcześnie, że jeszcze się do mnie zrazi, bo potraktuje mnie jak zastępstwo. Pomyśli, że wykorzystuję samotność Macieja i wcinam się na miejsce jej matki. A tego bym nie chciała. Szybko wycofałam rękę, może nawet za szybko, bo spojrzał w kierunku, z którego wzięły się moje obawy. Chyba zrozumiał.

- Do zobaczenia, córuś - uśmiechnął się do Kaśki. - Do zobaczenia - grzecznie mi się uklonił. Zostałam w pokoju tylko z moimi myślami. Pomimo kontrolnego spojrzenia Kaśki fajnie jest wiedzieć, że jeszcze ktoś patrzy na ciebie z błyskiem w oku, fajnie czuć te dreszcze na szyi, kiedy cię całuje czy choćby dotyka. Już nie pamiętałam, jak to jest... z Erichem mi się to nie przytrafiało. Boże mój, nagle przypomniałam sobie, że miałam zadzwonić do Ericha.

Ławka płaczu ostatnio nie spełnia swojej roli. Dawno nie widziałam, żeby ktoś na niej płakał. A w pierwszych dniach zdarzało się to dość często. Teraz jest raczej ławką zadumy i najczęściej przesiaduje na niej Marek, oczywiście jeśli akurat nie rozmawia ze swoją podopieczną. Tylko z tego miejsca mogę zadzwonić, gdzie indziej nie ma zasięgu. Coraz częściej spotyka się tu kogoś z laptopem, bo jednak niektórzy chcą wiedzieć, co w świecie słychać. Mnie aż tak często to nie interesuje.

Dzwoniłam do wuja Johana, cioci Uli, Gertrudy i prawnika, któremu moje sprawy rodzinne powierzył zapobiegliwy wujek. Sama z pewnością nie dałabym rady i poddałabym się przy pierwszym szantażu Lilii. Tak więc jest zdecydowanie lepiej. Jeszcze Erich... tę rozmowę jednak wciąż odkładałam.

- Halo, Erich? To ja, Róża - zaczęłam dość niepewnie, wciąż nie wiedząc, po co miałam do niego zadzwonić.

- Halo, miło cię słyszeć. Jak się czujesz?

- Już dobrze, ogarnęłam się i czasami już zaczynam myśleć o powrocie do domu. A co u ciebie? Wszystko gra? - po ciszy, jaka nastąpiła, spodziewałam się każdej informacji, tylko nie tej, którą usłyszałam.

- No... właśnie - dukał niepewnie - chciałem ci powiedzieć, a właściwie muszę ci to powiedzieć...

- No co? Wyduś to wreszcie - ponaglałam, bo już chciałam mieć to za sobą. Nie byłam do końca uczciwa wobec niego, ukrywając swoje zamiary zerwania naszego dziwnego związku. Sama przygotowywałam się w myślach do zakomunikowania mu o planowanym rozstaniu i myślałam, że wszystko mam już obmyślane.

- Bo widzisz - znowu zaczęła się jazda pod górkę - od pewnego czasu spotykam się z... byłą żoną - wydusił wreszcie i nastąpiła drętwa cisza. Po chwili znowu zaczął: -1 nie chcę tego dłużej ukrywać. Nie mogę, bo... zamieszkaliśmy znów razem - pewnie wił się podczas tej niewygodnej rozmowy.

- Rozumiem - odetchnęłam. Nie spodziewałam się takiej informacji, ale przyniosła mi ulgę. Bałam się, że będę to musiała zrobić sama, że będzie potem cierpiał, że będziemy się mijać na ulicy jak obcy sobie, wrodzy ludzie. A tego chciałam uniknąć. - Kiedy to się stało? -przeleciało mi przez głowę.

- Przepraszam, że mówię to w takiej trudnej dla ciebie chwili, powinienem cię wspierać... przepraszam Różo - było mu naprawdę przykro. Pewnie był rad, że nie dzwoniłam do niego od tak dawna i nie musiał mi tego wszystkiego wyznawać. Z drugiej jednak strony bardzo ciężko żyć ze świadomością, że kogoś się krzywdzi i nie ma go jak za to przeprosić.

- W porządku, nie rób sobie wyrzutów - uspokajałam go - już od dawna nam się nie układało. Może to akurat dobry moment.

- Dlaczego akurat teraz? - wydawał się być szczerze zdziwiony.

- Bo pracuję nad sobą i postanowiłam się zmienić - uśmiechnęłam się do witraża - chcę wreszcie stawić czoła mojej siostrze, więc muszę co nieco w życiu poprzestawiać.

- I chcesz zrobić to hurtem? - wyraźnie mu ulżyło, słyszałam to odprężenie w jego głosie. No i nie przyznam się, że jego już skreśliłam jakiś czas temu, że to on był jedną z głównych zmian. - To nie masz do mnie żalu?

- Nie - mówiłam spokojnie - to były dobre lata, ale już rzeczywiście czas na zmiany.

- Jesteś jakby inna...

- Widzisz? Już działa - zaśmiałam się.

- Ale pozostaniemy przyjaciółmi? - zapytał z niepokojem. Pewnie też bał się głupich sytuacji, kiedy ucieka się na widok swojego dawnego życia. Narzekał na to po rozstaniu z żoną.

- Erich, nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej - uspokoiłam go.

I tym sposobem zerwałam z Erichem, choć pewnie to on zerwał ze mną. Obojętnie. Mogłam zaczynać od nowa. Nowa ja, nowa przyszłość... nie wiem jeszcze jaka, ale bogatsza w przyjaźń znaną w wariatkowie. Dopiero nieco później, rozmawiając z Gertrudą, dowiedziałam się, że była żona Ericha zaszła w ciążę z jego następcą i urodziła mu córeczkę. Widać jemu nie było to na rękę, bo porzucił obie. Nie było jej łatwo, nigdy nie pracowała, a z czegoś trzeba żyć. Wtedy niby to przypadkowo wpadła na Ericha. Był teraz łakomym kąskiem, od kiedy jego firma zaczęła robić repliki antyków, wiodło mu się bardzo dobrze. A Erich? Erich zawsze marzył

o dziecku i nie mam pojęcia, dlaczego dotąd go nie miał. Ani jego żona, ani ja nie dałyśmy mu potomka. Więc coś musiało być nie tak... być może z nim samym. A może ze mną było coś nie w porządku? Specjalnie się nie zabezpieczałam... i nic. Tyle tylko, że mój wachlarz kochanków był bardzo ubogi. Ale kto wie? I tak Erich zakochał się w córeczce swojej byłej żony i w taki oto sposób znów stali się rodziną. A ja znów zostałam porzucona. Tyle tylko, że tym razem było mi to na rękę i szczerze życzyłam im szczęścia.

- Magda, żebyś ty widziała, jak Ewa całowała się z ojcem Kasi - Zosia nakręcała atmosferę, kiedy Kasia brała prysznic. - Namiętność aż biła po oczach.

- No, coś ty! - próbowałam się bronić. - To był zwykły całus! Tylko przechodziliśmy na ty.

- Jasne! Z nami się jakoś nie całował - Renata udawała zawiedzioną. Szturchnęła mnie łobuzersko łokciem. - Łap faceta, póki jeszcze jest wolny. Na starość smutno być samej.

- Na starość? Już jestem stara - zaczęłam narzekać, bo od samego rana prześladowała mnie ta przykra myśl. - Coś mi się nie chce ostatnio biegać, wolę spacer, w krzyżu mi strzyka... - zaczęłam wymieniać.

- Nie biegasz, bo wiecznie przynosisz te kwiatki w tytkach - Zosia bezwiednie składała koszulki w nienaganną kostkę. Jak ona to robi? Ma miarkę w oczach czy jak? - A strzyka ci w krzyżu, bo nie biegasz. Proste.

- Moja droga, jeśli jeszcze serce ci drży - Magda przyjęła poważny wyraz twarzy - to nie starość. Na starość drżą nogi. Tak mawiał mój dziadek.

- A tobie co drży - Renata uśmiechała, się mrużąc oczy.

- Ciągle jeszcze serce - odpowiedziała, spoglądając znad kolorowej gazety. - I póki tak będzie, to nie będą mi drżeć nogi.

- Nie mogą - Zosia spojrzała na jej kolekcję butów

- nie dasz rady chodzić w szpilkach.

Wieczorna melisa parowała na stole i czekała na ploty z całego dnia. Mogą nie być za długie, bo niektórzy już połknęli swoje usypiacze.

- Rozmawiałam z Erichem - zaczęłam - zerwał ze mną.

- To nie ty z nim? - zdziwiła się Zośka. - Mówiłaś, że już z nim nie jesteś.

- Ale on o tym nie wiedział - zaśmiałam się. - Tak czy siak, teraz jestem już wolna na sto procent i oboje o tym wiemy. To dobrze, bo zaczęłam się przy nim czuć tak staro. Nie wiem nawet dlaczego, ale zaczęły mnie wkurzać zwykłe sprawy - zaczęłam im opowiadać o sprawach, o których dotąd nie mówiłam nikomu. Nawet Gerci. Może z obawy, że mnie wyśmiej, może z powodu jej leniwego męża, sama nie wiem. - Drażniło mnie, jak porównywał ceny w każdym sklepie, jak przeliczał, żeby kupić jak najtaniej. I gdyby musiał! A już szczytem było, jak na kolacji u Gertrudy zaczął dyskutować z jej mężem na temat wyboru papieru toaletowego. Ile ma mieć warstw i gdzie go można kupić najtaniej

- mówiłam z tym samym zdumieniem, z jakim ciągle zastanawiałam się nad tą sytuacją. I wciąż nie miałam pomysłu, co rodziło takie rozważania. - Początkowo myślałam, że żartują i nawet mnie to bawiło. Jednak po pewnym czasie zorientowałam się, że to poważny problem. Nie mówili o literaturze, filmie czy muzyce... tylko o papierze toaletowym! Wyobrażacie sobie?

- spojrzałam na zasłuchane twarze moich towarzyszek.

- O papierze toaletowym!

- Cóż - nawet Renata nie wiedziała, co powiedzieć.

- Jakie życie, takie dylematy.

Pomyślałam, że dużo racji jest w tym podsumowaniu. Życie obu przypominało papier toaletowy, długie, bezbarwne i do... A że obaj preferowali najtańszy towar, to i ozdobników na nim nie było żadnych.

- Wtedy coś się zmieniło - ciągnęłam - jakbym nagle przejrzała na oczy. Wydał mi się taki przeciętny, zwyczajny, a ja taka przy nim szara i stara.

- To nie wiedziałaś, że kobiety związane z przeciętniakami starzeją się najszybciej? - Renata znów zabrała głos i spojrzała na mnie wyczekująco. - Gdzieś to słyszałam, ale nie wiem gdzie.

- Nie myślałam w ten sposób - zastanowiłam się przez moment - chyba masz rację - zgodziłam się. Może dlatego ostatnio czułam się tak staro. Te przebieżki, poza sportsmenki, nieświadoma potrzeba odmłodzenia się czy udowodnienia sobie i wszystkim wokół, że jeszcze nie jest ze mną tak źle.

- No, maleńka - Magda cmokała znacząco - to teraz możesz zaczynać od początku.

- A kandydata już masz - dołożyła Zosia.

- Co wyście się tak zawzięły? Co ja wam zrobiłam?

- przypominałam sobie spojrzenie Kasi. Chyba nie była zachwycona.

- Nie nam... jemu - Zośka znacząco wskazała na drzwi. - I nie zastanawiaj się za długo, bo ci go któraś zdmuchnie z przed nosa. A widać, że to niezły kasek.

Weszła Kaśka z turbanem na głowie i plotkowanie się skończyło. No, może nie do końca, ale przerzuciłyśmy się na nasz ulubiony temat, zza ściany. Po potwierdzeniu w innych pokojach naszych obserwacji, że sąsiadki nadal uprawiają „miskomanie”, pośmiałyśmy się jeszcze trochę (nie bez złośliwości, bo któż jest wolny od tej przywary) i zaczęłyśmy mościć się w łózkach. Niektóre

nawet tego nie zdążyły, co potwierdziły głośnym chrapaniem. To był oczywisty znak, że kolejny uzdrawiający dzień w pałacu nerwusów dobiegł końca.

Jeszcze następnego dnia dręczyły mnie myśli o starości własnej i nie tylko. Zaczęłam przyglądać się pacjentom, zwłaszcza tym w podeszłym wieku i doszłam do przekonania, że to nie wiek świadczy o starości. Roześmiany Czesio pewnie był już czymś dziadkiem, a wciąż w głowie mu były figle. Od kilku dni przyglądałam się też pewnemu małżeństwu i nie mogę się nadziwić, jak ładnie się do siebie zwracają, jak patrzą na siebie wciąż z tym samym zainteresowaniem. Kiedy siedzieliśmy przy remiku, zwróciłam na nich uwagę Renaty i usłyszałam:

- To nie jest małżeństwo.

- Nie? - zdziwiłam się. Wszędzie chodzą razem, trzymając się za rękę lub pod rękę, ona pomaga mu przy stole w stołówce, on przynosi jej kubek z kawą i nosi za nią sweter. - Myślałam...

- Że w tym wieku już nie można kochać? - Jurek spojrzał na mnie spode łba. Jemu jeszcze trochę lat do ich wieku brakowało, a wciąż czekał na swoją miłość.

- Przyjeżdżają tu co roku o tej porze. Potem każde wraca do swojego życia, tęskni i czeka do następnego roku - rozmarzyła się Magda.

- I modli się, żeby tylko dożyć...

- Jurek! - zgromiła go Zosia.

- No co? Może nie mam racji? - wyraźnie ją zaczepiał. - O coś przecież trzeba się modlić. Można o zdrowie.

- Albo o erekcję - dopełnił Waldek, który od pewnej chwili przysłuchiwał się naszym dywagacjom. Jurek zaśmiał się pod nosem, a my spojrzaliśmy na niego

z niemy m wyrzutem. Przynajmniej ja. Właśnie obdzierał moje wyobrażenia o późnej miłości z resztek złudzeń. - Bo potem jest tak jak w przypadku tych dwóch dziadków.

- Jakich dziadków? - spytałam, rozglądając się, myśląc, że chodzi mu o jakichś konkretnych ze szpitala.

- No tych, co to się spotkali i jeden z nich skarży się drugiemu, że od pięciu lat już nie uprawia seksu. A drugi na to: a ja, odpukać, dopiero od trzech.

- Wy faceci to tylko o jednym!

- My? - Waldek rozpląwał się w znaczącym uśmiechu. - Czyżby? Ale nieważne. Kto gra, bo rozdaje.

Nie miałam ochoty na grę. Myśli o upływającym czasie namolnie wracały i wprawiały mnie w zadumę. Poszłam więc pokręcić się po pałacu. Posiedziałam na ławce płaczu i pogapiłam się na witraż, głaskałam piękne, rzeźbione wnękowe szafy i w końcu, włócząc się po piętrach i korytarzach, stanęłam przed ścianą z Desideratą.

Przyjmuj pogodnie to, co lata niosą, bez goryczy wyrzekając się przymiotów młodości. Rozwijaj siłę ducha, by w nagłym nieszczęściu mogła być siłą dla ciebie. Lecz nie dręcz się tworam i wyobraźni. Wiele obaw rodzi się ze znużenia i samotności. Obok zdrowej dyscypliny, bądź łagodny dla siebie. Jesteś dzieckiem wszechświata, nie mniej niż gwiazdy i drzewa, masz prawo być tutaj i czy to jest dla ciebie jasne czy nie, nie wątp, że wszechświat jest taki, jaki być powinien.

Ten fragment mnie uspokoił. Po co dręczyć się niedogodnościami upływającego czasu, po co wsłuchiwać się w każde strzyknięcie w krzyżu, po co wkurzać się na reklamy witamin tworzone przez młodych i jurnych. Oni w końcu też będą ich adresatami. I tak samo jak ja teraz będą się dziwić, że życie tak szybko minęło i że to już.

- Co czytasz? - spojrzałam na źródło głosu. Za mną stał Marek i patrzył na tekst. Też włączył się po pałacu, co nikogo nie dziwiło, zawsze snuł się jak duch.

- Ten fragment o starości.

- Lubię ten tekst - powiedział cicho. - Wiesz, kto to napisał?

- Nie. Tu podają, że to tekst nieznanego autora -wskazałam na podpis.

- Ale to na pewno był bardzo mądry człowiek. Każde zdanie jest przepełnione prawdą i spokojem. Kiedy to czytam, wydaje mi się, że to jedyna prawda, jaką znam.

- To Max Ehrmann. W tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku - zamyślił się przez chwilę. - To były życzenia dla jego przyjaciół na Boże Narodzenie. Piękne, prawda?

- Tak, piękne i mądre - pokiwałam głową w zadumie. - Po każdym czytaniu czuję, jakby coś się we mnie zmieniało, wyciszało, uspokajało. - Mówiłam do Marka i nie wiem, czy bardziej koncentrowałam się na tekście, czy na powtórnym powrocie na ziemię szalonego pensjonariusza. Miał taki mądry wyraz twarzy, że wydał mi się zupełnie kimś innym. To jednak już przestało mnie zadziwiać, ląduje na ziemi jak statek kosmiczny, rzadko i zauważalnie tylko dla nielicznych. Tu, w pałacu z wariatami, to ja zostałam namaszczona. - Myślałam ostatnio dużo o starości.

- Po co? - spojrzał na mnie szczerze zdziwiony. Nawet głos miał inny, jakby siedziały w nim dwie różne osoby. - Sokrates powiedział, że nigdy nie zestarzeje się serce, które kocha.

- Pewnie to prawda - pokiwałam głową w zadumie.

- Nie myśl o starości, bo nic bardziej nie postarza człowieka, niż częste myślenie o tym, że się starzeje.

- To też Sokrates?

- Nie - zaprzeczył. - Lichtenberg.

Patrzyłam na niego jak na objawienie. Skąd wziął się wśród nerwusów taki dziwoląg, który rzuca filozoficzne sentencje na każdy temat. Jest wśród nerwusów, a chodzi opanowany i zamyślony, jakby sprawy ziemskie nie były dla niego dość ważne. Może jednak jest z kosmosu?

- Wciąż boisz się kwiatów? - spytał nagle.

- Trochę - przyznałam.

- To nie wchodź do palmiarni - odwrócił się i poszedł. Długi i chudy, z pajęczymi odnóżami pełnymi tatuaży i głową pełną mądrości. Szalony Marek... tylko kto tu jest szalony?

ROMANSE I ROMANSIKI

Zostałam poproszona do ordynatora na ustalenie dnia wypisu ze szpitala. Taki tu zwyczaj. W szpitalu przebywa się minimum trzy tygodnie, ale, w zależności od stopnia zaawansowania terapii, można zostać dłużej. Kiedy dziewczyny z pokoju kolejno szły na termin, nie mogłam się nadziwić, że tak przedłużają pobyt. I jak jedna wracały szczęśliwe, że jeszcze mogą zostać. Kiedy nadszedł mój termin rozmowy, rozumiałam już, dlaczego. Wcale nie spieszyło mi się do domu. Może nie chciałam zostawiać Kasi? Może dobrze czułam się z tymi zakreconymi kobietami? Może liczyłam, że odnajdę tu sens życia?

- I co? Kiedy masz wypis? - Magda od drzwi przyglądała mi się uważnie.

- To zależy, kiedy Kasia się odmelduje - wskazałam na jej łóżko.

- Jak go uprosiłaś? - Zosia się ożywiła, bo Kaśka miała zostać tu najdłużej z nas. - Też bym tak chciała.

- Nie prosiłam. Raczej spełniam prośbę ordynatora - rozłożyłam ręce.

- Będę mogła jeszcze poudawać dzieciaka na koloniach.

- Będiesz mogła jeszcze powalczyć o tego Macieja - sprostowała Magda.

- Jakie powalczyć? - Zośka spojrzała na nią litościwym wzrokiem. - Ona już go ma na haczyku. Tylko podciąć i wyciągnąć - demonstrowała połów wielkiej ryby. - Nawet nie potrzebuje podbieraka, sam wskakuje na patelnię.

- Wybierasz się na ryby czy jak? - Renata podniosła głowę znad książki.

- Nie, ale dziś w holu wzięłam udział w dyskusji o wędkarstwie - pokiwała głową z zadowoleniem.

- I miałaś coś do powiedzenia? - zdziwiłam się nieco.

- No - kiwnęła głową. - Że brzydzę się robaków.

- Konstrukttywne... i bardzo babskie.

Bawiły mnie te gadki o amorach Macieja. Jeśli mają poprawiać nastrój moim zakręconym koleżankom, to niech sobie gadają. Choć jak pomyślę o tym pocałunku, to ciarki nadal biegają mi po krzyżu. Żebym tylko nie uzależniła się od tych myśli, bo wspomnienia o ciepłych ustach Macieja przyprowadzają mnie o miłe dreszcze. Dreszcze, jakie pamiętałam z młodości. Ale chyba nie dla mnie jego ciepłe usta, bo Kaśka od tamtego czasu bardzo dziwnie się zachowuje. Niby jest taka sama, jednak mam wrażenie, że patrzy na mnie inaczej. Nie chcę stracić jej przyjaźni, nie jej. Jest dla mnie jak córka, której nigdy nie miałam i mieć nie będę. Mogę mieć Kaśkę i tego muszę się trzymać.

Wieczorem znów poszliśmy do holu pograć w karty. Co prawda nie wszyscy taki cel mieli na myśli, ale w końcu każdy pretekst jest dobry, żeby popatrzeć w oczy faceta z marzeń. Tylko ostatnio się pogubiłam, kto komu patrzy w oczy. Magda Jurkowi? Jurek Zosi? Zosia ostatnio patrzy w podłogę, a Kasia pod stół. Oszaleć można!

- Wiesz Renata - szepnęłam jej do ucha, kiedy zrobił się harmider przy rozdawaniu, bo Waldek, chcąc zaszpanować przy tasowaniu, rozsypał karty tak skutecznie, że teraz nie tylko Kasia włąziła pod ławę. Zostawiłyśmy ten bałagan i przeniosłyśmy się na stopnie schodów - pogubiłam się już. O co tu chodzi?

- Wciąż o to samo - westchnęła. - Sprawa stara jak świat, moja droga. Trójkąt.

- To ty wiesz? - zdawało mi się, że Zosia to dość skutecznie ukrywa, a na zwierzenia raczej jeszcze się nie zdecydowała. Pokiwała głową z pobłażliwym uśmiechem.

- Oj, ty zakręcona babo! Przecież już od początku było widać, że przychodził do naszego pokoju nie dla Magdy. Nie widziałaś, z kim najchętniej rozmawiał? - Renata patrzyła na mnie ni to z politowaniem, ni z drwiącym uśmiechem.

- Ale zadawało mi się, że Zośka sama jej go raiła.

- A co miała zrobić? Magda wcześniej go sobie zaklepała, a Zosia jest lojalna, no... i nie zdążyła go polizać - wzruszyła ramionami. Uśmiechnęłam się na samą myśl, jak mała Zośka liże gładki policzek wielkiego Jurka, chyba z podskoku. Kiedy szli razem z cmentarza, sięgała mu ledwie do ramienia.

- Widziałam ich razem na spacerze - zdradziłam swoją tajemnicę - wychodzili z cmentarza.

- Zosia ostatnio chętnie biega po nagłe zakupy - puściła do mnie oko - ciągle ma na coś ochotę.

Nie wyglądała na zaskoczoną. Czyżby wiedziała o tajnym romansie? Może już coś podejrzewała. W końcu potrafi odczytywać najdrobniejsze znaki mowy ciała, sama próbowała nas tego nauczyć. Boże mój, czyżby Jurka noga pod stołem już wtedy wiedziała, że z tych swatów z Magdą nic nie wyjdzie? Uparcie wskazywała na drzwi, nie na Madzię. Oj, muszę jednak zaglądać od czasu do czasu pod stół i już na pewno o nikim nie pomyślę, że jest głupi jak noga.

- Nie zdziwiłaś się specjalnie - zaczepiłam ją z pretensją.

- Podejrzewałam coś - pokiwała głową. - Co prawda, nie wiedziałam, że wychodzi z Jurkiem na spacer, ale coś mi śmierdziało.

- Myślisz, że to nie pierwszy raz?

- Jestem tego pewna. Tylko zastanawiam się, jak on z tego wybrnie, bo przecież jutro podwozi Magdę do domu - wyraźnie się zatroskała. - Szkoda mi jej trochę.

- Niczego się nie domyśla?

- A wygląda na taką? Chociaż... już chciała raz odpuścić. Rany! Trzeba było spasować, a nie pchać ją na ten spacer - chyba zaczęła mieć wyrzuty sumienia. Mnie też zrobiło się żal Magdy. - Ale tak jej na nim zależało, miałam nadzieję, że coś w niej dostrzeże. Szkoda - westchnęła.

- E, gwiazdy! - rozległo się od ogarniętego chaosem stołu karciarzy. - Gracie?

- A macie wszystkie karty na stole, czy część w rękawach? - podniosłyśmy się ze schodów, bo na inną rozrywkę raczej liczyć nie można, a w tenisa nie mogłyśmy grać, bo Czesio grał sam i okazało się, że obie ręce ma równie sprawne. Grał, rzecz jasna, bez piłeczki. Zatem uprawialiśmy hazard do czasu, kiedy trzeba było zejść do dyżurki pielęgniarek po usypiacze. Tyle tylko, że teraz ja raz po raz upuszczalam kartę i zaglądałam pod stół. Renata uśmiechała się pod nosem, patrząc pytająco, a ja odpowiadałam jej spojrzeniami pełnymi rozpacz. Prawa noga Jurka wyraźnie wskazywała na Zosię, jego oczy jakby przestały łąpać kontakt wzrokowy z biustem Magdy. Zosia uparcie gapiała się w karty, i tym razem w swoje. Wszystko stało się jasne. Tylko kiedy zrozumie to Magda?

Koniec tygodnia jest bardzo emocjonujący dla tych, którzy wyjeżdżają na przepustkę. Dla Magdy był w dwojnasób, bo jechała z Jurkiem. Nie przygotowywała się jednak tak, jak się tego spodziewałam. Obojętnie pakowała rzeczy potrzebne i te zupełnie niepotrzebne, najczęściej kupione w miejscowym ciucholandzie. Ale terapia wymaga poświęceń, i jak się przy pakowaniu okazuje, są to sterty nowych starych ciuchów.

- Wracam w niedzielę po kolacji - zakomunikowała.

- Razem z Jurkiem? - rzuciła za nią Renata.

- A tego jeszcze nie wiem, ale nie wydaje mi się - błędziła gdzieś oczami. - Pewnie przywiezie mnie córka, zobaczę.

Żal było mi Magdy, najwyraźniej nie doceniałyśmy jej inteligencji. Odniosłam bowiem wrażenie, że pojęła swoją porażkę i nie ma zamiaru wystawiać się dłużej na ciosy. Radość z podróży z dotychczasowym obiektem westchnień była kiepsko udawana. Renata i Zosia miały podobne odczucia, bo tak samo jak ona unikały spojrzeń w oczy i uśmiechały się dość sztucznie. Nie trzeba być znawcą zachowań, żeby tego nie zauważyć. Tylko Kaśka nie rozumiała do końca, o co chodzi w tym spektaklu. Ale jest jeszcze bardzo młoda i o niektórych zawiłościach życia niewiele wie. Magda pojechała. Jak wielu innych wyjechali Jurek, Waldek, Czesio, jedna z wariatek zza ściany ze swoją śmieszną torebką, para, którą miałam za kochające się małżeństwo i kilka innych osób. W holu będzie dziś pusto. Na szczęście zostały paletki do tenisa i cudem znalazły się piłeczki. Weekendy w pałacu są nudne. Przerzedzone szeregi nerwusów rozlażą się po pokojach, nie ma terapii i dni się dłużą. Jedna z donoszących zza ściany, pozbawiona swojej drugiej połowy, próbowała dołączyć do naszej czwórki. Wyskoczyła nawet z rozdeptanych papuci, chcąc się do nas bardziej upodobnić. I pomogło. Ale dopiero jak weszła do holu z ciągnącym się za nią papierem. O mało nie pękłyśmy ze śmiechu i trochę trwało, zanim się zorientowała. Ogłosiłyśmy zawieszenie broni, o wodzie w spłuczkach jednak nie wspomniłyśmy. Przyjemności z postawionych zakładów nie chciałyśmy sobie odbierać. Zagrałyśmy z nią w karty, nikt w weekend nie powinien czuć się opuszczony.

Zosia czekała na mamę, która nazajutrz miała jej przywieźć wałówkę, i prezentowała minę bujającej

w obłokach pensjonarki. Nie wiem, czy obiecane kotlety tak zaprzętały jej myśli, czy może jednak zgoła co innego, ale myślami nie była z nami. W niedzielę od samego rana Kaśka biegała do witraża i zerkała na podjazd. Czekąca na ojca i widać było, że się niecierpliwi.

- Spójrzcie - z uśmiechem wskazałam na nią, kiedy kolejny raz zostawiała szkicownik i biegała do witraża.

- Jak ona się zmieniła. Na początku była jak dziki ryś, uciekała przed ojcem, płakała... a teraz?

- I myślisz, że czeka tak na ojca? - Renata zerknęła na mnie znad okularów.

- Anie?

- Oj, ty naiwniaczko - pokręciła głową ze śmiechem. - Czy czasami nie przyjedzie dziś twój siostrzeniec?

- No, tak - przyznałam. - Ale chyba dopiero po południu.

Zacząłam rozdawać karty, kiedy Kaśka z tupotem zbiegła po schodach, co nieomylnie oznaczało, że nareszcie się doczekała. Po chwili zobaczyliśmy jak wchodzi z powrotem, a za nią Maurycy.

- I co powiesz? - triumfalne spojrzenie Reny mówiło wszystko. Rzeczywiście jestem jakaś niedzisiejsza.

- Że jak zwykle się nie myliłaś - przyznałam skruszona.

- Kiedy kobieta jest nieobecna myślami i niecierpliwie zerka na drzwi, to wiercie mi, nie czeka na kotlety

- i puściła oko do Zosi.

- Że co? - ta nie dosłyszała zajęta marzeniami o... nie o kotletach.

- Nic, nic - machnęła wachlarzem kart - graj. Ty zaczynasz.

Rzeczywiście, w rozmarzonych oczach Zosi nie widziałam śladu kotletów, za to ogniki, które się w nich skrzyły, z całą pewnością pochodziły z serca, nie

z żołądka. Tymczasem Maurycy podszedł i grzecznie się przywitał. Stał za fotelem, pocałował mnie w czubek głowy i pokazał mi w rękę sekwens, którego nie dostrzegłam.

- Ciociu, jak jesteś zajęta, to pójdziemy z Kaśką na spacer, dobrze? - zdawało mi się, że było to pytanie czysto retoryczne. Jeśli oczekiwał odpowiedzi, to tylko twierdzącej.

- Jasne, dzieci - uśmiechnęłam się - idźcie. Kaśka zeszła ubrana w kurtkę i pociągnęła Maurycyego w stronę schodów. Radośnie zawołała:

- Wrócimy niebawem - i poszli.

- Mówiłam ci - Renata uśmiechnęła się z satysfakcją. - Ale miałaś też rację - znów spojrzała okiem znawcy - ty będziesz go miała po południu.

Już od pewnego czasu Maurycy częściej przyjeżdżał do Kaśki niż do mnie i nie miałam mu tego za złe. Przyjemnie było na nich patrzeć. Kaśce błyszczały oczy, a Maurycy jakby unosił się w powietrzu. Przestał być taki markotny, cały czas rozmawiali... ciekawe o czym? Nie minęło nawet pięć minut, jak ujrzałyśmy wchodzącego po schodach Macieja. Szedł pewnie, patrząc na rzeźbione tralki schodów i uśmiechał się dość tajemniczo.

- Witam miłe panie! - wołał już od schodów. Podszedł do naszej kanapy i stanął mi za plecami. Potem wskazał na sekwens, który znów przegapiłam.

- Co się z tobą dzisiaj dzieje? - Zosia kręciła głową i zerknęła na Macieja z głupim uśmiechem.

- Ze mną? - odparowałam, bo to ona cały czas siedziała zajęta swoimi myślami, a ja tylko grałam mało uważnie. - Pewnie szukasz Kasi? - spojrzałam w górę, wprost w oczy Macieja. - Poszli na spacer, minąłeś się z nimi.

- Oj, jaka szkoda - westchnął, ale jakoś tak mało przekonująco. Wcale nie wydawał się zawiedziony.

- A taką miałem ochotę przejść się po wałach jeziora. Może ty pójdziesz ze mną?

Zatkało mnie, a Rena o mało nie klasnęła w ręce. Znów miała rację! Zosia kopnęła mnie pod stołem, aż podskoczyłam, i rzuciła karty na stół.

- Dość mam już tego remika! Renata, łap paletkę, gramy! - wydała rozkaz i rzuciła mi piorunujące spojrzenie. Szybko się zreflektowałam i zaczęłam się wiercić, jakby rajtuzy przykleiły mi się do ud.

- Jasne, chętnie się przejdę - lepiej nie ryzykować spełnienia gróźb rzuconych oczami tej wariatki. Kiedy zesłam gotowa na spacer, Maciej siedział na ławce płaczu i patrzył na witraż, najwyraźniej jemu też się podobał. Ciekawe, czy rozpoznał, jakie to drzewo?

- Jestem gotowa, możemy iść - zameldowałam lekko drżącym głosem. - Jesteś pewien, że chcesz iść na wały? Już jest trochę mokro - wskazałam na jego eleganckie czarne buty - możesz je przemoczyć.

- Przygotowałem się - wstał z ławki. - W aucie mam inne, specjalnie na spacer.

Kiedy przechodziliśmy koło dyżurki, jedna z sióstr dyżurujących zaprezentowała nam uśmiech mówiący wszystko. Odwróciłam się już na dole i zobaczyłam, jak wychyla się z okienka dyżurki i patrzy w ślad za nami. Nie musiała życzyć nam miłego spaceru, wyczytałam to z jej uśmiechu. Po wyjściu z pałacu zorientowałam się, że nie ma auta, które pożyczyłam Maurycemu. Maciej podszedł do swojego wozu, założył sportową kurtkę i zmienił buty. Zauważył mój niepokój i zatrzasnął drzwi auta, dodał tajemniczo.

- Mijałem ich w bramie wjazdowej - uśmiechnął się - jechali na szarlotkę.

- Wiedziałeś, że Kasi nie ma - raczej stwierdziłam, niż spytałam i pokiwałam głową.

- Wiedziałem. Zamierzała się nawet cofnąć, ale jej zabroniłem - przyznał bez skrępowania, uśmiechając się chytrze - bo chciałem pobyć z tobą.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, jednak miło ścisnęło mnie w dołku. Czując to, zastanowiłam się przez chwilę, gdzie jest ten „dołek”? Czasami mam wrażenie, że gdzieś pomiędzy sercem a żołądkiem, innym znów razem gdzieś pomiędzy żołądkiem a pęcherzem. Ot, rozmyślenia anatomiczne. Teraz jednak, czując ten drugi dołek, patrzyłam na czubki swoich butów do biegania i zaczęłam nerwowo szukać słonecznych okularów. Miałam je w którejś z kieszeni. Szybko je włożyłam, żeby się ukryć. Za ciemnymi szklami okularów czułam się bezpieczniej. Wiedziałam, że nie widać wyrazu moich oczu i mogłam w ten sposób ukryć uczucia.

- Już - zamknął drzwi auta. - W którą stronę pójdziemy? - rozglądał się po podjeździe.

- Tam - wskazałam ręką i ruszyłam przodem. - Jeśli na wał, to tam.

Przez chwilę szedł z tyłu, jednak kiedy tylko szerokość wydeptanej dróżki pozwalała, zrównywał się ze mną. Po kilkudziesięciu metrach byliśmy na wale. Szliśmy bez słowa ramię w ramię, no może głowa w ramię, bo zdecydowanie byłam od niego niższa. Podtopiony lód na jeziorze stał się szary i przypominał już raczej stół nakryty obrusem pranym w kiepskim proszku. Niedługo nie będzie po nim śladu i może uwolni ciało nieszczęsnej dziewczyny. Przypomniała mi się ta straszna historia, bo właśnie dochodziliśmy do miejsca, z którego widać już było pałace się wciąż znicze.

- Co tu się stało? - spytał zaniepokojony.

- O, to straszna historia - zaczęłam. - Niedawno utopiła się tu dziewczyna.

- Lód się załamał? - patrzył na jezioro z niedowierzaniem.

- Chyba niezupełnie - westchnęłam - podobno popełniła samobójstwo.

Spojrzał na mnie przerażony i zaczął się nerwowo rozglądać. Nie miałam pojęcia, co go tak zaniepokoiło, bo wyraźnie coś go wystraszyło. I nagle zdałam sobie sprawę, że miejsce jest tak blisko pałacu, że mógł pomyśleć o jakiejś pacjentce.

- O, nie! - zorientowałam się, o co chodzi - to nikt z pałacu. Tu są wyłącznie nerwusy, nie wariaci.

- Nie myślałem tak - zmieszał się. Patrzył smutno na jezioro i milczał. Po chwili spojrzał na mnie i dodał: - Nie, kłamałem. Pomyślałem, że to mogłaby być moja Kasia.

- Co ty mówisz? - przeraziłam się nie na żarty. Czyżby tak źle było z jego córką, że najgorsze myśli przychodziły mu do głowy. No, może na początku nie było z nią najlepiej, ale nie odstępowałyśmy jej na krok, nic złego nie mogło się stać.

- Wiem, co mówię - spojrzał mi w oczy. - Nie widziałaś, w jakim była stanie po wypadku. Bałem się, że sobie coś zrobi. Długo była na oddziale zamkniętym, ale tam już tylko faszerowali ją lekami. Potrzebne było jej uzdrawiające towarzystwo, a nie prochy. Potem pozwolili mi przywieźć ją tutaj, choć długo na to czekałem. Rozumiem ich obawy... bali się, że jej nie upilnują. I żeby nie ty... - głos zaczął mu się załamywać. Pozwoliłam mu milczeć. Rozumiałam jego obawy. Czy tak samo niepokoił się mój ojciec? Czy załamywał się mu głos, kiedy mówił o mnie? Czy łzy rozpaczy w szczypały w powieki, kiedy mnie wspominał? Czy w ogóle mnie wspominał?

- To niezupełnie tak jak myślisz - przerwałam milczenie i opuściłam oczy. - Ona też pomogła mnie.

Nagle objął mnie i przytulił. Stałam sztywna, jak wtedy, gdy po raz pierwszy zrobił to Maurycy. Tyle tylko,

że serce zaczęło mi walić jak młotem i nogi mi zadrzały. Boże mój, wciąż jeszcze skacze mi serce. Tylko czemu drżą mi nogi? Może jeszcze nie jest za późno, może jeszcze coś mnie w życiu czeka? A może już jestem za stara?

- To jesteście już jakby powiązani - zdjął mi okulary. - Nie chowaj się za nimi, chcę widzieć twoje oczy.

Włożył okulary do kieszeni kurtki, znów objął mnie tak, że nasze kurtki zaczęły szeleścić, i zaczął mnie całować. Nogi trzęsły mi się jakby były z kisielu, ale jego ciepłe usta przekonywały, że to z całą pewnością nie z zimna. Ani też nie ze starości, bo serce tłukło mi się jak oszalale. Jedną ręką zsunął mi czapkę z głowy i zatopił palce w rozsypujących się włosach. Przez moment przeleciało mi przez myśl, że to pocałunek wdzięczności, ale nawet taki przyprawiał mnie o zawroty głowy. Nie chciałam, żeby przestał, z drugiej jednak strony bałam się, że ktoś nas zobaczy. Była niedziela, wkrótce skończy się msza i ludzie będą tędy wracać do pałacu.

- Masz cudowne usta, a ja tak dawno nie całowałem - wyznał, patrząc mi w oczy.

- Chyba nie aż tak dawno - poprawiłam i pomyślałam, że przecież jego żona zginęła niespełna pół roku temu. Więc jakie dawno?

- Bardzo dawno - westchnął i znów się nade mną pochylił. Nogi wciąż mi drżały. O co chodzi z tymi nogami? Na szczęście serce też wciąż mi trzepotało.

Poszliśmy dalej wałem i weszliśmy do parku. Słońce zrobiło swoje. Spod resztek śniegu wylaniała się ściółka, a tam gdzie ingerował szpitalny ogrodnik - żalosne resztki trawy. Ale trawa poradzi sobie, jak tylko stopnieją resztki białoszarych placów zimy. Jak tylko słońce ogrzeje stęsknioną ziemię i rzuci pomiędzy nagie gałęzie macki swoich ożywczych promieni. I to już zupełnie niedługo. Każdego dnia było bowiem cieplej, każdego dnia

coraz bardziej pachniało wiosną i każdego ranka zamiast dzwonów kościelnych budziły nas rozwrzeszczane wróble. Najwyraźniej coś się zmienia i choć wcale za tym nie tęskniłam, już mnie tak nie przerażało. Zwłaszcza że i tak wiosna jest nieunikniona.

- Gdybym nie wiedział, że nie lubisz kwiatów, padłbym na kolana i nazrywał ci przebiśniegów - z przekornym uśmiechem wskazał na łąciatą ściółkę, gdzie białe kwiatki zwieszały swoje skromne kieliszki na zielonych łodyżkach - ale Kasia mi powiedziała.

- Niech pozostaną na miejscu - skrzywiłam się lekko na samą myśl, że musiałabym trzymać je w dłoni. I to bez papierowej torby. Już sam fakt, że chodzę pomiędzy nimi, był dla mnie deprymujący, ale mnie nie paraliżował. Dziwne. No i pomyślałam, że te kwiaty to kolejna forma podziękowań, a te jednak wolałam przyjmować w stanie płynnym. - Liczą się intencje - uśmiechnęłam się w podziękowaniu za to, że nie każe mi ich dotykać. Za to on wziął mnie za rękę, jakby czytał w moich myślach.

- To może ja wypełnię pustkę w twojej dłoni? -I nie czekając na przyzwolenie, mocniej zacisnął palce, żebym nie wysunęła swoich. Poczułam się jak na pierwszej randce, kiedy nieśmiały chłopak próbuje jakoś się zbliżyć, a ja panikuję, że ktoś to zobaczy. Dreszcze przeleciały mi po krzyżu, lekko podskoczył mi żołądek, więc przyjąłem, że to mógłby być efekt poczynąń dziękczynnych w wersji płynno-procentowej. Szczególnie w dniu następnym po spożyciu... podziękowań. Trochę było mi głupio, chciałam odwrócić uwagę od własnego skrępowania, więc podjęłam rozmowę.

- Czym się zajmujesz?

- Teraz napawam się chwilą - uśmiechnął się, ukazując piękne, równe zęby i z całą pewnością nie wymienne i porcelanowe jak u Czesia - a tak na co dzień

jestem architektem. Mam duże biuro projektowe i mnóstwo pracy.

- To Kaśka talenty ma po tobie?
- Możliwe - przytaknął. - Ale wolała bardziej obłe kształty i kolory, choć ołówek też bardzo lubi - zaśmiał się. - Linia prosta ją drażniła. Więc pozwoliłem jej iść własną drogą, jakakolwiek by ona była.
- Wspaniale maluje - musiał słyszeć mój podziw. - Ma talent.
- Więc się nie pomyliłem - zadowolony potwierdził skinieniem głowy. - A ty co robisz?
- Skończyłam ekonomię, ale mam małą galerię autorskiej biżuterii - zaczęłam spowiedź. - Prowadzę ją z ciocią i przyjaciółką. O, nie wiem, czy wiesz - głos ugrzął mi w gardle - mieszkam w Innsbrucku.
- Wiem, Kasia mi powiedziała - powiedział swobodnie, nie zwracając uwagi na moje zatroskanie.
- To daleko - westchnęłam.
- Daleko? - prychnął. - To niespełna tysiąc kilometrów. Jakie daleko?
- zachnął się. - Ulżyło mi. Byłam przekonana, że jak usłyszy, gdzie mieszkam, puści moją dłoń. A nie chciałam tego. Bardzo tego nie chciałam. Tak dobrze czułam się, gdy przeprowadzał mnie przez pola minowe przebiśniegów, pilnował, żebym była w odpowiedniej od nich odległości. Czułam się naprawdę bezpiecznie, jak wtedy, gdy pierwszy raz rozplakałam się w ramionach wuja Johana, porzucona przez swoją miłość, odrzucona przez siostrę, podrzucona przez ojca do rodziny, jakby mój widok był dla nich zbyt bolesny, żeby każdego dnia mieć go przed oczami i każdego dnia moją krzywdę rozważać we własnym sumieniu. Tak pewnie było im łatwiej żyć. Im tak... a ja? Co ze mną? Potem już poczułam się lepiej, znalazłam u wujostwa rodzinę, ale rana w sercu została. Teraz znów czuję się,

jakbym wracała na swoje miejsce, na miejsce, z którego zostałam podstępnie wypchnięta. - Każdej zimy jeżdżę na Stubai na narty.

- Naprawdę? - ożywiłam się. - Każdy wolny dzień spędzam w Telfes, tuż pod lodowcem. Wujostwo mają tam dom.

- To pewnie jeździsz na nartach? - zapytał z nadzieją.

- I to całkiem nieźle - pochwaliłam się bezczelnie. Narty to moja wielka miłość, dzielona z Gercią i czasami z ciocią Ulą. - W końcu mieszkam w Alpach i mam pod nosem lodowiec.

- Fajnie. To następna rzecz, która nas łączy - wyraźnie był zadowolony.

- Następna?

- Kasia - oświecił mnie. - Kocham ją najmocniej na świecie, a widzę, że tobie też nie jest obojętna - przystanął, pocałował moją dłoń, którą cały czas trzymał i wsunął do swojej kieszki. Poszliśmy dalej.

- Tak - kontynuowałam. - To prawda. Może dlatego, że nie miałam własnych dzieci?

- Wiesz, gdyby Kasia nie powiedziała mi, że Maurycy to twój siostrzeniec, dałbym sobie głowę odciąć, że syn. Rzadko widuje się taką więź pomiędzy ciocią a siostrzeńcem. A i z synami bywa różnie.

- Wiem - westchnęłam. - To miał być mój syn.

- Co? Nie rozumiem. - Spojrzał zdezorientowany i przystanął. Nie chciałam mu tego wyjaśniać, przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Nic. To bardzo długa i bolesna historia - uśmiechnęłam się smutno i ruszyłam, żeby nie stać w miejscu. Wtedy musiałabym spojrzeć mu w oczy, na co jeszcze nie byłam gotowa. Nie chciałam już na początku znajomości smęcić o moim spieprzonym życiu. - Kiedyś ci może opowiem.

Szliśmy przez park, zza nagich drzew widać już było pałac. Nie chciałam, żeby droga się skończyła, pomimo że wiła się pomiędzy poletkami pierwszych wiosennych kwiatków. Kiedy podeszliśmy bliżej, w małym oknie łazienki zobaczyłam uśmiechniętą twarz Zosi. Gapiła się na nas z tym uśmiechem dookoła głowy i gadała przez telefon. To jeszcze jedno miejsce, w którym czasami można złapać zasięg, choć mało przytulne i czasami trzeba wychylić się przez okienko, bo i tam zasięg ucieka. W łazience jednak można być sam na sam ze swoim rozmówcą i nie narażać się na podsłuchiwanie. Okazuje się bowiem, że nawet mówiąc w obcym języku, nie można czuć się bezpiecznie. Szybko wysunęłam dłoń z uścisku i ciepłej kieszeni Macieja, a on natychmiast zorientował się, dlaczego. Nie szukał jej, rozumiał moje skrepowanie i uśmiechnął się wyrozumiale. Po powrocie dołączył do córki, a ja do Maurycego, bo młodzież już na nas czekała. Później Maciej pożegnał się z córką, posłał mi uśmiech i pojechał. Wkrótce Maurycy też opuścił pałac. I wszystko zaczęło wracać do codzienności, jeszcze tylko czekałyśmy na powroty naszych urlopowiczów.

- Ewa, dobrze ci idzie - Zośka stukała kubkami przy zaparzeniu ziółek i udając, że na mnie nie patrzy, przyglądała mi się kątem oka. Z tego zrozumiałam, że mówi do mnie, bo do imienia wciąż się nie przyzwyczaiłam. - Widziałam was.

- A co, a co? - Renata nagle się zainteresowała i odłożyła czytaną książkę. Zaczęła gramolić się ze swojego posłania i przesiadła się do stołu.

- Widziałam ich, jak wracali ze spaceru... za rączkę - wywracała oczami jak jakaś wariatka.

- Wielkie rzeczy - prychnęłam - ciekawe, z kim prowadziłaś tę tajną rozmowę w łazience? - odparowa-

łam i zrobiłam tajemniczą minę. - O mało nie wypadłaś z okna, tak się wychylałaś. Zasięg ci uciekał?

- O, ładnych rzeczy się tu dowiaduję - Renata poprawiła się na krześle i sięgnęła po kubek. Zosia nagle otworzyła szafę i zaczęła poprawiać swoje nienagannie ułożone ciuchy. Wyraźnie coś ukrywała.

- Nie można spokojnie poczytać, zaraz kombinujecie. Coś mi umknęło? - Renata spojrzała na mnie wyczekująco.

- Eee, no... chyba miałyście rację - zaczęłam.

- W związku z czym? - Renata śmiała mi się w oczy i bezlitośnie czekała na ciąg dalszy, a Zośka przestała poprawiać kosteczki z ciuchów.

- Że on chyba... ten... - bąkałam, bo co miałam im powiedzieć? Jak trzepotało mi serce, gdy mnie całował? Jak drżały mi kolana? Przecież jeśli trzęsły mi się nogi to znak, że już jestem za stara. Przynajmniej w pojęciu Madzinego dziadka. Jednak z drugiej strony przypomniały mi się słowa powtarzane przez Marka, że nigdy nie starzeje się serce, które kocha.

- A ten, ten - śmiały się. - Głupi by zauważył, że wpadłaś mu w oko. Ale na początku pewnie za bardzo martwił się o Kasię - Renata nagle mi odpuściła i przerzuciła spojrzenie na Zosię. - A ty co robiłaś z telefonem w łazience? Z kim gadałaś?

- Z kim gadałaś, z kim gadałaś? - machała rękami jak wiatrak. - To nie można już pogadać przez telefon?

- nie patrzyła na nas, tylko mówiła do stosów równo ułożonych rzeczy.

- W łazience? - spytałyśmy równocześnie.

- Każde miejsce jest dobre - prychnęła, nie patrząc na nas - byle tylko zasięg był.

- Ale coś bardzo daleko za oknem szukałaś tego zasięgu - drażylałam. - O mało nie wypadłaś.

- Tak, tak - Renata już wiedziała, że coś jest na rzeczy. I przypuszczałam, że nawet wiedziała co. - Tylko że do łazienki się idzie, żeby coś ukryć.

- Coś wam się przewidziało - nagle wstała sprzed otwartej szafy, odwróciła się w naszą stronę i ciężko siadła na krześle. - Albo nie, powiem wam, bo ta tajemnica mnie zabije - podparła głowę rękami i ciężko westchnęła. - Kiedy wychodzę do sklepu...

- Spotykasz się z Jurkiem - dokończyłam za nią i uśmiechałam się radośnie. Zosia była kompletnie zdezorientowana.

- Skąd wiesz? - aż podskoczyła na krześle. - Nikomu nie mówiłam.

- Gdzie chciałaś się ukryć, na tej wsi? - spytałam.

- A zresztą, widziałam, jak wychodziliście z cmentarza

- i uśmiechnęłam się jej uśmiechem, znaczy, od ucha do ucha.

- I tylko idiota by nie zauważył, że od dawna wodzi za tobą oczami - szybko dodała Renata.

- I nogą - dorzuciłam. - Sama widziałam.

- Co ja mam zrobić? - rozpaczliwie rozłożyła ręce, po czym oparła na nich głowę. Widać było, że jest w kropce. - Nie chcę okazać się świnią, Magda pierwsza sobie go zaklepała.

- No właśnie - Renata westchnęła - nie zdążyłaś go nawet polizać. Ale nie przejmuj się - pogłaskała ją po ramieniu - coś mi się wydaje, że zdążysz... - i po chwili dodała - i to nie tylko polizać.

- O czym tak tu świntuszycie? - Kasia stała w progu z umalowanym farbą nosem. Pewnie znów zapomniała, że nie rysuje ołówkiem. Uśmiechała się promiennie. Znikała na coraz dłużej i zaprzyjaźniła się z siostrą od robótek. Pewnie dawno nie było tu takiej artystki. - Zrobicie mi kawę?

- Kawę? - zdziwiłyśmy się wszystkie.

- No co? - spytała rozbawiona naszymi minami. - Mam ochotę na kawę. Zrobicie mi? - prosiła i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Pomalowanym nosem wcale się nie przejęła. - Z mlekiem i bez cukru poproszę -i tyle ją widziałyśmy. Spojrzałyśmy zdziwione po sobie, bo tej pory Kasia nawet nie chciała słyszeć o kawie, a co dopiero ją pić.

- Wszystkie znaki na niebie i na ziemi nieomylnie wskazują, że wreszcie zdrowiejemy. I to wszystkie naraz

- Renata westchnęła i mogłabym dać głowę, że z nutką żalu.

- A Magda? - spytała Zosia.

- Jeśli przestanie myśleć o Jurku - zawiesiła głos

- to znaczy, że też. Bo widzisz moja droga, tajemnica uzdrowień tego miejsca polega na tym, że trzeba poddać się nurtowi. Nie myśleć za dużo, nie analizować, nie rozpamiętywać. Jeśli zastosujesz się do tego, uzdrowienie nastąpi, wcześniej czy później.

Trochę żal mi się zrobiło Magdy, bo jeśli romans Zośki wyjdzie na jaw, serce jej pęknie. Ona, której tak zależało na znalezieniu pary, wciąż jej szuka. I jak dotąd bezskutecznie, co nasuwa mi podejrzenia, że jej depresja właśnie stąd się bierze. Może jednak szuka zbyt rozpaczliwie? Może jest już do granic zdesperowana, a faceci podobno to wyczuwają. Jak psy wyczuwają strach u listonosza i za nic nie wpuszczą go na podwórko. Podumałyśmy jeszcze chwilę, po czym każda wróciła do swoich zajęć. Rena do książki, Zośka do szafy, a ja wzięłam kubki z kawą i pomaszerowałam z nimi do pracowni, gdzie od wyjazdu Maurycego zaszyła się Kasia.

CO GRYZIE KASIE, CZYLI UZDRAWIAJĄCY ZAPACH KAWY

Pracownia terapii zajęciowej była miejscem, gdzie każdy mógł spełniać się artystycznie albo po prostu zabijać czas. W końcu nie każdy rodzi się artystą. Na półkach stało niemal wszystko... począwszy od wyklejank z kolorowych pocztówek, poprzez domki z zapalek i wyszywanki, aż do prac, jakie teraz tworzy nasza Kasia. Ale każda była odbierana jako dzieło sztuki. Bez wyjątku. Choć przy niektórych sztuką było nie parsknąć śmiechem. Teraz Kaśka z siedziała przed sztalugą i z umazanym farbą nosem uśmiechała się na widok kubka kawy.

- Od kiedy pijesz kawę? - postawiłam ją na małym stoliku przy oknie.
- Wcześniej nie zdradzałaś takich upodobań.
- Zawsze ją lubiłam, często piłam ją z mamą, ale potem - wzięła głęboki wdech - kiedy zorientowałam się, że mama... - opuściła rękę z pędzlem - jakoś przestała mi smakować.

Nie bardzo wiedziałam, o czym Kasia próbuje mówić albo raczej o czym nie mówić, nie miałam pojęcia, o czym mogę z nią teraz rozmawiać, bo od czasu kiedy zorientowała się, że wpadłam Maciejowi w oko, unikała mojego wzroku. Nie chcę jej stracić, jest dla mnie namiastką córki, chociaż przez te parę tygodni, chociaż tylko tu, w pałacu nerwusów. Pokręciłam się trochę po pracowni, pooglądałam wytwory działalności pacjentów i kiedy już chciałam wychodzić, usłyszałam prośbę:

- Zostań trochę ze mną.
- Nie będę ci przeszkadzać? - uśmiechnęłam się z ulgą. - Artyści lubią tworzyć w ciszy.

- A ty lubisz?

- Czasami - siadłam na wysokim stołku przy stole z przymocowanym do blatu malutkim imadłem. -Ale lubię też słuchać muzyki albo oglądać filmy, które dobrze znam i lubię. Czekam wtedy na swoje ulubione fragmenty i tylko te oglądam, więc chyba nie jestem artystką. Zresztą - wzruszyłam ramionami - gdzież mi z moją biżuterią do twoich talentów.

- Ja lubię ciszę - uśmiechnęła się - ale mama często mi ją... zakłócała - odłożyła pędzel i wzięła do ręki kubek z kawą i zaczęła wdychać jej zapach. - Często rozmawiałyśmy przy kawie, o wszystkim. Lubiłam to i nie byłam na nią zła. Ale tak było na początku, potem już nie przychodziła na pogawędki - nagle zaczęła uciekać oczami - tylko narzekać na tatę. Przychodziła z kawą i zostawała, dopóki kubki nie były puste - upiła mały łyeczek, spojrzała na swój kubek. - A piła kawę w wielkim kubku. Ale w końcu znalazła sobie inne zajęcie i nie miała już dla mnie czasu.

Zupełnie nieoczekiwanie zaczęła opowiadać o rodzicach. Obracając kubek w dłoniach, wzrok utkwiała w jego wnętrzu. Nie odzywałam się, jeśli chciała mówić, to postanowiłam spokojnie jej wysłuchać, ale nie miałam zamiaru jej do niczego nakłaniać. Popijałam swoją kawę, delectowałam się jej smakiem, znów zaczęła mi smakować. Kiedyś bez kawy nie wyobrażałam sobie życia. Nie piłam jej dużo, za to każdy kubek celebrowałam. Mam ulubione filiżanki i nieduże kubki z aniołami, z których kawa jest najlepsza. Koniecznie z mlekiem, ale tylko odrobiną, dla złamania smaku, bo mleka nie znoszę. Mogę je wypić wyłącznie w kawie. No i bez cukru. Cukier rujnuje cały boski smak życiodajnego nektaru. Kasia pije podobną.

- Tato był zawsze bardzo zapracowany, ale lubił swoją pracę. No i chyba musiał ją lubić, bo mama szybko

zrezygnowała z pracy zawodowej. Też była architektem... tato mówił, że z polotem - spojrzała na mnie jakby zawstydzona. - Nie nudzę cię?

- A mam tu co innego do roboty? - wzruszyłam ramionami, a tak naprawdę rada byłam, że chce ze mną rozmawiać. Czułam, że Kasia musi z siebie coś wyrzucić i że chyba nadszedł ten moment.

- Narzekała, że nie ma dla niej czasu, że wiecznie pracuje, że nie ma go w domu. On, chociaż ciężko pracował, zawsze znajdował czas na wakacje z nami, na egzotyczne wyprawy, na narty. Tyle tylko go miałam. Praktycznie sama mnie wychowywała, bo taty nigdy nie było. Bardzo byłyśmy zżyte, dobrze ją znałam i zdaje się... rozumiałam. Przynajmniej do pewnego momentu popijała kawę po łyeczku i zaczęła się chyba zastanawiać, czy mówić dalej. Widać dochodziła do miejsca, w którym emocje jeszcze ją wstrzymywały.

- Co malujesz? - pomyślałam, że zmiana tematu dobrze jej zrobi.

- Wciąż to samo - zaśmiała się i usłyszałam ulgę w jej głosie. - Ten pałac jest taki piękny, że nie mogę przestać go malować. To już druga wersja.

Podeszłam do ściany, o którą stał oparty poprzedni obraz. Nie widziałam go, bo pokazywał nam tylko plecy. Mogę zobaczyć? - nachyliłam się do płótna. Byłam ciekawa, jak widzi pałac Kasia i nie czekając na pozwolenie, sama go odwróciłam.

- Jasne - przygryzła końcówkę pędzla... tym razem tę bez włosów.

- Boże mój - westchnęłam bezwiednie - ale piękny!

- Też mi się podoba - powiedziała zadowolona z siebie. - To widok od strony jeziora. Najrzadziej oglądany. Wszyscy widzą go od frontu albo z tyłu, kiedy spacerują po parku. A te kopuły i tarasy są widoczne tylko od strony wałów.

Patrzyłam zachwycona na obraz, nie mogłam wprost oderwać oczu. Wydawać by się mogło, że obraz musi być pełen kolorów i życia. Że to barwy go ożywiają. A tymczasem zobaczyłam pałac w niemal wszystkich odcieniach szarości i brudnej bieli, dostojny, wyniosły i smutny. Zdawało mi się, że biegając wałami, widziałam pałac nieco inaczej. Wyniosły, dostojny, piękny owszem, ale nie aż tak smutny. Przynajmniej nie teraz, może na początku mojego pobytu tak go widziałam. Jednak te dni już minęły. A może to dusza Kasi wciąż była smutna? Może swój świat widziała tylko w szarościach i w smugach smutku?

- Wiem - patrzyłam na obraz jak urzeczona - często się nimi zachwycam.

- No tak. Zapomniałam, że to twoja trasa - odstawiła kubek i podeszła do małego okna z widokiem na park. - Wiesz... - westchnęła ciężko - nie przypominałam jej wtedy o pasach.

Spojrzałam na nią, nie rozumiejąc, o czym mówi. O jakich pasach? Komu nie przypominała? O czym ona mówi? Nie miałam pojęcia. Milczała chwilę, a ja znów zaczęłam przyglądać się obrazowi, nie chcąc jej ponaglać w czymkolwiek.

- Nie zapięła ich, bo jej nie przypominałam -mówiła cicho, ale zaakcentowała „nie przypominałam”.

Nagle zrozumiałam. To dlatego tak posmutniała, kiedy Maurycy kazał nam zapiąć pasy. Że też nie wpadłam na to wcześniej!

- Kasiu - nie miałam pojęcia, co jej teraz powiedzieć, pierwszy raz wspomniała o wypadku, w którym zginęła jej matka. Czułam, że potrzebuje wsparcia, a ja nie znajdowałam sposobu, żeby jej pomóc - to nie była mała dziewczynka, którą sadza się w foteliku i przypina pasami.

- Nie rozumiesz - odwróciła się do mnie. W oczach miała niewiarygodną rozpacz - celowo jej nie przypomniałam. Byłam na nią wściekła, chciała zostawić tatę dla jakiegoś młodego malarza i pomyślałam, że powinna spotkać ją jakaś kara - zakryła oczy dłońmi, jakby chciała ukryć się przed strasznymi wspomnieniami albo raczej przed duszącymi ją wyrzutami sumienia - ale myślałam, że jak gwałtownie zahamuję, najwyżej nabije sobie guza.

- No coś ty, Kaśka - zaczęłam kojąco - nie masz takiej mocy sprawczej, żeby kierować przeznaczeniem. Nikt nie ma. To był wypadek - podeszłam do niej, a ona opuściła ręce i spojrzała na mnie oczami pełnymi bólu i łez. Przygarbione ramiona zdradzały rozpacz i wskazywały, jaki ciężar dźwigała, jak strasznie gniozło ją sumienie.

- Byłam na nią wściekła, ale bardzo ją kochałam, i tatę też - dodała zrozpaczonym głosem i wielkie łzy popłynęły jej po policzkach. - A ona... - zaczęła szlochać - ona oszukiwała go tak długo. Wiedziałam o tym - nie próbowała nawet powstrzymać potoku łez - i nie miałam pojęcia, co z tym zrobić.

Aaa, o to chodzi - pomyślałam. No tak, jeśli facet ucieka w pracę, to musi być coś na rzeczy. Prędzej czy później nuda rodzi przedziwne pomysły. Facet zauważa, że traci zainteresowanie żony, ucieka w pracę albo jakieś hobby, często na długich nogach po samą szyję. Unika żony, domu... żona z kolei czuje się opuszczona i ucieka do innego faceta. I koło się zamyka. Zawsze uważałam, że nuda jest najbardziej destrukcyjnym stanem. Każde, nawet zupełnie odjechane hobby jest lepsze niż nicnierobienie i narzekanie, że życie jest do bani. Nie ma nic gorszego od nudzącej się nad durną kolorową gazetą i drinkiem kobiety albo od faceta na kanapie

z pilotem w ręku. Choć to często jest mylące, co niedawno uświadomiła nam Renata. Twierdziła, że samce często tak odpoczywają. Zabrać baterię z pilota, to świat im się wali. Podobno te ciągłe zmiany kanałów nie są takie bezcelowe. Mężczyzna co prawda nie sprawdza „co jest w telewizji”, tylko „co jeszcze jest”. Tak czy inaczej, facet bez zainteresowań jest nie do zniesienia. No i okazuje się, że kobieta też.

- Kaśka - przytuliłam ją delikatnie - nie możesz odpowiadać za życie swoich rodziców.

- Ale mogłam za pasy - szlochała. Pozwoliłam jej płakać... i to raczej z bezsilności niż dla oczyszczenia duszy. Najnormalniej w świecie nie wiedziałam, co mam jej powiedzieć.

- Dziecko, przecież mama była odpowiedzialną kobietą, sama powinna je zapiąć. Nie była przedszkolakiem - powtarzałam tę samą myśl.

- Ale jej nie przypominałam - powtarzała cicho - celowo.

- To tylko zbieg okoliczności, byłaś zła i zawiedziona, to nie złorzeczenie - nie miałam pojęcia, co jeszcze powiedzieć. Pomyślałam, że może lepiej, jak się wypłacze? Wzięłam puste kubki, stanęłam niezdecydowana, co z nimi zrobić. - Nie myśl już o tym - podeszłam i z kubkami w dłoniach przytuliłam ją, a ona się nie opierała. - Maluj teraz... dla mamy.

Przełożywszy kubki do jednej ręki, drugą pogłaskałam ją po głowie jak małą dziewczynkę i wyszłam, zamykając za sobą bezgłośnie drzwi. Niech popłacze w samotności. Jeśli zrozumie, że to nie jej wina, to może stworzy dzieło życia? Następnego dnia Kaśka wróciła z muzykoterapii z zapuchniętymi oczami. Spała potem ze dwie godziny, ale jak się obudziła i zeszła do holu, była inną Kasią. Na twarzy błąkał się jej spokój-

ny uśmiech, oczy świeciły jak gwiazdy i nie wzdychała już tak ciężko. Może to był dopiero ten płacz po mamie? Taki prawdziwy, z głębi, uzdrawiający? Może musiała komuś zdradzić, co gniotło jej sumienie? Może żal w jej sercu musiał dojrzeć? Może nie miała komu powierzyć tajemnicy? Czułam się zaszczycona, że wybrała właśnie mnie.

METAMORFOZY

Coś dziwnego stało się Magdą. Przestała polować na Jurka i wyskakiwać do holu jak kukułka z zegara. A co najdziwniejsze... przestała jeść. No, niezupełnie, ale zniknęły ze stołu wszechobecne przekąski, ciasteczka, czekoladowe cukierki, słone paluszki i inne łakocie. I kotom ze śniadania dostawało się więcej. Jednak kiedy rzuciła od niechcienia pewne pytanie, omal nie padłam trupem, a Zosia tak gwałtownie podniosła się z podłogi, gdzie siedząc po turecku przed szafą poprawiała równiutkie stosiki ubrań, że grzmotnęła głową w wysuniętą szufladę.

- Ewa, mogę dziś z tobą pobiegać?

- Pobiegać? - po minie widziałam, że nie żartuje. - Jasne - bąknęłam. - Jak dasz radę. - Po czym zerknęłam na jej kolekcję obuwia. - A masz w czym?

Pod oknem przy niskiej szafce na buty stały ich dwa rzędy i niemal wszystkie Magdy. Jednak butów do biegania tam nie widziałam. Za to miała kalosze sięgające za kolana, w sam raz na ryby, kilka par szpilek, śliczne staromodne buty z kokardą, trzy pary kozaczków i zapasowe dwie pary kapci. Ale żadne tam rozdeptane! Śliczne papucie pasujące kolorami do strojów. Strojów, bo Magda w dresach nie chodziła. Pewnie dlatego nie miała żadnych sportowych butów.

- Coś wymyślę - wzruszyła ramionami, jakby myślenie w czymś tu mogło pomóc.

Przedpołudnie jak zwykle zeszło nam na terapiach, Kaśka dodatkowo została jeszcze przechwycona przez psycholożkę. Jednak kiedy wróciła, nie było na jej twarzy śladów łez, a raczej spokój i ukojenie. Pokręciła się chwilę po pokoju, zaparzyła sobie kawę i poszła z nią do

pracowni. Magda zadziwiła nas po raz kolejny, kiedy zamiast kolorowej gazety wzięła do ręki książkę, którą wcześniej polecała jej Renata (rzecz jasna o zachowaniach, a właściwie o silnych kobietach), i położyła się z nią na łóżku, z dala od sałatki owocowej, którą właśnie przygotowywałyśmy z owoców zbyt długo leżących na parapecie.

- Magda - Zośka podejrzliwie zerknęła w jej kierunku - twój przydział - i wskazała na jeden z talerzy.

- Są w niej banany? - spytała, zerkając znad książki.

- No pewnie! Miały się zepsuć? - oszczędna Zośka aż zgrzytnęła zębami z oburzenia.

- To dziękuję - odpowiedziała stanowczo.

- Zwariowałaś? - krzyknęła zdziwiona. - Co za dziękuję?! Przecież lubisz banany, zresztą były twoje - Zośka nie odpuszczała.

- Ale są tuczące, więc dziękuję - rzuciła promienny uśmiech. Całej tej scenie bez słowa przyglądała się Renata, teraz siadła na łóżku i pokiwała głową. Nie wiedziałam, co sobie wtedy pomyślała, ale założyłam, że zrozumiała więcej niż my.

- Gdzie byłaś po śniadaniu, Magda? - zapytała. - Nie przyszedłaś na autogeny i światłoterapię.

Magda siadła na łóżku, odłożyła książkę, zaznaczając miejsce, gdzie skończyła, wstała i dostojnie podeszła do szafy. Wyjęła z niej karton z kolorowymi napisami.

- Byłam po buty - zakomunikowała triumfalnie, pokazując nam sportowe buty do biegania.

- Z kim? - zapytałam. Nie miała tu auta i musiała kogoś poprosić, a Jurka widziałam przecież na autogenach.

- Z pewnym panem - zrobiła tajemniczą minę. - Zaproponował, że mnie zawiezie do miasta.

- No jasne - westchnęła Renata. - Jakżeby inaczej? Zosia nerwowo skrobała łyżeczką po talerzu i nie

podnosiła wzroku, jakby to miało spowodować, że żadna z nas nie dostrzeże jej zmieszania. Zaczęłam się zastanawiać, kogo nie było na treningu autogennym, bo na światełka i tak chodzimy w różnych porach. Jakoś nikt nie przychodził mi do głowy. Nie wszyscy też wierzą w słowa przez siebie wypowiedane i nie poddają się autosugestii.

- To kiedy będziemy biegać? - spytała Magda, niecierpliwie zerkając na moje zniszczone buty.

- Co cię tak pili? Wypijmy najpierw herbatkę - Zośka już rozstawiała kubki, podzwaniając niczym gong wzywający na posiłek.

- Ja kawę - poprosiła Madzia - ale bez mleka i bez cukru.

Tego już Zosia nie wytrzymała. Klapnęła ciężko na krzesło, walnęła pięścią w stół, aż podskoczyły kubki i zdziwione zabrzęczały łyżeczkami.

- Jasna cholera! Magda! Co jest grane?

- Chyba się zakochałam - nagle wróciła stara Magda. Zaklaskała w dłonie i lekko podskakiwała, siedząc na krześle. Robiła tak dość często, obwieszczając w ten sposób zadowolenie, a mogła... bo wciąż pulchna pupa pozwalała jej na takie sprężynujące odbijanie się. - Teraz chyba już naprawdę.

- To wiemy - z kamienną twarzą uspokajała ją Renata. Wiedziała, że Madzia nie wytrzyma długo bez podzielenia się z nami nowiną. Tyle tylko, że nie do końca wiedziałam, jak Magda pojmuje wyrażenie „naprawdę”, które wyraźnie podkreśliła, bo każdy poprzedni związek też „naprawdę” był poważny.

- Nie wiecie. Nie macie nawet zielonego pojęcia! - powiedziała z nieukrywaną satysfakcją i triumfalnie powiodła wzrokiem po naszych twarzach. Moja i Zosi

zdradzała zdumienie i zaskoczenie, jednak ja wciąż ważyłam znaczenie słowa „naprawdę” i pomyślałam, że powinnam się raczej zastanowić nad znaczeniem „chyba”. Magda odczekała więc moment i dodała: - Bo nie wiecie, w kim.

- Nie wiemy? - zdziwiłam się jeszcze bardziej. - Myślałam, że wszyscy wiedzą - rozejrzałam się po dziewczynach. Cały bowiem czas myślałam o jej nieskrywanej słabości do Jurka.

- To już nieaktualne - machnęła ręką i w tej chwili usłyszałam, jak Zosia wypuszcza powietrze z płuc. - Ale jeszcze wam nie powiem. To tajemnica - i zaczęła gładzić dłońmi uwolniony od talerzyków z przegryzkami obrus.

- Też mi tajemnica - lekceważąco prychnęła Renata. - To Waldek!

Spojrzałyśmy zdziwione na Renatę. Zosia uwolniona od wyrzutów sumienia, ja z rozdziawioną gębą.

- Skąd wiesz? - Magda podskoczyła jak oparzona. Minę też miała nietęgą, ale często się dziwi i już przywykłyśmy.

- Wszystko wiem - zmrużyła oczy i spojrzała na lekko oszołomioną Magdę. Ta nagle się zaniepokoiła, co wyraźnie było widać, bo aż się wzdrygnęła, więc dodała z dobrotliwym uśmiechem: - Magda? Czyżbym wiedziała za dużo?

- Nie, a co... o co ci chodzi? - zaczęła nagle poprawiać buty stojące pod oknem, jakby akurat teraz panujący tam odwiecznie bałagan, któremu nawet Zosia nie dawała rady, zaczął jej przeszkadzać. - To co, Ewa? Idziemy pobiegać?

- Jasne - zgodziłam się bez protestów, bo musiałam ją chyba ratować spod badawczego wzroku Renaty. Ta siadła znów na łóżku i wygrzebała skądś notes. Zaczęłyśmy się ubierać. Ja w swoje zwyczajowe ciuchy do

codziennych przebieżek, Magda w swoje dziwne stroje. W efekcie kotłowania przy szafie stanęła w legginsach, długim swetrze i błyszczącej kurtce z sierściuchem w miejscu kołnierza.

- Może być? - spytała z rozpaczą w oczach i nadzieją w głosie.

- Skoro musi - westchnęłam. - Mogłaś do tych butów dokupić jeszcze resztę. I dać spokój z tym sierściuchem.

- Z czym? - nagle zainteresowała się Zosia. Zdałam sobie sprawę, że czegoś mogę ją nauczyć. Tego słowa bowiem nie знаła. - Co to... sierściuch?

- Nie wiesz, co to sierściuch? - rozejrzałam się triumfująco. - To coś co żyje albo już nie, ma sierść i nie jest człowiekiem. Dlatego nie mylić z nieogolonym facetem - uśmiechałam się pod nosem.

- Czyli myślisz o jej kołnierzu - wreszcie zrozumiała Zosia.

- No.

Magdy nie obeszło to specjalnie i zaraz po wyjaśnieniu tej kwestii wyglądała marszczące się legginsy.

- Dokupię coś w ciucholandzie. Nie wiem, na ile starczy mi samozaparcia - podrapała się pod czapkę. - Może na buty też niepotrzebnie wydałam kasę? Oj, chodź już, bo zaczynam się gotować.

Poszłyśmy. W holu przyjęto Magdę z trampkach głośnym: - Uuu! Tylko Waldek nie podniósł oczu, udawał zainteresowanie gazetą, czy może rzeczywiście było tam coś ciekawego. Nie wytknął nawet czubka nosa zza rozłożonej płachty, a im głośniejsze było „Uuu”, z tym większym zapamiętaniem czytał. No, chyba że miał dziurkę w papierze i w ten sposób obserwował zdarzenia. Wszystko wydało mi się możliwe. Miałam jednak poważne wątpliwości co do jakości dzisiejszego biegu,

ale czego się nie robi dla uzdrowienia koleżanki w niedoli.

- Naprawdę masz zamiar biegać? - spojrzałam na nią podejrzliwie. - Czy to tylko słomiany zapał albo taki zgryw?

- A co? Myślisz, że żartuję? - obruszyła się, po czym ruszyła z kopyta.

- Oj - przeszło mi przez myśl, kiedy patrzyłam za nią - długo tak nie pobiegnie. Najwyżej do bramy - bo zerwała się jak spłoszona antylopa. No, może porównanie mało obrazowe... jak spłoszony bawół. I nie myliłam się. Przy bramie do parku Magda stała oparta o ceglany słup z niebieską tablicą „szpital neuropsychiatryczny - oddział leczenia nerwic” i sapała jak parowóz. Wyglądała jak ilustracja do tablicy. Nic dodać, nic ująć.

- Matko kochana, ty tak biegniesz przez cały czas? - sapała i zdawało mi się, że widzę, jak paruje.

- Nie - uśmiechnęłam się z politowaniem - jeszcze nie zwariowałam. - Poklepałam ją po plecach: - Chodź, ty szurnięta babo, przespacerujemy się najpierw, potem pokażę ci kilka ćwiczeń oddechowych i może troszkę pobiegamy.

I tak ucięłyśmy sobie dotleniający spacer po wałach i parku, zakończony w kwiaciarni u Joli. Wracałyśmy już, kiedy z salonu fryzjerskiego wyskoczyła miła właścicielka.

- Dzień dobry! - zawołała radośnie. - Zdecydowała pani, co zrobi z włosami? - uśmiechała się do mnie. Przypilnowała mnie w czasie, w którym zwykle przebiegam lub też przechodzę obok. Magda nieco zdziwiona przyglądała się fryzjerce, tym bardziej że ta rozmawiała ze mną, jakbyśmy już wcześniej coś uzgadniały, a przecież nie mogłam się przyznać do śledzenia pary konspiratorów. Przynajmniej nie przed Magdą. A bojąc się, że

rozgadam się za bardzo, wolałam pominąć ten fragment z moich codziennych przebieżek.

- Jeszcze o tym nie myślałam, ale... to dobry pomysł - zdecydowałam w jednej chwili, bowiem bardzo już pragnęłam zmiany wizerunku. Przeszkadzał mi jak za ciasna skóra. - Kiedy mogę przyjść?

- Choćby jutro - wykorzystaj moją nagłą deklarację. - Nie mam żadnych rezerwacji.

- Dobrze - skinęłam głową. - O której mam być? - spytałam, bo skoro powiedziałam a...

- Może pani przyjść po terapiach, jak pani wygodnie - fryzjerka była bardzo miła albo klientów było niewielu.

- Będę po dziesiątej, dobrze?

- Jasne - uśmiechnęła się, odsłaniając równiutkie zęby. Ciekawe, czy własne - pomyślałam. - To do jutra! - Magda przyglądała nam się bez słowa, ale widać rozważała coś w swojej głowie. Zrobiło mi się jakoś weselej. To prawda, co mówią, że jak chcesz zmienić coś w życiu, zacznij od siebie. Zmień wygląd, czasem pomaga. Szłyśmy w stronę nieszczęsnej bramy, przy której Madzia zakończyła dzisiejszy bieg, wymachiwałam papierową torbą i nawet nie myślałam, co kryje się w środku.

- Magda - przystanąłam nagle, bo pewna natrętna myśl zaczęła kołatać mi się po głowie - czyja wyglądam tak źle, że fryzjer goni mnie po ulicy?

- Nie - zawahała się. - No, coś ty! Ale z włosami mogłabyś coś zrobić. Te odrosty masz rzeczywiście nieciekawe - dodała skwapliwie.

- Ale wiesz, co się mówi o odrostach na blond włosach?

- Nie. A co?

- Że mózg jeszcze walczy - zaśmiałam się, choć teraz śmiałam się z siebie. Jednak nabranie dystansu i zmiana postrzegania siebie to połowa sukcesu. Magda

uśmiechnęła się tylko, nie wiedziałam czy z grzeczności, czy nie zrozumiała dowcipu.

- A co zamierzasz zrobić z włosami? - zapytała. - Na co się umawiałaś?

- Jeszcze nie wiem dokładnie - przyznałam się. Przecież nie powiem jej, że schroniłam się w salonie, żeby nie spotkać potajemnych randkowiczów. - Może przefarbuję, może podetnę, nie wiem. Coś jednak muszę zmienić.

- Oho... widzę, że ma ci się na życie - pokiwała ze znawstwem głową. - Pójdę z tobą. Też chcę coś zmienić.

- I to chyba na wielu frontach, co? - łypnęłam na nią z boku. W ten sposób chciałam delikatnie skłonić ją do zwierzeń. Czasem to pomaga.

- Coś ty się tak przerzuciła na Waldka? Jurek już ci nie pasuje?

- Wiesz, Ewa - przystanęła na moment, popatrzyła w dal i uśmiechnęła się do swoich myśli - musiałam dopiero zostać z nim sama, żeby przekonać się, że nic z tego nie będzie - westchnęła i ruszyła z miejsca. - Odwoził mnie do domu i nie mieliśmy o czym rozmawiać. On coś mówił, ja nie wiedziałam, o co mu chodzi, czułam się jak jakiś głupol - powiedziała smutno. - Nie lubię tak się czuć. Zaraz wracają do mnie stare kompleksy, w jakie wpędził mnie mój mąż. Zawsze traktował mnie z góry.

- To wcześniej o tym nie wiedziałaś? Przecież byliście na samotnym spacerze - powiedziałam z wyrzutem. Nie, żeby mi zależało, ale szkoda mi było jej straconego czasu. Szczególnie szkoda go, jeśli ktoś ma już tyle lat i być może jedną z ostatnich szans na szczęście, a Magdzie bardzo zależało na ułożeniu sobie życia.

- Zwariowałaś!?! - oburzyła się. Spojrzałam na nią, bo nie wiedziałam, skąd ten wybuch. - Przecież szły za nami koty!

- Magda - aż przystanęłam. - Chyba żartujesz!

- Pięć kotów - poprawiła dramatycznym tonem, głucha na kpinę w moim głosie, oczy miała jak kurze jaja. - To nie temat do żartówi - sapała. Miała rację. Jak mogłam się jej dziwić, kiedy w ręku trzymałam wielką szarą papierową torbę z bratkiem? Oburzona szarpnęła ciężkie drzwi pałacu i z uczuciem ulgi weszła do środka. Dwa metry za nami przysiadły trzy koty, które już od bramy parku szły naszym śladem. Dobrze, że poszła przodem, bo dla mnie te wrota były zbyt ciężkie i nieźle się musiałam z nimi namocować. Pewnie pełnią rolę martwych strażników zgrai nerwusów. Tyle tylko, że nikomu nie przychodzi do głowy forsowanie ich. Każdy, kto tu przyjeżdża, odnajduje ciszę i spokój. To bardzo cenne, nawet jeśli czasami okupione klapem paletką do tenisa stołowego. Ale jeśli komuś sprawia to radość... to może należałoby schować wszystkie piłeczki i co odważniej-szych uzbroić w paletki. Bo w pałacu nerwusów każdy sposób jest dobry, żeby wrócić na łono normalnych. Ale czy na pewno warto?

*

Chciałyśmy sięść w holu, ale nie znalazłyśmy miejsca przy ławie graczy. Siadłyśmy z Renatą w wielkim fotelu i zaczęłam przyglądać się Jurkowi i Zosi. Zastanawiałam się, czy Magda wie o ich romansie, czy może właśnie dlatego się wycofała, a może rzeczywiście dostrzegła jakiś dysonans w nadawaniu i odbiorze. Zupełnie inne fale. Zosia siedziała obok Jurka i nawet nie zaglądała mu w karty, co też było bardzo podejrzane. Waldek przykładnie tasował karty i zerkał na dekolt Magdy. To akurat było jak zwykle! Zawsze znajdzie się ktoś zainteresowany. Szkoda, że sama nie mam czego zaprezentować. No, może niezupełnie, ale gdzież mi się równać z Magdą!

- Cholera! - wykrzyknęła Zosia, zaglądając do kubka. - W mojej kawie pływa mucha. Skąd mucha o tej porze? - zastanawiała się głośno.

- Daj jej spokój - Magda machnęła ręką. - Ileż ona ci tej kawy wypije?

- Ale ona beczelnie w niej pływa!

- Może nie lubi rozpuszczalnej? - nie patrząc na Zosię, odpaliła Madzia. Wyrażnie wyostrzył się jej dowcip.

- Albo woli bez mleka - dodał Waldek. Zachowywali się, jakby grali w jednym zespole.

Dowcipkowali, uśmiechali się od niechcienia i doskonale się bawili. Zastanawiałam się, jak to się dzieje, że pary tak różnie się dobierają. Przecież z Magdy i Jurka mogła być para jak wiele innych, dobranych na zasadzie różnic. On poważny i inteligentny, ona niekoniecznie. Podobno różnice się przyciągają. Jednak okazuje się, że miłość to nie fizyka, tylko zdecydowanie chemia, a tej pomiędzy Jurkiem i Magdą nie było.

- Renata - szepnęłam do zamyślanej sąsiadki, wciśniętej tuż obok w rozłazący się fotel - zobacz, jak to się przetasowało. Jurek i Zosia, Waldek i Magda. Pomyślałabyś?

- No, raczej - pokiwała głową.

- Serio? - zdziwiłam się. - Myślałam, że sądzisz, że pasują do siebie.

- I mogło tak być. Ale widzisz - podrapała się po nosie (mam nadzieję, że nie kłamie i to nie oznaka wydłużającego się organu powonienia) - jak inteligentny facet dobiera sobie niezbyt lotną kobietę, to znaczy, że jest leniwy. Przy takiej nie będzie się musiał wysilać. A Jurek widocznie taki nie jest - spojrzała na mnie. - I chyba nie boi się bystrych kobiet.

- No a Waldek? Przecież to bystry i dowcipny gość.

- Widocznie lubi mieć święty spokój. Przy Madzi będzie mógł sobie wypoczywać - westchnęła. - Nie wiem, nie znam go dobrze, ale mam wrażenie, że należy do typu słabych facetów, którzy lubią opleść się silnymi, przedsiębiorczymi kobietami. A tego akurat nie można jej odmówić. Jej firma nieźle sobie radzi na rynku, tak przynajmniej słyszałam.

- Myślisz, że o to chodzi?

- No i przede wszystkim nie biegała za nim - spojrzała na mnie i z ubolewaniem pokiwała głową. - Facet musi mieć choć złudzenie polowania.

- Że co? - spojrzałam na nią zdziwiona i oczekiwałam wyjaśnień.

- Mężczyzna to łowca. I im bardziej mu zwierzyna ucieka, tym bardziej za nią goni i jej pragnie. Im trudniejsza ryba do złowienia, tym zwycięstwo cenniejsze. Spróbuj takiemu podrzucić zabitego jelenia pod drzwi domu. Nawet na niego nie spojrzysz. Ale powiedz mu, że łązi taki po lesie, to będzie chodził za nim, zasadzał się i zrobi niemal wszystko, żeby go upolować.

- Co ty tak z tą zwierzyną? - przypomniała mi się wcześniejsza rozmowa o polowaniu.

- A co? Jesteś z Greenpeace? - zaśmiała się. Przez te jej zoologiczne porównania zaczęły mi się przewijać obrazy różnej zwierzyny i to niekoniecznie leśnej. Siedziałam wciśnięta w fotel i próbowałam sobie wyobrazić, jak Waldek poluje na Magdę-sarnę. I wciąż mi wychodziło, że to sarna goniła myśliwego. Zaśmiałam się do własnych myśli.

- Ale same ją do tego namawialiśmy - po chwili przypomniałam Renacie.

- No wiem - westchnęła. - I nie czuję się z tym komfortowo. Ale chyba wszystko dobrze się układa. Podejrzewam, że Waldek nie jest aż tak zaciętym myśliwym.

- Bo jest leniwy - oceniłam go, może trochę niesprawiedliwie.

- No właśnie - rzekła zadumany tonem. - Może tak być.

Pomyślałam, że może mieć rację i zaraz przyszedł mi do głowy mąż Gertrudy. Wiedział, z jaką kobietą będzie mu się żyło wygodnie, przy jakiej nie będzie się musiał wysilać. Może właśnie dlatego nie ma motywacji do własnego rozwoju. Żona jest silna za nich dwoje i on już nic nie musi. Gorzej, jak nagle takiej kobiecie spadnie zasłona z oczu. Zaczynają się problemy. Renata spoglądała na mnie co chwila i skoro jej nos o mnie nie zawadził, to pewnie nie kłamała.

- Ale to przecież nie działa tylko w jedną stronę, co? Bo przecież Magda już dawno upatrzyła sobie Jurka. To nie wiedziała, że nie będą pasować?

- Bo widzisz - spojrzała na mnie wzrokiem wykładowcy - silne kobiety szukają dowartościowanych mężczyzn - patrzyłam na nią lekko zdezorientowana, więc uściśliła - no wiesz, którzy przynajmniej zarabiają tyle samo.

- Aaa, to mów jaśniej - pokiwałam głową ze zrozumieniem. - No, dobra. Ale co powiesz o silnych kobietach, które żyją z kompletną... - szukałam właściwego słowa - marnej a? - obraz męża Gerci leżącego na kanapie z pilotem w ręku nie dawał mi spokoju.

- Mameją? - spojrzała na mnie zdziwiona. - Czy ty nie za wiele przebywasz z Zosią?

- A można mniej?

- No, tak - pokiwała głową. - Co to mameja? Czy to znaczy mniej więcej... żyje ciele, ale nie beczy?

- O, coś w tym stylu - zgodziłam się. To określenie też mi się podobało.

- Cóż - uśmiechnęła się zadowolona. - Obrótne i silne kobiety często źle wybierają.

- Ale dlaczego?

- Bo nie potrafia brać - rozłozyla ręce na tyle, na ile pozwalalo jej miejsce. - Zeby z tego wybrnac, musza się tego wreszcie nauczyć. Nie tylko dawac, ale brać, moja droga, brać - i ramionami nagarniala do siebie powietrze. Jurek przygladal się jej z zainteresowaniem i lekko zezowal na Zoške.

- Pewnie masz racje - zgodzilam się z jej teoria.

- Mam. I ty tez taka jestes - spojrzala na mnie. A mnie ciarki przelecialy po krzyzu, bo nagle uzmyslowilam sobie, ze to przyczyna moich problemow. Wszystkich, bez wyjatku. Nie potrafie być egoistka. Zawsze wazniejsze dla mnie byly potrzeby innych. Pewnie najwyzszy czas się nauczyć. I zapewne stad te malzenstwa, w ktorych kobieta, kompletna ofiara losu i beztalencie, leniwa i niezbyt madra, ma na uslugi inteligentnego, przedsiebiorczego meza. A ten jeszcze myśli, ze nie moze być inaczej. Ona jednak posiadla tę cenna umiejtnosc, potrafi brać. I robi to bez najmniejszych skrupolow.

- No a ona? - wskazalam oczami na trzepoczaca rzesami i falujaca biustem Magde.

- Myśle, ze z Jurkiem wczesniej nie rozmawiala i pewnie nie czula zadnego dysonansu. I obrala zla strategie, a wlasciwie obawiam się, ze innej nie zna. On na to nie polecial i klops - rozłozyla ręce znakiem niemocy.

- No, mozesz mieć racje - potwierdzilam. - Nawet cos mi wspominala - przypomniałam sobie nasza spacerowa rozmowe. Zal mi bylo Madzi, ze tak rozminela się ze swoimi marzeniami. Jednak jej zachowanie nie potwierdzalo moich trosk. Smiala się i figlarnie spogladala na Waldka. Ciekawe, jak chciala to przed nami ukryć? Przeciez glupi by zauwazył, co się kroi, a tu są przeciez tylko lekko szurnięci, raczej... znerwicowani. - Patrz, Renia. Ona zachowuje się teraz zupełnie inaczej.

- Wiesz, tak życiowo to jednak Madzia aż taka głupia nie jest. Wie doskonale, albo wyczuwa intuicyjnie

- poprawiła się - że sposób polowania trzeba dostosować do gatunku zwierzyny. No - rozłożyła ręce - albo zmienić zwierzynę.

- Boże mój - spojrzałam na nią - przerażasz mnie.

- Przerażam? Czyżby? Przecież to samo życie, moja droga - westchnęła i spojrzała z politowaniem - samo życie.

- Ale to wszystko jest zakręcone. - Rena - nagle coś mi się przypomniało - skąd wiedziałaś, że to chodziło o Waldka?

- Ty się nie domyśliłaś? - uniosła zdziwiona brwi.

- Nie.

- Kiedy wróciła z przepustki, Jurek był już w pałacu, więc to nie z nim przyjechała. Dzieci pewnie weszłyby się przywitać - wyliczała - a przyszła do pokoju sama. Jednak najbardziej zdradzający był zapach Waldka wody toaletowej, który ciągnął się za nią jeszcze długo

- uśmiechnęła się triumfalnie. Pokiwałam głową z uznaniem, nie wpadłabym na to, a też poczułam ten zapach dobrych męskich perfum. Renata była jak Columbo, żaden szczegół jej nie umknął. Siedziałyśmy tak wciśnięte w jeden fotel, jak dwie kwoki w jednym gnieździe, i spokojnie gdakałyśmy w oczekiwaniu na jajko, znaczy na kolację. Zosia zrobiła się nieco mniej trzpiotowata, od czasu do czasu rzucała jakiś dowcip, z którego śmiali się wszyscy, a Jurek najgłośniej. Może zależało mu na sympatii Zosi? Chyba jednak tak, bo kiedy spoglądał na nią, lekko unosił krzaczaste brwi i obie stopy pod stołem cały czas kierował w jej stronę. Magda odsłaniała swoje walory i bez żadnych wątpliwości dedykowała je osłupiałemu Waldkowi. - Oj, stary - pomyślałam - strzeż się. Jak wpadniesz, już się nie wywiniesz. Magda ma plany na resztę życia i do ich realizacji facet jest jej bezwzględnie

potrzebny. Nawet taki z pilotem na kanapie. - Gniezdzenie się w jednym fotelu przyniosło wreszcie rezultaty. Na kolację każdy dostał jajko. Na twardo.

Dziś dzień przemiany. Po autogenach wybieram się do fryzjera. Skoro już zdecydowałam. Pewnie fryzjerka nie obraziłaby się, ale zmiana z pewnością dobrze mi zrobi. No i uniknę krępującej sytuacji, kiedy spełniając swój codzienny bratkowy rytuał, przechodzę obok salonu. Magda i Zosia zgłosiły chęć udziału w ekspedycji, ponieważ postanowiły poprawić sobie brwi. Jedna z torebkowych gwiazd przyszła z salonu i miała fantastycznie wyregulowane i pofarbowane brwi i rzęsy. Tak to zachęciło moje koleżanki, że podjęły ryzyko poprawiania urody w wiejskim salonie. Sąsiadka zza ściany wyglądała dobrze, ryzyko jednak istniało.

- Przyszła pani - właścicielka zakładu uśmiechała się przyjaźnie, jakby ociupinkę nie dowierzała, że się zjawię. - To co, farbujemy?

- No, tak - lekko się zdziwiłam - po to przyszłam.

Kiedy zajęte byłyśmy dobieraniem odpowiedniego odcienia farby, uczennica wzięła w obroty Magdę i Zosię. Posadziła je na fotelach pod ścianą i poszła przygotować hennę do brwi.

- Może ten odcień - miła szefowa podtykała mi coraz jaśniejsze kosmyki.

- Nie, nie - dość gwałtownie oponowałam. - Zależy mi na pofarbowaniu odrostów, to po pierwsze - postanowiłam jasno wyartykułować, o co mi chodzi. - Choć właściwie wolałabym przyciemnić ten kretyński blond. Już od dłuższego czasu czuję się, jakby mi IQ spadło do minimum.

Zosia chrząknęła, a ja się zorientowałam, że popełniłam faux pas. Dziewczyna, która się nimi zajmowała,

miała podobny odcień. Ale od dawna już uważałam, że poziom inteligencji jest zależny od koloru włosów... im jaśniejsze, tym niższy IQ. Miałam tylko nadzieję, że tego nie usłyszała i że nie zna mojego podejścia. Musiałam zmienić kolor. Ten podobał się Erichowi i to właściwie na jego wyraźne nalegania odmówdziłam się tak. Ale dość! Wdziwiam na powrót własną skórę, nie będę dłużej kolejną podróbką panienki zapowiadającej pogodę po wiadomościach.

- To może coś z tej palety - zaczęłyśmy przeglądać następną stronę. Nagle zamknęła próbnik, stanęła przede mną i spytała zupełnie bezceremonialnie: - A nie chciałaby pani wrócić do swojego koloru?

- Swojego? - powtórzyłam jak echo. - Już nawet nie pamiętam, jaki był. Zdaje się, że taki... myślisz jakiś.

- Ten pani odrost nie oddaje koloru, bo włos broni się przed odbarwianiem i odrost bardzo ciemnieje, ale możemy spróbować coś dobrać. Natura jest mądrzejsza od nas i sama dobiera nam kolor włosów do cery. Wystarczy go tylko trochę podostrzyć i gotowe.

- Tak pani myśli?

- Jestem tego pewna - uśmiechała się. - Poza tym farba sprawia, że włosy błyszczą, szczególnie te ciemniejsze. Z jasnymi trudno o taki efekt.

- A, co mi tam. Raz się w końcu żyje - zdecydowałam i jeszcze raz otworzyłam próbnik. - Ten - wskazałam na szatynowe pasmo. - Takie kiedyś miałam.

- No dobra. To weźmiemy ten - wskazała o ton ciemniejsze, lekko brązowe - podkreślą kolor pani oczu. Ma pani piękny kolor. Tak zielonych oczu jeszcze nie widziałam - zachwyciła się, patrząc na mnie w lustrze. - Potem poprawimy brwi i rzęsy. Takie oczy trzeba podkreślić.

Spojrzałam w lustro i w tle zobaczyłam dwie rozdziawione gęby, które gapiły się na nas z foteli pod

ściana. Obserwowały nas oniemiałe i Bóg jeden wie, co sobie myślały, skoro sama poczułam się nieco zdeprymowana zachwytnymi szefowej. Ale rzeczywiście, oczy moje i mojej siostry miały niespotykany kolor butelkowej zieleni. Już nie raz słyszałam zachwyty na temat przepastnej zieleni moich tęczęwek. Czasami nawet pytano mnie, czy noszę soczewki barwiące. Mogłoby się wydawać, że matka natura powinna dać nam rude włosy, a nie myszowato-popielate. Obie je rozjaśniałyśmy. Lilia od zawsze, ja od pewnego czasu.

- Zdaję się na panią - tak oddałam się w ręce wiejskiej fryzjerki, nie myśląc nawet, jakie mogą być następstwa. Poszły w ruch miseczki, gumowe rękawiczki, pędzelki... i tak kosmyk po kosmyku odzyskiwałam inteligencję i swój stary, lekko zmodernizowany kolor włosów. Farba dokuczliwie śmierdziała i jej opary czułam pod powiekami, ale cóż, piękno wymaga poświęceń. Przymknęłam oczy, trudno, muszę pocierpieć. Nagle zaczęłam się zastanawiać, skąd wzięło się to moje farbowanie włosów. Dlaczego zaczęłam poprawiać naturę i zmieniać się w kogoś, kim nie byłam? Przecież kiedyś lubiłam siebie. Nie zdarzało mi się spoglądać w lustro i czuć niezadowolenie, kiedy patrzyła na mnie pewna siebie kobieta w lnianych, szlachetnie wygniecionych ciuchach, w haftowanych bluzkach, niezwracająca uwagi na modę. Co się ze mną stało? Przecież mój wygląd wyrażał mnie samą, przynajmniej do pewnego momentu. Jak byłam mała, moim wyglądem sterowały kaprysy Lilii, mama zawsze kupowała wszystko podwójnie. Potem, kiedy się zbuntowałam, byłam negacją lalki Barbie, żeby tylko nie być myloną z siostrą. I im ona była bardziej kolorowa, stawałam się bardziej szara. Więc to też nie mój styl. Dopiero kiedy pozbierałam się u wujostwa, kiedy zaczęłam swoją artystyczną działalność, na krótko znalazłam własny styl. Co prawda duży wpływ na to miały trady-

cyjne stroje Tyrolczyków, ale świetnie czułam się kimś pomiędzy hipiską a tradycyjnie ubraną mieszkanką Tyrolu w niedzielne przedpołudnie, kiedy to zachwyciałam się strojami w kościele. To byłam prawdziwa ja. Z długimi, prostymi włosami, które dotąd nie widziały farby, z falbankami, haftami, bransoletami hołdująca zasadzie, że tylko to co naturalne jest mi przyjazne. Stąd wyłącznie len, wyłącznie bawełna, jedwab, wyłącznie wełna i skóra. Żadnej taryfy ulgowej. Jak mogłam z tego zrezygnować? Koniec z tym, podniosłam lekko piekące powieki.

- Boże mój! - krzyknęłam na widok w lustrze.

- Spokojnie, to tylko tak strasznie wygląda - zaczęła mnie uspokajać fryzjerka. Bo i potrzeba było. Wyglądałam jak jeżozwierz i to taki wystraszony. Włosy pokryte farbą sterczały na wszystkie strony. Taki obraz przeraziłby nawet kogoś o zdrowych nerwach, a co dopiero kobietę po przejściach? Ale nie to mnie przeraziło. Fryzjerka podążyła za moim wzrokiem i aż podskoczyła z przerażenia. - O matko!

Pod ścianą na dwóch bliźniaczych fotelach siedziały moje zwariowane przyjaciółki i dopiero teraz wyglądały, jakby brakowało im piątej klepki. Na szczęście oczy miały zamknięte i nie widziały tego co my. A widok mógł wystraszyć najbardziej odpornego miłośnika horrorów. W miejscu gdzie zwyczajowo normalny człowiek ma brwi, one miały przewrócone półksiężycy, a może raczej dwie opasłe gąsienice w kolorze węgla. Pod powiekami miały przyklejone białe płatki ochronne, teraz w podobnym kolorze. Szefowa szybko doskoczyła do foteli, ale było już za późno. Z brzękiem małych dzwoneczków otworzyły się drzwi i stanął w nich Marek. Za dźwiękiem dzwoneczków podążyły głowy maszkar spod ściany.

- Yyy! - jęk, który bezwiednie wydał szalony pensjonariusz, mówił za siebie. Patrzył wielkimi zdziwionymi oczami na czarnidła pod ścianą, na wkurzonego

jeżozwiera przed lustrem, na zrozpaczoną blond uczennicę i przerażoną szefową. Może Marek wcale nie był taki szalony? - Choćbyś wronę kąpał w różanej wodzie, pióra jej nie zbieleją - nagle odzyskał głos, po czym szybko wyszedł. A jednak jest szalony! Mamy się obrazić, czy nie? - zastanawiałam się.

- Kto to był? Nic nie widzę - marudziła Zosia.

- Marek.

- Co on powiedział? - odezwała się wreszcie Magda.

- Coś o wronach - podpowiedziała Zosia. - Chyba nas obraził, tak mi się przynajmniej zdaje.

Jest szalony! Nie rozumie, co to znaczy zadrzeć ze znerwicowanymi kobietami. Z trzema znerwicowanymi kobietami! Samobójca.

- Tylko nie otwierajcie panie oczu - wołała fryzjerka. Popchnęła uczennicę w stronę umywalki i nerwowo pokazała na miseczkę do mycia oczu. Ta trzęsącymi rękami zaczęła nalewać wodę i podawać, co szefowa jej pokazywała. - Sama zmyję paniom oczy.

Przyglądałam się tym czynnościom reanimacyjnym z coraz mniejszym przekonaniem, że przyniosą jakikolwiek efekt. Właścicielka salonu rzuciła mi rozpaczliwe spojrzenie, ale przecież ja jej nie pomogę, nawet nie wiem jak. Tarła więc z coraz większą zawziętością miejsca, gdzie zwyczajowo człowiekowi wyrastają brwi, i z coraz większą rozpaczą w oczach. Wreszcie sięgnęła po specjalny żel zmywający i dopiero wtedy tarcie zadziało. Zdjęła płatki spod oczu zdziwionym zabiegami kobietom, żelem zmyła gigantyczne sińce pod oczami.

- Zaraz kończę - uspokajała - jeszcze tylko chwilkę. Jeszcze tylko trochę wyreguluję.

Nie sądziłam, że to coś pomoże, ale trochę się zdziwiłam, jak zobaczyłam końcowe dzieło. Zosine brwi były jednak nieco za ciemne, za to Magdy kolor był w porządku, tylko wyraz twarzy miała trochę dziwny. Pewnie

w duszą na ramieniu podała Zosi lusterko, ta pokiwała tylko głową i spytała:

- A to zaczerwienienie to mi zejdzie?

- Oczywiście - uśmiechnęła się - pewnie jest pani trochę uczulona na jakiś składnik, ale to minie. Proszę, to łagodzący krem pod oczy. Niech go pani wypróbuje, klientki bardzo go chwala. - Teraz podstawiła lustro Madzi, jednak w taki sposób, żeby broń Boże się w nim nie przejrzała. Machała nim jak paletką do tenisa stołowego z takim skutkiem, że Magda w końcu wstała i podeszła do lustra, przed którym siedziałam. Fryzjerka zbladła. Madzia patrzyła przez chwilę na swoje odbicie z kamienną twarzą.

- Podoba mi się - w końcu pokiwała głową z aprobatą. - Podkreślają mój charakter - powiedziała zadowolona, a fryzjerka zaczęła odzyskiwać kolory. Jeśli Madzia nadal zamierza szukać faceta, to te uniesione brwi z całą pewnością jej się przydadzą. Nie będzie musiała pamiętać, żeby pokazywać swoje intencje. Stała jeszcze przez chwilę i robiła do siebie zalotne miny.

Przyszła kolej na mnie. Uczennica zaczęła zmywać nałożoną farbę. Nigdy wcześniej nie przyciemniałam włosów, ale zaczęłam powątpiewać, czy siła, jaką wkładała dziewczyna we wcieranie mi we włosy szamponu, jest naprawdę niezbędna. Kiedy drugi raz zadałam jej pytanie, czy musi mnie tak szarpać, podeszła szefowa i od tej chwili nie widziałyśmy już nieszczęsnej uczennicy. Mycie dokończyła sama. Mycie głowy miało być zapewne zemstą za niewybredny dowcip o odmóżdżonych blondynkach. Najwyraźniej nie doceniłam inteligencji kryjącej się pod tlenionym skalpem albo uczennica to kiepski materiał na fryzjerkę, nawet tu na wsi, gdzie, jak to mówi Zosia, „nawet glapy zwracają”.

- Kolor wyszedł świetnie - pochwaliła. - To może trochę podetniemy?

- Czemu nie - uśmiechałam się do swojego odbicia.

- Ale pani to zrobi, dobrze?

- Jasne - powiedziała i wyraźnie zrobiło jej się głupio.

Zabrała się do przycinania i co chwila stwierdzałyśmy, że jeszcze kawałek. Zmieniała koncepcję i szukała najbardziej twarzowej fryzury. Kiedy zaczęła pytać, w co oprócz dresów ubieram się najchętniej, domyśliłam się, że zamierza dobrać mi fryzurę do charakteru. Tym mnie zaskoczyła. Nawet w renomowanych salonach w Austrii niespecjalnie się tym interesowano. No, może raz. Ale wtedy nie zaakceptowano mnie prawdziwej, tylko przedzierzgnięto w zupełnie obcą mi kobietę. A tu, w wiejskim zakładzie fryzjerskim, pani chce pobawić się w stylistkę. Nie stawiałam oporów, widziałam bowiem, że zmierza w dobrym kierunku.

- Też chcę mieć takie błyszczące włosy - Zosia przerzucała kosmyki na swojej głowie - czemu jasne tak nie błyszczą?

Patrzyłam w lustro i bardzo podobała mi się odbijająca się w nim postać. Kogoś mi przypominała. Jednak z zadumy wyrwała mnie kaprysząca Zosia.

- Ciemne farby nadają włosom taki ładny blask - tłumaczyła jej spokojnie. - Ale może pani coś z nimi zrobić.

- Co? Żadne odżywki nie pomagają - marudziła. - Próbowałam już bardzo wielu.

- To niech pani spróbuje tradycyjnych metod

- wszystkie spojrzaliśmy na nią z zainteresowaniem. - Oliwa z oliwek, ze cztery łyżki, jajko, ale tylko żółtko, dobrze wymieszać. O, można jeszcze dodać kroplę witaminy A albo E. Potem nałożyć na suche włosy, zawinąć folią i ręcznikiem. Po około czterdziestu minutach umyć włosy. Poprawa będzie widoczna zaraz po wysuszeniu,

ale im więcej zabiegów, tym będzie lepiej. Odżywka da pani efekt na chwilę, a te zabiegi poprawią kondycję włosów na długo.

Do pałacu wracałyśmy zupełnie odmienione. Zosia z kontrastowymi brwiami, Madzia ciągle zdziwiona i ja, zupełnie inna. Włosy miałam podcięte do wysokości karku i wywijały mi się lekko na zewnątrz, a krótka, prosta grzywka nadawała fryzurze charakter z lat sześćdziesiątych zeszłego stulecia. Spod podbarwionych rzęs i wyregulowanych brwi pogodnie spoglądałam na świat zielonymi oczami, które teraz wydawały się jeszcze zielonejsze. Podobało mi się, bardzo mi się podobało.

- Muszę iść do sklepu - zakomunikowała Zosia, po czym zniknęła za drzwiami wiejskiego sklepiku. Czekaliśmy na nią chwilę, a ta wyszła z butelką oliwy z oliwek i pudełkiem jajek.

- O! Będiesz robiła sobie maskę na włosy? - Magda aż klasnęła w dłoń. - Fajnie, ja też chcę.

- Matko kochana, Ewa, jak walnęłaś o tym IQ, to bałam się, że ta dziewczyna oczy nam wypali - Zosia kiwała głową, wspominając swoje zaniepokojenie. - Ale coś mi się wydaje, że ona nawet nie wiedziała, co to jest IQ.

- Pewnie tak - zamyślonym głosem wtórowała jej Madzia. - No, właśnie. A co to jest? - spytała po chwili.

Zosia tylko ciężko westchnęła i zmieniła szybko temat. Pomyślałam wtedy, że może jednak młoda fryzjerka знаła to pojęcie i czarne brwi to była zemsta. Ale dlaczego mściła się na nich? Śmiejąc się w myślach z Madzinej ignorancji, pomyślałam, że prawdę mówił, kto twierdził, że dla kobiet ważniejsza jest uroda aniżeli inteligencja. Bo przecież mężczyznom łatwiej przychodzi patrzeć, niż myśleć. Rację mają więc te, które okupują salony piękności i nie liczą się z wydawaną na to kasą.

One wiedzą, na co faceci lecą i czasami wydaje mi się, że te malowane lale, które podejrzewa się, że nie mają pojęcia, co to IQ, mają więcej oleju w głowie niż całe rzesze szczyjących się doskonałym wykształceniem panien. Może to raczej intuicja niż inteligencja, ale skutek jest. Ładne lale mają fajnych facetów, a te mądre niekoniecznie. I jak długo faceci będą lepiej widzieć, niż myśleć (a to się raczej nie zmieni), tak długo uroda będzie ważniejsza od ilorazu inteligencji, i tak długo funkcjonować będą poprawiacze urody, nawet tu, na wsi zabitej dechami. Tylko co jak uroda minie? Co pozostanie z takiej istoty bez wnętrza? Hmm... silikon, te są wieczne.

Powoli zbliżyliśmy się do pałacu. Kiedy przechodziłyśmy koło ławki płaczu, siedzący na niej Marek zaczął się nam uważnie przyglądać. Minęłyśmy go w pośpiechu. Do pokoju gnała nas niepohamowana ochota na kawę.

- Wszystkie kobiety są piękne - usłyszałyśmy już za swoimi plecami. Odwróciłam się i uśmiechnęłam na wspomnienie jego przerażenia w salonie fryzjerskim. - Ale niektóre są piękniejsze - dodał i puścił do mnie oko.

Czyżbym właśnie usłyszała komplement? Miło, nawet jeśli pada z ust szaleńca. Dogoniłam koleżanki i roześmiane weszłyśmy na karciany hol. Zupełnie odmiennego zdania była Renata. Od razu nam wytknęła, że Zosi oprawa oczu jest za ciemna, Magda niepotrzebnie się cały czas dziwi, a ja wyglądam jakbym związała z fotki z ubiegłego wieku. I dobrze! O to chodziło, a Kaśce się podobało. Zdziwiła się, że mam takie zielone oczy i że wcześniej tego nie widziała. Jednak wiejska fryzjerka może być stylistką, nawet jeśli kreuje wariatki miejscowego szpitala dla nerwusów. Nasze przemiany zostały zauważone przez męską część pensjonariuszy, co przy

karcianym stole próbował wyrazić Czesio. Przyglądał się nam przez dłuższą chwilę, aż w końcu zapytał.

- Jak myślicie panowie - tu spojrzął na Waldka i Jurka - czy lepiej ożenić się z kobietą piękną czy brzydką?

- Oj, co pytasz Czesiu - Waldek zrobił minę, jakby można było wątpić w słuszność jedynej poprawnej odpowiedzi - wiadomo, że z piękną - i uśmiechnął się szeroko do Magdy.

- A ty Jurek, co myślisz?

- Cóż - uśmiechnął się pod nosem, zerknął na Zosię i powiedział - z piękną.

Zosia lekko się zarumieniła, powierciła się na fotelu i nie bardzo wiedziała, jak zareagować. Zastanawiała się pewnie, czy był to komplement, czy może Jurek z nią flirtuje, a robił to w sposób dość otwarty. Ja jednak już czułam, że z tej mąki będzie chleb.

- Jeśli ożenisz się z piękną kobietą - Czesio zawiesił głos - to zapewne będziesz miał innych do spółki - zachichotał i spojrzął przepaszająco na moją oburzoną minę. Przepaszająco się uklonił i jakby nigdy nic przeglądał swoje karty. Czułam jednak, że to nie koniec tej życiowej mądrości.

- A jak z brzydką? - Waldek nagle się zainteresował.

- To będziesz miał za swoje - usłyszeliśmy z ust przechodzącego właśnie Marka. Szedł niby zatopiony we własnych myślach, ale wyraźnie uśmiechał się do nich. Minę miał szelmowską. Patrzyłam za nim i też się śmiałam. Coraz bardziej lubiłam szalonego Marka. Głównie za jego mądrość i błyskotliwość, choć ujawniała się tak rzadko.

- Co on powiedział? - Waldek rozglądał się za źródłem puenty.

- Prawdę - Czesio obejrzał się za Markiem i puszczając do niego oko, pokazał mu wyciągnięty kciuk, znak aprobaty. Marek przeszedł do drzwi pokoju i zniknął. -Ale -- kontynuował Czesio - czy coś stoi na przeszkodzie, żeby jednak pokochać paskudną dziewczynę? - Zaczął przyglądać się nam badawczo, jednak nikt nie odważył się udzielić mu odpowiedzi, więc po chwili sam sobie odpowiedział: - Nie stoi, to właśnie.

Męska część nerwusów wyraziła aprobatę gromkim śmiechem.

- Jakby było się z czego cieszyć - Renata wydeła wargi. - Przecież to świadczy o waszej niedoskonałości.

- Nie, moja droga - tonem mentorskim bronił swej teorii Czesio - to świadczy o doskonałości natury. To ona broni świat przed brzydotą.

- Też mi coś. To musiałyby znaczyć, że brzydkie kobiety nie mają szans na potomstwo? Przecież to bzdura - oburzyłam się.

- Jasne, bo te zwykle bywają mądre - dokończył Czesio.

- I dobrze ubrane - dodał Waldek.

- On nas chyba obraża - oburzyła się Madzia i pogładziła swoją lekko wymiętą bluzkę z lumpeksu.

- Ależ skąd - Waldek wziął kolegę w obronę. - Wy jesteście i piękne i mądre.

- I dobrze ubrane - szybko dodał Czesio.

- No - sapnęła dość bojowo Madzia. - Wybrnęliście.

Jednak skoro nasz wygląd zainicjował rozmowy o pięknie, to pewnie zmiany spodobały się panom. Choć słyszałam, że twierdzenie, że kobiety, robiąc się na bóstwo i strojąc się w masę przeróżnych ciuszków, robią to dla mężczyzn, jest grubo przesadzone. Gdyby miały podobać się mężczyznom, musiałyby wkładać na siebie znacznie mniej. Ale to pewnie wymyślił jeden

z tych facetów, którzy wolą te ładne i to najchętniej w stringach. A strojenie się dla nich rzeczywiście nie ma najmniejszego sensu. Jedyne bowiem pokaz mody, który zainteresowałby mężczyznę, to pokaz strojów kąpielowych i to bardzo skąpych. Taka desperacja nie zdarza się nawet tu.

Wieczorem zamiast grać w karty dziewczyny zabrały się do robienia odżywki do włosów. Zostawiłyśmy je same i razem z Kaśką wybrałyśmy się na wieczorny spacer. Każda z nią chwila była dla mnie cenna, bo obawiałam się, że czynione mi przez Macieja awanse nie wpłynęły pozytywnie na nasze relacje.

- Odważną masz teraz fryzurkę - spojrzała na mnie z boku - jest taka...

- Niemodna? - próbowałam zobaczyć swoją grzywkę, ale była tak krótka, że nie miałam szans. Króciutka i przycięta prosto, ledwo zakrywała odziedziczone po ojcu zakola. Nazywam je syndromem Myszki Miki.

- Indywidualna - poprawiła z chytrym uśmieszkiem.

- Wybrnęłaś - zaśmiałam się i przestałam myśleć o jakimkolwiek dystansie. Wróciła moja dawna Kasia. -Zawsze byłam inna i uważałam, że niekoniecznie fajne jest to co modne.

- I tu się z tobą zgadzam. Świat byłby cholernie nudny, gdyby wszyscy trzymali się mody i wyznaczanych standardów. To jest właśnie fajne u niektórych ludzi, że mają swój styl i w nosie mają światowe trendy. Są ponad tym, są niepowtarzalni, nie do końca zdefiniowani. Też bym tak chciała - westchnęła.

- A kto ci broni?

- Teraz już nikt - powiedziała cicho.

- Wiesz, Kaśka - szłam wolno obok z rękami w kieszeniach - nawet nie wiedziałam, jaka byłam nieszczęśliwa, nie będąc sobą. Te jasne włosy, wypasione auto, najmodniejsze ciuchy, to tak naprawdę nie jestem ja. Cieszę się, że powoli się z tego wyzwalam - odetchnęłam głęboko, jakby ciężar spadł mi z barków. - Jakbym przechodziła wylinkę.

- Aż tak? - zdziwiła się. - To dlaczego nie zrobiłaś tego wcześniej? Czemu w ogóle wlałaś w inną skórę?

- To przez faceta - przystanąłam i spojrzałam na nią wzrokiem mędrca. - Kaśka, nigdy nie pozwól facetowi przerobić się na jego modłę. Jak chce widzieć w tobie inną kobietę, to niech sobie takiej szuka. Nie daj się. Tylko facet, który naprawdę kocha, nie będzie cię na siłę zmieniał i zaakceptuje taką, jaką faktycznie jesteś.

Uśmiechnęła się tylko i wzięła mnie pod ramię. Szłyśmy przez chwilę bez słowa i tylko rozbryzgujące się błoto czasami wydawało śmieszny odgłos plaskania. Znow będziemy suszyć buty na grzejniku. Nagle odezwała się:

- Mama próbowała narzucać mi swój styl - cicho powiedziała.

- Matki, jak to matki - wzruszyłam ramionami - próbują wpoić nam jakieś zasady estetyki. Raz wychodzi im to lepiej, raz gorzej. Tak bywa.

- Moja chętnie kupowałaby mi ciuchy takie same jak sobie. A w ostatnim czasie odwrotnie, sobie takie jak dla mnie - zamilkła na chwilę i tylko plaskanie zakłócało ciszę spaceru. Czasami jakaś rycząca krowa, ale im dalej byłyśmy od gospodarstwa, tym cichsze były porykiwania. - Głupie, nie? - odezwała się wreszcie. - Jakby na siłę starała się odmłodzić. Potem już wiedziałam, dlaczego - westchnęła i po chwili dodała - nie chcę już o tym mówić.

- To nie mów - wzruszyłam lekko ramionami i nie myśl już o tym. Teraz sama decyduj, jaka chcesz być. Czy chcesz mieć niemodną fryzurę, czy zwariowaną grzywkę, czy zdziwione brwi. Twoja wola.

Obie śmiałyśmy się na wspomnienie wiecznie zdziwionej Magdy i do momentu, aż nie chlupało nam w butach, szłyśmy, śmiejąc się z byle czego. Do pałacu wróciłyśmy rozbawione, nie spodziewając się, że tam czekał nas jeszcze lepszy ubaw. Życie potrafi zaskakiwać w najróżniejszych sytuacjach, a w towarzystwie kilku wariatek prawdopodobieństwo takich zdarzeń wzrasta. Tak było i tym razem.

Wchodząc do holu, zobaczyłyśmy przy karcianym stole rozpaczliwie machającą rękami Renatę. Minę miała przerażoną, ale jakiś dziwny uśmiech błąkał się po jej twarzy.

- Nawet tam nie chodźcie! - radziła. - Co tam się wyprawia! - machała rękami.

- Co? Gdzie? - nie rozumiałam i bezradnie rozglądałam się po holu.

- Co wyście za głupoty przyniosły od tej fryzjerki? - patrzyła na nas zdegowana.

- A co się stało? Powiesz nam wreszcie? - Kasia dreptała w miejscu, chlupiąc mokrymi butami. - Bo już woda mi się z trampek wylewa.

- No to może lepiej idźcie z pomocą, bo te wariatki nałożyły sobie na włosy jajo z oliwą, a potem to zmyły gorącą wodą.

- Boże mój - przeraziłam się na myśl o kluskach w ich włosach, jednocześnie o mało nie parsknęłam śmiechem. - Co one narozrabiały?

- Pognałyśmy do pokoju, zostawiając mokre ślady na parkiecie i dywanie na schodach. Wpadłyśmy do pokoju jak bomby.

Zosia siedziała na łóżku i ze łzami w oczach wyczesywała ze swoich ślicznych długich włosów ścięte białko. Magda z drugiej strony pokoju robiła to samo. Było jej łatwiej, włosy miała krótkie. Stały za to jak nieudane dredy. Oczywiście nie rozmawiały, bo nie mogły dojść, która popełniła błąd.

- Co wyście narozrabiały? - Patrzyłam raz na jedną, raz na drugą. Zosia rzucała wzrokiem gromy, a Magda przeklinała nieziemsko, jednak zdawało mi się, że epitety kierowane były gdzieś w okolice zakładu fryzjerskiego. - Czego nie rozumiałyście?

- Co, co! - Zosia szarpała kosmyki włosów. - Chciałyśmy zrobić tę maseczkę na włosy.

- No i co? - nie rozumiałam, bo przepis był dziecinnie prosty. Wystarczyło połączyć składniki, wymieszać i nałożyć na włosy. Co w tym trudnego?

- Widzisz co! Nie udało się - Magda ze złością czyściła poklejony grzebień. - Chyba coś popieprzyłyśmy.

- Opowiadajcie - Kasia zaczęła zdejmować ciężkie od wody buty. Skarpety na stopach przykleiły się jej do skóry. Moje nogi były w podobnym stanie. Wstawiłam czajnik z wodą, bo pomyślałam, że gorąca kąpiel stóp bardzo dobrze nam zrobi. Zośka i Madzia wciąż miały gromy oczami i szarpały kosmyk po kosmyku. Widok był przezabawny, ale postanowiłam trochę im pomóc, po wymoczeniu stóp, rzecz jasna. Poszłam do łazienki po miski. Kiedy po dłuższej chwili wracałam z dwoma miskami i z uśmiechem, wzorem Zośki... dookoła głowy, dobiegła mnie zza drzwi kłótnia. Nie starło mi to uśmiechu z twarzy. Na mój widok umilkły. Kasia odetchnęła z wyraźną ulgą.

- Co jest? - Zosia zapytała z nadzieją w głosie. Może myślała, że znalazłam cudowny zmywacz ściętego białka. Niestety, nie to miałam im do powiedzenia.

- Mam miski - podałam Kasi miski. - Rozlej tę wodę do dwóch i proszę dolej wody z czajnika. Będziemy moczyć nogi.

- I to cię tak długo trzymało w łazience? - Kasia trochę była zła. - Przecież te wariatki niedługo by się pobiły! Co tak długo tam robiłaś?

- Czekałam na miski.

- Ktoś prał? - Magda spojrzała na mnie spod sterczącej grzywki. Wyglądała jak Aborygen przed świętem narodowym, bo w międzyczasie nałożyła na twarz zieloną maseczkę oczyszczającą. Oj, za bardzo się stara! To musi być coś poważnego.

- Nie - odczekałam chwilę dla osiągnięcia odpowiedniego napięcia. - Ktoś splukiwał miskami toaletę!

- Nie mogę! - Kasi wyraz twarzy zmienił się natychmiast. - Serio?

- Te wariatki nadal nie wiedzą o spluczkach? - Zosia nie mogła uwierzyć. Natychmiast przestała się przejmować kluskami we włosach.

- Yes! - gest Madzi mówił niemal wszystko. Intryga żyła już własnym życiem i to rozładowało napięcie. Jak to nieszczęście jednych może przerodzić się w uciechę dla innych. Aż poczułam wstyd z powodu tej rozpierającej mnie radości. Ale tylko przez chwilę.

- Czekaście, aż rozgrzejemy nogi. Pomożemy wam wycesać tę jajecznicę, co Kaśka? - spojrzałam na rozbawioną Kasię. - A swoją drogą, co wam przyszło do głowy?

- Nie wiem, chyba woda była za gorąca - zaczęła Magda pokornie.

- Mówiłam ci, że to musi być bez białka! - Zosia nie przyznawała się do błędu. - Toś uparła się, że nie mam racji. A ja głupia cię posłuchałam. Chyba rozum mi odebrało!

- Użyłyście całego jajka? - myślałam, że się przesłyszałam. No, to już wiedziałyśmy. Siedziałam z nogami w misce i przyglądałam się tym dwóm gwiazdom z jajecznicą na głowie, zastanawiając się, co tak nagle odebrało im rozum? Czy zadurzyły się do tego stopnia, że przestały myśleć? Czy może mają aż tak gorące myśli, że białko ścina im się na głowie? Uczucia mają wielką moc. Mogą mrozić nienawiścią, uwierać obojętnością, czy też rozpałać miłością duszę i głowę. Chociaż czy na pewno miłością? Może to tylko zauroczenie? Może namiętność? Może. Ale widać było im to potrzebne, bo pomimo straków na głowie obie miały już spokojniejsze miny. No, chyba że nerwusy już bardziej denerwować się nie mogą. Kiedy rozgrzałyśmy się po spacerze w wiosennym błocie i stanęłyśmy nad pochylonymi głowami koleżanek, do pokoju weszła siostra oddziałowa.

- O matko! - Stanęła w drzwiach i przyglądała się scenie z uśmiechem. - Wyglądacie jak iskające się małpy - prychnęła. Postąpiła tak chwilę, jakby się zastanawiała. - Nie mogłam skojarzyć, co mi to przypomina - wciąż się śmiała - ale wnuk opowiadał mi o wycieczce do zoo. Co prawda małpy wybierały pchły koleżankom z innej części ciała, ale widok pewnie był podobny -i tak rozbawiona wyszła, nie mówiąc, po co w ogóle do nas zawitała. Zostałyśmy, iskając te dwie syczące nieszczęsnice w nadziei, że jeśli odżywka nie pomogła ich włosom, to przynajmniej im nie zaszkodziła. Bo przygoda z jajkami z całą pewnością pozytywnie wpłynęła na ich wzajemne relacje. Uśmiechały się, i jeśli miały do siebie jakiegokolwiek pretensje o facetów, to sprawa była już nieaktualna. Teraz rozbawione opowiadały o przygotowywaniu leczniczej mieszanki i śmiały jedna z drugiej. Wygląda na to, że jeśli dąsa się na ciebie

przyjaciółka, to najlepiej wylać jej na włosy słabo ściętą jajecznicę, a potem po przyjacielsku poiskać. Nic tak nie łączy, jak chwila iskania przy filiżance melisy, nawet jeśli czyści się głowę, a nie tę część, o której myślała siostra oddziałowa.

WYCIECZKA

Siedziałyśmy przy kartach jak zwykle, kiedy do holu wszedł Marek. Usiadł na trzecim stopniu drewnianych schodów prowadzących do męskich pokoi i obojętnie patrzył przed siebie. Czyżby obmyślał skok na lodówkę? Po chwili z piętra zbiegła Kasia cała w skowronkach, więc nietrudno było się domyślić, kto przyjechał.

- Patrz Ewa, jak nagle Kaśka odzyskała wigor. Nawet zmyła z twarzy farbę - śmiała się Renata. - Twój siostrzeniec powinien być tu na etacie.

- No, działa jak zaklęcie - i roześmiałyśmy się z zarezerwowanego dla Madzi określenia. Jednak po chwili u szczytu schodów prowadzących z dołu zobaczyłyśmy Macieja. Szedł powoli, trzymając za rękę swoją rozgadaną córkę i uśmiechał się całym sobą. Każdym ruchem ukazywał, jaki jest odprężony i szczęśliwy. Kiedy już mógł objąć wzrokiem karciany rozgardiasz, zaczął czegoś szukać. Kogoś, nie czegoś... wiedziałam kogo. Poprawiałam się na kanapie, jakbym nagle siedziała na potłuczonym szkłe, ręką przegarnęłam włosy, a potem podparłam dłońmi twarz. Renata przyglądała mi się z niedowierzającym uśmiechem, spojrzała na Macieja, potem na mnie i powiedziała półgłosem:

- Działa jak zaklęcie - i pokiwała głową na potwierdzenie tezy, śmiejąc się, jakby było z czego. Zdałam sobie wtedy sprawę, że lekko się denerwowałam.

Maciej stanął i chaotycznie wodził wzrokiem, tracąc pozę wyluzowanego faceta. Zaczęłam się niepokoić, że coś zmieniło się w jego życiu. Nie widzi mnie, czy co? Jestem niewidzialna? Miałam co prawda taki okres w życiu, że podobne sny nie dawały mi spać. Zrywałam się spocona w środku nocy i podchodziłam do lustra sprawdzić, czy mam jeszcze twarz. Niepokój i myśli

o utracie tożsamości długo jeszcze nie dawały mi spać. Jednak to minęło i miałam nadzieję, że bezpowrotnie. Boże mój! - Poczułam, jak obawy wracają. Nagle nasz wzrok się spotkał. Z niedowierzaniem podszedł bliżej już z uśmiechem, nadal trzymając rękę córki.

- Dzień dobry - powiedział do wszystkich i wciąż wydawał się zdziwiony, a ja poprawiałam teraz nieistniejące zgnioty na dresie. - Nie poznałem cię - zwrócił się do mnie. - Cóż to za zmiany?

- Dzień dobry - odetchnęłam, bo poczułam ulgę, że jednak to mnie szukał wśród kanapowej gromadki.

- Zdziwiony? - spytałam, kokieteryjnie zerkając z ukosa, i zorientowałam się natychmiast, że Renata wciąż się nam przygląda.

- Odrobinę - pokiwał z uznaniem głową i zobaczyłam uśmiech akceptacji. Chwała Bogu - odetchnęłam.

- Tato - Kasia pociągnęła go za rękę - zanim oddam cię Ewie, pozawracam ci trochę głowę. Musisz mi coś przywieźć. - I poszedł, ciągnięty za rękę, jak oporny ojciec wciągany do sklepu sprzed wystawy. Jeszcze raz obejrzał się i wciąż uśmiechał się z lekkim niedowierzaniem.

- No, no, moja droga - Renata kiwała głową, wiedziałam, że zaraz usłyszę analizę swojego zachowania. Może dowiem się czegoś, czego nie byłam świadoma? -Działa jak zaklęcie - powtórzyła rozbawiona.

- Co? - udawałam zdziwioną.

- Nie udawaj głupszej, niż jesteś - udała oburzenie.

- Przede mną nie musisz.

- Że niby co? - nie wychodziłam z roli.

- Nico! Myślisz, że nie widziałam tej ekspozycji? Oparłaś twarz na dłoniach jakby z zaproszeniem: patrz i podziwiaj. Tylko uwodzająca kobieta tak robi. A potem ta opuszczona głowa i ukradkowe spojrzenia z ukosa?

- pokiwała głową z podziwem. - Nie jestem glapami

karmiona! - Zauważyła moją dezorientację, bo wciąż nie pojmuję tych dziwnych określeń, więc zaraz wyjaśniła:

- Nie jestem głupia. I nie gań siostry za kokieterię, bo sama też świetnie tą bronią władasz.

Tak naprawdę to już nie wiedziałam, czego chciałam. Pomyślałam, że mnie rozszyfrowała. I nagle mnie olśniło: wrócić do własnej skóry i podobać się Maciejowi, bo tego, że moje poprzednie wcielenie będzie mu się podobać, jakoś wewnątrznie byłam pewna.

- I nie patrz tak na mnie tymi zielonymi gałami, bo doskonale wiesz, że świetnie wyglądasz - burczała. A jednak! Wiedziałam, że przemiana jej się podoba. Tylko dlaczego tak nas krytykowała? Czemu śmiała się z naszych starań i szydziła z przemian? Co ją gryzło?

- Jutro pójdziesz ze mną do tej fryzjerki - zarządziła bardziej, niż spytała.

- Chętnie - przypomniały mi się dwa czarnidła spod ściany i przerażony wzrok Marka. - Będzie niezła jazda! - dodałam, a ona spojrzała na mnie zdziwiona. Jeszcze przecież nie wie, co ją tam czeka. I oby drogi Marka nie przebiegały jutro przez salon fryzjerski. Terapia szokowa czasem jest skuteczna, ale zbyt często stosowana może pogorszyć stan pacjenta. A ten wciąż zamyślony siedział na schodach i bokiem spoglądał w piękny witraż. Może w ten sposób równoważył nadszarpnięte poczucie estetyki? A może tylko przypominał sobie, co jest w lodówce? Wkrótce się przekonamy.

- Bardzo się zmieniłaś - Maciej trzymał teraz moją dłoń, z której najpierw ściągnął rękawiczkę i przez jakiś czas całował palec po palcu, a mnie ciarki biegały po plecach... i nie tylko tam. - Ładnie wyglądasz, jakbyś wreszcie zaczęła być sobą.

Skąd wiedział, jaka jestem i jaka powłoka do mnie pasuje? Przecież nie znał mnie wcześniej, nie znała mnie Kasia, więc od niej też niczego się nie dowiedział. Czy rzeczywiście człowiekowi natura nadaje wygląd i nie powinniśmy w to zbyt ingerować? Co wtedy robiłyby kosmetyczki i fryzjerki albo chirurdzy plastyczni?

- Dziewczyny zaskoczył kolor moich oczu -zaśmiałam się zażenowana, bo tak naprawdę nie miałam pojęcia, jak się zachować i co powiedzieć. Czułam się trochę jak małolata, trochę jak ukrywająca się, starzejąca się kobieta zawstydzona budzącymi się uczuciami. To było dla mnie zupełnie nowe doświadczenie. Miłe doświadczenie. - Wiedziałaś, że są zielone? - znów zerknęłam na niego ukradkiem, przechylając głowę. Boże mój, przecież Rena miała rację! Ja go kokietuję!

- Zielone? - stanął ze mną twarzą w twarz, zobaczyłam swoje odbicie w jego oczach. - Są jak łąki Irlandii... zielone i bezkresne. Można się w nich zagubić i nie chcieć być odnalezionym już nigdy - teraz ja utonąłam w jego oczach, a potem w gorącej fali pocałunków. Te z całą pewnością nie wynikały wyłącznie z wdzięczności. Serce waliło mi jak oszalałe, żar zalewał całe ciało. Może to tylko uderzenia gorąca? Wszak wkrótce zacznę przejrzywać jak paździenikowa śliwka na powidła. A może jednak jeszcze nie jest za późno, może to ostatnie w życiu uniesienia, może ostatnia szansa na szczęście? Brakowało mi tchu, nogi drżały i miękły, ale na szczęście serce też. - Mogę cię stąd wykraść? - spytał cicho. - Choćby tylko na trochę?

Słowa rozpały mnie jak termofor w zimową noc po dniu na stokach Alp. Jednak nie o sen tu chodziło i nie o odpoczynek, tego byłam pewna. Co powiedzieć, jak zareagować, przecież... chciałam tego tak samo jak on. Wracam do życia! Ja naprawdę będę jeszcze żyć!

- Kiedy? - samą zdziwiło mnie moje rzeczowe pytanie, więc znów spojrzałam ukradkiem. I tak zaplanowaliśmy wyjazdową randkę, na którą jednak postanowiłam załatwić sobie przepustkę u ordynatora. Tylko będę musiała trochę nakłamać, bo przecież nie powiem, że wybieram się na... no, właśnie. Na co? Czas pokaże. Przepustkę dostałam bez problemu, a że auto dałam Maurycemu, nikt się nie zdziwi, że pojedę z Maciejem.

Zosia uwodziła Jurka już niemal jawnie, a Waldek nie spuszczał oczu z walorów Madzi. Dzień jak co dzień. Po przejściach z jajecznicą we włosach Magda i Zosia nie musiały już sobie niczego wyjaśniać. Chyba że zrobiły to podczas naszej nieobecności. Łup podzieliły według zasług, a może raczej według potrzeb. Ważne, że w ich pojęciu sprawiedliwie. Teraz Zosia przechylała się stronę Jurka i raczej nie po to, żeby zaglądać mu w karty, chciała być bliżej niego. To było widać. Od paru dni błyszczały jej oczy i spała zdecydowanie lepiej. Nie łąziła już tyle nocą po korytarzach (ona jedna miała na to zgodę personelu medycznego, ponieważ znali jej problemy ze snem) i częściej się śmiała. Magda zrobiła się dowcipniejsza i weselsza, częściej już mówiła o opuszczeniu szpitala, o czym wcześniej nawet nie próbowała wspominać. Sama czułam się dużo lepiej i już prawie nie myślałam o mojej podłej bliźniaczce i zmarnowanym przez nią życiu. Każdego dnia chodziłam na pogawędkę do kwaciarni Joli i przynosiłam z niej bratka, w coraz mniejszej torbie. Znaczący postęp był. Jednak nadal uparcie wędły. Gwarno i wesoło było w holu, terapia społeczna kręciła się bez pomocy psychologów i lekarzy. Wzajemne oddziaływanie było najbardziej uzdrawiające, znacznie bardziej niż leki, które nam tu podawano.

Moje spadkowe sprawy dobiegały końca i gdyby nie Kasia, spokojnie mogłabym już wracać do Austrii. Ale obiecałam, że będę tu tak długo, jak długo Kasia będzie tego potrzebować. Tęskniłam za moją zastępczą rodziną, za Alpami, za nartami i za gorącą czekoladą, którą zawsze chętnie piłam na stoku. Tylko takie napoje wchodziły w grę, kiedy jeździłam na nartach, bo wszystkie procentowe dziwnie wpływały na moje nogi. Z głową nic się nie działo, za to nogi robiły, co chciały. Odmawiały współpracy z mózgiem i żyły własnym życiem. Bolesnie się o tym przekonałam, kiedy wypiwszy grzańca, pojechałam w prawo, a moje nogi w lewo. Fiknęłam strasznego kozła i stłukłam bark. Przez miesiąc musiałam sobie radzić jedną ręką, a podciągnięcie majtek było dla mnie nie lada wyzwaniem. Ale człowiek uczy się na błędach albo na wywrotkach. Nigdy więcej nie tknęłam alkoholu na stoku. Coraz częściej myślę o Gertrudzie, chętnie robiłyśmy sobie babskie wypadki na narty. Ciocia Ula, Gertruda i ja. Ciocia rzadko jeździła, ale uwielbiała klimat narciarski. Czasami umawiała się z nami i, czekając na nas, świetnie bawiła się przy tyrolskiej muzyce, przytupując razem z narciarzami przy barze i popijając sznapsa. Rzecz jasna w pełnym rynsztunku narciarza, twierdziła, że w tym właśnie tkwi cała frajda. Raz po raz miewała zacięcie narciarskie, szykowała się na dzień zjazdowy, a i tak kończyła przy sznapsach. Bywało, że musiałyśmy holować ją do domu, jednak zabawa była przednia. No i te austriackie przysmaki... długo nie mogłam przywyknąć do tych dziwnych dań. Na szczęście ciocia nieźle gotowała i w naszej kuchni gościły raczej potrawy polskie. Wuj Johan lubi polską kuchnię i chętnie jada wszystko, co z ciocią przygotowujemy. Jednak pyzy (nie mylić z tymi na parze) ziemniaczano-bułczane

z domieszką skwarków, umieszczone na szczycie góry zasmażanej kapusty, również z topionym boczkiem... a jakże, czasami budziły mnie w środku nocy. Pamiętam moje pierwsze zetknięcie z tym cudem kulinarnym, kiedy to wujostwo zabrali mnie latem na wycieczkę, żeby pokazać mi lodowiec. Tam w restauracji po raz pierwszy zobaczyłam wielkie kluchy. Zupełnie nie wiedziałam, jak się do tego zabrać i przez długą chwilę siedziałam oparta na ręce i grzebałam widelcem w kapuście. Ciocia mnie rozumiała i przyglądała się tej zabawie bez słowa, natomiast wuj wciąż zachęcał do skosztowania. Byłam głodna, a szare kluchy, wielkie jak kule armatnie, jakoś mnie nie przekonywały. Jakaż byłam zdziwiona, kiedy spróbowałam, i okazało się, że lepiej smakują, niż wyglądają. Do tego też można przywyknąć i takie potrawy jadałam zwykle na narciarskich wyjazdach. Myślałam też o tym, jak radzą sobie same i jakie zmiany zastanę po powrocie. A że będą zmiany, byłam pewna, bo Gercia należała do bardzo kreatywnych osób i nie bała się ryzyka. Zresztą co to za ryzyko w małej galerii?

Teraz jednak myślałam o innym ryzyku. Tak szybko zgodziłam się na tę sesję wyjazdową, że zaczęły mną targać wątpliwości. Może jeszcze zbyt wcześnie na taki krok? Może za chętnie przytaknęłam pomysłowi? Może po prostu jestem łatwa? Kiedy zdradziłam się z tymi wahaniem Renacie, dodała:

- Może ty rzeczywiście zwariowałaś?! - popukała się znacząco w czoło. - Na co chcesz czekać? Aż przyjedzie na białym rumaku i wykradnie cię z wieży? - kiedy widziała, że łamię się i wzdycham, szturchnęła mnie luzacko i puściła oko - głupia, łap okazję, bo ci go ktoś zdmuchnie sprzed nosa.

I tak zmotywowana zaczęłam myśleć o przepustce. Umówiliśmy się na popołudnie i coraz bardziej się

niecierpliwiłam. Moje podekscytowanie nie uszło uwagi zwariowanych towarzyszek i kiedy podeszłam do szafy, żeby pomyśleć o stroju, Magda powiedziała wprost:

- Weź ten turkusowy komplet... ten z tymi fioletowymi kryształkami.

- Jaki komplet? - aż podskoczyłam ze zdumienia. Najwyraźniej nie byłam pierwszą, która szykowała się na randkę. Spłoszona zaczęłam szybko upychać do szafy marne zasoby mojej garderoby.

- No nie udawaj, że wybierasz sweter. Masz tylko dwa - zrobiła oburzoną minę. - Pomyśl o ładnej bieliż-nie.

- Magda! Coś ty! - obruszyłam się.

- O, jak oburzona! - zawtórowała jej Zosia. - Już ty wiesz, od czego muchy zdychają i nie udawaj pierwszej naiwnej. A Magda ma rację. Bielizna i czerwona pomad-ka zrobią swoje.

- No - podchwyciła. - Moja przyjaciółka wiecznie powtarzała, że kobieta zawsze powinna mieć przy sobie dwie rzeczy - odczekała dla lepszego efektu - czyste majtki i czerwoną pomadkę.

- Masz? - Renata spojrzała na nią znad książki.

- Zawsze!

- I w czym ci to pomogło? - trochę kąśliwie zapytała Zosia.

Magda tylko lekceważąco wzruszyła ramionami i zbyła tę uwagę. Przykucnęłam przy otwartej szafie i nie chciałam wstawać, bo czerwona byłam jak szturmówka na pierwszego maja albo ta wspomniana pomadka, i wstydziłam się z tym zdradzać. Ale tak po prawdzie po to właśnie do szafy poszłam. Postanowiłam już dłużej nie kombinować. Siadłam ciężko i rozłożyłam bezradnie ręce. Miałam problem znacznie większy niż wybór stosownej bielizny.

- Co ja powiem Kasi? Że co, muszę nagle wyjechać z jej ojcem? - zaczęłam zastanawiać się na głos. Nie lubiłam kłamać.

- Już ty się o nią nie bój. Nie pojedzie z wami -Zosia uspokajająco machnęła ręką.

- Skąd ta pewność?

- Oj, babo! - westchnęła - bo wyjazdową randkę zaliczyła już dużo wcześniej niż ty - pokiwała głową z politowaniem. -1 nie rób takich wielkich oczu.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nagle poczułam się jak matka odpowiedzialna za ich dwoje. Ostatnio ich usynowiłam, jeśli w przypadku dziewczyny można mówić o usynowieniu. Wyjazdowa randka jakoś mnie nie zdziwiła, nie zapomniałam jeszcze, jak to jest być młodym, choć ostatnimi czasy życie bardzo mi ciążyło. Z tym już jednak koniec. Po drzeniu serca nabrałam pewności, że do starości jeszcze nieco mi brakuje.

- Czy to nie głupie, że szykuję się jak smarkata?

- Ani trochę - Magda głęboko wierzyła w miłość i namiętność do późnej starości - bo pamiętaj, co powiedział mój dziadek.

- Co? - w drzwiach stała Kasia.

- Że na starość drżą nogi - Zosia zbyła ją fragmentem dziadkowej sentencji, a Magda prezentowała promienny uśmiech. Jak one to robią? Żadnego zmieszania.

- Aaa, to - pokiwała głową i zabrała się do przygotowywania kawy. - Komuś kawki? Może tobie, Ewa?

- Nie, dzięki - odmówiłam szybko, nie dlatego, że nie miałam ochoty... zawsze mam, ale bałam się, że będę musiała wypić ją z Kasią, a speszona byłam do granic. Oczy uciekały mi po kątach, zupełnie jak język, a to nie wróży niczego dobrego.

- O czym gadałyście? - Kasia oparła się o szafkę pod czajnikiem, zerkała ukradkiem w lustro i w tej

pozycji postanowiła poczekać, aż woda się zagotuje. No ładnie! Co jej odpowiedzieć?

- O podróżach - szybko odpowiedziała Renata.

- Ale co? - dociekała.

- Że kształcą - dalej ją zbywała.

Kasia śmiała się, zalewając sobie kawę. Lała wodę cienką stróżką, a w kubku wznosiła się czapeczka z pianki. Zapach napoju bogów rozchodził się po pokoju i coraz bardziej się łamała. Jak powiedzieć córce, że mam randkę z jej ojcem? Jak jej powiedzieć o wyjazdowej randce?

- Tato mi mówił, że zabiera cię na randkę - usłyszałyśmy nagle. Powiedziała to zupełnie zwyczajnie, oblizując łyżeczkę z kawowej pianki. Dobrze, że siedziałam na podłodze, bo z całą pewnością padłabym przy tej szafie. Dziewczyny nagle zaczęły robić różne rzeczy, jakby pilnie musiały coś dokończyć. Rena wróciła do książki, Magda zaczęła czesać włosy, a Zosia jak zwykle układała ubrania w swojej połowie szafy. I wszystkie śmiały się ukradkiem, zapewne z mojego zakłopotania. Zaczęłam przekładać rzeczy w szafie, bojąc się spojrzeć na Kasię. - Włóż ten turkusowy komplet, może ci się przyda - podpowiedziała mi. - Ładna bielizna to połowa sukcesu.

Zosia znów przyłożyła głowę o szufladę, Magda o mało nie zdarła sobie skalpu, a Renata z hukiem zatrzasnęła książkę i zaczęła się głośno śmiać.

- Co? - Kasia zrobiła zdziwioną minę. - Powiedziałam coś nie tak?

- Konspiratorki od siedmiu boleści - Renata kiwała głową i teraz śmiały się już wszystkie. - Ewie głupio było się przyznać, że Maciej zabiera ją na wycieczkę.

- To teraz nazywa się to wycieczką? - Kaśka śmiała się nam w oczy i pytając, zaakcentowała „to”. Rozbawiona była do granic. Dotąd tylko się nam wydawało, że nie

interesuje się naszymi pogaduchami, ona zaś doskonale wiedziała, co w trawie piszczy. - Aaa... podróże? -uśmiechnęła się znacząco.

- A ty gdzie wyjeżdżałaś z Maurycym? - Zosia gramoliła się z podłogi.

Kasia powoli dolewała mleko do kawy, zamieszała, wzięła kubek, i odwracając się już w drzwiach, powiedziała: - Jak to gdzie? Na wycieczkę! - wzruszyła ramionami i wyszła z zaczepnym uśmiechem. Kiedy zamknęły się za nią drzwi i przestałyśmy się śmiać, już nie przejmowałam się i bezceremonialnie wyjęłam z szafy turkusowy komplet.

- Widzicie, jakie te młode są pyskate - składałam moje dwa swetry i mamrotałam pod nosem, zupełnie jakbym zrzedziła na niesforną córkę i całkiem było mi z tym dobrze. Nie myślałam tylko, że moja przygoda z matkowaniem zacznie się od wybierania mi przez córkę bielizny... żeby uwieść jej ojca. Zakręcone? Może trochę, ale tu w pałacu nerwusów nic nie jest takie, na jakie wygląda.

Maciej przyjechał zaraz po obiedzie i przywiózł Kaśce farby, o które prosiła. Potem rozsiadł się na kanapie i czekał. Ręce mi się trzęsły, gdy poprawiałam skromny makijaż, bo Zosia uparła się, że mnie umaluje. A ja nigdy nie umiałam sobie z tym poradzić. Kiedyś umalowała mnie Gertruda, nawet ładnie, ale spojrzawszy w lustro, miałam wrażenie, że patrzy na mnie obca kobieta. Nie podobało mi się to. Teraz w dżinsach, w jednym z moich dwóch swetrów i w turkusowej bieliźnie wyszłam na spotkanie przeznaczenu. Moje przeznaczenie siedziało na kanapie i rozmawiało z Markiem. Rzadki to widok, Marek rozmawiał głównie ze sobą, papugami i czasami ze mną. Przy czym ze mną najrzadziej.

- Możemy jechać - stanęłam przed nimi z kurtką w ręku. Maciej podał rękę Markowi, ten ją uścisnął, co wprowadziło w zdumienie siedzącego w fotelu Czesia.

- Tylko wróć - odezwał się Marek. - Nie mogę zajmować się wszystkim - pokiwał głową, po czym wsłuchał się w sączącą się z radia muzykę.

- Wróć - rzuciłam obietnicę w powietrze. Wyszliśmy przed pałac i skierowaliśmy się do auta.

Popołudnie było ładne, jeszcze trochę świeciło słońce i już zupełnie wyraźnie pachniało wiosną. Wczesną, ale jednak.

- Lubi cię ten Marek - powiedział Maciej, kiedy już zapięliśmy pasy w samochodzie.

- Kogo, mnie? - zdziwiłam się. - Zdaje ci się.

- Jak to? Przecież mówił, że często z tobą rozmawia

- patrzył na mnie z boku, jak mi się wydawało z cieniem zazdrości. Czyżby przypisywał Markowi cechy tuzinkowego faceta? Marek nie jest taki jak wszyscy, jest niezwykły.

- Ze mną? To czemu o tym nie wiem? - zaśmiałam się, ale przez głowę przemknęła mi myśl, a może raczej pragnienie, żeby częściej zwracać uwagę Marka, bo te nieliczne wymiany słów wprowadzały mnie w dziwny stan. Wracała mi wiara w ludzi, w ich rozsądek, mądrość i pragnienie szczęścia. - Widać, jakoś mi to umknęło.

- Kłamał?

- Eee, pewnie nie. Może mu się tylko tak wydawało

- wzruszyłam ramionami. - Chociaż, biorąc pod uwagę jego zwyczajowe rozmówczynie, to może rzeczywiście ze mną rozmawia najczęściej.

Od pewnego czasu ciepło myślałam o moim szalonym koledze. Skoro Maciej z rozmowy wywnioskował, że Marek mnie lubi, musiał dobrze się o mnie wyrażać. Całe szczęście, że napatoczył się temat Marka, bo moment był nieco krępujący. Z zapiętymi pasami czeka-

łam, co zaproponuje, a on pewnie nie wiedział, jak się do tego zabrać. Zapuścił silnik i spojrzał na mnie.

- To co? Dokąd mogę cię porwać? - zapytał wreszcie.

- A miałeś jakieś plany?

- A jeśli miałem? - odpowiedział pytaniem na pytanie i uśmiechał się przekornie. Oczy błyszczały mu jak gwiazdy i pachniał nieziemsko. Dawno już nie czułam z bliska tak męskiego zapachu. Całe wnętrze auta przesiąknięte było zapachem dobrej wody toaletowej, nie jak w aucie Ericha dymem papierosowym. Jaki feler ma ten gość? Co jest z nim nie tak? Dlaczego szuka kobiety u czubków? Nie. Wcale nie chcę tego wiedzieć, nie chcę odkryć prawdy, boję się. Póki co, dam się porwać namiętności, teraz ona bierze górę. A niech tam!

- Zdaję się na ciebie - spojrzałam mu prosto w oczy. - Tylko odstaw mnie potem na miejsce. Marek będzie mnie szukał - uśmiechnęłam się zaczepnie.

Ruszył. W bramie wyjazdowej minęliśmy Zośkę i Jurka. Zośka stanęła i tym swoim wszechogarniającym uśmiechem życzyła mi dobrej zabawy. Co do zabawy to nie wiedziałam, jak będzie, ale nowych, ekscytujących wrażeń byłam pewna. Dla Zośki to też zupełnie nowe doznania. Nie ma dziewczyna lekkiego życia i Jurek jest dla niej obietnicą nowej przyszłości. Jurek... trochę ojciec, w końcu Zośka jest od niego sporo młodsza, i trochę partner. A może wcale nie tak trochę? Może Jurek jest dla niej szansą na normalne życie? On po przejściach, z odchowanyymi już dziećmi, ustawiony życiowo, dowcipny, szarmancki i z apetytem na życie. Ona z pooraną przez rodzinę psychiką i choć się do tego nie przyznaje, szukająca ciepła i miłości, której nigdy nie zaznała. Kiedy zorientowałam się, że coś dzieje się pomiędzy nimi, zaczęłam się zastanawiać, czy Zośka nie szuka w nim ojca, który paskudnie traktował jej matkę i pozostałe

dzieci, bo ją wyraźnie oszczędzał. Może szukała czułości i bliskości, za którą tęskni? Jest szansa, że to się uda, tym bardziej że chemia zadziałała. Na razie panowała krępująca cisza i upewniała mnie, że obojgu nam było równie dziwnie.

- Zaczniemy od kolacji, zgoda? - spytał, choć pewnie już wszystko zaplanował. I dobrze. Przy jedzeniu można się dużo o człowieku dowiedzieć. Nie tylko jakie ma upodobania kulinarne i czy wie, do czego służy ten nieszczęsny mały widelczyk, ale wspólny posiłek to okazja do rozmowy. W domu wujostwa zawsze jadaliśmy razem i każdy posiłek był tak samo celebrowany. Nie znaleźliśmy pojęcia jedzenia w pośpiechu, bo wuj Johan wyznawał zasadę, że lepiej nie jeść wcale, niż łykać w biegu jak stado wygłodniałych kaczek w stawie. Stół jest w naszym domu ważnym meblem, jeśli nie najważniejszym. Co prawda nie wiem nic o hierarchii mebli w wujostwa sypialni, ale to nie moja sprawa. Stół i tak jest najważniejszy. Każde z nas ma tam swoje miejsce i nie ma w tym żadnej przypadkowości. Jako że stół jest okrągły i nie ma przy nim miejsca wskazującego na głowę rodziny, wujek zawsze siada twarzą do drzwi, a my z ciocią po jego dwóch stronach. Nawet kiedy przyjmujemy gości i rozkładamy stół, miejsc nie zmieniamy, a goście to zawsze respektują. Przy śniadaniu rozmawiamy o planach na dzień, zaś przy późnym obiedzie o tym, co udało się zrobić, co fajnego spotkało nas w ciągu dnia, a co nas wkurzyło. Wszystko sobie mówimy, wyjaśniamy, żeby żadne niedopowiedziane historie nie uwierały duszy. No, chyba że jest to nowy zakup cioci Uli, ale te rozmowy rządzą się odrębnymi prawami. W pewnym momencie zrozumiałam, dlaczego ciocia Ula nigdy nie wspomina przy stole o swoich domowych inwestycjach. Ta gra toczy się poza stołem. Lubię te nasze posiłki pełne zrozumienia, ciepła, miłości, otwartości i troski o resztę

rodziny. Stół jest jak konfesjonał, jakoś nie da się przy nim niczego ukryć.

- Chętnie. Nie jestem wybredna, ale szpitalnego jedzenia mam już zdecydowanie dosyć - ucieszyłam się z perspektywy dobrej kolacji, jednak zastanowiło mnie to... „zacznijemy”. Nie, żebym nie wiedziała, że ciąg dalszy nastąpi, ale zastanawiałam się, gdzie nastąpi. Głupio się czułam, wiedząc, że oboje spodziewamy się dalszego ciągu i było to zdecydowanie widać. Skrępowane uśmiechy, pełne oczekiwania gesty i wstrzymywany oddech. Nie potrafiłam się od tego uwolnić, a nie były to oznaki moich problemów z nerwami. Powiedziałabym nawet, że to dziwne podniecenie było oznaką zdrowienia, bo bardzo dawno nie czułam się podobnie. No, może jak kupowałam mój wymarzony sekretarzyk, ale to była zaledwie namiastka tych ekscytujących dreszczy i kumulowały się w nieco innym miejscu. Maciej zachowywał się podobnie. Boże mój, pomyślałam, że jeszcze zdążę być szczęśliwa, jeszcze zdążę odnaleźć swoją drogę, jeszcze nie jest za późno. Widziałam zmieszanie Macieja i było mi z tym bardzo dobrze. - To dokąd jedziemy?

- Zobaczysz.

Po kilkudziesięciu minutach jazdy zobaczyłam piękny dom o nowoczesnej bryle, otoczony precyzyjnie przemyślaną roślinnością. Przemyślaną i zadbaną. Pomimo zimy, a raczej już przedwiośnia, iglaki i rośliny zimozielone prezentowały się okazale. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że Maciej dba o nie sam.

- Sam dbasz o ogród? - jednak spytałam, próbując ukryć w ten sposób zmieszanie. Podejrzewałam, że przywiezie mnie do swojego domu.

- Nie - zaprzeczył równie szybko. - Nie mam o tym pojęcia. Ogrodem zajmuje się wynajęta firma. Jak zresztą innymi problemami w domu. Bez pomocy fachowców nie poradziłbym sobie.

- Szczęście, że teraz bez trudu znajduje się pomoc -podtrzymałam rozmowę, kiedy pomagał mi wysiąść. Jakoś głupio się czułam, znając cel tej wyprawy.

Dom wewnątrz był równie nowoczesny. Trochę to nie moje klimaty, ale nie wszyscy muszą lubić to samo. I szczęście, że tak jest, bo nie ma nic gorszego niż całe stada krótko ostrzyżonych blondynek, bo taka właśnie panuje moda, skórzana kanapa w każdym domu, choć latem skóra lepi się do ud, a zimą ziębi. Ale cóż, jeśli nagle wszystkim podoba się to samo. Straszne. Nowoczesny styl pasował do architekta i żony o tej samej profesji. Futurystyczne kształty mebli, nowoczesne rzeźby... pewnie znanych artystów, prezentowały się nadzwyczaj dobrze w jasno oświetlonym wnętrzu wielkiego salonu.

- Czuł się jak u siebie - zachęcił i sięgnął po moją kurtkę, w której drżącymi z emocji dłońmi o mało nie rozerwałam zamka.

- Ładnie mieszkasz - rozglądałam się i zastanawiałam, czy polubiłabym taki styl. Za wysokim, lśniącym blatem była również lśniąca, nowoczesna kuchnia. Szaro-czarne meble nie przypominały kuchennych, a czerwone elementy na podłodze zupełnie odwracały uwagę od kulinariów. Jednak były. Na czarnym blacie stały patery ponakrywane srebrnymi kloszami, smukłe kieliszki i szampan w kubelku. Butelka czerwonego wina i stosowne kieliszki. Zupełnie jak w filmie. Maciej zaczął krzątać się po kuchni, stukał pokrywkami garnków i ciężko wzdychał. - Co się dzieje? - zaniepokoiłam się.

- Nic złego - zaczął - tylko pani Zofia przygotowała nam kolację na ciepło, a ja chyba nie będę umiał jej podgrzać - zdawało mi się, że rzeczywiście przejmuje się tą kolacją. - Tłumaczyła mi, co mam zrobić, ale mało uważnie słuchałam.

- Mogę? - weszłam za blat, jakbym przekraczała jakąś granicę. Bo pewnie tak było. Zawsze uważałam,

że gotując wspólnie z mężczyzną, przełamuje się pewną barierę. Jak wspólne jadenie przy stole buduje więzi rodzinne, tak wspólne gotowanie wdziera się już w sferę intymną. Dopasowywanie gustów kulinarnych, kompromisy smakowe, próbowanie, oblizywanie tej samej łyżki, a czasami palca, gaworzenie do siebie bez spoglądania w oczy... pomiędzy garnkiem a patelnią. Zawinięte rękawy, odsłonięte nadgarstki, umazane sosem usta, rozgrzane od ciepła kuchni ciała.

- Już się bałem, że się nie domyślisz - odetchnął i uśmiechnął się chytrze. Podciągnęłam rękawy swetra i podeszłam do kuchenki. W stalowym garnku była zupa gulaszowa, pachniała apetycznie. Tyle tylko, że po szpitalnym jedzeniu wszystko smakować mi będzie jak ambrozja. W piekarniku czekały przygotowane do odgrzania dwie bagietki. - Prosiłem panią Zofię o coś prostego, żebym umiał to zrobić, nigdy nie zajmowałem się gotowaniem - tłumaczył się. - Możesz doprawić do smaku według swojego uznania.

- Lubisz na ostro? - spytałam i poczułam jak purpura wykwitła mi na twarzy.

- Czasami... - uśmiechał się znacząco i doskonale wiedziałam, że nie chodzi mu o gulasz. Miał niezłą zabawę z mojego skrępowania, tym bardziej że zaczęłam tłumaczyć się gorącem i uciekałam wzrokiem do wnętrza garnka. - Gorąco tu.

- To zdejmij sweter - powiedział jakby nigdy nic i, nie czekając na moją reakcję, podszedł do mnie z tyłu. Wyjął mi z ręki drewnianą łyżkę, odłożył ją na blat i chwycił za dół swetra. Mojego, rzecz jasna. Potem, powoli unosząc go w górę, wyzwalał mnie z niego, a mnie robiło się jeszcze cieplej. Ale to zdecydowanie nie od zupy. Ani od piekarnika. - Boże mój - pomyślałam - wszystko działa jak w młodości. - Z każdym

odslaniającym się centymetrem ciała wzmagało się moje podniecenie. Zostałam w czarnej koszulce, spod której wylaniały się ramiączka turkusowego stanika z fioletowymi kryształkami. Odłożył sweter na blat i stanąwszy za mną, wziął łyżkę.

- Pomogę ci - szepnął mi do ucha i oplótł mnie ramionami. Wszystkie włoski na karku stanęły mi dęba, a po plecach przebiegł rozkoszny dreszcz. Poczułam nagle, jakby w jego objęciu zaczął rodzić się mój świat. Świat, o jakim dotąd tylko nieśmiało śniłam. Bałam się marzyć o takiej bliskości, ponieważ po wszystkim, czego w życiu doświadczyłam, sądziłam, że o takich uczuciach mogę co najwyżej poczytać w książkach. Ale to działo się na jawie. Zaczęliśmy wspólnie mieszać w garnku, a zapach podgrzewanych pyszności rozchodził się po jego nowoczesnej kuchni. A może to nie zupa tak pachniała? - Tam są przyprawy - wskazał na szafkę obok kuchenki. Wspięłam się lekko na palce i sięgnęłam. Zaczęłam wybierać słoiczki i kiedy znów mnie objął, nie miał już na sobie koszuli. Dotyk jego nagich ramion przyprawił mnie o takie drżenie, że już nawet nie wiedziałam, co drży mi bardziej. Serce, żołądek, ręce... bo z całą pewnością nie nogi. Te miałam jak z waty.

- Maciej - zaczęłam cicho, choć nie wiedziałam, co chciałam powiedzieć. Wydawało mi się jednak, że coś powinnam, bo ta pełna namiętności cisza strasznie mnie krępowała.

- Co? - mruczał bardziej niż mówił, całując mój kark.

- Już nic - ciarki biegające po plecach i przechodzące w łaskotanie w dołku już nie pozwalały mi mówić. Wstydziłam się spojrzeć na niego, a bardzo chciałam. - Spróbujesz? - odwróciłam się w dość ciasnym uścisku i spojrzałam w górę. Podsunęłam mu łyżkę i nie

poznałam tych oczu. Były pełne żądz i pragnienia, niecierpliwości i oczekiwania. Dzikie. Polizał łyżkę, nawet na nią nie spoglądając.

- A ty próbowałaś? - kiedy chciałam się odwrócić, zebrał z niej resztę gęstej zupy i kciukiem zaczął rozcierać mi ją na wargach. Potem nachylił się i zaczął mnie namiętnie całować. Drżenie z okolic żołądka schodziło coraz niżej, do tego drugiego dołka, i po chwili byłam rozgrzana jak ta zupa. Niechcący oparłam się o szafkę, dłonią natrafiłam na łyżkę i ubrudziłam palce. Rozpaczliwie zaczęłam szukać jakiejś ściereczki, jednak okazała się niepotrzebna. Maciej chwycił moją dłoń i zaczął ssać moje palce jeden po drugim. Myślałam już tylko o tym, jak pozbyć się uwierających mnie ramiączek turkusowego stanika. Nagle nic nie było mi potrzebne i wszystko zdawało się być za ciasne. Nie musiałam długo się z tym męczyć, bo zgrabnie wyswobodził nas z reszty ciuchów. Płatanina ramion, gorące oddechy i rozpaczliwe szukanie podparcia dla omdlewającego w rozkoszy ciała. Wszystko to sprawiło, że przestałam myśleć o jakichkolwiek zasadach bezpieczeństwa przy gotowaniu. Nie przejmowaliśmy się gorącą zupą, kiedy posadził mnie na blacie szafki, tuż obok naszej kolacji. Zapomnieliśmy o jedzeniu, gotowaniu i przyprawianiu. Zupy nie musiałam już próbować, przyprawiłam ją na ostro. Zdecydowanie. Okazało się, że stół w jadalni też pełni bardzo ważną rolę. Kto wie, czy nie podwójną? Tego jednak już nie sprawdziliśmy, bo kolację zjedliśmy, siedząc przy kominku... na podłodze.

Do szpitala wróciłam, kiedy dziewczyny, popijając melisę, szykowały się do snu. Wszystkie z wyjątkiem Magdy. Ta nie musiała się nastrajać na noc. Sen mia-

ła zawsze tuż pod powiekami, co zwykle zapowiadała głośnym ziewaniem, a zaraz potem chrapaniem, zanim jeszcze przyjęła pozycję horyzontalną. Ziółka jednak popijała, choć tylko dla towarzystwa. Kaśka jeszcze siedziała w pracowni.

- Już wróciłaś? Co się stało? - zaniepokojona Zosia patrzyła na mnie wielkimi oczami. Patrzyły na mnie wszystkie, bez wyjątku.

- Co się miało stać? - wzruszyłam ramionami. - Myślałyście, że nawieję?

- Myślałyśmy, że wrócisz jutro - sprostowała Magda. Patrzyła na mnie, wstrzymując nieświadomie oddech. - Jak było?

Wzięłam z szafki kubek i zaczęłam parzyć ziółka. Specjalnie celebrowałam jak japońska gejsza nie dlatego, że chciałam trzymać je w niepewności, tylko zwyczajnie nie wiedziałam, jak się zachować. Wciąż śledziły każdy mój ruch.

- Fajnie - zaczęłam mamrotać. - Romantycznie - powiedziałam nieco odważniej. - Bosko - westchnęłam i odwróciłam się do nich, nie skrywając już uśmiechu. Magda pokiwała głową ze zrozumieniem i może z odrobiną zazdrości.

- To dobrze, że nie dała ciała - wreszcie wyraziła swoje obawy. Pomyślałby kto, że zależy jej na mojej satysfakcji.

- Ona dała - Renata nie owijała w bawełnę.

- Renata - strofowała ją Magda - więcej romantyzmu i magii. Nie psuj wrażenia-jednak szybko dopytała: - Bielizna mu się podobała?

- Nie wiem - wzruszyłam ramionami jakby od niechcienia. - Nie zapamiętałam tego fragmentu.

- No jasne - Renata zaczęła wyklądać swoje teorie - a mówią, że to faceci jak zobaczą kawałek nagiego ciała, to zapominają o reszcie świata.

- To twoja wina - rzuciłam oskarżenie. Renata patrzyła na mnie zdziwiona, więc dokończyłam. - Ty kazałaś mi myśleć o tym, jaki może być w łóżku.

- Ale... myśleć! Nie musiałaś zaraz sprawdzać -przekomarzała się, zadowolona z siebie, że znów się nie pomyliła.

- Aaa, bo mnie zaintrygowałaś - machnęłam ręką.

- No i jaki jest? - Zosia pytała, nie zważając na moje zmieszanie.

- Nie wiem - siadłam do stołu i zaczęłam dmuchać w kubek, sprawiając, że opary i zapach melisy znów rozścieliły się w pokoju. Nie zadziałał uspokajająco, no może tylko na Magdę, ale nie ma gwarancji, że akurat ona tego potrzebowała. Ziewała jak hipopotam, od kiedy wróciłam. Patrzyły na mnie bez ukrywania zainteresowania i zniecierpliwienia - nie doszliśmy do łóżka - dokończyłam i zaraz zobaczyłam na ich twarzach grymas zawodu, u Magdy zaś wyraźnie była to mina pełna zainteresowania i oczekiwania. Chyba tylko ona jedna domyślała się, że łóżko nie było w tym wszystkim takie istotne.

- No ładnie, kochana, ładnie - Magda z uznaniem pokiwała głową, odsunęła gazetę, zatarła dłonie i nagle bardzo się ożywiła.

- No - przytaknęłam nieco rozmarzona i uśmiechnęłam się na znak, że się z nią zgadzam, lecz nie zamierzam już dłużej na ten temat mówić.

- Nie rozumiem - bąkała Zosia.

- Bo za młoda jesteś - machnęła ręką Renia, którą nagle olśniło i zachichotała. - Podrośniesz, to zrozumiesz. Ale nie martw się, po minie widać, że wszystko było jak należy.

Nagle do pokoju weszła Kaśka, spojrzała na nas rozbawiona, przenosząc zaciekawione wejrzenie to na jedną, to na drugą.

- Już po relacjach?

Zacząłyśmy wzruszać ramionami, jakby nic się wydarzyło. Kasia uśmiechała się lekko. Pewnie dopiero teraz zorientowała się, że już znacznie wcześniej Maciej był obiektem zainteresowań i niewybrednych dociekań. Uśmiechałam się bezwiednie i nic nie mogło wymazać mi tego uśmiechu z twarzy. Płynął on bowiem z głębi duszy, gdzie korzeniami sięgał głęboko ukrytych pokładów spokoju i szczęścia. Szczęścia, które każdy człowiek nosi w sobie, czasami przywalone troskami i bólem, ale warto znaleźć siłę i dokopać się do tego skarbu. Warto szukać powodów do tego wysiłku, żeby potem poczuć ogarniające duszę ciepło, błogość i spokój.

- To rozumiem, że wycieczka się udała? - Kaśka pozbierała puste kubki ze stołu i z dziwnym uśmieszkiem wyszła do łazienki.

Jasne, że wycieczka się udała. Przed snem długo jeszcze myślałam o Macieju, rozpamiętywałam każdą chwilę, każde muśnięcie warg, każdy dreszcz rozkoszy i wyszeptane do ucha słowo. Wciąż czułam, jak włoski jeżyły mi się na karku i omdlewające ciepło spełnienia rozlewało się po całym ciele. Nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek czuła się podobnie. Może do tego trzeba dorosnąć, dojrzeć? A może trzeba trafić na tego jednego, jedyne? A może długi post był przyczyną? Nie, to nie ten poziom hormonów. Buzujące hormony raczej mam za sobą. Co to więc było? Może to ta wielka namiętność, o jakiej dotąd tylko czytałam? Czas pokaże. Nie śmiałam marzyć o przyszłości, ale chociaż przeszłość przestała mnie obchodzić. I co, że siostra chce mnie kolejny raz okraść, i co, że pomimo mojej niewinności skazała mnie na banicję pewnie już na zawsze. Mam swoje życie, skrajnie różne od jej egzystencji. Mam pracę i przyjaciół, mam rodzinę. Mam Kaśkę, Maurycego i moje wariatki. No i mam Macieja. Dzikiego Macieja.

Dopiero przed samym zaśnięciem zdałam sobie sprawę, że nie słyszałam chrapania Magdy. Nie spała? Myślała o swoim życiu, może marzyła o Waldku? A może umarła? Nie było innej opcji. I tak zatroskana sama odpłynęłam.

*

Zima zmieniła się w nieśmiałe przedwiośnie. Pośniegowego błota było coraz mniej i tylko rano, kiedy wybierałam się na wczesną przebieżkę, skrzypiało pod butami, co świadczyło, że jeszcze w nocy są lekkie mroziki. Ale już około południa błoto znów stawało się błotem, jednak coraz szybciej we wznoszącym się wciąż jeszcze nisko na niebie słońcu znikało. Biegłam wzdłuż wałów i zastanawiałam się, czy nie będzie brakować mi tych widoków, bo już bardzo płytko pod skórą czułam, że mój pobyt w pałacu nerwusów dobiega końca. I wcale nie napawało mnie to radością. Może dlatego, że trochę obawiałam się utraty nowych przyjaźni, bo że odległość jest dla nich zabójcza, nie ulegało wątpliwości. Będzie brakować mi wariatek spod trzydzieści pięć, zatroskanych spojrzeń siostry oddziałowej, pogawędek z psycholożką Agatą i karcianych potyczek na wygniecionej kanapie. Ale najbardziej bałam się utraty Kaśki i być może Macieja. Wszyscy, których tu poznałam, powoli się żegnali. Dziś na codziennym spotkaniu pacjentów z personelem medycznym żegnały się nasze sąsiadki zza ściany, torebkowe damy. Bardzo rzadko znajduje się chętny, który chce powiedzieć kilka słów na odchodne. Ale oczywiście damy w papuciach zawsze miały coś do powiedzenia i tym razem nie mogło być inaczej. Kiedy starosta grupy zachęcił do kilku słów pożegnania, te wstały i podziękowały za opiekę. To było bardzo miłe i zawsze zastanawiałam się, dlaczego inni tego nie robią. Tych kilka słów podziękowania to prze-

cież minimum wdzięczności, którą powinno się przecież jakoś wyrazić. Ale nie byłyby sobą, gdyby nie dodały czegoś jeszcze.

- Cieszymy się, że w szpitalu przeprowadza się remonty, wymieniane są okna i naprawia się dach. Trzeba jeszcze pomyśleć o wymianie kanalizacji, bo w łazience na samej górze wciąż nie leci woda w spłuczkach.

Ordynator spojrzawszy pytającym wzrokiem na siostrę oddziałową, a ta zaraz wzrokiem odszukała naszą gromadkę. My oczywiście zachowałyśmy kamienne twarze, ale reszta mieszanek naszego piętra chichotała. Wtedy oddziałowa parsknęła śmiechem. Reszta pacjentów rżała jak stado rozochoconych ogierów, a ordynator robił coraz większe oczy.

- Coś mnie ominęło? - zapytał rzeczowo. - Jakaś awaria, o której nie wiem?

- A nie, nie - siostra uspokajająco poklepywała go po przedramieniu - wszystko w porządku panie ordynatorze.

- To o co chodzi? - próbował dowiedzieć się czegoś pomiędzy kolejnymi wybuchami śmiechu i pytającym wzrokiem domagał się wyjaśnień od siostry oddziałowej.

- A nic, to taka zbiorowa terapia.

- Aaa, chyba że tak - pokiwał głową uspokojony, ale zaraz dziwnie spojrzawszy na nas i już rozbawiony pogroził nam palcem. Zupełnie nie rozumiem, jak wpadł na to, że w jakiś sposób przyczyniliśmy się do tej sceny zbiorowej wesołości. Nasze sąsiadki zza ściany siadły na krzesłach i spoglądały jedna na drugą, nie rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi. Dopiero wychodząc z sali balowej, rzuciły Renacie pełne wściekłości spojrzenie. Ktoś musiał im wreszcie powiedzieć, że przez ponad dwa tygodnie niepotrzebnie ganiały z miskami. I całą terapię szlag trafił! Ale zabawa była przednia. Będzie mi tego brakowało.

Na brzegu jeziora, gdzie wydarzyła się tragedia, wciąż palą się znicze. Kto je tu przynosi? Rodzice dziewczyny? Przyjaciele? A może jej chłopak? Nie, nie on. Jak szpitalna plotka niesie, to student, który tu już nie mieszka. Nie był nawet na nabożeństwie żałobnym, bo pogrzebu nadal nie było. Biedna dziewczyna. Mieszkała w miejscu, gdzie jest szpital neuropsychiatryczny, a straciła zmysły i odebrała sobie życie. Co za ironia losu! Dlaczego ludzie tak bardzo wstydzą się problemów z psychiką? Czy jeszcze wciąż pokutuje przeświadczenie, że tylko wariaci chodzą do psychiatry? Może tak. Moja siostra potwierdzała to swoimi obawami i zażenowaniem, kiedy zmuszona była mnie odwiedzić. Ja już przyzwyczaiałam się do zgoła innego rozumowania. No bo jak miałam myśleć inaczej? Ponad dwadzieścia lat mieszkam pod jednym dachem z psychiatrą. Przez ten czas był moim rodzicem, opiekunem, lekarzem i wraz z ciocią stał się najlepszym przyjacielem. Kłopoty z osobowością i nerwami traktował raczej jak choroby duszy. Przynajmniej tak to odczytywałam. Jednak jak chorą trzeba mieć duszę, żeby skazać ją na wieczne potępienie? Jak bardzo trzeba cierpieć, żeby nie móc już tego dłużej znosić? Trudno było mi to zrozumieć, bo z pomocą wujostwa uporałam się ze swoim strasznym cierpieniem. Ona nie miała tyle szczęścia albo odwagi, żeby poprosić o pomoc. Szkoda.

Moje codzienne przebieżki zaprocentowały niezłą kondycją. Biegając już dobre pół godziny, nie czułam nawet odrobiny zmęczenia. Coraz częściej skręcałam do parku, ale ciągle starannie omijałam poletka z wiosennymi niespodziankami. Niby już nie paraliżowały moich ruchów, jednak ciągle nie pałam do nich sympatią. Za to zapalałam sympatią do Joli z kwiaciarni i do

fryzjerki, która pomogła mi przedzierzgnąć się w kogoś innego. A raczej wrócić do własnej skóry. Już nigdy nie dopuszczę do sytuacji, w której dla kogoś przemienię się w obcą sobie osobę. Przypomniałam sobie rozmowę z Reną, która mówiła nam o zgubnych skutkach stawania się kimś, kim się nie jest.

- Nie rozumiem - Renata spojrzała na mnie z ukosa - dlaczego taka kobieta jak ty pozwoliła zmienić się w kogoś zupełnie innego.

- Sama nie wiem - westchnęłam. - Pewnie chciałam mu się podobać.

- Która nie chce - wzruszyła ramionami Madzia. - Człowiek wychodzi ze skóry, żeby sprostać ich oczekiwaniom.

- I błąd! - zawyrokowała Rena. - W ten sposób kobieta pokazuje, że się nie szanuje.

- No, masz rację - Zosia pokiwała głową. - Facet powinien akceptować kobietę taką, jaka jest.

- Nie, Zosiu - Renata spojrzała na nią karcąco -nie masz racji. Facet musi za nią szaleć. Tu spotkałaś się z akceptacją, bo tworzymy swoistą grupę wsparcia. Mężczyzna ma za tobą szaleć. Masz być sobą, a on i tak ma szaleć.

- Ba - sapnęła Madzia - albo to takie łatwe?

- Bardzo łatwe - spojrzała na nią z wyrzutem. -Tylko nie wolno wyrzec się siebie. Jak wiesz, że nie lubi twojej czerwonej pomadki, to i tak jej używaj. Jak usłyszysz, że podobają mu się blondynki, a ty masz włosy ciemne i śniadą karnację, nie pędź do fryzjera. Bo od razu będzie wiedział, że ma nad tobą władzę, a ty zaczniesz sobą pogardzać.

- No, to prawda - westchnęłam i przypomniało mi się, jak unikałam lustra. Może nawet ten sen, w którym nie mam twarzy, też miał coś z tym wspólnego?

- Pamiętajcie - Renia uniosła palec gestem mentora. - Ceńcie się wysoko, a będą myśleli, że wygrali los na loterii.

Jeszcze jakiś czas myślałam o tej nauce i postanowiłam, że nigdy więcej nie chcę widzieć w lustrze kobiety, której nie znam. Teraz znów siebie lubię. Rano witam się z Różą, którą byłam dawno temu i z przyjemnością uśmiecham się do własnego odbicia. Jakbym uczyła się swojego obrazu zupełnie od nowa. Oddycham pełną piersią i jestem szczęśliwa. Boże mój, ja naprawdę jestem szczęśliwa!

MDŁY ZAPACH LILII

Czekała mnie jeszcze wizyta w domu rodziców. Pozostawiłam tam swoje rzeczy, które koniecznie musiałam zabrać. Poprosiłam Maurycego, żeby zanim przyjedzie do Kaśki, poczekał tam na mnie. Zamierzałam spakować resztę swoich rzeczy i do końca rozmówić się z siostrą. Byłam jej to winna, bo do tej pory stosowałam zalecane przez wujka uniki. Rozmówił się z nią mój adwokat, ale prosił, żebym jeszcze potwierdziła jego postanowienia. Lilia nie była z nich zadowolona, więc wizyta nie zapowiadała się na sympatyczną. Jednak musiałam przez to przejść, żeby dokończyć sprawy spadkowe i zrzucić z serca ciężar. Tylko tak mogę definitywnie rozprawić się z przeszłością i taki miałam zamiar. Uwierzyłam bowiem w przyszłość i nabrałam sił, żeby o nią zawalczyć.

- Czym się tak denerwujesz? - mój niepokój nie uszedł uwagi współlokatorek. Widać przez kilka tygodni można się dobrze poznać. - Sapiesz jak lokomotywa. Co jest? - Renata patrzyła na mnie ślicznymi oczami, a od kiedy odwiedziłyśmy wiejski gabinet urody, wyglądała jeszcze ładniej.

- Martwię się spotkaniem z siostrą - nie potrafiłam ukryć rozdrażnienia. - Nie będzie miłe.

- Ale to chyba nie jest dla ciebie żadna nowość.

- Niestety, to już raczej norma - westchnęłam. Nie było miło przyznać, że nie dogadujemy się od dawna. - Nie wiem, jak to zniosę.

- Dasz radę, jesteś silna - Renata poklepała mnie po plecach z uśmiechem, jakim obdarzało się za komuny robotnika, kiedy to jeden robił jak się patrzy, a pięciu patrzyło, jak się robi. - Moja droga - zwróciła się do mnie z chytrym uśmieszkiem - jak zauważyłam, z szantażem

emocjonalnym radzisz sobie doskonale. A przypuszczam, że to jest ulubiona broń twojej siostry. Mam rację?

- Znasz się na ludziach - uśmiechnęłam się smutno i z uznaniem pokiwałam głową.

- To moja praca - wzruszyła ramionami, po czym spojrzała na mnie z boku i po prostu spytała: - Co ona ci takiego zrobiła?

- Ukradła mi życie - patrzyła na mnie w oczekiwaniu na ciąg dalszy, ale chyba czuła, że jeszcze nie pora. - Pewnie wkrótce wam powiem - uśmiechnęłam się przeproszająco - jak już będę gotowa.

Jednak nie byłam gotowa. Jeszcze nie teraz. Najpierw muszę zrzucić z duszy ciężar i rozliczyć się z przeszłością. I z siostrą. Przez te wszystkie lata zadra w sercu tkwiła jak drzazga pod paznokciem i nijak nie mogłam się jej pozbyć. Czasami przestawało boleć i zapominałam o niej na dłużej. Ale wystarczyło obudzić wspomnienie, nieszczęśliwie dotknąć paznokcia i znów stara rana bolała. Już nie krwawiła, ale ból był równie nieznośny i przywodził wspomnienia. Może trzeba było się posypać, bym odrodziła się jak Feniks z popiołów i wstała mocniejsza, wytrzymalsza i z podniesioną głową broniła reszty swojego życia? Muszę wreszcie wydłubać tę drzazgę i cieszyć się przyszłością. Przyszłością, na którą bardzo liczyłam. Bez żadnych drzazg. Bez bolących okruchów starego życia. I pewnie już bez siostry.

Do domu rodziców zawiózł mnie Maciej. Pomimo mojego zdenerwowania całą drogę uśmiechał się tajemniczo i próbował zagadywać, żebym tylko nie myślała o czekającej mnie potyczce. A że takowa będzie, byłam pewna. Maciej też o tym wiedział, choć jeszcze nie wspomniałam o tym słowem.

- Może pójść tam z tobą - zapytał w końcu.

- Nie ma takiej potrzeby. Nie lubimy się z siostrą, ale przecież mnie nie zje - zaśmiałam się z przekąsem. -

Co chciała zrobić podłego, zrobiła ponad dwadzieścia lat temu. Bardziej już nie może mi dokuczyć. A całą robotę i tak zrobił za mnie prawnik. Ja muszę tylko pozbierać swoje rzeczy i grzecznie pożegnać się z rodziną - zaczęłam udawać rozbawienie. Nie chciałam, żeby szedł ze mną, bo mógłby stać się świadkiem niemiłych scen, a zależało mi na dobrym wrażeniu. Kłótnia z Lilią z całą pewnością by je zatarła, choć uczestnictwo w tej rozgrywce wszystko by mu wyjaśniło. Jeśli będzie trzeba, zrobię to sama. Później. Dużo później. Kiedy wysiadłam z auta, zaraz zauważyła mnie Lilia. Duże okna salonu wychodziły na ulicę i nie mogłam umknąć jej uwadze, zwłaszcza że podjechałam pancernikiem. Ledwie zdążyłam wejść do przestronnej kuchni, zaraz zaczęła wypytywać:

- Co to za samochód?

- Znajomy mnie przywiózł - wzruszyłam ramionami.

- Pytam o markę - sprowadziła mnie na ziemię. Jak mogłam pomyśleć, że może obchodzić ją coś innego niż atrybuty materialne. A samochód naprawdę robił wrażenie. Wielki, czarny, lśniący lexus... chyba. Powiadają, że faceci rozmiarami samochodu nadrabiają niewielkie rozmiary swojego... Cóż, chyba nie zawsze jest to regułą. Ale w końcu wyjątki tylko ją potwierdzają.

- Nie wiem. Nie przyglądałam się - uśmiechałam się do swoich myśli o rozmiarach.

- Nie wiesz, czym przyjechałaś? - nie dawała mi spokoju, a w jej oczach widziałam już ten błysk, jak wtedy, gdy dostawałam lepszą niż ona ocenę.

- Wiem z kim. Auto mnie nie obchodzi - wzdrygnęłam ramionami. - To tylko rzecz.

- Dlatego pożyczyłaś swoje mojemu synowi? - spytała kąśliwie, podkreślając, że jest matką Maurycego. Już nie miałam złudzeń, rozmowa nie będzie miła. - Bo to

tylko rzecz? Czy może chciałaś przeciągnąć go na swoją stronę? - atakowała mnie tonem każdego wypowiedzanego słowa.

- Lilia, daj spokój. Twój syn nie sprzedałby się za samochód - spojrzałam na nią z politowaniem. - Dlaczego tak nisko go cenisz?

- Zabrałaś mi majątek, na który ciężko pracowałam, a teraz próbujesz zabrać mi dziecko! - nakręcała się coraz bardziej. - Adwokat powiedział, że twoja decyzja jest nieodwołalna i nie chciał negocjować.

- Chciałaś zmienić wolę rodziców? - spojrzałam na nią, upewniając się, że nic się nie zmieniła. Wciąż tylko pieniądze, pieniądze, pieniądze.

- Chciałam negocjować - poprawiła mnie. - Rodzice zawsze powtarzali, że która zostanie na gospodarstwie, ta dostanie wszystko.

- Jakoś sobie tego nie przypominam - nie dawałam za wygraną, bo przecież nie mogła brać na poważnie tego, co tato w żartach powtarzał, kiedy jeszcze byłyśmy dziewczynkami. Nie ceniłam zbyt wysoko intelektu mojej siostry, ale nigdy nie przypuszczałam, że nie potrafiła odczytać intencji rodziców.

- Doskonale to pamiętasz. Dlatego znalazłaś sobie rolnika! - początkowo opierała się o szafki w kuchni, teraz jednak nastroszyła się jak kogut przed atakiem.

Boże mój - pomyślałam z przerażeniem - ona wzięła to na poważnie! Nie kochała swojego męża, nie kochała ojca swoich dzieci. Ukradła mi go dla zysku! Zrujnowała moje marzenia, moje życie, moje sny o szczęściu! Dla pieniędzy.

- Lilia! - spojrzałam na nią oniemiała. - Ty ukradłaś mi Jacka, bo liczyłaś na pieniądze rodziców? Zniszczyłaś mi życie dla kasy? - dopiero teraz to do mnie docierało. Myślałam, że zakochała się w nim... to może kiedyś

bym jej wybaczyła. Ale teraz okazuje się, że ona mi go ukradła, bo liczyła na rodzinny majątek. - Ty naprawdę myślałaś, że rodzice skrzywdzą jedną z nas? Że pozwolą, żeby skłóciły nas pieniądze?

- Ogrodnictwo miało być moje! - krzyczała jak rozkapryszona dziewczynka, zupełnie jak w dzieciństwie. Kiedyś to na mnie działało, ale to było dawno. Po terapii wuja Johana jej kaprysy nie robiły już na mnie wrażenia.

- Lilia, powiedz mi - podeszłam do niej i chwyciłam ją za nadgarstki. Chyba spodziewała się ataku, bo nastroszyła się jeszcze bardziej. - Powiedz! Czy ty kochałaś Jacka, kiedy mi go ukradłaś?

- Puść mnie! - syczała i wykręcała się, by wydostać się z mojego uchwytu. - Puszczaj!

- Lilia, powiedz! Kochałaś go? Zrozumiem wszystko. .. jeśli go kochałaś. Powiedz mi.

Rozpaczliwie chciałam usłyszeć, że się zakochała, że był dla niej wszystkim, że nie mogła bez niego żyć. A ona tylko spojrzała na mnie zimnymi zielonymi oczami, w których odbijała się moja rozpacz. Nie. Już nie rozpacz. To było zdumienie. Patrzyła na mnie i widziałam, jak wzbiera w niej nienawiść i... coś jeszcze. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, co to było.

- Zawsze byłaś tą lepszą! Rodzice chwalili się tobą i stawiali mi za wzór. Tato nie widział świata poza tobą, wciąż tylko Róża - krzyczała. - Miałam tego dość!

- Lilia - nie ustępowałam. - Czy ty go kochałaś? -powtarzałam pytanie jak mantrę i nie zwalniałam uścisku.

- Kiedy poszłaś na studia, wiedziałam już, że jesteś dla nich ważniejsza. Studiowałaś i wciąż się tobą chwalili. Też tak chciałam! - już się nie szamotała, tylko stała lekko przygarbiona i robiła wszystko, żeby nie patrzeć mi w oczy. Boże mój! To, co zobaczyłam w jej oczach, to była... zazdrość!

- Przecież ty nawet nie zdałaś matury, zawałaś szkołę! - przypominałam jej. - Jak chciałaś studiować? Indeks też mi chciałaś ukraść?

- Zostaw mnie! - wyrwała się z mojego uścisku i odwróciła do mnie plecami. Już nie miałam siły. Wstrząśnięta przysiadłam na drewnianym krześle i chwyciłam się za głowę.

- Boże, Lilia. Zniszczyłaś mi życie, wygnałaś z kraju. .. dla pieniędzy? - Wciąż nie mogłam w to uwierzyć.

- Czy ty wiesz, co mi zrobiłaś? Czy wiesz, że o mało nie umarłam z rozpacz?

- Zawsze byłaś tą lepszą - żółć wylewała się z niej już bez żadnych przeszkód. Wtedy jeszcze nie mieściło mi się to w głowie. Nie chciałam wierzyć, że moja siostra, z tym samym DNA, jest zupełnie ode mnie różna, że jest moim wrogiem. Może lepiej by było, żeby dzieła destrukcji dokończyła jeszcze przed naszymi narodzinami. Oszczędziłaby mi lat cierpienia. Chyba że to było zamierzone. Chyba że jest aż tak zła, że chciała się delektować niszczeniem mojej duszy. Co tam ciało... kiedy dusza umiera, ciało najczęściej podąża za nią.

- I co, jesteś szczęśliwa? - spojrzałam na nią. Stała odwrócona do mnie plecami i patrzyła w okno, gdzie przez podwórze przechodził akurat Jacek, jej mąż, a mój były narzeczony. Moja miłość, nadzieje, moje szczęście. Moje życie, które mi ukradła. - Powiedz Lilia, jesteś szczęśliwa?

- A co to jest szczęście? - odwróciła się do mnie i zobaczyłam w jej oczach rezygnację.

- Nie wiem - wydułam wargi. - Rodzina, dzieci, spełnione marzenia - wymieniałam po kolei rzeczy dla mnie ważne, które nie stały się moim udziałem. To jednak nie robiło na niej specjalnego wrażenia. - Pieniądze

- i dopiero wtedy drgnęła.

- Chcesz mi je odebrać - znów rzuciła pełne wściekłości spojrzenie. - Jak próbujesz odebrać mi syna!

- Jeszcze wtedy miałam nadzieję, że Maurycy jest ważniejszy niż pieniądze. On jednak chyba był innego zdania, bo nagle zobaczyłam go w drzwiach kuchni z miną, jakby usłyszał wyrok skazujący. Myślałam, że pęknie mi serce.

- Ciociu - powiedział cicho - spakowałam twoje rzeczy. Jak będziesz gotowa, to zawołaj, proszę. Będę z ojcem - i odwrócił się, żeby wyjść.

- Maurycy! - zawołałam za nim. - Zaczekaj.

- Podeszłam do niego i chwyciłam jego dłoń. - Przepraszam, że to słyszałeś. Nie chciałam, żebyś dowiedział się o tym w ten sposób - zaczęłam tłumaczyć mu naszą rozmowę, ale szybko mi przerwał.

- Ciociu - spojrzał na mnie poważnie - ja już o tym wiem. - Patrzyłam na niego oniemiała, a on mówił to tak spokojnie, z druzgocącym smutkiem w głosie. - Wiem o tym. Kiedy byłeś tu przed szpitalem, usłyszałem fragment rozmowy. Domyśliłem się niemal wszystkiego

- spuścił wzrok. - A resztę powiedział mi tato - mimo tej zasłyszanej sceny znów spojrzał na mnie i uśmiechał się uspokajająco. - Wszystko wiem. I rozumiem - puścił moją dłoń i, odwracając się jeszcze w drzwiach, przypomniał - będę czekał u ojca.

Nagle zdałam sobie sprawę, że kiedy przyjechał do mnie po raz pierwszy, był bardzo zagubiony i... zawstydzony. Tak. Wstydził się tego, co zrobili jego rodzice. Przyjechał do mnie z poczuciem winy, zamiast nich. Jeszcze wtedy nie chodziło o żadne ciepłe, rodzinne uczucia. On po prostu się za nich wstydził. Jednak był to dobry początek rodzinnej więzi. Bo choć Maurycy jest synem mojej wiarołomnej siostry, pokochałam go jak własnego. Wychodził teraz przywalony tym, czego się dowiedział.

Lilia nie szczędziła mi zjadliwości, i on to wszystko słyszał.

- Zadowolona jesteś? - zapytała z wściekłością.

- I ty o to pytasz? Lilia, przecież sama nawarzyłaś sobie tego piwa - przyglądałam się jej zdziwiona. - To teraz je pij. To ty skazałaś mnie na poniewierkę...

- Nikt cię nie wyganiał! - syczała.

- Jak śmiesz! - Nie wytrzymałam i aż zagotowałam się z oburzenia. - Myślałaś, że będę mieszkać pod jednym dachem z byłym narzeczoną, który pozwolił się uwieść mojej siostrze? I że będę z wami szczęśliwa? Że będę grała rolę dobrej ciotki i niańczyła dzieci, które powinny być moje? Jesteś wredna! - krzyczałam. - Nie miałam o tobie dobrego zdania, ale jesteś moją siostrą, a więzy krwi do czegoś zobowiązują. Kochałam cię nawet po tym wszystkim. Wyrządziłaś mi straszną krzywdę, a ja kochałam cię mimo to! Ale nawet nie przyszło mi do głowy, że chodziło ci wyłącznie o majątek. - Już lekko zrezygnowana jej obojętnością kapitulowałam i dodałam nieco spokojniej: - Zniszczyłaś mi życie, zdeptałaś moje marzenia jak rozdeptuje się karalucha.

- Phi - prychnęła.

- No i takie jest właśnie twoje do tego podejście. Masz więzy krwi w nosie. - Byłam zdruzgotana. -Wszystkich masz w nosie. Zawsze liczyłaś się tylko ty. Szłaś po trupach, żeby osiągnąć swój cel. - Wcale nie obchodziło jej, co mi zrobiła. - Myślałaś, że przejdę nad tym do porządku dziennego? Że nagle zakocham się w kimś innym, bo ty ukradłaś mi miłość mojego życia, jak zadanie domowe w szkole? Co ty sobie myślałaś, Lilia?

- Nie dramatyzuj... to było ponad dwadzieścia lat temu. - Z rozmysłem bagatelizowała, bo wiedziała, jak mnie to boli. Ale bardziej bolało mnie, że zrobiła mi to moja siostra. Moja siostra bliźniaczka. Nie miałam już

siły się kłócić, przecież nie trafiały do niej żadne argumenty, nawet nie rozumiała mojej tragedii. Podparłam głowę i zakryłam oczy, bo moja bezsilność jeszcze by ją ucieszyła. - Teraz ty próbujesz ukraść mi pieniądze, a przecież swoich masz dość - usłyszałam zarzut.

- Nie ty na nie pracowałaś - przez moment nawet przeszło mi przez myśl, żeby powiedzieć jej o testamencie wujostwa. Wtedy dopiero trafiłby ją szlag. - I musiałam żyć z dala od rodziny, przyjaciół, z dala od moich marzeń. Musiałam budować od nowa życie na obczyźnie, bo rodzona siostra okazała się złodziejką.

- Ale ja tu ciężko pracowałam... - nakręcała się.

- Nie dramatyzuj - oddałam jej tym samym. - To było zaledwie trochę ponad dwadzieścia lat.

- Jesteś świnią!

Wstałam z krzesła i nagle uśmiechnęłam się do siebie, nie wiem dlaczego. Jakbym nagle poczuła niesamowitą ulgę, jakbym porzuciła ciągnięty latami ciężar. Zrobiło mi się radośnie i lekko.

- No, to jesteście kwita! - Obdarzyłam ją promiennym uśmiechem, odwróciłam się na pięcie i wyszłam. Już w drzwiach frontowych usłyszałam straszny łomot. Jakby ktoś z ogromną siłą rzucił coś na kamienną posadzkę kuchni. Jestem pewna, że rozbiła o podłogę ulubiony kryształowy wazon mamy, który przysłałam jej z Innsbrucka na dwudziestą piątą rocznicę ślubu. I z całą pewnością nie była to stłuczka na szczęście. Przynajmniej nie dla Lilii.

*

Do szpitala wracaliśmy w ciszy. Biedny Maurycy nie wiedział, co powiedzieć. Prowadził w skupieniu i raz po raz ciężko wzdychał. Rozumiałam go i postanowiłam uszanować tę ciszę, choć uwierała mnie jak za ciasny but. Nie wytrzymałam długo.

- Słuchaj, Maurycy - wzięłam wdech. - Nie chcę, żeby to, co usłyszałeś, zepsuło nasze relacje. I muszę ci coś wyznać. - Spojrzał na mnie przejęty, ale i zaciekawiony. - Kiedy się poznaliśmy, widziałam cię pierwszy raz w życiu. Wiedziałam, że się urodziłeś, ale nie chciałam cię widzieć. Już wiesz, że twój ojciec był moim narzeczonym.

- Wiem, ciociu - przytaknął cicho. - Powiedział mi to.

Oszczędziło mi to mnóstwa tłumaczeń, na dobrą sprawę Jacek zrobił za mnie tę robotę. Przynajmniej tyle mi się od niego należało. Podle mnie zdradził i nigdy nie wytłumaczył powodu swojego postępuku. Musiało mu być ciężko wyjaśnić synowi całe to zamieszanie, ale musiał wreszcie po sobie posprzątać.

- Byłam nieszczęśliwa i zła na twoją mamę, na Jacka, na moich rodziców, że na to pozwolili. Że pod ich bokiem Lilia zrobiła mi takie świństwo, że zrujnowała mi życie - mówiłam cicho, jakbym niekoniecznie chciała słyszeć wypowiedane frazy.

- Musiałaś strasznie cierpieć.

- Nie chciałam cię widzieć, bo miałeś być moim synem. Moim, nie Lilii - spojrzałam na niego, a w oczach zakręciły mi się łzy. - To mnie się należałeś, to ja o tobie marzyłam - i popłynęły łzy wstrzymywane od momentu, kiedy go zobaczyłam. Od kiedy na własne oczy zobaczyłam, co mnie w życiu ominęło. - I dlatego nie chciałam cię widzieć i poznać - szlochałam - byłam zazdrosna i zła na ciebie. Zupełnie bez powodu, nie ty byłeś wszystkiemu winien - z piersi wyrwało mi się ciężkie westchnienie. Otarłam dłońmi oczy. - Teraz żałuję, bo widzę, ile straciłam - uśmiechałam się do niego i było mi lżej, że mu to powiedziałam. I tak było uczciwiej. - Mogłam być twoją dobrą ciotką i kochać cię z daleka.

- Jesteś nią - zdjął rękę z kierownicy i ścisnął w niej moją moką od łez dłoń. - Nie mogłem sobie wyobrazić ciebie innej i miałem gorącą nadzieję, że właśnie taka jesteś.

Patrzyłam na niego i nie rozumiałam, o czym mówi. Ja nigdy nie wyobrażałam sobie dzieci Lilii, a na pewno nie jej syna. Za bardzo mnie to bolało. Kiedy przyszedł na świat, nawet mi o tym nie powiedziano, nie byłam jeszcze zdrowa. Dopiero kiedy szedł do komunii, zobaczyłam go na zdjęciu. Ciocia Ula nieśmiało mi je pokazała. Ciemnowłosego chłopaczka o wesołych, mądrych oczach, dumnie stojący przy nowiutkim rowerze. Nigdy nie zapomniałam, jakie wrażenie na mnie zrobił. Płakałam przez tydzień, ale potem postanowiłam się pozbierać i już nigdy nie rozpamiętywałam sprawy skradzionego syna.

- Wyobrazić? - trochę się zdziwiłam.

- Kiedyś leżałem chory na ospę i strasznie się nudziłem. Babcia stawiała na głowie, żeby utrzymać mnie w łóżku, nawet pozwoliła mi spać w sypialni dziadków - zaśmiał się cicho. - Wtedy znalazłem album z rodzinnymi zdjęciami, a strzegła go jak oka w głowie - zamilkł na chwilę i rzewnie uśmiechał się, zapewne do swoich wspomnień. - Kiedy byłyście z mamą małe i wyglądałyście jak dwie połówki tego samego jabłka - spoglądał na mnie z ukosa. Po chwili spoważniał i mówił dalej: - Potem już oglądałem was osobno. I zawsze wiedziałem, na których zdjęciach byłaś ty, ciociu - znów się uśmiechnął. - Zwłaszcza że często w tle były Alpy, a my nigdy tam nie byliśmy.

- Alpy? - zdziwiłam się. Wychodziło na to, że wujostwo jednak mieli przede mną jakieś tajemnice.

- No, tak. - Jakby nigdy nic potwierdził skinieniem głowy. - Byłaś inna niż mama. Choć taka sama.

- I wpadłeś na to jako mały chłopiec? - wciąż się dziwiłam.
- To się dało zauważyć i wyczuć - pokiwał głową. - I nie byłem już taki mały, miałem prawie dziesięć lat - oburzył się z uśmiechem. - Potem pytałem babcię o ciebie. Zamęczałem ją wprost pytaniami i musiała mi opowiadać.

- Dlaczego?

- No, jak dlaczego? - zrobił wielkie oczy i potem zmrużył je figlarnie.
- Dostałem od ciebie super rower na komunię. Nikt w szkole nie miał takiego.

Przypomniało mi się zdjęcie Maurycego z rowerem. Nie miałam pojęcia, że wujostwo posłali mu ode mnie prezent, nigdy mi o tym nie powiedzieli. Milczałam i zastanawiałam się, czy się do tego przyznać. Jednak dostał już dużą dawkę przykrych doznań, oszczędzę mu kolejnych.

- Wiesz co, ciociu - zadumał się na małą chwilę.

- Babcia uwielbiała o tobie mówić. Mama chyba trochę miała racji - spojrzał znów na mnie. - Babcia była z ciebie bardzo dumna i nie mogła pogodzić się z twoim wyjazdem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, dlaczego nas opuściłaś.

- Bo i skąd? - westchnęłam na samo wspomnienie strasznych chwil. Już ich nawet dobrze nie pamiętam, ale pamiętam to uczucie bólu i cierpienia, zdrady, odrzucenia i samotności.

- Kiedyś zapytałem mamę, dlaczego wyjechałaś -oznajmił bardzo cicho.

- I co ci powiedziała?

- Powiedziała, że uciekłaś od pracy w ogrodnictwie i wybrałaś łatwe życie u bogatego wujka w Austrii

- dokończył jeszcze ciszej i spojrzał na mnie przepaszająco. - Nigdy więcej o ciebie nie pytałem.

Wjechaliśmy do wsi, w której spędziłam kilka ostatnich tygodni. Szczęśliwych tygodni. Nie było już prawie śladu po zimie, jeszcze tylko w krótko przyciętych krzewach, rosnących po obu stronach drogi prowadzącej do pałacu, można było dostrzec resztki pośniegowego błota i to wszystko. Minęliśmy kwaciarnię Joli, zakład fryzjerski i wjechaliśmy do parku.

- Wiesz, ciociu - spojrzał na mnie uśmiechnięty. - Skoro masz takie same geny jak siostra bliźniaczka, to gdybym był twoim synem, pewnie byłbym taki sam.

- Takiego syna sobie wyśniłam - oddałam mu uśmiech. - Nie mógłby być inny. - I po chwili dodałam: - Cieszę się, że cię mam.

I tak usynowiłam syna mojej siostry, choć całe życie marzyłam, że to ja sprowadzę go na świat. A może los to tak urządził z jakiegoś powodu? Może tak właśnie miało być? Może gdybym została żoną Jacka, byłabym równie nieszczęśliwa jak teraz Lilia? Bo o to, czy jest szczęśliwa, nie będę więcej pytać, w jej oczach nie było nawet cienia radości. Żal mi jej, ale sama na to zapracowała. Ja kochałam Jacka aż do bólu i boleśnie przeżyłam porzucenie. Miłość kosztowała mnie utratę zmysłów, ale jestem pewna, że nie spisała mnie jeszcze na straty, że jeszcze będę kochać. I chcę żyć nadzieją, że już nigdy nie zostanę porzucona.

SPOWIEDZI I ROZGRZESZENIA

Wszyscy czuliśmy, że powoli czas wracać do codzienności. Coraz częściej pudełka z ciastkami lądowały na karcianym stole, co nieomylnie wskazywało na pożegnania. Jeszcze wysiadaliśmy kanapę i zacięcie graliśmy w karty, ale zdecydowanie więcej czasu schodziło nam na rozmowach. Przez tych kilka tygodni stworzyliśmy zgraną paczkę i żał mi było nawet myśleć o rozstaniach. Jednak kolejne pudełka ciastek wskazywały, że nie da się tej chwili odwlec.

- Jutro muszę wybrać się po kwiatki dla pań - zakomunikował Czesio podczas rozgrywki. - Który z was się dorzuci? - zwrócił się do siedzących przy karcianym stole Jurka i Waldka, bo oni też kończyli terapię.

- Ja chętnie - Jurek uśmiechnął się do mnie i zaproponował: - Może z nami pójdziesz?

- Bardzo śmieszne! - prychnęłam na niego. - Tak dobrze się jeszcze nie czuję. Nie pójdę w paszczę lwa, jeśli nie muszę. No, chyba że są tam jeszcze jakieś kwiaty, które nie kwitną.

- Może owadożerne? - Czesio uśmiechał się rzędem swoich porcelanowych zębów. - Rzadko kwitną, widziałem kolekcję mojego syna. Fajne kwiaty. Jak nie kwiaty.

- Żartujesz! - Trochę się wystraszyłam. Przypomniały mi się sny o krwiożerczych roślinach, które swoimi wąsami oplatały ofiary i dusiły. Wszystko pewnie przez oglądany kiedyś film, jeszcze wtedy nie bałam się kwiatów, ale sen o nich nawiedzał mnie długie lata. - To można takie kupić?

- Jasne! Syn ma niezłą kolekcję - uwielbiał opowiadać o swoim synu.
- Pierwszego sam mu kupiłem. Nigdy

nie potrafił uchronić w pokoju żadnej roślinki, więc kap-turnicę kupiłem mu na zachętę.

- I co? - Zosi zaświeciły się oczy. - Nie zjadła go w nocy?

- Jego nie, ale muchy mu wyłapała. Nie miał w pokoju ani jednej, a ona sama podwoiła rozmiary.

- Jak to wygląda? - Zosia zapałała dziwną ciekawością.

- To takie tuby z falbanką na szczycie, wyrastające z wiecznie wilgotnego podłoża. Na szczycie mają wabiącą falbankę. Jak już mucha na niej usiądzie, to ześlizguje się do wnętrza tuby i tam jest trawiona przez roślinę - tłumaczył zainteresowanej Zośce.

- Ja bym się bała, że napadnie mnie w czasie snu - mówiąc to, Magda miała bardzo poważną minę. - Wolę tulipany.

Jeszcze wtedy nie wiedziałam, jak sprytnie Madzia złożyła zamówienie na bukiet od panów.

- A jakby nie było much, to co? - Zosia nie odpuszczała. - Nie trzeba ich dokarmiać?

- Czym? - zdumiał się Czesio.

- No, choćby mięsem.

- Zosiu kochana - błysnął rząd zębów. - Jakby one miały jeść krowy, to byłyby innych rozmiarów. Możesz spokojnie przy nich spać. Ciebie też nie zjedzą - uspokajał ją. - Nie trawią pancerzyków chitynowych i włosów, więc ty ślicznotko możesz spokojnie zmrużyć oczka.

I tak to Magda dostała tulipany. Dokładnie według życzenia. Okazało się, że wcale nie była taka gapowata. Doskonale wiedziała, jak grać z mężczyznami. I znów potwierdzała się teoria Renaty, że w życiu trzeba umieć być egoistką i brać... brać. No i składać zamówienia. Tak toczyły się rozmowy na tematy niezbyt dla mnie miłe, ale jak się potem okazało, nie był to koniec stresujących dyskusji.

Postanowiłam wybrać się na popołudniową przebieżkę, bo czy jutro, w dzień wyjazdu, będę miała na to czas? Nie byłam tego taka pewna, a chciałam raz jeszcze przebiec wałami i spojrzeć na jezioro, las i wrócić do pałacu przez park. Sama. Czuję, że już byłam na to gotowa. Topniejące śniegi odsłoniły resztki zeszłorocznej zieleni, spod której niebawem wyrzy młoda, radosna, pełna nadziei na życie trawa. Zakwitną kępami zioła porastające wał i szary lód uwolni zdradliwą toń jeziora. Znikną przymarznięte do lodu kwiaty, w nieładzie rzucane w okolice fatalnego przerębla. Może znikną też znicze stawiane na brzegu, porosną je trzciny, tataraki i wszyscy zapomną o zmarnowanym przez miłość życiu. Ale czy na pewno przez miłość? Co to za miłość, która pisze scenariusz takiego dramatu? A mój dramat? Czyż nie było inaczej? Czyż miłość nie zламаła mi życia i nie zawiodła na samotne krańce rozpaczki? Tak było. Tylko to nie miłość mnie tam zawiodła, a moja siostra. Moja druga połowa, która nie pożarła mnie w łonie matki, bo pewnie już wtedy kombinowała, że pościąga ode mnie w szkole. Pewnie czuła, że na coś jej się przydam. Los ofiarował mi dar największy... pozwolił mi zwariować i nie targnąć się na swoje życie. Więc chyba wdzięczna powinnam być za psychiatrów i pałace nerwusów.

Kończę moją ostatnią wyprawę, przebiegając (nawet nie tak szybko) przez park. Nie jest to euforyczne przeżycie, ale strach mnie już nie zatyka. Wiem, gdzie znajdują się małe poletka przebiśniegów i kępy botanicznych krokusów. Te, choć małe, kwitną najwcześniej. Ale nie będę się przy nich zatrzymywać, niech sobie spokojnie kwitną dalej. Kto inny się pozachwyca. Bez większych emocji dobiegłam do tyłów pałacu, gdzie niedawno w oknie łazienki widziałam konspiracyjną Zosię. Cieszę się, że być może ułoży sobie życie u boku Jurka,

a na to właśnie się zanosi. Wyjechał wczoraj, ale wróci po swoją zwariowaną zdobycz. Magda też wyjedzie stąd z planami na resztę życia i chętnym do ich realizacji. Renata? Ona chyba też osiągnęła to, po co tu przybyła. Tak przynajmniej sądzi. Odstawiła leki antydepresyjne i próbuje już żyć bez nich. Wydawać by się mogło, że jest z nas najsilniejsza, ale silne drzewo, które rzadko gnie się na wietrze, często przy wichurze pada powalone. Tak było z Renatą. Wykonując stresującą pracę, nie ulegała słabościom ducha, może dlatego, że od czasu do czasu regenerowała siły w tym pałacu? Jednak wystarczyło, że ciężko zachorował jej mąż Rafał, tego już nie zniosła. Padła jak drzewo. I zamiast wspierać go w leczeniu, sama potrzebowała jego wsparcia. Rafał nie widzi świata poza swoją Renatką (i wzajemnie) i mobilizacja przy załamaniu żony zadziałała na niego jak autoterapia. Po operacji i przy wsparciu lekarzy stał u boku swego powalonego drzewa i był jego siłą. Wszystko już się ma ku dobremu, więc i Rena czuje się lepiej. A ja? Cóż... mnie też się udało. Popatrzyłam jeszcze chwilę na tyły pałacu, gdzie przez szyby palmiarni widziałam zielone rośliny, o które przyszło mi tu dbać. Dobrze, że zimą nie trzeba ich za często podlewać, bo oszczędziło mi to stresów. Dawno tam nie zaglądałam, ale też nie było po co. Przeszłam na front pałacu i zamurowało mnie. Zobaczyłam znajome auto. Czyżby Lilii auto nawaliło? A myślałam, że do odjazdu nie będę się już denerwować. Przy dyżurce okazało się, że to nie siostra mnie odwiedziła.

- Różo - oddziałowa miała dość dziwną minę - w sali balowej ktoś na ciebie czeka - ruchem głowy wskazała ciężkie rzeźbione drzwi. - Nie znam go.

- Dziękuję, już tam idę - weszłam i stanęłam jak wryta. Przy fortepianie, opierając głowę na rękę, siedział Jacek. Jedną ręką brzdąkał na klawiaturze i zdawał się błędzić gdzieś myślami. Po kilku dźwiękach przypo-

mniałam sobie, z czym mi się ta melodia kojarzy. Boże mój, on grał naszą piosenkę. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Nie rozmawiałam z nim od wyjazdu na studia do Wiednia. Czego teraz chce ode mnie? - Witaj Jacku - usłyszałam głuchy ton swojego głosu.

- Witaj Rózo - podniósł głowę i zobaczyłam jego oczy. Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałam smutniejsze. Nie licząc rzecz jasna własnych, ale w krytycznym dla siebie okresie rzadko zerkałam w lustro. Te oczy śniły mi się latami. Kiedy tylko przymykałam powieki, widziałam twarz Jacka i te cudne piwne oczy. Wiem teraz, co tak niepokoiło mnie w spojrzeniu Maurycego. Głębia spojrzenia mojej wielkiej miłości i spokój, zaduma wejrzenia taty. Maurycy był mieszanką obu, a ja musiałam to znieść. Musiałam znieść wspomnienie utraconego szczęścia i miłości ojca, którą odebrała mi Lilia.

- Wybacz, że cię niepokoję, ale musiałem porozmawiać.

- Po co? - próbowałam być cyniczna, jednak kiepsko mi to wychodziło.

- Muszę ci coś wyjaśnić - wstał z obrotowego stołka i nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić.

- Jacek, niczego nie musisz mi już wyjaśniać - wzruszyłam ramionami i starałam się mówić bardzo spokojnie.

- Przecież wszystko jest jasne i nie warto już do tego wracać. Minęło tyle lat - rozłożyłam ręce. - Prawie całe życie.

- Muszę. Proszę cię, wysłuchaj mnie - błagał spojrzeniem.

Zdałam sobie sprawę, że nie uniknę tej rozmowy, i im prędzej zacznę, tym prędzej będę miała ją za sobą. Zauważyłam otwarte drzwi do małej biblioteki, pełniacej funkcję poczekalni na wizytę u ordynatora.

- Siądźmy więc w bibliotece - ruszyłam w tamtą stronę, a Jacek za mną. Serce mi się w piersi dławilo, żołądek podchodził do gardła, jak kiedyś na samo wspo-

mnienie straconego szczęścia. Siedliśmy przy ciężkim, rzeźbionym stole, na tak samo zdobionych krzesłach. Miałam widok na piękną biblioteczną szafę, ale dziś nie cieszył mnie tak jak zwykle. Książki pookładane w szary papier skrywały wiele takich dramatów jak mój. Nie byłam wyjątkiem, na świecie jest masa nieszczęść opisanych w książkach. Mój los byłby tylko kolejną historią, która być może spowodowałaby kilka łez. Tyle tylko, że ja ją przeżywałam, nie czytałam. Nie otarłam łez po zamknięciu książki, tylko płakałam jeszcze wiele lat. Nie zapomniałam treści wyczytanej na zużytych stronach, tylko przeżywałam ten dramat każdego dnia przez długie lata, wciąż od nowa. Może już czas na dobre zamknąć tę część życia i odstawić ją jak książkę... na półkę?

- Róžo - zaczął głucho - nie mieliśmy sposobności porozmawiać.

- No, rzeczywiście - przytaknęłam i zrobiłam kpiącą minę. - Przez prawie dwadzieścia pięć lat nie miałeś sposobności, a teraz przyjechałeś specjalnie?

- Musimy porozmawiać, muszę ci to wszystko wyjaśnić - patrzył w okno, bo chyba wciąż nie mógł spojrzeć mi w oczy. To pewnie dlatego przy tych kilku nielicznych okazjach, kiedy przyjechałam na pogrzeb rodziców, zawsze gdzieś znikał. Nie byłam w domu rodziców za długo, ale przez ten czas Jacek w żaden sposób nie wchodził mi w drogę. Wyglądało, jakby się ukrywał. Potem już nie starczyło mi sił, żeby mieszkać z nimi pod jednym dachem i ukryłam się w pałacu nad jeziorem. Postanowiłam, że spokojnie wysłucham, co ma do powiedzenia. - Nie chciałem, żebyś wyjechała. Wtedy... do Wiednia. Bardzo cię wtedy potrzebowałem

- zaczął swoją spowiedź. - Wyjechałaś mimo to.

- Nie myślałaś wtedy o mnie? - nie wytrzymałam.

- Ja musiałam jechać na tę wymianę. Mogłam dostać

dobrą pracę, wiedziałeś o tym. Mieliśmy przecież plany - zaczęłam robić mu wyrzuty. Nie mogłam się powstrzymać. - Sam zawałiłeś swoją magisterkę, miałam do ciebie dołączyć?

- Rózo - westchnął - pozwól mi to powiedzieć -poprawił się na krześle, jakby było nie dość wygodne. A tego akurat tym meblom nie można było zarzucić. -Wyjechałaś i nasze rozstanie nie było przyjemne.

- Jacek! To nie było rozstanie! - oburzyłam się na jego zarzut. - To było normalne pożegnanie. Ja wyjeżdżałam tylko na parę miesięcy.

- Nie odzywałaś się do mnie - oskarżał mnie. Nie czuł żalu, żadnej skruchy... normalnie mnie oskarżał.

- Co ty opowiadasz! Przecież dzwoniłam i każdego dnia liczyłam, że oddzwonisz - zaczynałam się wściekać. - To ciebie nigdy nie było. Jakbyś unikał moich telefonów. Nie odzwaniałeś.

- A niby dokąd?

- Podałam Lili numer telefonu i mówiłam, że zawsze o dwudziestej będę czekać przy telefonie. Czekałam każdego wieczoru, przez długie tygodnie. Kiedy dzwoniłam, zawsze gdzieś znikałeś - patrzyłam na niego z wyrzutem. - Ale nawet nie podejrzewałam, że nie chciałeś ze mną rozmawiać. Kolejny raz wyjaśniłabym ci, dlaczego to było dla mnie takie ważne - zaczęłam się poddawać. - Zresztą - westchnęłam z rezygnacją - napisałam ci to w liście. Nie jednym - i spojrzałam na niego smutno - na żaden nie odpisałeś.

- Jakie listy? Nic nie rozumiem - szczerze się zdziwił. W oczach miał popłoch. - Nie dostałem żadnego listu.

Teraz ja oniemiałam i pewnie miałam głupią minę. Jak to nie dostał żadnego listu? Przecież pisałam co kilka dni. Zawsze z nadzieją, że wreszcie doczekam się odpo-

wiedzi. Na próżno czekałam. I wtedy zaczęło to do mnie docierać, wszystko zaczęło do siebie pasować.

- Lilia! - powiedziałam cicho. Spojrzał na mnie w popłochu, a jednak zobaczyłam w jego oczach cień ulgi. Co mu tak ulżyło? - Boże mój, to wszystko zaaranżowała Lilia.

Jacek ukrył twarz w dłoniach i podparł głowę z rezygnacją. Siedział tak dłuższą chwilę w ciszy. Patrzyłam w okno i próbowałam myśleć o drzewach za oknem, o parku, o nadchodzącej wiosnie, która przestała być mi wstrętą. Nie chciałam już wracać wspomnieniami do tych fatalnych chwil, kiedy każdego wieczora wysiadywałam w recepcji akademika, jakby ktoś mi za to płacił. I zawsze z tym samym rezultatem. Jak wypytywałam, czy nie ma dla mnie poczty i zrozpaczona otrzymywałam przeczącą odpowiedź, po czym wysyłałam następny list. Kiedy Jacek podniósł głowę, w jego oczach zobaczyłam zdecydowanie. Co to miało znaczyć?

- Rózo, nie wracajmy już do tego. Bardzo cię za to wszystko przepraszam. To moja wina - uderzył się pięścią w pierś. - Powinienem bardziej ci ufać i rozsądniej patrzeć, co dzieje się dookoła. Przepraszam cię za to, że byłem takim egoistą i że zmarnowałem ci życie. Sobie też zmarnowałem, ale sam na to zasłużyłem. Wiem doskonale Rózo, co ci zrobiłem. Wybacz mi, proszę, bo bez twego wybaczenia nie mógłbym dalej żyć.

Wybaczyłam. Siedzieliśmy w bibliotece jeszcze dobrą godzinę, aż siostra oddziałowa do nas zajrzała. Patrzyła z troską i uśmiechała się z wyrozumieniem. Zupełnie jakby wiedziała, kim jest Jacek i że właśnie rozliczam się ze swoją przeszłością. Jacek opowiedział mi wszystko, co wydarzyło się podczas mojego pobytu w Wiedniu, przy czym otwarcie nie oskarżał mojej siostry. Ciągle powtarzał, że to jego wina. Zawsze był

dżentelmenem. Opowiedział mi też trochę o ich obecnym życiu, usłyszałam to, co Lilia próbowała przede mną skrywać. Teraz już wiedziałam, dlaczego. Pożegnałam się z Jackiem i odprowadziłam do auta. Poczułam dziwną ulgę i zdałam sobie sprawę, że ta jego spowiedź chyba była potrzebna nam obojgu. Widać trzeba stawić czoło traumatycznym przeżyciom, wytłumaczyć i wysłuchać tłumaczeń, żeby móc zamknąć pewien rozdział życia. Choćby był cierpki jak skwaszone wino i rozlazły jak stary sweter. Teraz mogę o tym spokojnie myśleć, bo czułam, że mogę wreszcie odstawić na półkę swoją opowieść owiniętą w szary papier, że mam to wreszcie za sobą.

*

- I co, moje drogie wariatki - Renata trzymała w ręku pudełko z ziółkami. - Ostatnia wieczorna meliska?

Nie czekała na potwierdzenie i wstawiła wodę. To rzeczywiście będzie nasza ostatnia rytualna melisa. W pełnym składzie... Renata, Magda, Zosia, Kasia, no i ja. Cała piątka z trzydzieści pięć. Kasia dotarła ostatnia i to dla niej wszystkie tu zostałyśmy tak długo, jak długo ona sama tego potrzebowała. Oczywiście, nad wszystkim czuwali dobrotliwy ordynator i siostra oddziałowa. Wiedzieli, ile Kaśce potrzeba czasu, żeby wrócić do życia. I wiedzieli, że my chętnie dotrzemy jej towarzystwa, że niektórzy z nas nie spieszą się nigdzie. Będzie mi ich brakowało. Nie znaczy to wcale, że zatęsknię do tego miejsca (choć łączą się z nim wyłącznie dobre wspomnienia), ale z całą pewnością zatęsknię za optymizmem Zosi, za zdziwionymi oczami Magdy, za trzeźwym oglądem świata damsko-męskiego w wydaniu Renaty, i za artystyczną duszą Kasi. Mojej Kasi. Z nią jednak miałam nadzieję spotkać się jeszcze nie raz.

- Nawet nie sądziłam, że polubię te ziółka - Zośka czym prędzej zajęła miejsce przy stole i dłońmi wygładzała nieistniejące fałdki na obrusie. - Chyba będzie mi ich brakować.

- Przecież możesz dalej je pić - Magda wzruszyła ramionami. - Nikt ci nie broni.

- Magda! Ty to jednak jesteś zakręcona - Zosia spojrzała na nią z wyrzutem. - O was mi chodzi, nie o melisę.

- To będziesz miała na pocieszenie Jurka - mrugnęła do niej Kasia.

- Tyle tylko, że z nim pewnie nie melisę będzie piła - Renia nalewała już wrzątek do kubków. - Co Zosia? Mam rację?

Zosia spojrzała na Renię rozmarzonymi oczami, poprawiła śliczne włosy i nabrała powietrza w płuca, jakby chciała wygłosić jakieś oratorium.

- Wiecie co, dziewczyny - zaczęła - nie liczyłam już na jakąkolwiek poprawę w życiu. Brakowało mi czyjegoś wsparcia. W rodzeństwie go niestety nie mam, nawet mama się ich boi. A mieszkać muszę w rodzinnym domu, bo na samodzielność mnie nie stać. Przyjaciółki w związkach, żadna nie miała czasu dla samotnej, zresztą - wzruszyła ramionami. - Wiecie, jak jest. Samotnej nikt nie zaprasza, bo a nuż mąż koleżanki się nią zainteresuje? - W jej głosie słyszałam żal samotnej kobiety. Żal do świata, że wszyscy mają kogoś, a ona nie. Wydawać by się mogło, że ta śliczna blondynka nie powinna mieć tego rodzaju problemów. A jednak!

- No, co ty Zośka - Magda spojrzała na nią zdziwiona (ale ten typ spojrzenia prezentuje ostatnio najczęściej, więc mogłam się mylić). - Ty masz takie problemy? Przecież mówiłaś, że nikogo nie potrzebujesz, że nigdy się nie zakochasz.

- A co miałam mówić? - wzruszyła ramionami. - Każdy kolejny facet to większy popapraniec. Pijak, sadysta albo psychopata. Wszyscy podobni do mojego ojca. Już myślałam, że nie ma innych.

- Ale mówiłaś, że tato cię wyróżniał - przypomniała sobie Magda.

- Niby tak - westchnęła. - Za to teraz mam za swoje. Wokół sami szaleńcy.

- I musiałaś trafić pomiędzy wariatów, żeby znaleźć normalnego - dokończyłam za nią. Wszystkie się roześmiałyśmy z tej ironii losu, jednak po chwili pewna myśl przysłała mi do głowy. Trzeba zwariować, żeby znormalnieć. Albo w obliczu choroby nabiera się takiego dystansu do życia, że zaczyna się zauważać i doceniać rzeczy wcześniej nieważne. Trzeba doznać nieszczęścia, żeby docenić nawet najmniejsze okruchy szczęścia.

- Śmieszne, nie?

- Wcale nie śmieszne - Renata stawiała kubki na stole. - Tak jest najczęściej. Córki patologicznych rodziców najczęściej tworzą takie same rodziny, podświadomie szukają partnera podobnego do ojca i koło się zamyka.

- To by wiele wyjaśniało - westchnęła Zosia. - To może tym razem mi się uda?

- A masz jakieś wątpliwości? - spytałam.

- Nie - uśmiechnęła się na potwierdzenie. - Żadnych.

Boże mój, żeby się tylko jej udało. Jurek to taki odpowiedzialny mężczyzna i jeśli intuicja mnie nie zawodzi, to wszystko ułoży się pomyślnie dla obojga, bo zakochany jest w Zosi na zabój. Z wzajemnością. Odpłynęła na moment w świat marzeń, a my jej w tym nie przeszkadzałyśmy. Pewnie nie może się już doczekać dalszej części swojego życia. Należy jej się szczęście w życiu, chyba już na nie zapracowała, i jestem pewna, że nie wypuści go z rąk. Swojski zapach melisy z pięciu kub-

ków unosił się z gorącą parą. Gdyby to były inne zioła, można by pomyśleć, że się nimi odurzamy, bo wszystkie siedziałyśmy z nosami w obłokach uspokajacza. Oj, za tym też zatęsknię.

- Zobaczcie dziewczyny - Magdę nagle olśniło -każda z nas wraca do domu zakochana - rozejrzała się po naszych twarzach. - O, tylko nie ty, Rena.

- A kto ci powiedział, że nie jestem zakochana? -lekko się oburzyła. - Cały czas w tym samym facecie

- uśmiechała się zadowolona. - Fajnie, nie?

- No - westchnęła Zosia. - Tylko pozazdrościć. -Kosmyki blond włosów opadły jej na czoło, podparła głowę i na moment znów się rozmarzyła. Po chwili jednak ocknęła się i spojrzała zdziwiona na Renatę. - To po co tu byłaś?

- Czy ty myślisz, że przyjeżdża się do wariatkowa szukać swojej drugiej połowy? - Madzia spojrzała na nią rozbawiona.

- Ty przyjechałaś - wytknęła jej Zosia.

- To był czysty przypadek - obruszyła się Madzia.

- Zresztą wszędzie jej szukałam, to niby czemu nie tu?

- Przypadek, no jasne. Pomyślałby kto. - Zosia pomruczała pod nosem.

- To chcecie wiedzieć, co mnie tu znów przygnało, czy nie? - karcąco spojrzała na przekomarzające się koleżanki.

- Nie wiesz, jak je uspokoić? - uśmiechnęła się Kasia. - Na parapecie stoją jajka. Działają jak zaklęcie. -Zerknęła na autorkę tego powiedzenia i zaprezentowała szeroki uśmiech.

- Nie trzeba - mruknęła Magda. - Mów.

- Trochę się pogubiłam i chciałam coś przemyśleć

- zaczęła dmuchać w parujący kubek. To chyba jakiś sposób na ukrycie zmieszania. - Zastanawiałam się, czy nie odejść z pracy - dopowiedziała po chwili.

- A co? Coś ci tam nie pasuje - teraz Kaśka zaczęła się jej przyglądać.
- Zdawało mi się, że lubisz tę pracę.
- Lubię, to prawda. Ale często wracam do domu tak wykończona i nerwowa, że coraz częściej zastanawiam się, czy warto.
- No jak? A kasa? - zaniepokoiła się przedsiębiorcza Magda. Pomimo wiecznie zakręconej głowy i serca do wynajęcia trzeźwo stąpała po ziemi. Wiedziała, że pieniądze dają niezależność i dzięki nim kobieta może sama o sobie stanowić. Przeszła swoje ze zmarłym mężem, to wie, co mówi. - Mówiłaś, że dobrze zarabiasz.
- Pieniądze to nie wszystko - westchnęła. - Nie muszę pracować na życie. Pieniędzy akurat mamy dość i bez moich dochodów. Zresztą - wzruszyła ramionami - pozostają mi jeszcze zlecenia. Ale chyba wolę pomóc Rafałowi w sklepie i pozwolić mu zająć się pasją.
- Pasją? - zainteresowałam się, bo wiedziałam, że jakąś pasję Rafał musi mieć. Poznam człowieka bez pasji... po znudzonych oczach.
- Uwielbia zegary - uśmiechnęła się. - Wszystkie. Jest zegarmistrzem z zawodu i pasjonatem. W domu mamy ich na ścianach kilkanaście, są piękne i cenne. Niektóre wymagają wielu zabiegów i chciałabym, żeby Rafał znalazł jeszcze na to czas. To go uszczęśliwia -i po chwili dodała:
- Lubię, jak jest szczęśliwy.
- A on lubi, jak ty jesteś szczęśliwa - westchnęła z głębi swej romantycznej natury Magda. - No, kochana, to masz wszystko. Niczego więcej ci nie trzeba.
- Jasne - zabrzmiało to dość ponuro. Ale one nie wiedziały, co naprawdę gryzło Renię, jak bała się o zdrowie męża, jak bała się marnować życie i energię na rzeczy nieistotne. Bo co jest ważniejszego od bycia razem z człowiekiem, który nie wyobraża sobie życia bez ciebie, który nie zapomina o rocznicach i gna pomimo kiepskich

warunków na drogach, żeby ukochanej żonie ucałować dłonie. Który dzwoni co chwila i sprawdza, jak się czuje, czy zjadła śniadanie, czy nic jej nie dolega. Pewnie Renata zdała sobie sprawę z upływającego czasu i umykających chwil, które mogłaby spędzić z Rafałem, a że lubi swoją pracę, to się trochę pomotała. Ot, dylematy.

- Ja tam wiem, co będę robiła po powrocie do domu - trzeźwo zameldowała Magda. - Wszystko mam już zaplanowane.

- To akurat wiemy - zaśmiałam się. Magda wszystko miała zaplanowane już dawno temu, tylko nie mogła znaleźć odpowiedniego wykonawcy swoich zamierzeń. Bardzo bym chciała, żeby tym razem jej się powiodło. Żeby nie wylądowała tu kolejny raz, po kolejnym rozczarowaniu.

- A co z tobą, Rózo? - Renata zwróciła się do mnie moim starym imieniem. Teraz już mogła. - Już nie potrzebujesz zastępczego imienia, prawda?

- Nie. I mam nadzieję, że już tak pozostanie - ale czułam, że nie to miała na myśli, tym bardziej że wlepiły się we mnie jeszcze dwie pary oczu. Madzia i Zośka już od dawna robiły podchody, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o mojej siostrze. Chyba nadszedł czas. - I chyba już mogę opowiedzieć wam moją historię.

Niemal usłyszałam, jak Zosia sapnęła z satysfakcją, a Magda niecierpliwie pokręciła się na krześle. Czyżby nosiła bawełniane rajstopy? Ale winna im byłam tę opowieść.

- No, mów - usłyszałam zachętę. Czułam, że mogę spokojnie opowiedzieć im historię mojego życia, która dojrzewiała we mnie jak leżakujące wino. Nie targały już mną te straszne emocje, które dotąd nie pozwalały mi nawet myśleć o przeszłości. Chciałam wyrzucić to z siebie, zmyć jak kurz po długiej, ciężkiej i samotnej drodze.

- Moja rodzina ma duże gospodarstwo ogrodnicze. Zawsze bardzo dobrze prosperowało i ojciec bardzo chciał, żeby któraś z nas została ogrodnikiem, albo choćby sprowadziła takowego do domu. Dom rodziców też jest ogromny, pomieści kilka rodzin - zaczęłam. Jeszcze chwilę mościły się na krzesłach i dmuchały w kubki, jednak niecierpliwie czekały na ciąg dalszy. - Po liceum poszłam na studia ekonomiczne. Wtedy był to bardzo przyszłościowy kierunek. Lilia zaważyła liceum i nie chciała powtarzać maturalnej klasy. Tak więc zakończyła edukację i została w domu. Ojciec nie pozwalał nam na żadne bumelki i musiała zacząć pomagać w firmie. Nie bardzo jej to pasowało, bo praca nie była jej hobby - uśmiechnęłam się smutno na wspomnienie pretensji siostry, kiedy musiała zakasać rękawy, bo tato nie chciał już spełniać jej kaprysów. A roszczenia Lilia miała spore. - Wyrzucała rodzicom, że musi pracować na moje studia i że ja jestem dla nich ważniejsza.

- Szantaż emocjonalny - westchnęła Renia.

- Zawsze tak robiła. To jej ulubiona broń - pokiwałam głową. - Ze mną walczyła w podobny sposób. Marzyłam, żeby wrócić do domu i pracować razem z nimi. Tak właśnie postrzegałam szczęście. Wspólna praca i życie z ludźmi, których się kocha, a bardzo kochałam swoją rodzinę. Chciałam jednak skończyć studia i zająć się finansami firmy, dlatego wybrałam taki kierunek - zaśmiałam się na wspomnienie swoich planów i jak naiwnie do tego podchodziłam. - Wtedy moje relacje z siostrą zaczęły się poważnie psuć. Nigdy nie były najlepsze, ale to w końcu moja siostra. I chyba wtedy przestałam tak chętnie jak zwykle zaglądać do szklarni.

- To wtedy się to zaczęło - pokiwała głową Zosia. Minę miała, jakby prowadziła śledztwo i wreszcie trafiła na trop. - Wiesz co, ona była zazdrosna, że studiowałaś.

- Tak, teraz to wiem - przypomniałam sobie niedawną trudną rozmowę z Lilią. - Wtedy tego nie rozumiałam. Mogła się uczyć i studiować, co tylko chciała. Miała możliwości. Oczy się jej otworzyły, kiedy tato zagonił ją do pracy. Wtedy zaczęła mieć pretensje do mnie - wstałam od stołu i poszłam do szafy po chusteczkę, bo mimo wszystko obawiałam się, że może okazać się potrzebna. Wszystkie pary oczu powędrowały za mną.

- To już koniec? - zdziwiła się Kasia, choć wydawała się najmniej zainteresowana sprawą.

- Niestety, to dopiero początek - wzięłam chusteczki i wróciłam do stołu. - Pomimo pracy Lilia znajdowała czas na chłopaków i miała ich na pęczki. Takiego powodzenia można tylko dziewczynie zazdrościć. Ja skupiłam się na nauce. Nie skakałam z kwiatka na kwiatek, ale w końcu się zakochałam - uśmiechnęłam się smutno na wspomnienie mojej wielkiej, niespełnionej miłości. - Spotykaliśmy się przez trzy lata moich studiów. Studiował na akademii rolniczej i miał na imię Jacek.

- Yyy! - Magdę zapowietrzyło. Chyba zaczęła coś kojarzyć. Zośka spojrzała na nią zaniepokojona, bo w tym przypadku, o dziwo, kojarzyła nieco wolniej. Kasia pewnie poznała już część tego dramatu z ust Maurycego, jakoś nie podskakiwała na krześle, tylko spokojnie i z wyrozumiałym uśmiechem słuchała, jak snułam opowieść. Zupełnie jak Renata.

- Na ostatnim roku dostałam propozycję dokończenia studiów na wiedeńskim uniwersytecie. Bardzo chciałam. Wtedy nazywało się to studiami fundowanymi. Znalazła się firma, która wyszukiwała najlepszych studentów jeszcze przed ukończeniem przez nich studiów, proponowała dokończenie edukacji w atrakcyjnym miejscu i potem ściągała ich do siebie. Szykowałam mi się niezła przyszłość. Super praca w miejscu zamieszkania, więc i w firmie rodziców mogłabym pracować.

- Teraz jest taki program Sokrates Erasmus - wtrąciła Kasia. - Możesz studiować, gdzie chcesz, tylko trzeba wykazać się wynikami i znajomością języka. Ale pracy to nie zapewnia, niestety.

- No właśnie - skinęłam głową w podziękowaniu za pomoc w wytłumaczeniu tej kwestii. - Jacek nie chciał, żebym pojechała - przyznałam. - Zawalił magisterkę i musiał powtarzać badania. Podpowiedziałam mu moje rodzinne gospodarstwo, bo kwalifikowało się do tego typu pracy. Ucieszył się i przyjechał do naszego domu.

- O matko! - stęknęła Zosia.

- No, co wy, dziewczyny! - zaśmiała się Rena. - Mam lecieć po uspokajacze? Spokojnie, ta historia dobrze się kończy.

- Skąd wiesz?

- Jak to skąd? Bo zakończenie siedzi tu szczęśliwe, spokojne i snuje tę rzewną opowieść i jak podejrzewam ma plany na szczęśliwą przyszłość - próbowała nieco rozładować zagęszczającą się atmosferę.

- To co, mam iść po kropelki?

- No co ty - zaśmiała się Magda. - Lepiej posłuchajmy, co było dalej.

Wiedziałam, że kiedyś będę musiała im to wszystko opowiedzieć. Wytrzymały ze mną przez kilka tygodni, a nastroje na początku też miewałam różne, więc powinny wiedzieć, skąd się brały.

- Mów dalej - padło polecenie.

- Ojciec zgodził się na ten układ. Jacek miał mu pomagać w ogrodnictwie, a tato w badaniach. I wszystko zapowiadało się dobrze - zamyśliłam się na ułamek sekundy. - Ale przyszedł czas mojego wyjazdu. Jacek cały czas miał nadzieję, że jednak nie pojedę. Przy pożegnaniu był oschły i niezadowolony. Nie wiedziałam, jak mam mu wytłumaczyć, że to dla mnie ważne. Pojechałam - głos

mi się lekko załamał na wspomnienie chłodnego pożegnania. Wyjeżdżałam na dość długo i oczekiwałam wsparcia, zapewnienia, że myślami będzie ze mną, potwierdzenia, że dobrze robię. Chodziło przecież o naszą wspólną przyszłość. Lepsza praca miała się bowiem przełożyć na lepsze życie po powrocie. - Po kilku dniach, jak wiedziałam już, co gdzie jest, zadzwoniłam do domu. Chciałam porozmawiać z Jackiem, ale od Lilii usłyszałam, że pojechał z tatą coś załatwić. I tak było za każdym razem.

- Unikał cię?

- Okazało się, że nie - zaprzeczyłam. - Choć tak pierwotnie myślałam - wróciły do mnie wspomnienia, jak biłam się myślami, szukając powodu, dla którego Jacek tak mnie unikał. Winiłam się o wszystko, nawet zawalenie pracy magisterskiej wzięłam na siebie. Poczucie winy o mało mnie nie przygniotło. - Wcale nie wiedział, że dzwoniłam - uśmiechnęłam się cierpko.

- Zostawiłam Lilii numer, pod którym zawsze będę czekać o dwudziestej. Nawet go nie dostał.

- Lilia! - oskarżycielskim tonem syknęła Magda i z wściekłością kiwała głową. Bardzo wczuwała się w moją opowieść. - A nie mogłaś napisać?

- Pisałam. Co kilka dni wysyłałam list - westchnęłam. - Żadnego nie dostał.

- To nie mogłaś wrócić do domu? Sprawdzić, co się dzieje? - teraz Zosia wierciła się na krześle.

- Wróciłam. Tyle tylko, że akurat Jacka nie było -rozłożyłam bezradnie ręce. - Lilia zorganizowała tacie wyjazd na targi do Holandii, a on zgodził się pojechać, ale tylko razem z Jackiem. Tak więc znów się z nim rozminęłam - rozłożyłam ręce.

- Myślałam, że tylko ja mam problemy z rodzeństwem - Zośka pokiwała głową. - Czemu ci to robiła? - spytała.

- Zawsze wszystko mi podbierała. Od prac domowych po rajstopy, jeśli jej były dziurawe albo zapomniała uprać. Aż w końcu ukradła mi narzeczonego - zamilkłam na chwilę, bo dziwny ból na chwilę owładnął moim sercem. - Kiedy wróciłam do domu, była już z nim w ciąży - wreszcie powiedziałam to głośno. Wreszcie wyrzuciłam z siebie ten żal, który tak długo nie pozwalał mi żyć. Drażył kanał w mojej duszy jak robał w jabłku. Z zewnątrz wydaje się piękne, smaczne i soczyste, a tak naprawdę od samego gniazda nasiennego toczy je mały, tłusty żarłok. Czasami wystarczy wykroić zepsuty miąższ i jeszcze jabłko się nada. Często jest przez to jeszcze słodsze. Jednak czasem bywa za późno i żal stoczy duszę jak robał jabłko, którego kęs po nagryzieniu wypluwasz, napotkawszy ohydny niespodziankę, i z obrzydzeniem wyrzucasz owoc. - Ukradła mi życie. Ukradła mi syna.

Spokojnie położyłam przed sobą dłonie i powoli podniosłam opuszczoną głowę. W pokoju zrobiło się zupełnie cicho. Słyszałyśmy gwar z korytarza i radosne śmiechy. Żadna nie zareagowała, tylko z pięknych oczu Zosi spływały strużki łez. Uśmiechałam się cierpko, ale już bez żalu do życia, i wzięłam Zosię za rękę. Mnie chusteczka okazała się niepotrzebna.

- Matko kochana - Magdy oczy nie mogły być już bardziej zdziwione - ale historia. A my głupie kazałyśmy ci go poderwać, żeby się zemścić - klepnęła się otwartą dłonią w czoło, aż plasnęło. - Sorry, nie wiedziałam.

- Bo i skąd mogłaś wiedzieć? - uspokajałam ją. Ale pamiętam, jak ciarki przebiegły mi po plecach i ścisnęło się gardło, kiedy to zaproponowała.

- Ja bym ją chyba za to zabiła - dodała po chwili i wciąż kiwała głową z niedowierzaniem. - Zabiłabym, jak nic.

- A ja sama bym się zabiła - dodała Zosia, cicho chlipiąc.

- No - zgodziłam się z jej tokiem myślenia, a raczej odczuwania. - A mnie dobry Bóg po prostu pozwolił zwariować - wydawało mi się, że skończyłam. Przynajmniej na razie. Wstałam, pozostawiając je oniemiałe przy stole i wstawiłam wodę na kawę. Dla odmiany, na rozruszanie. Siedziały tak jeszcze dłuższą chwilę, wciąż z niedowierzaniem kręcąc głowami. Nic dziwnego, takie historie nie trafiają się codziennie.

- Wątek jak z serialu brazylijskiego, nie? - Renata знаła moją awersję do siostry, więc nie zdziwiła się aż tak bardzo. To, co usłyszała, było tylko wytłumaczeniem mojego zachowania i pewnie przeanalizuje to sobie po swojemu. - Facetom to jednak nie można wierzyć

- zaczęła analizę stosunków damsko-męskich, co w tej chwili pozwoliło moim zaszokowanym towarzyszkom wypuścić nieco pary. Atmosfera była bowiem bardzo gęsta. - Mówiłam wam, jak tylko jednej zabraknie, zaraz szukają zastępstwa. Trzeba szybko wejść im w kadr, bo samce lepiej widzą, niż myślą. Twoja siostra to wykorzystała - zwróciła się do mnie. - Nie jest znowu taka głupia

- pokiwała głową z niemym uznaniem.

- Ale świnią! - Kasia wreszcie się odezwała.

- Świnią bez skrupułów - dodała Zosia.

- Jedno nie wyklucza drugiego - kontynuowała swój wywód - a jak widziałyście, w komplecie stanowi to straszną moc.

- Ale jak mógł dać się tak zwieść? - blond fale na głowie Zośki przelewały się, kiedy ta z niedowierzaniem kręciła głową. - Faceci to są jednak głupi.

- Kto wie, co Lilia mu powiedziała - Magda bardzo się przejmowała.

- Ja wiem - postanowiłam zaspokoić ich ciekawość do końca. Spokojnie sypałam kawę do kubków i stukałam łyżeczkami. Jakby mnie to w ogóle nie ruszało.

- Najpierw ukrywała moje telefony, a potem powie-

działa, że dzwoniłam z wiadomością, że się zaręczyłam z jakimś wiedeńczykiem - uzupełniłam, spoglądając na nie z uśmiechem - i że nie zamierzam wracać do domu.

- I nie sprawdził tego? - Kaśka nie mogła uwierzyć i z emocji aż wstała z krzesła.

- Kasiu, młoda jesteś, to jeszcze nie wiesz - Renata pogłaskała jej dłoń, uśmiechając się z politowaniem. - Męska duma czasami stanowi barierę nie do przejścia.

- Matko, jaka wredna świnia! - Madzia dała wyraz oburzeniu, ale inne inwektywy jakoś nie przychodziły jej go głowy. - Jak tyś to zniosła?

Kręciłam się przy kubkach z kawą i wdychałam boski zapach. Uśmiechałam się. Po rozmowie z Jackiem już mogłam. Zupełnie bez emocji dolewałam mleka i podałam kawę. Nawet nie spytałam, kto miał na nią ochotę. Obawiałam się tylko, że przy tym poziomie adrenaliny kawa nie była najlepszym napojem. Jednak samo jej picie nieco uspokajało. Przynajmniej Kasię i mnie.

- Właśnie o to chodzi, że nie zniosłam - zaakcentowałam „nie”. - Zwariowałam - i nastąpiła cisza. Powiedziałam to tak lekko, jakby nie dotyczyło mnie. Jakby to nie moje życie się wtedy skończyło. Wszystkie patrzyły na mnie jak w telewizor w czasie serialu.

- Tak na serio i na amen? - Magda nie do końca rozumiała, więc zapytała pierwsza. - Czy tylko tak jak teraz?

- Na serio - westchnęłam i siadłam, żeby dokończyć swoją historię. - Tato zawiózł mnie do swojego przyjaciela i męża mojej matki chrzestnej z powrotem do Austrii. Tylko już nie do Wiednia, a do Innsbrucka. Wuj Johan jest wziętym psychiatrą - wyjaśniłam. - I tam okazało się, że nie odebrało mi zmysłów na amen. Na moje szczęście.

- To stąd wzięłaś się w tym Innsbrucku? - dociekała dalej Zosia. Pokiwałam głową i ciągnęłam dalej.

- Odtąd Austria stała się moją ojczyzną. Nigdy już nie wróciłam do domu. Nigdy więcej nie widziałam się z siostrą i Jackiem. Rodziców widywałam tylko wtedy, kiedy mnie odwiedzali. A nie zdarzało się to zbyt często - dodałam cicho. Pomimo że opowieść nie robiła już na mnie wielkiego wrażenia, zrobiło mi się smutno na wspomnienie, jak wyczekiwałam wizyt rodziców, jak czekałam na słowa „wracaj córuś do domu”. Nigdy się ich nie doczekałam. Z czasem przestałam też czekać na ich coraz rzadsze odwiedziny.

- Matko kochana - Magda z przerażenia zakryła dłonią usta. - Aż nie chce się wierzyć - po chwili sięgnęła na parapet, gdzie pomiędzy wiktuałami stał kartonik z chusteczkami.

- To po co teraz wróciłaś?

No właśnie. Po co teraz wróciłam? Nie usłyszałam zachęty do powrotu, na którą tak czekałam. Nie mogłam już usłyszeć, oboje zginęli w wypadku.

- Gdyby nie tragiczna śmierć moich rodziców -ciągnęłam - pewnie dotąd nie znałabym mojej nowej rodziny... Maurycego, Natalii. Choć jej wcale nie musiałabym poznawać. Jest wcieleniem swojej matki, ale o znacznie silniejszym działaniu.

- Taka... forte - Renia chyba znalazła odpowiednie określenie.

- Doskonale wyszkolona przez matkę, stała się w manipulowaniu innymi jej największym rywalem, i to trudnym do pokonania. Cóż, uczeń przerósł mistrza. Odda Lilii to, co ona mnie kiedyś zgotowała - pokiwałam głową z satysfakcją, którą trudno było mi ukryć. - Tego jestem pewna - nastąpiła cisza, ale żadna ze słuchaczek jej nie przerwała. Może tak jak ja zastanawiały się, co gorszego można jeszcze zgotować najbliższej osobie? Mnie już od dawna nic nie przychodziło do głowy.

- Po co wróciłaś? - Zosia powtórzyła pytanie.

- Do kraju musiałam wrócić na pogrzeb rodziców. Nie chcieli mojej krzywdy, choć nie potrafili mnie przed nią uchronić. Pewnie patrząc na to wszystko, cierpieli razem ze mną, więc musiałam się z nimi pożegnać. Zginęli oboje w wypadku samochodowym - ciągnęłam jednym tchem, bo nie chciałam poddać się smutkowi po ich śmierci. Zresztą, straciłam ich kolejny raz... Przeżyłam żałobę, kiedy czekaliśmy z pogrzebem na powrót Maurycego, który był w tym czasie w Kolumbii - przyjechałam na pogrzeb i wuj Johan kazał mi zostać, żeby załatwić sprawy spadkowe. Ale źle zniosłam zetknięcie z życiem, które ukradła mi siostra - zawiesiłam się na moment. Czy powiedzieć im wszystko? - Nie mogłam patrzeć na jej syna, który miał być moim synem - spojrzałam szybko na Kasię. - Przepraszam cię Kasiu, ale tak było.

- Wiem - powiedziała cicho i wzięła mnie za rękę - Maurycy już mi powiedział.

- I dostałam ataku paniki, kiedy próbowałam wejść do szklarni. Wtedy wuj załatwił mi ten szpital i sam zajął się moimi sprawami - dokończyłam. Zapadła cisza. Po małej chwili uśmiechnęłam się i rozejrzałam po ich przerażonych twarzach. - I okazało się, że umieszczenie mnie tutaj było najlepszym, co mnie spotkało. Dzięki wam dziewczyny. Bez was pewnie bym się nie pozbierała - uśmiechałam się przez łzy, które potoczyły się jak drobne koraliki. Zaczęłyśmy się ścisnąć i już po chwili wszystkie chlifałyśmy.

Potem dalej popijałyśmy kawę i pewnie każda myślała o swoim życiu. Co im dał pobyt w pałacu nerwusów. A nie przyjechały tutaj po nic. Pewnie jak ja znalazły tu spokój, izolację od często okrutnej rzeczywistości, chwile wytchnienia przed powrotem do realnego życia i czas na naładowanie akumulatorów. Bo przecież jak długo można jechać na rezerwie z migającym czerwonym światelkiem? Za długo się nie da.

- Niesamowite - pokręciła głową Zośka - historia jak z jakiegoś filmu.
- No - wtórowała jej wciąż nienaturalnie zdziwiona Magda. Coś musi zrobić z tymi brwiami.

Jestem pewna, że nie oglądałabym takiego filmu. Nie zniosłabym bagażu nieszczęść, jaki przyszło dźwigać jego bohaterce, i pokładów podłości w poczynaniach jej siostry. Z całą pewnością zmieniłabym kanał albo wyłączyła telewizor. Tylko że przed wyłączeniem, którym musiałyby być ostateczne rozwiązanie, ocalił mnie obłęd... no i nie znalazłam właściwego guziczka. A kanał zmienił za mnie tato. Wiedział, jak bardzo skrzywdziła mnie Lilia, choć nie potrafił jej w tym przeszkodzić, wywiózł mnie więc do innego życia. Musiał jednak oglądać ten sam film, szkoda że nie w całości. Za często zmieniał kanały, dobrze jednak nie oglądać telewizji samotnie. Dobrze mieć przy sobie człowieka, który przejmie się twoimi emocjami i spróbuje ocalić choć to, co zostało, sięgnie po pilota i zmieni kanał.

- Wrócisz jeszcze do domu rodziców? - spytała Renata.

- Nie mam po co - wzruszyłam ramionami. - Tam od dawna nie ma nawet okruchów mojego życia. Niczego tam nie zostawiłam, a Maurycy - uśmiechnęłam się na samo jego wspomnienie - obiecał mnie często odwiedzać.

- Zwłaszcza że dałaś mu swoje auto - dodała Kasia.

- Dałaś mu tę swoją wy pasioną furę?

- Madzia, co za rozdziw z ciebie - Zosia kręciła głową. - Co to dla niej taki samochód - wzruszyła ramionami.

- Owszem - uśmiechnęłam się na te słowa i przytaknęłam zadowolona, bo cieszyłam się tą myślą, od kiedy na nią wpadłam. - Kupię sobie bardziej stosowne.

- Stosowne do czego? - Renia łypnęła na mnie z kąśliwym uśmiechem.

- Do wieku, charakteru - zaczęłam wymieniać i nie bardzo wiedziałam, jak to sprecyzować. Ale już od chwili zakupu czułam, że powinnam była zdecydować się na coś bardziej nobliwego.

- Moja droga - dalej kiwała głową - to niezły prezent zrobiłaś siostrzeńcowi.

- Nigdy mu niczego nie dałam. Przynajmniej dotąd tak mi się zdawało - i pomyślałam o komunijnym rowerze, który w tajemnicy przede mną i w moim imieniu podarowali mu wujostwo. - A minęło tyle okazji - westchnęłam z żalem, bo zdałam sobie sprawę, ile okazji do radości straciłam, dając prezenty i patrząc na radość dziecka, choć nie swojego.

- To auto to pakiet za te wszystkie lata.

- A jak wrócisz do domu?

- Tata po nas przyjedzie - zameldowała zadowolona Kasia. - Róża pojedzie do nas, a potem z Maurycym odwieziemy ją do Innsbrucka.

- Już bez taty? - Madzia stroiła miny plotkary wiszącej u płotu i czekającej na słuchacza.

- A kto powiedział, że bez? - przechwyciłam z chytrym uśmiechem pytające spojrzenie Madzi i uśmiechałam się promiennie, ponieważ bardzo cieszyłam się na tę eskapadę.

- No, moja droga - Magda wyraźnie się rozmarzyła. - To może wreszcie obejrzysz sypialnię.

- Magda! - Renia próbowała przywołać ją do porządku. Wzrokiem wskazała rozbawioną Kasię, która przywykła już do naszych pieprzonych rozmów. - Nie bądź monotematyczna - zganiała ją z wyrzutem.

- No co? - oburzyła się i nie dała się zbić z tropu. - Nie jesteś ciekawa? A zresztą, teraz będzie z dzieckiem pod jednym dachem - ruchem głowy wskazała Kasię - więc kuchnia raczej odpada - teraz Kasia zrobiła wielkie oczy, a ja kopnęłam Magdę pod stołem.

- Aau! - wrzasnęła Zosia. - Za co to?

- Przepraszam, nie trafiłam - uśmiechnęłam się przepaszająco, jednak miło było słuchać, jak mówią o Kaśce jak o mojej córce. Z dzieckiem pod jednym dachem. Szkoda, że nie własnym. Cóż... widać, nie wszystko można w życiu mieć, ale tych kilka tygodni i wspólnie przeżywane dramaty sprawiły, że czułam, jakby Kasia była mi bardzo bliska. Tak bliska, jak bliska może być córka i najbliższa przyjaciółka.

*

Kiedy współlokatorki szykowały się na wieczór pożegnań, kątem oka spoglądałam na Renatę, która znów coś zapisywała na pokreślonej kartce swego skrzętnie skrywanego notesu. Dotąd nie zastanawiałam się, co kryje plastikowa okładka notesiku, ale pomyślałam, że musi być to coś bardzo osobistego, skoro przy takim obnażaniu duszy nie wspomniała o tym ani słowa. Renata dostrzegła moją uwagę i spłoszona schowała notes.

- Jesteś bardzo tajemnicza - ruchem głowy wskazałam na torbę podróżną wciśniętą za łóżko Renaty.

- Ty za to nie jesteś wścibska - uśmiechnęła się z cieniem uznania. Dostrzegłam jednak w jej oczach pewne zmieszanie, nawet ona nie potrafiła go ukryć.

- No wiesz, nie mam odpowiednich... narzędzi

- przypomniałam sobie jej określenie na sposoby przepytania siostry oddziałowej, choć Madzia nazwała to wtedy bardzo dosłownie. Nie lubiłam być wścibska, jednak ploty lubiłam jak każda normalna kobieta.

- Nie spytasz, co tam zapisuję?

- A odpowiesz mi szczerze? - przekrzywiłam głowę z przymilnym uśmiechem.

- Nie kokietuj mnie, nie musisz - uśmiechnęła się.

- Tobie jednej chciałam powiedzieć.

Siedząc wciąż na własnym łóżku, pomościłam się nieco z podniecenia, zdałam sobie bowiem sprawę, że i ona wyróżniła mnie, powierzając swój sekret. Od kiedy tu jestem, co pewien czas czuję się przez kogoś wyróżniana. Przyjemne uczucie. Renata wyjęła notesik. Nic specjalnego, czarna okładka starego kalendarzyka skrywała nieco już pożółkłe kartki zapisane drobnym, kształtnym pismem. Westchnęła głęboko.

- To moje wiersze - spojrzała mi w oczy.

- Piszesz wiersze? - z zaskoczenia stać mnie było wyłącznie na taką reakcję. Po chwili ocknęłam się - to wspaniale. Ale...

- No właśnie, ale... - odetchnęła głęboko - nie pasuje to do mnie, prawda?

- Nie powiedziałam tego - migiałam się.

- Ale pomyślałaś - osądziła. I miała rację. Do głowy by mi nie przyszło, że racjonalna, czasem cyniczna, uzbrojona w narzędzia do analizy ludzkich zachowań Renata pisze wiersze.

- To nie są wiersze patriotyczne?

- A wyglądam na rewolucjonistkę? Zaśmiałam się. Jej wielkie, piękne czarne oczy nijak

nie pasowały do pozy kobiety dzierżącej w dłoniach szturmówkę, choć pracę wybrała mało romantyczną. Ale na romantyczkę też nie wyglądała.

- Pokażesz mi? - zapytałam nieśmiało. - Nie musisz, nie obrażę się.

- Wiem. Ale dam ci coś innego - i wyjęła z torby niepozorny tomik i podała mi go z uśmiechem. - To dla ciebie.

Domyśliłam się, że to jej wiersze. Szara okładka z wielkim znakiem zapytania w miejscu tytułu. Nazwisko autora nic mi nie powiedziało. Spojrzałam na nią pytająco.

- To pseudonim. Nie chciałam być rozpoznana.

- Wydali ci wiersze? - zapytałam z podziwem w głosie, bo musiały być dobre, skoro ktoś się na to porwał. - Mogę poczytać?

- Książka jest dla ciebie, chciałam ci ją dać tak czy inaczej, ale odkryłaś moją tajemnicę, więc daję ci ją wcześniej.

Zajrzałam na pierwszą stronę. Wielki znak zapytania i dedykacja.

- Napisałaś ją dla mnie?

- Nie znam innej Róży - uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Nie mam żadnej książki z dedykacją autora, a co dopiero takiego, z którym się zaprzyjaźniłam. .. dziękuję, Renato. Ale jak ty to robisz? Taka praca i wiersze?

Renata wstała, postawiła torbę na łóżku i powoli zaczęła wkładać do niej rzeczy, których już z całą pewnością dziś ani jutro nie włoży. Nie spieszyła się z wyjaśnieniami. W końcu ciężko siadła na łóżku. Ja w tym czasie zaglądałam do książki.

- Piszę od kilku lat, jak choroba Rafała zaczęła dawać się mu we znaki i zdałam sobie sprawę, jak kruche jest życie, ale jak trwałe może być szczęście. Rafał jest dla mnie wszystkim, całym moim szczęściem.

- Ty dla niego też - zazdrośnie westchnęłam.

- I to daje mi siłę do życia. Nie chcę być cyniczną łowczy nią głów, ale lubię swoją pracę.

- I piszesz piękne wiersze - pochwaliłam, bo przez chwilę skupiłam się na fragmencie jej twórczości.

- Czasami mam wrażenie, że są we mnie dwie różne osoby. Jak doktor Jekyll i pan Hyde w powieści Stevenson? To nie jest takie komfortowe, bo tak naprawdę wciąż nie wiem, która to jestem ja. Dlatego ląduję tu, co jakiś czas.

- To nie mogę ci poradzić... bądź sobą? - Spojrzałam na nią ze współczuciem, bo sama doskonale wiedziałam,

co znaczy przybierać obcą skórę. Trzymałam w ręku jej tomik i bardzo ciekawa byłam, co skrywają karty z czarno-białymi zdjęciami.

- Myślę, że wreszcie dokonałam wyboru. Odejdę z pracy i ocalę resztę mojego szczęśliwego życia. Jakiegokolwiek długie miałyby być.

Zazdrościłam jej tej pewności. Ja nadal nie wiedziałam, jak wyglądać będzie moje życie, przynajmniej to uczuciowe. Marzyłam o miłości, jaka zdarzyła się Renacie i Rafałowi, o miłości, która raz mnie już porzuciła.

SZALONY MAREK — HISTORIA PRAWDZIWA

Zeszliśmy jeszcze na ostatnie karty. Oczywiście, wzięliśmy ze sobą ciastka. W końcu to ostatnie nasze popołudnie, trzeba się godnie pożegnać. Ciasteczka to przecież rytuał. Niewiele znajomych osób pozostało w szpitalu, obsada częściowo się już wymieniła. Zniknęły torebkowe damy, starsze panie z kiepską pamięcią, Jurek i kilku innych panów. Za to coraz więcej nowych twarzy zjawiało się na korytarzach. Nowych dla mnie, bo większość osób znała się doskonale i witała wylewnie w holu. Nawet moje współlokatorki co rusz wieszały się komuś na szyi i ucinały sobie pogawędki z dawno niewidzianymi znajomymi. Siedziałyśmy teraz na kanapie, ściśnięte jak śledzie w puszcze, i pilnowałyśmy sobie miejsc, bo w ten ostatni wieczór chciałyśmy jeszcze pobyc z innymi.

- Róża, patrz - Magda szturchnęła mnie pod żebro i wskazała dość przystojnego mężczyznę, który siedział na schodach i, o dziwo, rozmawiał z Markiem. - Widzisz tego gościa obok Marka?

- Widzę - przytaknęłam. - No i co?

- To Zbyszek - powiedziała tonem, jakbym wiedziała, co to za Zbyszek. Ten ucinał sobie całkiem luźną pogawędkę z zakręconym Markiem.

- Znam go? - nie rozumiałam.

- No, chyba nie - zniecierpliwiła się - ten Zbyszek podobał się kiedyś Zosi, ale taka jedna była szybsza - objaśniła dość rzeczowo.

- To widzę, że to też weteran.

- Kochana - spojrzała na mnie z politowaniem. - Nikt tu nie przyjeżdża tylko raz. Wszyscy wracają. Jeszcze tego nie zrozumiałaś?

- Nie brzmi to optymistycznie - westchnęłam.

- Ależ tak - uśmiechnęła się - wracają, bo chcą. Nigdzie tak nie naładujesz baterii jak tu. Wokół ludzie z problemami znacznie gorszymi niż twoje...

Nagle sąsiad z mojej drugiej strony ożywił się. Dotąd oparty o zagłówek, wychylił się do przodu i z uśmiechem zagadał do Madzi.

- No właśnie, Madzia - facet spotyka kumpla i opowiada mu, że był u psychiatry.

- I co? - Magda zainteresowała się tym, co mój sąsiad tak nagle miał do powiedzenia.

- I mówi, że siedział u niego ze dwie godziny. Kolega pyta, czy ma aż tyle problemów? A on, że nie. To psychiatra opowiadał mu, jaki kanał ma w domu, że żona go zdradza, że teściowa wredna i że w ogóle to suki. I wtedy facet od razu poczuł się lepiej. - Dopiero wtedy spojrzał na mnie, uśmiechnął się i dodał: - Dlatego wszyscy tu wracają. W obliczu cudzych problemów własne wydają się błahe. Jestem Adam - podał mi rękę. - Nie widziałem cię tu jeszcze.

- Róża - oddałam uścisk. - Jestem pierwszy raz. I jutro wyjeżdżam.

- Szkoda - westchnął. - Zagramy w karty?

I tak rozpoczęło się ostatnie popołudnie w pałacu nerwusów. Przy ciastkach, nowych znajomych i starych przyjaciółach. Przyjaciół jak butów... nigdy nie ma się zbyt wielu i ważny jest każdy, a przyjaciel pozyskany w chudych czasach jest szczególnie cenny.

*

Kiedy atmosfera w holu nieco się przerzedziła, luźniej zrobiło się też na kanapie. Część pacjentów zebrała się w jednym z pokojów i oglądała film na laptopie. Nie czułam specjalnej więzi z nowymi i nie miałam ochoty dołączać. Siedziałyśmy więc w komplecie, a z nami nowo

przybyły Adam, Zbyszek i jego znajoma Ala. Zosia raz po raz lustrowała ją od stóp do głów, pewnie porównując się z nią. Zosia była dużo atrakcyjniejsza i widziałam, że jest tego świadoma. To dobrze, bowiem poczucie wartości w jej przypadku jest szczególnie ważne. I wreszcie je odzyskała. Kiedy siedzieliśmy w holu wzajemnie się lustrując, chwiejnym jak patyczek krokiem przeszedł Marek. Długimi, wytatuowanymi ramionami przytrzymał na piersi koc, którym się okrył, choć nie wydawało mi się, żeby było zimniej niż zwykle.

- Co mu się stało? - zaniepokoiłam się.

- Nic - spokojnie odpowiedział Zbyszek. - Zmienili mu dziś leki. Trochę nim rzuca.

Marek tymczasem, trzymając się poręczy, zszedł na półpiętro, na ławkę płaczu i siadł, wyjmując z kieszeni małą, grubą książeczkę. Można by pomyśleć, że zamierza się modlić, ale choć tomik wyglądał jak modlitewnik, mogłabym dać głowę, że był zgoła czymś innym.

- Dziwny jest - Magda spoglądała raz po raz w stronę witraża. - Jakby żył w innym świecie.

Marek żył w innym świecie, w świecie pełnym mądrych ludzi, w świecie, gdzie nie ma trosk i krzywd. Może to właśnie jest dobre wyjście, kiedy świat sprzysiął się przeciwko tobie? Kiedy wszystko wychodzi nie tak i nie widzisz sensu dalszego życia. Może dobrze jest uciec? Tylko że to zwykle nie świat, lecz źli ludzie nie dają żyć. Ciekawe, czy tak też było w przypadku Marka?

- Bo tak jest - przytaknął Zbyszek. - Zawsze taki był.

- Zawsze? - Zainteresowałam się, bo obudziła się we mnie nadzieja, że ktoś może wiedzieć o Marku więcej niż my. - Dawno go znasz?

- Bardzo dawno. - Zbyszek uśmiechnął się tajemniczo i nic nie odpowiedział. Zamyślił się, patrząc w stronę schodów, na których zniknął Marek. Pewnie się zastana-

wiał, czy wolno mu opowiedzieć jego historię. Bo że ją zna, byłam pewna. Jednak najwyraźniej się nie kwapił. Postanowiłam, że poczekam... może dojrzeje i powie, co zepchnęło cudacznego filozofa do innego świata. Ale czy zdąży? Wszak jutro wracam do swojego życia i mam nadzieję, że już nigdy nie będę szukała innego.

- Marek tu jeszcze zostanie? - spytałam Zbyszka. - Nie żegna się, a nie miałam sposobności spytać.

- A mogłaś - spojrzał na mnie z uśmiechem. - Lubi cię. Mówił mi, że lubi z tobą rozmawiać.

No, masz! Następny! Choć jak się zastanowić, to rzeczywiście do mnie odzywał się najczęściej i sama lubiłam te jego filozoficzne zaczepki. I nagle Zbyszek, przez nikogo nie nagabywany, zaczął opowiadać o Marku.

- Chodziłem z Markiem do szkoły. On kilka klas niżej - zaczął się bawić kartami. Rozkładał je na blacie i składał według tylko sobie znanej reguły. - Kiedy chodził do liceum, zmarł mu ojciec. Nie mieszkał z nimi. Nie wiem, czy był rozwiedziony z jego matką, czy nie, ale Marek miał mu za złe, że mieszkał osobno. Bardzo się wtedy zmienił - westchnął. - Zaczął unikać kumpli, przesiadywał nad książkami. Dotąd normalny chłopak zamienił się w książkowego mola. Mieszkaliśmy w tym samym bloku, więc wiem co nieco. Ojciec, pomijając resztę dzieci i ich matkę, zapisał Markowi cały majątek, a trochę tego było - pokiwał głową z błyskiem zazdrości w oku. - Głównie w hektarach i koniach. Marek nie chciał pracować w stadninie i dał nogę.

- Jak to... dał nogę? - spytał Zosia.

- Po maturze wyjechał do Niemiec, do siostry ojca, i tam został.

Wciąż bawił się kartami i zerkał w stronę półpiętra z witrażem. Jednak nie po to, żeby upewniać się, czy

Marek nie nakryje go na zdradzaniu tajemnic, w jego oczach widziałam prawdziwą troskę i współczucie.

- Stąd tak dobrze zna niemiecki - powiedziałam do siebie.

- Jak się dowiedziałas? - spytał zaciekawiony. - Wydawało mi się, że unika tematu pobytu w Niemczech.

- Od wielu lat mieszkam w Austrii i przez telefon rozmawiam po niemiecku. Wszystko rozumiał - uśmiechnęłam się wspomnienie min zabawiających się w holu osób, kiedy Marek powtórzył im, o czym rozmawiałam z wujem Johanem i Gertrudą. - Dlaczego myślisz, że unika rozmów o Niemczech?

- Tam coś się wydarzyło - powiedział to takim głosem, że po plecach przeszły mi dreszcze. Bardzo chciałam dowiedzieć się reszty, ale odezwał się gong na kolację i opowieść urwała się, kiedy zaczęło być naprawdę ciekawie. Pozbierałyśmy się bardzo niechętnie i przez całą kolację snułyśmy przypuszczenia. Polubiłam Marka i nie wiedząc nawet, co zjadam na kolację, modliłam się, żeby to, co go spotkało i spowodowało wytraćenie z orbity normalności, nie stało się traumą na resztę życia. Ale może nie mam racji? Co znaczy być normalnym? Może dla niektórych wysiłki, żeby za takich uchodzić, to dopiero straszne przeżycie? W końcu, co ja wiem o normalności? Połowę życia walczyłam, żeby do niej wrócić, a okazuje się, że nie było warto. Wracałam do życia, a właściwie asymilowałam się z obcą mi i niekoniecznie wyśnioną codziennością, wytracona poza nawias najbliższej rodziny. Może po tym, co usłyszałam o życiu Jacka i Lili, powinnam być jej wdzięczna, że okazała się podstępna żmiją i ukradła mi przyszłość. Tego już nie sprawdzę. Nie dane mi było uciec od dalszej części spowiedzi, do której Zosia nieoczekiwanie powróciła nad kromką chleba z pasztetem podczas ostatniej szpitalnej wieczerzy.

- Róża - spytała, zawiesiwszy dłoń z tym specjałem w drodze do ust. - Nie żal ci tamtego życia? Wiesz, Jacka, ogrodnictwa i takie tam.

Wykorzystałam pytanie jako pretekst, żeby nie jeść już tego rarytasu i popijając herbatę z kotła, uśmiechałam się. Taką herbatę akurat lubię, przypomina mi duże przerwy w szkole, ale uśmiech wywołało wspomnienie dalszej części rozmowy z Jackiem, której moje towarzyszkę jeszcze nie znały.

- Chyba nie powinnam żałować - odstawiłam kubek. - Jacek powiedział mi, że czekał tylko na sposobny moment, żeby odejść. Od bardzo dawna nie układało im się. A właściwie każde wiodło odrębne życie.

- Smutne - westchnęła Zosia. - I to był ten moment?

- spytała nieusatysfakcjonowana odpowiedzią.

- Każdy pretekst jest dobry, żeby zmienić sobie życie na lepsze - dopowiedziała za mnie Rena. - Ale czy na pewno na lepsze? - spojrzała na mnie pytająco, bo wiedziała, że jest dalsza część tej opowieści, i że zachęcona, z całą pewnością ją zdradzę.

- Chyba jednak tak - uśmiechnęłam się trochę złośliwie, bo Zosia spoglądała na mnie z niedowierzaniem.

- Powiedział, że od dwóch lat spotyka się z koleżanką ze studiów. Rozwiodła się jakiś czas temu. Spotkali się na jakichś targach i utrzymywali stały kontakt.

- To i tak się to nazywa? - Magdzie widać smakował pasztet, bo zjadała nasze ledwo napoczęte porcje, nie zapominając rzecz jasna o kotach. Dla nich posmarowane kromki chleba leżały już na talerzyku obok.

- Nie wiem, co miał na myśli, ale decyzję o odejściu od Lilii podjął już dawno - poczułam, że powiedzenie tego na głos przyniosło mi niebywałą satysfakcję. Zrobiło mi się głupio, że nieszczęście mojej siostry jest dla mnie źródłem frajdy. Ale sprawdziły się prawdy mojej

mamy, że w życiu wszystko jest tylko pożyczone i będzie ci zwrócone w dwójnasób.

- To chyba dobrze, nie? - Madzia popatrzyła po nas.

- No, właśnie nie wiem - wzruszyłam ramionami. - Bo jeśli to ta koleżanka, którą wcześniej porzucił dla mnie, to pewnie i mnie by kiedyś zostawił. Nie wiem, co o tym myśleć.

- A koniecznie musisz? - Renata spytała z powątpiewaniem.

- No, nie... - zaczęłam - ale gdyby to wszystko mnie się miało zdarzyć, to może teraz nie jest tak źle?

- I tak myśl! - niemal nakazała mi Magda. - Wraz z życiem skradła ci twoje prawdopodobne nieszczęścia. Dobrze mówię, Rena? - spojrzała na nią.

- Myślę, że tak - uśmiechnęła się do zadowolonej z siebie Madzi. - Przynajmniej dobrze dla własnego zdrowia psychicznego.

- No właśnie, to miałam na myśli - zakończyła swój zaskakujący wywód i tym samym zakończyła kolację, bo ostentacyjnie odsunęła od siebie talerz, a tylko na nią czekałyśmy. - Cholera, dobry był ten pasztet, ale więcej już nie mogę.

Pomyślałam wtedy, że jak nieodgadnione są przypadki ludzkich nieszczęść w tym szpitalu, tak nieodgadnione bywają gusty kulinarne ich nosicieli. Na szczęście dla kotów, dzisiejszego wieczoru smakoszy podobnych Madzi było niewiele i dostały się im wszystkie niedojedzone pasztety. A biorąc pod uwagę liczbę pacjentów, to długo będą z wdzięcznością wspominać swoją karmicielkę. I może przestaną ją wreszcie prześladować?

Po raz ostatni siadłyśmy do kart, żeby doczekać wieczornej porcji usypiaczy. Nie potrafiłyśmy ukryć, że tak naprawdę czekamy na finał opowieści o Marku. Co chwila któraś z nas lekko się unosiła i kręcąc głową jak sowa, wypatrywała Zbyszka. A jego, jak na złość, nie było widać.

- Gdzie on się podział? - Zosia lekko się niecierpliwiła.

- Zośka - Magda spojrzała na nią zdziwiona i ociupinkę zaniepokojona. - Chyba nie zamierzasz sobie niczego udowodniać.

Doskonale znała historię Zbyszka i Zośki, znała też kompleksy koleżanki i jej problemy z rodzeństwem. Obawiała się pewnie, że Zośka gotowa zniweczyć swoją wyśnioną i wreszcie wyczekaną przyszłość. Wiedziała, jaka potrafi być zalotna i chyba też podejrzewała Zośkę o małą ingerencję w afekt Jurka? Nie... mam wrażenie, że Madzia szybko się zorientowała, co w trawie piszczy. Czy raczej, co w śniegu skrzypi, bo przecież to na zimowych spacerach ich przyłapałam.

- Że co? - łypnęła na nią. - Nie rozumiem.

- Nie rozumiem, nie rozumiem - przedrzeźniała ją z uśmiechem. - Nie udawaj.

- Kobieto, ja się chcę tylko dowiedzieć, co z tym Markiem - pokiwała głową z niedowierzaniem. - Ty nie jesteś ciekawa?

- No, może trochę jestem - nieco się uspokoiła.

- E, tam... trochę - wzruszyła ramionami. - Wszystkie chcemy wiedzieć.

Czy chciałyśmy wiedzieć? No jasne. Nie jesteśmy pozbawione zwykłych, ludzkich przywar. Moja ciekawość była jednak trochę powodowana sympatią. Podziwiałam go za trafność osądu i umiejętność bycia

ponad zwykłymi zdarzeniami. Nawet jeśli dotyczyły napaści na lodówkę. Powinnam się pewnie oburzać, a tymczasem wciąż czekałam na kolejną awanturę i na pełne nerwowych okrzyków szukanie w lodówce wiktuałów. Bawiły mnie miny nowo przybyłych, kiedy próbowali dochodzić, kto pozbawił ich zapasów. Nigdy nie przyszło mi do głowy, aby kogokolwiek ostrzec... Nieprawda. Raz o tym pomyślałam, ale zdałam sobie sprawę, że pozbawię się zabawy. Dziwnym wydał mi się fakt, że nikt inny tego nie zrobił. Nawet sami poszkodowani. Ciekawe.

Wreszcie zjawiał się Zbyszek. Wolno wchodził po schodach, rozmawiając ze swoją sympatią. Pewnie był palący, bo o tej godzinie palarnia cieszyła się największym wzięciem i tam często przenosiło się życie towarzyskie, o czym nigdy się nie przekonałam, bo wciąż nie lubię zapachu papierosowego dymu. Trauma taka. Jednak torebkowe damy chyba o tym wiedziały, bo pomimo że nie paliły, często przemierzały trasę do jaskini dymu i z powrotem. Może lubiły nikotynowe inhalacje? Może. Albo terapię społeczną traktowały zbyt dosłownie. Cóż, różne są upodobania.

- O, idzie Zbyszek - oznajmiła konspiracyjnym szeptem zadowolona Magda. - Zosia, przysuń się do mnie, bo jak nie będzie wolnego miejsca, to się nie przy-siądą.

Zosia niechętnie wcisnęła szczupłe ciało w niewielką przestrzeń zrobioną przez naszą pulchną koleżankę i marudziła po cichu.

- Przecież nawet idiota się domyśli, że czaimy się na niego.

- Cóż, moja droga - Renata dotąd przyglądająca się temu w milczeniu, uśmiechnęła się rozbawiona - a na kogo innego możemy tu liczyć? Poza tym zaspokojenie

ciekawości wymaga poświęceń. Nie marudź, tylko się uśmiechaj - lekko ją szturchnęła. - Z całą pewnością go zwabisz.

Zbyszek zdecydowanie należał do tych bystrzejszych, bo ujrawszy pusty fotel i nas ściśnięte jak śledzie, uśmiechnął się szeroko i mrugnął do mnie.

- Co, ciekawe jesteście dalszego ciągu - stwierdził raczej, niż spytał.

- Może trochę - skłamałam.

- Blefować to ty nie potrafisz - ubawiony posadził na fotelu swoją towarzyszkę, a sam przysiadł na jego szerokim i miękkim podłokietniku. I chyba postanowił sobie z nas trochę pożartować, bo wdał się w towarzyską pogawędkę, daleką od zaplanowanego przez nas tematu. Kiedy już straciłyśmy nadzieję, nagle przemówił.

- Szanse Marka na wyzdrowienie są niewielkie.

- Skąd to przypuszczenie? - Renata zaczęła mu się przyglądać. Zbyszek westchnął i poprawił się na mało wygodnym siedzeniu.

- Chyba nie do końca wiedzą, co mu jest - zaczął się bawić telefonem komórkowym. - Kiedyś jego mama powiedziała mi coś o schizofrenii, ale mówiła jakoś mało przekonująco. Innym razem powiedziała, że nie wiedzą, co mu jest, ale po tym co przeżył, może się już nie pozbierać.

- No to w końcu, co się stało? - nie wytrzymałam już napięcia.

- Marek studiował na uniwersytecie w Monachium - rozpoczął swoją opowieść. - Studiował filozofię i jeszcze coś... - zastanawiał się chwileczkę - i religioznawstwo. Tak, chyba tak. Rzadko wracał do domu. Rodzina trochę miała mu za złe, bo ciotka odradzała mu scedowanie majątku na resztę rodziny, a chyba ostro go to tego namawiali i źli byli, że miga się od roboty.

- Ale że co? - Zosia zaczęła wiercić się wciśnięta pomiędzy Magdę a Renatę. - Chyba jakąś kasę z tego mieli.

- I to sporą - Zbyszek wydał wargi i pokiwał głową z uznaniem. - Po pewnym czasie przenieśli się na wieś do wspaniale odbudowanego dworu. Kumpel mi opowiadał - westchnął. - Odrestaurowywał go. Taki prawdziwy dwór polski z parkiem ze starodrzewem, ze stawem i stajniami. W stajniach zrobili pokoje dla gości i nieźle kasują za pobyt w tej stadninie.

- Serio? - Magda już nikogo nie dziwiła swoimi wielkimi oczami... no, może trochę Alę, towarzyszkę Zbyszka, bo przyglądała się jej dość namolnie. - To są jeszcze takie miejsca?

- O, i to całkiem blisko. Dlatego mama często odwiedza Marka. Kiedy ma lepsze momenty, mieszka z nimi na wsi... ale coś mi się wydaje, że rodzeństwo Marka zasadziło się na jego majątek - pokiwał głową na potwierdzenie swoich domysłów. Siedziałyśmy cicho. Opowiadanie nie wyjaśniało przyczyn choroby Marka.

- No dobrze, ale co mu się właściwie stało - zaczęłam dopytywać. - Przecież to chyba nie od nadmiaru nauki.

- Nie... chyba nie.

- Więc co?

- Kiedy skończył studia - zawiesił głos i spojrzał na mnie poważnie - wstąpił do zakonu... czy czegoś tam... podobnego.

- Do zakonu!? - Magda wydała okrzyk podobny temu, kiedy rwała sobie z głowy jajecznicę wraz z włosami. Przeglądała się w naszym zdziwieniu.

- No tak, do zakonu - i po chwili jakby nigdy nic dodał - krzyżackiego.

- Co takiego? - zawołałyśmy niemal zgodnym chórem.

- Co ty gadasz? - naskoczyliśmy na niego jak hieny na zmęczone zwierzę. Zbyszek zaśmiał się, bo spodziewał się takiej reakcji. Zakon krzyżacki to dość niezwykła sprawa.

- Co się tak dziwicie? Zawsze był zakręcony -wzruszył ramionami, jakbyśmy znały Marka od zawsze, a teraz dziwimy się nie wiadomo czemu.

- To Krzyżacy jeszcze istnieją? - Magda nie dawała za wygraną. - Myślałam, że pod Grunwaldem załatwiliśmy ich raz na zawsze.

Spojrzeliliśmy na Magdę jak na dziwoląga. Wydawało się, że nie wie, o co nam chodzi. Po czym Renata z ubolewaniem pokręciła głową:

- Oj, Magda, Magda - westchnęła.

- No co. A nie?

Jakoś nikt nie znalazł siły, aby przypomnieć Madzi dalsze losy zakonu krzyżackiego, choć bardziej prawdopodobne wydało mi się, że nie potrafilibyśmy tego zrobić. W końcu Zosia zniecierpliwiona machnęła ręką:

- Dobra - przerwała ciszę - to było dawno. Mów dalej Zbyszek - spojrzała wyczekująco.

- To teraz trochę inny zakon, no może nie inny, tyle tylko, że już nie podbijają nikogo. W każdym razie Marek trochę tam pobyl, był bratem zakonnym...

- Kim?

- Brat zakonny bez ślubów - spokojnie wytłumaczył zdziwionej Magdzie.

- To można tak być księdzem bez ślubów?

- Nie był księdzem, tylko bratem zakonnym - uciał zniecierpliwiony i ponaglany naszymi spojrzeniami.

- Nic nie rozumiem - kręciła głową. - To można tak? - zgromiłam Magdę wzrokiem. Jak tak dalej będzie się dziwić, to nie doczekamy końca opowieści.

- Widać można - westchnął z bezsilności. -I w trakcie pobytu w zakonie musiał pojechać na jakąś

ważną rodzinną uroczystość do Monachium i tam ślad po nim zaginął. Nie odzywał się przez prawie dwa lata. Rodzina go szukała - podrapał się po głowie - na próżno. Potrzebowali go pewnie do jakichś spraw finansowych, bo szukali wytrwale, i w końcu znaleźli go w Amsterdamie.

- W Amsterdamie? - dziwiłam się na głos. - Czego tam szukał?

- Nikt się tego nie dowiedział, ale znaleziono go zupełnie odmienionego. To chyba tam dorobił się tych tatuaży, no i narkotyki też nie były mu obce. Był nawet na odtruciu i odwyku - kiwał głową zatroskany. - Na szczęście skutecznie.

- O matko - Zosia bardzo się przejęła. - Ale co się stało?

- Nikt tego nie wie - wzruszył ramionami. - Ale do Niemiec nie chciał już wrócić i nie wspominał więcej o zakonie krzyżackim. Przestał też używać języka niemieckiego, a był nawet tłumaczem i zna go doskonale. Jak zresztą kilka innych.

- Żartujesz - teraz ja miałam oczy jak kurze jaja.

- Nie wiedziałyście? - popatrzył po nas. - Kiedyś często zagadywał po hiszpańsku czy włosku. Tak... dla żartu.

Nagle uwagę towarzystwa odwróciła nasza nowa sąsiadka, która zaczęła wkładać do lodówki swoje zapasy, dziwiąc się na głos, że wszyscy trzymają wałówki za oknem, a w lodówce jest tyle wolnego miejsca. Spojrzeliśmy po sobie z zadowolonymi minami... i po chwili parsknęliśmy śmiechem. Teraz towarzyszka Zbyszka spojrzała na nas zdziwiona. Najwyraźniej nie знаła Marka. W głowie miałam kompletny mętlik. Wiedziałam, że Marek jest kimś wyjątkowym, że jest inteligentny i mądry, ale to co usłyszałam od Zbyszka bardzo mnie zastanowiło. Co robił w zakonie krzyżackim? Czy to była

tylko ekstrawagancja? Czy może przekonanie... a może inspiracją były studia na monachijskim uniwersytecie? Nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć. Kiedy już wycisnęliśmy Zbyszka jak pomarańczę, wzięłam laptop i pocwałowałam na ławeczkę płaczu. Dziewczyny grały w karty. Koniecznie chciałam poczytać o zakonie krzyżackim. Moja wiedza pochodziła głównie ze starego przeboju kinowego i nie przedstawiała braci zakonnych jako dobrych ludzi. Jakież było moje zdziwienie, kiedy czytałam o ich pracy duszpasterskiej, o opiece duchownej w szpitalach zakonnych, o prowadzeniu placówek służby zdrowia, domów opieki i domów dziecka. Nie tak wyobrażałam sobie życie brata zakonu krzyżackiego. Choć to ponad osiemsetletni zakon, nie skupia wielu braci i sióstr. Można by go nawet nazwać elitarnym. Ale wciąż myślałam o braciach zakonnych jak o rycerzach. Skąd wziął się tam Marek? Co sprawiło, że takie wybrał życie? Domy zakonne rozrzucone są po kilku krajach - Niemcy, Czechy, Włochy, Słowenia, Słowacja i Belgia. No i nie przyszło mi nawet do głowy, że wielki mistrz mieszka w domu zakonnym w Wiedniu. Można by powiedzieć... sąsiad.

Nie próbowałam zrozumieć Marka, każdy ma swoje życiowe priorytety. Ale po tym wszystkim, czego się o nim dowiedziałam, jeszcze bardziej go polubiłam. Już nie wiedziałam, czy jest szalony, czy po prostu ekscentryczny. I mam nadzieję, że to nie on maczał palce w psikusie, który nam zgotowano. Kiedy kładłyśmy się spać i próbowałyśmy po raz ostatni wbić się w piżamy, okazało się, że wszystkie nasze nocne przyodziewki miały zaszyte rękawy i nogawki. Więc zeszło nam jeszcze trochę na pruciu. Ale w końcu każde kolonie kończą się zieloną nocą, więc nie mogłyśmy mieć pretensji... zresztą, nawet nie wiedziałyśmy do kogo.

- I co ja mam z tobą bratku zrobić? - Chyba jeszcze nie jest ze mną najlepiej, skoro mówię do małego bratka w doniczce. Może jednak powinnam tu zostać? Trzymałam w ręku (bez papierowej torby) małego bratka, który jako pierwszy nie poległ. Zaslugiwał więc na tę odrobinę mojej odwagi, no i ochronna rękawica nie była mi już potrzebna.

- Spójrz Rena, uparty jest, nie?

- Pewnie dlatego, że do niego gadasz - uśmiechnęła się. - Co z nim zrobisz? Zabierzesz ze sobą?

- Aż tak dobrze się jeszcze nie czuję - spojrzałam na nią lekko oburzona. - Ale nie zostawię go w pokoju, bo pewnie uschnie. Jak jego nieszczęśni poprzednicy.

- Zanieś go do palmiarni - podpowiedziała. - Ktoś na pewno będzie się nią zajmował, to może jakoś się uchowa do wiosny.

- No, bez wody padnie... a szkoda go, skoro on jeden nie odmówił współpracy.

Zeszłam na dół, patrząc pod nogi, żeby nie wywinąć orła na schodach. Kiedy przyjechałam tu i załatwiałam formalności w dyżurce pielęgniarskiej, tak właśnie z hukiem policzyła stopnie jedna z pacjentek. Łomot był okrutny. Odwrócił moją uwagę, bo byłam bardzo przejęta, choć nie były to przykre procedury. Teraz nowi pacjenci grzecznie maszerowali za dyżurnymi i siostrą oddziałową do wyznaczonych pokoi i może taki rumor na schodach poprawiłby im humor? Ale niech się o to postara ktoś inny. Ja miałam teraz ważną misję. Na schodach minęłam Jurka, który przyjechał po Zosię i czekał, aż pożegna się ze wszystkimi... a trochę to już trwało.

- O, Jurek - zaczęłam go. - Nie widziałeś Marka?

- Na co ci Marek? - zdziwił się. Wiedział o mojej osobliwej z nim więzi, ale mimo to był zdumiony, że

chodzę po pałacu z doniczką i go szukam. A mnie Marek wydał się najbardziej trzeźwo myślącym facetem w tym przybytku nerwusów. Nie tylko chciałam się z nim pożegnać. Chciałam pochwalić się małym bratkiem, którego niosłam odważnie bez papierowej torby.

- Jeszcze tylko z nim się nie pożegnałam, a bez tego nie wyjadę - powiedziałam bardziej do siebie niż do Jurka. Już wcześniej zrozumiałam, że Marek jest kimś wyjątkowym, kto zasługuje, żeby czasami go posłuchać. Będę pamiętała wszystkie sentencje, którymi mnie uraczył, bo zdałam sobie sprawę, że w ten sposób można wyjaśnić podłości wyrządzane nam przez innych. Natura ludzka nie zmieniła się od tysiącleci i utrwalone gdzieś słowa mędrców świata ukazują, że ludźmi targają wciąż te same emocje.

- Dziwna jesteś - uśmiechnął się. - Mimo wszystko.

- To widziałeś go czy nie? - zniecierpliwiłam się.

- Marek jest w palmiarni - zawołała siostra oddziałowa, która prowadziła nową pacjentkę do pokoju i usłyszała naszą rozmowę. - Jakiś smutny jest dzisiaj.

Jasne, że smutny. Wczoraj wieczorem znów była awantura z powodu teleportacji zawartości lodówki do miejsca bliżej nieokreślonego. Jednak podejrzenia od razu padły na Marka, a ten błędził po pałacu i nie wdawał się w dyskusje. Jak zwykle był ponad wszystko. Ziemskie sprawy zdawały się go zbytnio nie zajmować. Skierowałam się więc po raz ostatni do palmiarni, żeby pożegnać się z szalonym filozofem. Stał w głębi wśród zielonych roślin doniczkowych, które rozmiarami przypominały krwiożercze stwory z horrorów. Stał i patrzył, jak się zbliżam.

- Zobacz Marek, przetrwał - uniosłam doniczkę i zawołałam do niego jeszcze w holu.

- Zupełnie jak ty - uśmiechał się. Czego oni wszyscy chcą od tego gościa? Czy naprawdę nie widzą, że najtrafniej ocenia rzeczywistość, choć raczej nie ma to odniesienia do wyboru rozmówcy. Wciąż uwielbia gadać do swojej plastikowej przyjaciółki.

- Chciałam się z tobą Marku pożegnać - weszłam już bez obaw do palmiarni. I nagle uderzył mnie boski zapach... Tak właśnie pachną bratki. I zobaczyłam je. Stały rzędami na parapetach... żółte, białe, niebieskie, granatowe, bordowe i pomarańczowe. Wszystkie, które przyniosłam do pałacu w papierowych torbach. Patrzyły wesoło kolorowymi oczkami i uśmiechały się do mnie. Stałam jak wryta, ale nie ze strachu. Nie mogłam otrząsnąć się z zdziwienia, jakim cudem tu się znalazły i jak to się stało, że o nich nie wiedziałam. - Wiedziałeś o nich? - rozglądałam się, próbując policzyć doniczki.

- Przecież mówiłem ci, że masz tu nie wchodzić... wtedy jeszcze się ich bałaś - przypomniał mi, kiwając głową współczująco.

- Już się nie boję.

- Wiem - przytaknął i dodał: - Ale pamiętaj, że odważny jest nie ten, kto się nie boi, tylko ten, kto wie, że są rzeczy ważniejsze niż strach - patrzył na mnie tym swoim trzeźwym spojrzeniem, zarezerwowanym chyba wyłącznie dla mnie.

- Marek... będzie mi ciebie brakować - podeszłam bliżej, odstawiłam bratka na parapet i stanęłam przed nim. - Mogę cię uściskać?

Uśmiechnął się chyba po raz pierwszy (przynajmniej świadomie), i rozłożył długie ramiona. Bez obawy podeszłam i przytuliłam się jak do najlepszego przyjaciela. Objął mnie pajęczymi odnóżami pełnymi tatuaży i bez żenady uściskał. Owładnął mnie zapach... kabanosów. Pewnie tych, które wczoraj zniknęły z lodówki.

Ten zapach będzie mi towarzyszył, ilekroć usłyszę jakiś mądry cytat. Trwałam tak przez chwilę i uśmiechałam się do swoich myśli, bo nigdy przedtem nie przyszło mi nawet do głowy, że przytulę się do brata zakonnego i do tego jeszcze go polubię, pomimo że to „krzyżak”. Cały czas jednak rozglądałam się ciekawie.

- Skąd się tu wzięły? - zapytałam wreszcie. Nie miałam pojęcia, że można je jeszcze odratować. Sądziłam, że skoro ziemia w doniczce była sucha jak popiół, albo kwiatki smętnie zwiesiły główki, to już po nich. No i nie miałam woli niesienia pomocy, a do większości papierowych toreb nawet nie zaglądałam. Wstrętna jestem! I do tego córka ogrodników... wstyd!

- Kasia i Zosia je przynosiły - wypuścił mnie z objęć i wziął małą niebieską konewkę. - Masz, podlej je na zgodę i na pożegnanie.

- Do zobaczenia, Marku - zawołałam za nim, kiedy był już w drzwiach. - Cieszę się, że cię poznałam.

- Żegnaj Różo, bądź szczęśliwa - uśmiechnął się znów poważny. - Ty już tu nie wrócisz - zawyrokował, wyszedł i stanął przy klatce z papuzkami. Długi, zamyślony i bujający w obłokach, rozmawiający z ptakami, filozofami oraz innymi mądrymi ludźmi... niekoniecznie żywymi.

Spojrzałam na konewkę i znów uśmiechnęłam się z niedowierzaniem, bo nie sądziłam, że jeszcze kiedyś będę pielęgnować kwiaty, i zaczęłam wolno i uważnie podlewać każdego bratka po kolei. Niebieskie, granatowe, bordowe... wszystkie równie ładne. Nawet nie wiem, kiedy zostałam sam na sam z dotychczasowymi prześladowcami. Uśmiechały się do mnie swoimi oczkami i wtedy zaczęłam się zastanawiać nad życiem bez kwiatów. Brakowało mi ich, dopiero teraz uzmysłowiłam to sobie. Warto było ponieść trud terapii, żeby znów cieszyć się ich zapachem, kolorem i kształtem. Móc znowu bez obawy spacerować

po alpejskich łąkach, pielęgnować kaskady balkonowych kwiatów i zatapiać nos w pachnących bukietach. Smutne i bezbarwne jest życie bez kwiatów, jak smutne jest życie bez miłości. Bez prawdziwej miłości, bo fałszywa bywa gorsza od nienawiści. Zabijała mnie powoli, niezauważalnie, bez żadnych emocji. Po pewnym czasie już nie byłam pewna, czy istnieje jeszcze jakaś inna. Czy moja pierwsza prawdziwa miłość, miłość do Jacka, tylko mi się przyśniła? Taka gorąca, żywiołowa, pełna uniesień i łez po stracie. Miłość, która rzuciła mnie w otchłań obłędu i po której wciąż nosiłam bliznę. Czułam jednak, że terapia w pałacu nerwusów pomogła mi nie tylko zwalczyć kwiatową fobię, ale podziałała zbawiennie na moje zbolełe serce. Jeśli mam kochać, to tylko taką miłością... nawet gdybym miała po jej stracie znów zwariować. Inaczej nie warto.

Kiedy kończyłam podlewanie, pod pałac zajechał wielki, czarny, lśniący lexus. Patrzyłam zadumana przez przybrudzone szyby palmiarni i zastanawiałam się, czy to właśnie przyjechał po mnie mój wysniony książę. Czy przechytrzy pachnących strażników, uwolni mnie z wieży w pałacu nerwusów i wywiezie daleko. Liczyłam, że tak właśnie będzie, bo wierzę, że marzenia się spełniają i że życie może być bajką. Trzeba tylko wierzyć w swoje szczęście, trzeba go szukać, pracować na nie, schwytać i w żadnym razie nie pozwolić mu się ominąć. Ktoś mądry niedawno mi uświadomił, że ono zależy wyłącznie od nas samych.

Tak więc bądź w pokoju z Bogiem, cokolwiek myślisz o jego istnieniu i czymkolwiek się zajmujesz, i jakiegokolwiek są twe pragnienia: w zgiełku, ulicznym, w zamęcie życia zachowaj pokój ze swoją duszą. Z całym swym zakłamaniem, znojem i rozwianymi marzeniami ciągle jeszcze ten świat jest piękny. Bądź uważny, staraj się być szczęśliwy.